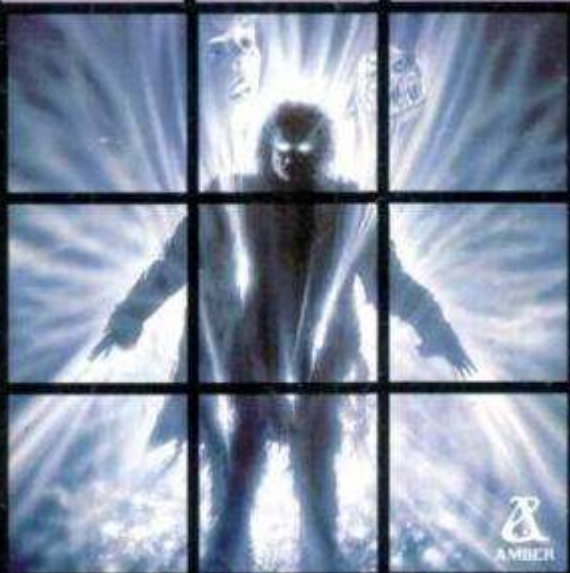


STEPHEN  
GALLAGHER



CHIMERA  
CHIMERA

GALLAGHER  
STEPHEN

CHIMERA

Przełożyła

BARBARA CENDROWSKA



AMBER

Tytuł oryginału CHIMERA

Autor ilustracji

STEVE CRISP

Opracowanie graficzne

Studio Graficzne „Fototype”

Redaktor

ALEKSANDRA ZIEMBICKA-HUSZCZO

Redaktor techniczny

ANNA WARDZAŁA

Copyright © Stephen Gallagher 1982

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-296-7

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1994.

Wydanie I

Druk:

Drukarnia Wojskowa w Łodzi

Część pierwsza

**ODDZIAŁ SPECJALNY**

7 października 1944 r.

*Pan*  
*François de Menthon*  
*Biuro Prokuratora*  
*Palac Sprawiedliwości*  
*Fürtherstrasse*  
*NORYMBERGA*      *12 sierpnia 1945 r.*

Postaram się uczynić, co w mojej mocy, by przekazać Panu żądane informacje. Będzie to trudne nie dlatego, że — jak Pan taktownie napomknął — w mojej pamięci powstały luki, wprost przeciwnie, dlatego że nie udało mi się, niestety, wymazać tych wydarzeń ze świadomości i niełatwo przychodzi mi je zrelacjonować.

Pyta Pan, gdzie znajdowałem się w chwili wybuchu. Stałem przy podnośniku do komory gazowej i pomagałem załadować starą kobietę na żelazny wózek. Było nas dwóch, lecz jeden poradziłby sobie bez trudu: starszka, naga, zagłodzona, ważyła niewiele. Obcięto jej włosy — posłużą pewnie do produkcji filcu, którym wykłada się wojskowe buty — wyrwano też złote zęby.

Wybuch nastąpił tak blisko, że ze ścian krematorium poleciała sadza. Deskę trzymaliśmy z Pietrowem po przeciwnych stronach; poprzez warkot dmuchawy ogrzewającej ceglane piece staraliśmy się wyłowić uchem jakieś dźwięki. Szyby w miniaturowych okienkach jeszcze drżały, gdy rozległa się kanonada.

Spojrzałem na Pietrowa, ale on też nie wiedział, co to może być. Miał dziewiętnaście lat, prawie tyle co ja, ale wyglądał na dużo młodszego. Wzruszył ramionami. Przechyliliśmy deskę i kobieta potoczyła się na wózek razem z dwojgiem dzieci. Potem przeszliśmy przez bariery i popchnęliśmy wózek w kierunku pieca.

Wiem, że brzmi to bardzo zwyczajnie, ale to b y ł o bardzo zwyczajne. Wówczas nie potrafiłem już nawet policzyć ciał, które przetoczyliśmy do pieców — starców, dzieci, szkieletów „muzułmanów” z obozu

koncentracyjnego Auschwitz po drugiej stronie linii kolejowej. Stanowiliśmy Sonderkommando, przymusową siłę roboczą dla SS. Żyliśmy i otrzymywaliśmy jedzenie dopóty, dopóki pracowaliśmy. Cztery miesiące w komando żywych trupów... i lży wyciskał mi już tylko dym palonych ciał.

Gdzieś od strony Birkenau rozległo się wycie syren. Ogień karabinowy trwał nadal, sypały się pociski, słyhać też było głośniejsze wybuchy i padające od czasu do czasu ochryple komendy. Dwóch esesmanów stało przy oknie, usiłując dojrzeć, co się dzieje, ale wątpię, czy mogli zobaczyć coś więcej niż kłęby dymu unoszące się nad sosnami.

Wstawiliśmy wózek na obrotnicę pośrodku krematorium, po czym rozejrzałem się czekając na rozkazy — bez rozkazu nie wiedzieliśmy, do którego pieca ładować, esesmani byli jednak czym innym pochłonięci. Jednego paleniska nikt nie doglądał, bo obsługująca je grupa robocza zaczęła się zbierać w przeciwległym końcu komory. Dowódca strażników, Voss, nadal stał przy oknie. Gdyby dym nie był tak gęsty, zobaczyłby, że dach krematorium numer trzy wyleciał w powietrze.

Pietrow i ja zbyttno rzucaliśmy się w oczy, stercząc w samym środku komory. Zostawiliśmy wózek na obrotnicy i poszliśmy tam, dokąd zdążali wszyscy. Dołączyliśmy do grupy mężczyzn, którzy nie wiedząc, co robić, gromadzili się wokół szefa więźniów, Rosjanina Spalińskiego; że Spaliński został szefem, było oczywiste, należał bowiem do garstki tych, którzy w nocy, na strychu, gdzie spaliliśmy, przeklinając spiskowali, podczas gdy reszta zrezygnowana milczała. Większość komanda starała się nie podpaść, nie liczyła też dni, które jeszcze zostały, nim dosięgnie nas śmiertelna kula. Spaliński zarażał nas nadzieją jak chorobą.

Warkot dmuchawy zagłuszał rozmowę. Usłyszałem szybką wymianę zdań: bunt, rewolta... Mamy wyciągnąć ukrytą broń, przyłączyć się czy czekać? Damy radę przejść przez druty? Uda się dobiec do rzeki, przedostać na drugi brzeg, czy esesmani znajdą nas w lesie?

Nie odezwałem się ani słowem. Miałem złe przeczucia i wiedziałem dlaczego: po raz pierwszy od miesiący bałem się. Mogłem wziąć się w garść, gdy nie widziałem przed sobą żadnej przyszłości, ale teraz znowu pojawiła się nadzieja.

W komando mieliśmy szansę przeżyć najwyżej kilka dni; przepracowaliśmy tyle czasu, ile zaplanowano, teraz czekała nas śmierć, a na nasze miejsce mieli przyjść inni. Wszystko czego mogliśmy się spodziewać to marsz do lasu za krematorium numer pięć, strzał z rewolweru w tył głowy,

a potem zbiorowy grób. A jednak w kwestii ucieczki wciąż były argumenty za i przeciw.

Wszyscy zamilkli, gdy starszy sierżant Voss odwrócił się od okna. Zobaczył, że nikogo nie ma przy paleniskach, a wózek do transportu zwłok stoi porzucony. Żaden esesman nie mógł tolerować tak raptownego załamania się dyscypliny, i to jeszcze wśród takiego ludzkiego gnoju jak my. Voss przeszedł więc przez całe pomieszczenie, kierując się prosto ku Spalińskiemu.

Więźniowie z obu stron Spalińskiego odsunęli się, lecz on sam stał nieporuszony. Voss podszedł do niego i warknął mu w twarz.

Chciał wiedzieć, kto nam pozwolił przerwać pracę. Z całej siły uderzał się po rękę zakończoną metalowym czubkiem trzcinką — wszyscy esesmani w obozie takie mieli. Jeszcze raz zapytał, dlaczego odeszliśmy od pieców.

Spaliński zaczął coś mamrotać, ale tak cicho, że ledwie było słychać. Nagle rozległ się świst i trzcinką spadła na głowę Rosjanina.

Siła ciosu sprawiła, że Spaliński opadł na jedno kolano i ciężko oparł się o stojącego więźnia; skórę na czole miał rozciętą. Gdy Voss się odwrócił, Spaliński dźwignął się, wyprostował, wyciągnął zza cholewy krótki nóż i wbił sierżantowi pod żebra. Teraz nie było już odwrotu.

Głos uwiązał Vossowi w gardle. Z otwartymi ustami, wpatrzony w przebijające go ostrze, zaczął się osuwać. Rosjanin nadal trzymał za trzonek, a nóż coraz dalej zagłębiał się w ciało.

Usłyszałem, jak Spaliński krzyczy, by otworzyć drzwi pieca. Voss chciał zrobić krok do przodu, usiłował wyciągnąć wbijającą się w niego stal. Spod okna ruszył ku niemu drugi esesman. Nie widział dokładnie, co się dzieje, ale coś go zaniepokoiło.

Stojący najbliżej Pietrow odciągnął zasuwę i otworzył żelazne drzwi. Dmuchawy pracowały zbyt długo, piec przegrzał się i buchnął powietrzem tak gorącym, że aż parzyło, miotając sadze, iskry i dym. Większość z nas gwałtownie odskoczyła, z wyjątkiem trzech więźniów mocno trzymających Vossa — kurczowo ścisnął brzuch, jakby w obawie, że jeśli rozluźni uścisk, wnętrzności wypłyną na wierzch. Podnieśli go i wrzucili do pieca.

Jego kompan był w połowie drogi, lecz zawahał się, widząc już tylko buty sierżanta znikające w piecu. Zaczął gmerać przy kaburze, lecz kilku członków komanda zdążyło już dobyć broń.

Spaliński wołał, by oszczędzać naboje, czterech więźniów dopadło esesmana, zanim zdołał wyciągnąć pistolet. Jeden wyrwał mu go z ręki, drugi kopnął w pachwinę, po czym zaciągnęli go do pieca i wrzucili do środka.

Gdy esesmani przy drzwiach otworzyli ogień, wybuchła strzelanina. Grad pocisków zmusił ich, by się cofnęli. Usiłowałem skryć się za obudowę jednego z pieców, gdy eksplodował granat.

Mieliśmy więcej broni na górze, gdzie znajdowały się nasze legowiska — pistolety maszynowe i granaty ukryliśmy w schowkach pod pryzcami. Po broń poszli ci, którzy nie mieli jej przy sobie. Kiedy kopniakami rozwaliliśmy pryzce, z dołu dochodził brzęk tłuczonego szkła.

Gdy wróciliśmy, prawie przy każdym oknie stał uzbrojony więzień. Podszedłem do zajmującego pozycję najbliższą mnie i dałem mu karabin maszynowy: wiedziałem, że nie ma sensu, bym sam go użył, choć nie ja jeden nie umiałem się nim dobrze posługiwać. Mgliście pamiętałem tego więźnia — był to prawnik z miejscowości Sereď; wśród trupów w komorze gazowej natrafił na ciało swej żony — i takie rzeczy się zdarzały.

Prawnik wziął karabin maszynowy, dał mi pistolet i kazał go załadować. Broń była rozgrzana, wydawała się dziwnie płaska. Mój towarzysz pogrzebał chwilę w kieszeni, po czym wyciągnął pół tuzina zawiniętych w chusteczkę naboń.

Udało mi się zwolnić blokadę i wyciągnąć magazynek. Gdy niezdarnie wkładałem kule, prawnik lułą automatu wybił z okna jeszcze trochę szkła i puścił serię po podwórzu. Rozległ się ogłuszający huk, strzelcem zaś aż zatrzęsło, tak wielka była siła odrzutu.

Po chwili cofnął się. Zdażyłem już napełnić magazynek i spodziewałem się, że Słowak odbierze mi broń, ale on kazał mi znaleźć wolne okno i zacząć strzelać. Gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch — poleciały z okien resztki szkła. Wszyscy padli na ziemię, paru ludzi jednak paskudnie oberwało. Widziałem, że Spaliński doskoczył do jednego z rozwalonych okien i rzucił granat. Po kilku sekundach gruchnęło i na krótko ogień karabinowy ustał.

Przy oknach nie było nikogo, gdyż rannych odciągnięto w bezpieczniejsze miejsca. Podpełzłem tam i odważyłem się wyjrzeć. Na podwórzu było pusto, gdyż esesmanów i kilku żołnierzy Wehrmachtu wybuch odrzucił aż pod obrzeżający teren mur. Granat Spalińskiego upadł niedaleko, na trawnik przy komorach gazowych.

Wówczas na drodze do obozu zauważyłem sznur ciężarówek. Cztery zatrzymały się tuż przy krematoriach, reszta pojechała dalej. Gdy spuszczone klapę, pierwszy wyskoczył Kommandoführer, a za nim wysypał się uzbrojony po zęby oddział Wehrmachtu. Gdy tylko rozpoznaliśmy komendanta, znów otworzyliśmy ogień; parokrotnie nacisnąłem spust, lecz wątpię, czy kogokolwiek trafiłem. Obawiałem się, że pistolet wypadnie mi z ręki i wyłeci na pokrytą popiołem ścieżkę.



Było nas teraz więcej. Winda podjechali ludzie z komór podziemnych, w budynku krematorium tłoczyła się już ponad setka mężczyzn. Piece nadal płonęły, warczały dmuchawy — jeszcze chwila, a zaczną się topić wykładane klinkierem przewody kominowe, cegła odpadnie i zasypie paleńska.

Ktoś krzyknął, że przywieźli haubice. Zebrałem się na odwagę, zerknąłem przez okno i przekonałem się, że to prawda — ciągnęli dwa działa. Niemcy zamierzali zburzyć krematoria wokół nas. Zdrętwieliśmy — co z nas za żołnierze: studenci, jubilerzy, sklepikarze, urzędnicy bez doświadczenia bojowego? Spaliński wyczuł nasz nastrój i natychmiast zareagował.

Oderwanym od koszuli skrawkiem materiału obwiązał sobie ranę na głowie. Powiedział, że tuż przed przybyciem ciężarówek dwóch jego rodaków pobiegło na tyły krematorium i nożycami przecięło druty; droga wolna, jeśli nie będziemy czekać, aż nas otoczą, może uda się uciec.

Syreny Birkenau wyły. Biegliśmy korytarzem, w którym składowano koks. Wielu członków komanda podążyło za nami, nie wiedząc dokąd zmierzamy. Niektórzy stanęli z granatami przy oknie, gotowi osłaniać odwrót.

Podwójna eksplozja stała się sygnałem: wybuchła gwałtowna strzelanina i tłum stłoczony w korytarzu zaczął się przesuwać, gdy tylko drzwi z tyłu otworzyły się na światło dzienne. Znajdowałem się gdzieś w środku, ludzka fala uniosła mnie z sobą.

Na zewnątrz nie było esesmanów — cały ogień kierowali od strony obozu, prawdopodobnie przypuszczali, że nie ma innej drogi, by wydostać się z krematorium. Pobiegliśmy w kierunku Rosjan, którzy zdążyli już pociąć i zwinąć kilka warstw drutu. Musieliśmy zwolnić przed powstałym w ten sposób otworem — był za wąski. Rosjanie pomagali nam się przezeń przecisnąć; kilku ludzi daremnie usiłowało przepchnąć się przede mnie. Odwróciwszy się ujrzałem, że ostatni z naszych wylania się z bramy krematorium. W przeciwległym końcu budynku esesmani nadal prowadzili ogień zaporowy i prawdopodobnie jeszcze się nie zorientowali, że nasi przestali strzelać. Wtem czyjaś ręka schwyciła mnie za ramię i przepchnęła przez druty.

Uciekając krzyczeliśmy z radości. Za sobą mieliśmy ścigających nas esesmanów, przed nami były patrole i rzeka. Zdążyliśmy donikąd, jednak oddalaliśmy się od obozu. Przy drutach ostatni z naszych odwrócił się i opróżnił cały magazynek w kierunku żołnierzy — niestety, nim zdołał się przedostać, dosięgnął go strzał.

Rozproszyliśmy się. Trzynastu udało się dotrzeć do rzeki, resztę

pochwyciły patrole z psami. Aż do zmierzchu kryliśmy się na bagnach, potem zaryzykowaliśmy przejście przez rzekę.

Pierwszy szedł Spaliński. Utkwiłem w nim wzrok i starałem się trzymać możliwie jak najbliżej, tak samo robił słowacki prawnik. Pietrow nie odstępował mnie, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy się zatrzymaliśmy. Było też z nami trzech jeńców radzieckich, przybyłych do obozu w tym samym czasie co Spaliński, pięciu Słowaków, którzy przedostali się do komory gazowej w podnośniku, i nieduży mężczyzna nazwiskiem Mayerling, który w obozie splukiwał wodą wózek do transportu trupów, by go ochłodzić. Mieliśmy trzy karabiny oraz jeden pistolet maszynowy, ale ani jednego pełnego magazynka.

Woda w rzece opadła nisko, odsłaniając łachy żółtawego błota. Spaliński przeszedł w bród, reszta podążyła za nim gęsiego. Nie mogliśmy czekać, aż zapadnie ciemność — mogliśmy nie znaleźć odległego drugiego brzegu, byliśmy więc niebezpiecznie na widoku, no i zostawialiśmy głębokie ślady w mulistym dnie. Panowała jesienna słoneczna pogoda, lecz woda była zimna. Musieliśmy pomagać Mayerlingowi. Jeden ze Słowaków wyznał potem, że posikał się ze strachu.

Pozostawało jeszcze osiem kilometrów do lasu. Nie mieliśmy pojęcia, co zrobimy, kiedy tam dotrzemy; gdy zrodził się pomysł ucieczki, zamierzaliśmy nawiązać kontakt z partyzantami, w nadziei że będziemy mogli przyłączyć się do nich. Lecz nikt nie miał pewności, czy oddziały partyzanckie rzeczywiście istnieją, czy też żyją tylko w krzepiących opowieściach. Nasza broń i materiały wybuchowe częściowo miały pochodzić spoza obozu, lecz obozowe systemy zaopatrzeniowe były tak zakonspirowane, że nikt nie wiedział tego na pewno.

Posuwaliśmy się uparcie naprzód, chcąc pokonać możliwie największą odległość, nim wstanie dzień. Do rana żołnierze SS i Wehrmachtu otrząsną się z zaskoczenia, w jakie wprawiała ich zuchwałość grupki zbuntowanych Żydów, i poszukiwania będą lepiej zorganizowane. W dzień musimy się ukryć, ponownie wyruszymy nocą.

Około jedenastej natrafiliśmy na wiejską chałupę, postanowiliśmy więc się zatrzymać, przynajmniej na trochę — wszyscy byliśmy przemarznięci, w przemoczonych ubraniach, a Mayerling cały drżał.

Nawet w świetle księżyca widać było, że obejście jest biedne. Przy ścieżce, gdzieś zupełnie zarośniętej wysokimi chwastami, stała obora, a w pewnej odległości od niej wałące się budynki gospodarcze i stajnie. Podwórze otaczał połamany płot. Nasza dwunastka stanęła przy nim, a prawnik wszedł, by się rozejrzeć.

Kiedy weszliśmy w obejście, ogarnął mnie lęk, czy aby nie zaatakują nas gęsi, lecz nic nie syczało ani nie poderwało się z trawy. Zaniedbana drewniana obora zaczynała się rozsypywać i zapadać, drzwi, zbite z popękanych desek, otwarte były na oścież.

W środku cuchnęło kozami i zgniłą słomą. Czterokołowy wózek, włożony między brudne przegrody dla krów, zajmował całą wolną przestrzeń. Jeden z Rosjan znalazł drabinę, przymocowaną do poprzecznej belki na górze, i po niej wspięliśmy się na strych.

Gdy się mościliśmy, Spaliński zapytał, czy jest wśród nas lekarz. Pytanie właściwie retoryczne, gdyż wszyscy wiedzieli, że Mengele zabrał wszystkich lekarzy do swoich prac, wykorzystując ich przy serii osobliwych badań, które ze szczególnym zainteresowaniem przeprowadzał na wszystkich bliźniętach i karłach przybyłych do obozu. Rana Spalińskiego otworzyła się i znowu zaczęła krwawić, więc przyznałem się, że nim mnie zabrał, niecały rok uczyłem się w szkole medycznej.

Prawnik zaproponował, że przyniesie wody z podwórka. Spaliński się zgodził, zatrzymał Pietrowa, który też chciał iść, a ze Słowakiem posłał mnie.

Wiadro znaleźliśmy w jednej z przegród dla krów. Było pogiete, ze złamanym kablukiem, ale przynajmniej nie miało dziur. Pamiętam, jak dziwne wrażenie robił grunt pod stopami, ubita, stwardniała na kamień ziemia. Nie było żadnej bramy wjazdowej na podwórko poryte bruzdami i koleinami. Słyszeliśmy konie w niskiej szopie obok głównego budynku, ale poza tym nie dochodził do nas żaden dźwięk.

Pompa znajdowała się w przybudówce, gdzie składowano drewno na opał. Trzymałem wiadro, a prawnik naciskał zardzewiałą rączkę; rozległ się zgrzyt, ale pompa tylko zakaszła. Gdy nacisnął znowu, hałas był mniejszy, ale woda ciekła jedynie wąską strużką i nie wyglądała na czystą. Opróżniłem wiadro i ledwo zdążyłem je podstawić, gdy za trzecim nacięciem chlusnęła gwałtowny strumień.

Mogliśmy wracać, ale prawnik jeszcze dokładnie obejrzał dom. Okiennice były zamknięte, nie przeblyskiwało przez nie najmniejsze światelko. Wiadro nieśliśmy razem, niewiele rozlewając po drodze. Dwie trzecie wody wypili nasi towarzysze, resztę zużyłem na przemycie rany Spalińskiego. Użyłem gałganka, w który zawinięte były naboje, on tylko był względnie czysty, wszystko inne upaprane było brudną wodą z rzeki. Prócz mułu Wisła niosła popioły z krematorium. Wiedziałem, że wszystkie nasze ubrania oraz pasiaki z konopnego materiału, które mieli na sobie dwaj Słowacy, do rana zrobią się szorstkie i sztywne.

Bardzo niewprawnie przewiązałem ranę Spalińskiego, ale się nie skarżył. Byłem dumny, że mogłem czymś się wykazać, owo niebezpieczne poczucie samozadowolenia trwało jeszcze chyba z godzinę, w tym czasie wszyscy posnęli, a mnie przyszło do głowy, że trzeba ponownie napełnić wiadro i że właśnie ja powinienem to zrobić. Ja, grupowy medyk, niemal jeszcze nastolatek, bez żadnej wiedzy i umiejętności, nie potrafiłem dowodzić ani walczyć, ale wiedziałem, że przyjdą na nas trudne chwile, musiałem więc wyrobić w sobie przekonanie, że zasługuję na miejsce w naszej grupie.

Gdy upewniłem się, że wszyscy śpią, przewiesiłem kabłąk wiadra przez ramię i zszedłem na dół. Reszta wody zmętniała od brudu i krwi, toteż wylałem ją przed drzwiami obory. Znajdowałem się w połowie drogi na podwórze, gdy usłyszałem głosy.

Dałem susa w wysoką trawę rosnącą przy ścieżce — nie była tak gęsta jak bym pragnął, ale nie miałem gdzie się ukryć. Całym ciałem przywarłem do ziemi. Wyraźnie widziałem ścieżkę i szczegóły umundurowania esesmanów oświetlone blaskiem księżyca.

Był to niewielki oddział, ale bardzo dobrze uzbrojony. Psy na smyczach wrywały się naprzód, a za nimi włókł się człowiek w zniszczonym wiejskim ubraniu — chyba gospodarz. Musiał usłyszeć, jak nabieraliśmy wody, zaczekał, aż sobie pójdziemy, po czym wymknął się w poszukiwaniu patrolu.

Wiedziałem, jak licha jest ta kryjówka, zdawałem też sobie sprawę, że moja wynędzniała od obozowego życia twarz może być dobrze widoczna. Przykrywały mnie jesienne liście, sucha i szeleszcząca trawa, toteż musiałem uważać, by nie narobić hałasu, gdy przypadłem twarzą do ziemi i usiłowałem możliwie jak najbardziej zaszyć się w trawie. Słyszałem głuchoe odgłosy szybkich kroków i dyszenie psów biegających w odległości paru jardów ode mnie. Potem dotarło do mnie skomlenie, kiedy jeden z nich, zerwawszy się ze smyczy, sunął w moim kierunku.

Skowyt nieco ucichł, gdy esesman chwycił smycz i pies rwał teraz do przodu na uwięzi. Mocniej przywarłem do ziemi, a ciarki przeszły mi po skórze. Czekałem, aż oddech zwierzęcia zacznie zionąć mi w kark. Gdy patrol zorientuje się, że złapali zbiega, pewnie pozwoli, by psy mnie dopadły — w obozie umierałbym dłużej, lecz była to jakaś odległa wizja, a groźba rozszarpania mogła się spełnić w każdej chwili.

Doszedł do mnie dziwny, stłumiony dźwięk, którego nie mogłem określić. Esesman klnąc brnął przez trawę. Usłyszałem odgłos uderzenia, pies zaskomlał, po czym otrzymał potężny cios w kark. Pies szczekał teraz głośno, usiłując mnie dopaść, miałem nadzieję, że przynajmniej usłyszą to w

oborze. Chciałem powiedzieć swym kompanom, że życzyłem im udanej ucieczki, ale ratowanie własnego życia było dla mnie najważniejsze.

Byłem pewien, że esesman każe mi wstać. Nic takiego nie nastąpiło. Uniosłem głowę, lecz nie dojrzałem butów. W odległości paru metrów zobaczyłem wiadro, które się tam potoczyło, gdy osunęło mi się z ramienia. Patrol kroczył ścieżką. Uratował mnie zapach krwi Spalińskiego, który zdezorientował psa i odwrócił uwagę esesmanów.

Zastrzelili Pietrowa. Opiekowałem się nim, chodził za mną wszędzie i szedł również teraz. Widziałem, jak wieśniak biegnie szukać w domu schronienia przed strzałami dochodzącymi z górnej części obory. Esesmani rozproszyli się i zaczęli odpowiadać ogniem, a któryś musiał wrzucić granaty przez otwarte drzwi. Nastąpiły dwa wybuchy i wysoko w górę poszybowały kawałki drewna, a płomień błyskawicznie zaczęły ogarniać budynek.

Czołgałem się pod osłonę drzew na skraju poręby. Ogień szybko piął się w stronę strychu obory, a gdy go dosięgnął, pistolet maszynowy umilkł — musiała się skończyć amunicja, gdyż z budynku dochodził tylko odgłos pojedynczych strzałów. I one ucichły po paru sekundach, lecz potem usłyszałem wojowniczy okrzyk. To Spaliński prowadził niedobitki dwunastego Sonderkommando przez płomień, prosto na salwy pocisków.

Tymczasem, korzystając z nieuwagi esesmanów, dopadłem najbliższych drzew. Biegłem pół mili, minąłem dwie wąskie ścieżki i dopiero gdy obora przypominała już tylko lunę na nocnym niebie, przystanąłem i wczołgałem się w niskie zarośla.

Przez następne dwie noce posuwałem się powoli, odpiąwszy najpierw z kurtki Gwiazdę Dawida. Nie widziałem już więcej patroli, a zatem, być może, fanatyczna obsesja administracji obozu na punkcie apeli i liczenia więźniów nie miała racji bytu w obliczu próby masowej ucieczki. Ponieważ byłem członkiem Sonderkommando, a nie zwykłym więźniem, znajdowałem się w dość dobrej kondycji, miałem przyzwoite ubranie, a w ramach przygotowań do ucieczki zaopatrzyłem się w dokumenty i pieniądze, zabrane zmarłym. Dało mi to przynajmniej względne poczucie bezpieczeństwa, a na wypadek rzeczywiście krytycznej sytuacji zorganizowałem z odlewni przy krematorium numer dwa dwie stuczterdziestogramowe sztabki złota.

Nie miałem natomiast, a bardzo potrzebowałem, przepustki na podróż. Na szczęście, gdy dotarłem do Gliwic, ani na dworcu, ani w okolicy nie było żandarmów, toteż udało mi się przedostać do pociągu towarowego jadącego do Drezna. Stąd chciałem złapać połączenie do Ulm, odległego

jedynie o osiemdziesiąt kilometrów od granicy ze Szwajcarią na Jeziorze Bodeńskim. W rezultacie dotarłem aż do Schaffhausen, gdzie granica nie była tak silnie strzeżona, i dostałem się do Bazylei.

Gdy wreszcie wylądowałem w Anglii, doszły do mnie wieści, że ucieczka nie powiodła się nikomu oprócz mnie. Wszyscy inni zostali rozstrzelani. Przez resztę owego pamiętnego dnia z okolicy do obozu ciągnął nieprzerwany sznur wózków, na które zwalano ciała, sunęły też kolumny rannych. Tych, którzy przeżyli, zabierano do brzoźowych lasków otaczających Birkenau i rozstrzeliwano. Moją grupę sprowadzono zza rzeki tej samej nocy. Zaatakowali strażników na dziedzińcu krematorium i próbowali odebrać im broń, lecz niebawem dołączyli do swych towarzyszy przy piecach krematoryjnych.

Był to pierwszy i jedyny zorganizowany, masowy bunt w historii KL Auschwitz. Zdumiał on i zaskoczył esesmanów, którzy przywykli do potulnych Żydów, tak pozbawionych nadziei, że, polegając na zupełnie czczych obietnicach, nawet zagładę przyjmowali z całkowitą pokorą. Opowiadałem tę historię, lecz traktowano ją jako wytwór fantazji, urojenie będące skutkiem prześladowań, póki bramy kacetów nie otwarły się, przynosząc do wody bardziej przekonujące niż słowa.

*Henryk Liawski  
Cambridge*

Część druga

KUMBRIA

15 października 1987 r.

1. Syrena policyjna i klakson zabrzmiały jednocześnie tuż z tyłu i gdy Peter Carson zerknął we wsteczne lusterko, poprzez strumienie deszczu ujrzał szybko zbliżające się reflektory oraz błysk niebieskich migaczy. Wiejska droga była zbyt wąska, by mogli się minąć, lecz nadjeżdżający wóz wcale nie zwalniał. Carson z całej siły skręcił kierownicą mercedesa w lewo i uderzył w podnóże pochyłego, wysokiego na parę stóp pagórka, który wznosił się między drogą i kamiennym murkiem. Samochód przechylił się niebezpiecznie i zahamował buksując na śliskiej trawie. Niewiele brakowało, by mercedes zatoczył łuk i z powrotem wyładował na asfalcie albo zarzucił tyłem i walnął w mur, lecz samochód policyjny zmieścił się na wolnym kawałku drogi i ostro zahamował na następnym wirażu. Na zakręcie alei głos syreny urwał się gwałtownie i zamilkł.

Mercedes z trudem zdołał przystanąć. Przez zalaną deszczem szybę niewyraźnie rysował się obraz mokrej drogi i pól w oddali. Carson musiał się opanować, by złapać oddech, po czym z wolna zdjął dłonie z kierownicy. Następnie schylił się i podniósł z podłogi mapę, która zsunęła mu się z kolan.

Wyłączony silnik umilkł. Słysząc było jedynie szum deszczu, uderzającego o karoserię. Kierowca odpiął pas i uchylił drzwi, a ponieważ samochód stał na pochyłości, drzwi otworzyły się gwałtownie i niewiele brakowało, by Carson wypadł na zewnątrz.

Liście ciągle jeszcze opadały z krzewów ciasno rosnących przy ogrodzeniu z drutu kolczastego na przeciwnym krańcu drogi. Szeroki wóz policyjny przejeżdżając niszczył listowie, gdyż przeciskał się przez wąską przestrzęń, mając zaledwie po parę cali odstępu z każdej strony. Skurwysynowi musi się cholernie spieszyć — myślał Carson. Nie może zaczekać, aż będzie miał miejsce, by wyminąć mercedesa?

Wiatr targał jego ubranie, gdy Carson wynurzył się z ciepłego wnętrza samochodu. Postawił kołnierz nieprzemakalnego płaszcza, wytarł z twarzy krople deszczu, okrążył samochód i stanął na poboczu.



Pochylił się, by obejrzeć bok wozu. Przytrzymał się muru, co pozwalało mu zachować równowagę na mokrej trawie. Nieregularne bloki łupków, niezwiązane zaprawą, upstrzone były żółtymi cętkami mchu; gdy dotknął ręką kamieni na szczycie, poruszyły się z głuchym łoskotem. Nic nie wskazywało na to, że rzeczywiście uderzył w murek, jedynie tam, gdzie karoseria otarła się o trawę, widniały podłużne, ciemne smugi.

Miał stąd widok na przeciwległą stronę szosy, zarośla, a także na ogrodzenie z drutu kolczastego okalające kraniec drogi. Rzadki zagajnik ciągnął się mniej więcej pięćdziesiąt jardów do skraju jeziora — płaskiej, promienistej tafli wody, rozlewającej się ku zamglonym, wyniosłym krawędziom polodowcowej doliny. Góry stały w swym groźnym majestacie. Ich zbocza miejscami były niemal prostopadłe, surowość turni i grani łagodziła falista zasłona z wrzosów i paproci, lecz ich miękkość była złudna, gdzieniegdzie ukazywało się twarde podłoże, jakby draperia oderwała się i spadła z deszczem piargów aż na brzeg wody.

Wyblakłe zielenie, mokre, błyszczące szarości, przyczernione brązy więdnących paproci na polanach, pociemniałe niebo i woda barwy żelaza zdawały się zarazem wabić i grozić, jak gdyby przyroda zrzucała z siebie jasną, letnią szatę, w którą przebrała się na sezon turystyczny, ukazując surowe prawdziwe oblicze. Sezon w tej części Krainy Jezior najwyraźniej dobiegł już końca. Z pól okalających wejście do kotliny zniknęły namioty i przyczepy, o milę dalej znajdował się samotny wiejski hotel, lecz brama przed prowadzącym do niego podjazdem była zamknięta. Z tego miejsca Carson nie widział już innych domostw prócz prostokątów budynków gospodarczych, których zarys pojawiał się od czasu do czasu wysoko na zboczu, ani też żadnego innego pojazdu, poza wozem policyjnym, który zawył za nim i o mało nie zepchnął go z drogi.

Dokąd wiedzie ta trasa? Na mapie widać, że szlak od strony jeziora kończy się ślepą uliczką, ciągnąc się wzdłuż brzegu wody jeszcze mniej więcej na długość mili, po czym skręca w boczną kotlinkę i dobiega kresu w miejscu zwanym Dale Head. Tu oznaczenia na mapie są tak zagęszczone, iż niemal zlewają się ze sobą. Nieco w głębi bocznej kotlinki leży wioska Langstone, zaznaczona na mapie paroma niepozornymi szarymi prostokątami umieszczonymi po obu stronach drogi; każdy z nich mógłby odpowiadać nie więcej niż dwóm, trzem budynkom; następnie, nieco z dala od drogi, znajdowała się zwyczajna kaplica jakich tysięcy, niezasługująca nawet na nazwę, a za nią nie było już nic — prócz kliniki Jennera, której nie naniesiono na mapę i którą Carson sam sobie zaznaczył czerwonym krzyżkiem.

Ruszył przed siebie, gdy pojawił się drugi wóz policyjny, mknący równie szybko i zdecydowanie jak poprzedni, toteż Carson ponownie schronił się do bezpiecznego wnętrza samochodu, gdyż kierowca policyjny, widząc mercedesa blokującego pół drogi, ostro zakręcił, by go wyminąć. Tuż za nim nadjechał ciemnoniebieski land rover, ciągnący przyczepę, która podskakiwała i podrygiwała na wybojach. Gdy kierowca land rovera ujrzał przed sobą przeszkodę, nacisnął hamulce, lecz się nie zatrzymał; pośpiesznie, z hałasem, zmienił biegi i staranował ogrodzenie z drucianej siatki, po czym ponownie zawrócił, gdy miał przed sobą wolną drogę. Przyczepa podrygiwała na boki, niemal ocierając się o przedni zderzak mercedesa i kołyszac niepewnie na niskiej osi.

Chryste Panie, pomyślał Carson, ugrzązłem tu na amen. Widział już, jak zjeżdża z pobocza w sam środek kolejnego korka z policyjnych samochodów, robiących coraz większe zamieszanie na szosie, gdyż z Penrith z dużą szybkością gnał niekończący się sznur pojazdów. Carson przeszedł na drugą stronę, usiłując dojrzeć, co się dzieje z tyłu, lecz droga wzdłuż jeziora była tak kręta a teren pagórkowaty, że nie widział dalej niż najwyżej na odległość dwustu jardów.

Wsiadł do samochodu i ze wzrokiem utkwionym w lusterku uruchomił silnik oraz wrzucił wsteczny bieg. Bez specjalnych kłopotów wjechał wszystkimi czterema kołami na asfalt, zmienił bieg na przedni i ruszył, najpierw ostrożnie, usiłując wykryć ewentualne uszkodzenia układu kierownicy bądź zawieszenia. Nie stwierdził drgań, stukotu ani szarpnięcia, a więc spojrzawszy jeszcze raz w lusterko zaczął przyspieszać.

Szyba od razu pokryła się mgłą i musiał puścić zimny nawiew. Tracił już z oczu jezioro, gdyż mur z lewej strony stawał się coraz wyższy, a drzewa i krzewy z prawej coraz gęściejsze. Zwisające nad drogą gałęzie ocieniały ją zielonością i brązami. Od czasu do czasu w murze widniała zamknięta brama. Carson na moment pochwyił wzrokiem widok przylegających do siebie splechotków pól, rozpostartych na pochyłym zboczu aż do granicy nagłego, stromego wzniesienia. Na niektórych pasły się nieliczne owce, ale przeważnie łąki były puste, a każda miała inny kolor.

Była to kraina podgórszych gospodarstw, wymagająca i niewiele dająca w zamian, skały tkwiły tam tuż pod powierzchnią jak węzły mięśni. Kamienie polodowcowe uprzątnięto i ułożono w niekończące się murki, lasy wycięto i posadzono na nowo, lecz mimo tych zmian, twarde podziemne struktury pozostały takie same, podległe jedynie przemożnym siłom czasu. Nie była to wymarzona okolica na wybudowanie kliniki leczącej bezpłodność.

Co prawda, obecnie otwierano je wszędzie i gdy Tracy Pickford powiedziała Carsonowi, że pracuje gdzieś na wsi, nie uznał tego za nic nadzwyczajnego, ale wówczas niemal odruchowo wyobraził sobie małe podlondyńskie gospodarstwa, ciche, tonące w zieleni. Tutaj nic nie przypominało tego sielskiego obrazka. Tracy opowiadała Carsonowi o laborantce, która w zeszłym roku w lutym poszła na zimową przechadzkę po lesie, a znaleziono ją dopiero podczas wiosennej odwilży. Tracy przyszła do pracy na jej miejsce w maju.

Opowiadała mu o tym, gdy przyjął już jej zaproszenie do odwiedzin. Zrodziło się w nim wówczas niejasne przecucie, że — usiłując go przestraszyć — nie była z nim do końca szczerą, lecz nie miał na to żadnych dowodów, a zatem, mimo iż tego wieczoru spotkali się po raz pierwszy i nie można było mówić o jakiejś natychmiastowej, wzajemnej fascynacji, podtrzymał chęć złożenia jej wizyty. Na konto bankowe przelano mu miesięczny czek z depozytu, a więc nic nie trzymało go w Londynie. Właśnie dlatego znalazł się na tej drodze w odludnej dolinie i zwalniał teraz przed blokadą policyjną.

Toby Knight był mundurowym sierżantem policji i pracował w drogówce już od wielu lat. Wyglądało na to, że w tym stopniu dotrwa do emerytury. Chyba wiedział dlaczego: cała skomplikowana procedura awansu sprowadzała się, jego zdaniem, do jednej podstawowej zasady: albo cię lubią, albo nie — ci ludzie na górze, którzy decydują o wszystkich ruchach kadrowych. Mike Schaffer, najmłodszy komisarz w szeregach funkcjonariuszy, był lubiany, Toby'ego Knighta, który późno wstąpił do policji, powszechnie uważano za wielkiego służbistę i lubiany nie był. Jak to ujął Knight, Schaffer mógł pierdząc grać na grzebieniu „Boże chroń królową”, a Knight cieszył się taką sympatią jak psie odchody na stoku narciarskim.

Swą niechęć przełożeni okazywali subtelnie. Na przykład zabierali człowieka z posterunku ulicznego na początku służby i kierowali do pomocy przy poważnym wypadku, a gdy delikwent już się zdążył ucieszyć z odmiany w codziennym kieracie i ucieczki od wykazu dyżurów i raportów, przerzucali go do blokady dróg i to nawet nie przy samym wypadku, ale tak daleko, na ile pozwalało zachowanie łączności radiowej. A potem, by tortura była jeszcze bardziej wymyślna, domagali się zachowania ciszy w eterze.

Duża furgonetka terenowa Knighta była koloru niebieskiego, na jej boku widniał pokaźny biały napis „POLICJA”. Kierowcą sierżanta był Dick Forsyth, pełen energii i optymizmu posterunkowy, który dołączył do jego

ośmioosobowego oddziału po czterech latach rutynowej służby, lecz teraz Knight powoli uczył go sztuki odpowiednio ponurego spojrzenia na świat.

Furgonetka zaparkowana była ukośnie, przy bramie prowadzącej na farmę, blokując drogę, tak by żaden pojazd nie mógł się przecisnąć. Gdy Carson zahamował, zobaczył, że zaparowane szyby pojazdu były w kilku miejscach przetarte. Przez te podłużne judasze siedzący w środku mogli obserwować co się dzieje na szosie. Po paru sekundach z samochodu wyłonił się policjant. Znużonym gestem zatrzasnął za sobą drzwi i poczłapał do mercedesa. Miał na głowie płaską czapkę z daszkiem, a na grubą kurtkę narzucił odblaskową pomarańczową kamizelkę. Carson odkręcił szybę w samochodzie i spojrzał na policjanta.

— Czy coś się stało? — zawołał, gdy Toby Knight oglądał samochód. W oddali, gdzieś po drugiej stronie gór, rozległ się grzmot. Stado przestraszonych wron uniosło się z pola za murem i zatrzepotało nad drzewami.

— Niestety, proszę pana, nie ma przejazdu przez dolinę. — Knight był wysoki i barczysty, wrażenie to potęgowała jeszcze gruba kurtka. Bładoniebieskie oczy spoglądały beznamiętnie, a choć nos i policzki miał zaczerwienione od październikowego chłodu, reszta twarzy wydawała się bardzo blada.

— Na jak długo?

— Trudno powiedzieć. Zechce pan wjechać na ten podjazd i zawrócić do głównej drogi?

Carson zerknął we wskazanym przez Knighta kierunku.

— Chwileczkę. Proszę mi przynajmniej wyjaśnić dlaczego — zaprotestował. Kilka owiec cisnęło się do drewnianego ogrodzenia, lecz cofnęły się i odeszły, gdy z furgonetki wyłonił się drugi policjant.

— Proszę zadzwonić do informacji w Penrith. Nam nie wolno udzielać żadnych wyjaśnień. — Nieźle brzmi, zwłaszcza jeśli samemu o niczym się nie wie — pomyślał sierżant.

— Zawracacie mnie po czterech godzinach jazdy z Londynu i nawet nie powiecie dlaczego?

— Zgadza się.

— Z Londynu, w cztery godziny? — zainteresował się drugi policjant, młodszy, o ostrych rysach. — Musiał pan przekroczyć dozwoloną prędkość. Niech pan stąd rusza, zanim dojdziemy do wniosku, że trzeba się tym zająć.

— Ale mam się z kimś spotkać w klinice Jennera. Czy nie ma tam innej drogi?

Mężczyzna o wyblakłych oczach był niewzruszony. Kropelki deszczu lśniły na jego kamizelce, łączyły się w większe strumyki i toczyły w dół.

— Mówilem panu, że dolina jest zamknięta. Nikt nie może się tutaj kręcić.

— Słuchaj pan — dodał Forsyth, młodszy kierowca. — Może to dla pana niezbyt zrozumiałe, ale ta sytuacja nas wkurza. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty niż wyklócanie się z byle głupkiem, który chyba nie zna angielskiego.

Carson zawahał się przez chwilę, po czym wysiadł z samochodu zamykając za sobą drzwi. Podszedł do policjantów, a strugi deszczu ściekały mu po twarzy. Knight rzucił mu z ukosa spojrzenie, które mówiło: — Szukasz guza, gnojku?

— Chcę się tylko dowiedzieć — odezwał się Carson, usiłując nie drżeć z zimna i sprawiać wrażenie człowieka opanowanego — dlaczego nie pozwalacie mi podjechać do kliniki Jennera.

— Nie chodzi o klinikę — tłumaczył Knight z cierpliwością rowerzysty pedałującego do domu na rozwalonym bicyklu. — Chodzi o całą dolinę — wioskę, gospodarstwa, wszystko. Powiedziałem panu co robić, jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś więcej.

— Wiem. Zadzwonić gdzieś tam i wysłuchać nagranej informacji, z której też nic nie wynika. Parę mil wcześniej zepchnął mnie z drogi sznur waszych samochodów, które pędziły, jakby kierowcy zapomnieli, do czego służą hamulce.

— Więc niech pan złoży skargę — powiedział ten o ostrych rysach.

— Nie chcę składać skargi, chcę się dostać do kliniki.

— Ale się pan tam nie dostanie.

Nagle wszyscy trzej odwrócili się, gdyż z tyłu na drodze zatrąbił klakson. Podjeżdżał następny samochód, nie wóz policyjny, lecz duże, wygodne auto, mogące pomieścić całą rodzinę. Jego najlepsze dni właśnie dobiegały końca i najwyżej jeszcze przez kilka lat nie będzie zasługiwał na miano wraka. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

— Zajmę się nim — powiedział Knight. Odchodząc, rzucił Forsythowi spojrzenie i energicznie skinął głową w kierunku Carsona. Znaczenie tego gestu nie budziło wątpliwości — pozbądź się go.

Forsyth popatrzył za odchodzącym sierżantem, po czym zwrócił się do Carsona. Położył rękę na dachu mercedesa i pochylił się nisko. Jego oddech pachniał miętą, a po płaszczu spływały strumyczki deszczu.

— No dobra — oznajmił. — Mieliliśmy z panem dość kłopotów. Albo pan zawróci, albo wlepię panu mandat.

— Za co?

— Później coś wymyślę.

Kierowca drugiego samochodu wyglądał przez odkręconą szybę.

— Dolina jest zamknięta dla ruchu — zaczął recytować Toby Knight.  
— Musi pan... — Knight zawahał się. Inspektor Mark Schaffer patrzył na niego, pytająco unosząc brwi. — Ojej, przepraszam, inspektorze.

— Nic nie szkodzi — odparł Schaffer.

Samochód był własnością inspektora. Musiał sprzedać swego starego, zdezelowanego spitfire'a, by kupić coś bardziej odpowiedniego dla powiększającej się rodziny. Nie znosił tego wozu.

— Stoneley zadzwonił do mnie przed godziną i powiedział, że wszystkie samochody wyjechały.

— Przepuszczę pana, jak tylko pozbędziemy się tego cholernego skurwysyna.

Schaffer rzucił okiem na cholernego skurwysyna. Zatrzymał przez chwilę wzrok na lśniącym, srebrnoszarym mercedesie i poczuł dotkliwe ukłucie zazdrości. Cholerny skurwysyn nie stawiał większego oporu, po prostu słuchał, co ma do powiedzenia posterunkowy Forsyth i usiłował owinąć się płaszczem przeciwdeszczowym, niechroniącym go dostatecznie przed wilgocią. Forsyth patrzył na niego zwięzonymi oczyma i wzmacniał siłę swej argumentacji, dźgając palcem wskazującym powietrze parę cali przed klatką piersiową rozmówcy. Taktowne zachowanie. Toby Knight dobrze ich wyszkolił.

— Macie jakieś kłopoty? — zapytał Schaffer.

— Nic takiego, po prostu facet nie chce zawrócić. Dick Forsyth właśnie go opieprza.

— Miejscowy?

— Nie z taką gablotą. Założę się, że jechał ten szmat drogi z Londynu, żeby podwiązać sobie jaja.

Nie wydawało się to prawdopodobne. Sterylizację robiło się teraz niemal wszędzie i kliniki leczące bezpłodność w zasadzie tym się nie zajmowały, gdyż było to sprzeczne z charakterem ich działalności.

— Pytał o klinię Jennera? — zainteresował się Schaffer.

— Nic mu nie powiedzieliśmy. Zobaczył parę furgonetek pędzących na złamanie karku do wioski i zaczął coś podejrzywać, to wszystko.

Schaffer skinął głową. — Jakie polecenia dał wam Stoneley w sprawie blokady drogi?

— Zabronił przepuszczać absolutnie wszystkich.

— Pewnie chodziło mu o typowe przypadki. Może nieźle by było wpuścić akurat tego jednego, skoro zaczął coś węszyć.

Toby Knight milczał. W końcu rozkaz to rozkaz i taki szczeniak tuż po szkole policyjnej nie powinien się wtrącać.

— Co pan ma zamiar w związku z tym zrobić? — spytał głosem niezdradzającym żadnych emocji.

Schaffer otworzył drzwi i sięgnął po kurtkę rzuconą na fotel pasażera.  
— Przejdę się tam.

Forsyth nie miał zamiaru dyskutować z Carsonem i polecił mu zjechać z drogi, ten natomiast twierdził, iż to nie jego furgonetka blokuje przejazd i wtedy właśnie nadszedł Schaffer. Zapinając kurtkę gładko wtrącił się do rozmowy.

— Nazywam się Schaffer. Jestem inspektorem. Pytał pan podobno o klinikę Jennera, zgadza się?

— Jestem tam umówiony.

— Pańskie nazwisko?

— Peter Carson.

Schaffer bacznie mu się przyjrzał. Nieco przed trzydziestką, miał na sobie eleganckie, przemoczone teraz ubranie. Nie wyglądał na zakłopotanego faceta, który musi wyznać, że przemierzył trzysta mil, by się spuścić do butelki.

— Miał pan być pacjentem Jennera?

— Byłem umówiony z dziewczyną, która tam pracuje.

Brzmiało to dość prawdopodobnie. Schaffer słyszał, że choć personel medyczny nocował w klinice, większość miała własne mieszkania w rodzinnych miastach i tam spędzała weekendy.

— To pańska dziewczyna?

— Coś w tym rodzaju — odparł niechętnie Carson, a Schaffer zrozumiał, że niewiele wyniknie z tego przesłuchania, które bez entuzjazmu prowadził na wietrze i deszczu. Niebo chmurzyło się coraz bardziej.

— No dobrze — powiedział. — Niech pan przestawi samochód i przepuści mnie, a potem proszę jechać za mną do wioski. Chcę pana widzieć w lusterku i proszę się nie oddalać, gdy przybędziemy na miejsce. — Odszedł parę kroków.

— Powie mi pan w końcu, o co chodzi? — zawołał za nim Carson.

— Później — krzyknął Schaffer, nie odwracając się.

Forsyth poszedł przestawić samochód i zrobić przejazd. Toby Knight zrównał się z inspektorem nim ten doszedł do wozu.

— Co mam robić, jeśli trafi mi się drugi taki przypadek? — zapytał.

Schaffer zawahał się. Być może już przekroczył swe kompetencje, więc wolał się asekurować. — Spróbuję znaleźć Stoneleya w Langstone i niech on podejmie decyzję. Jeśli dalej chce zawracać ludzi, musimy wymyślić jakąś wiarygodną historię.

— Jak na razie mieliśmy tylko kilka furgonetek z zaopatrzeniem. Nie było problemów.

— Ale będą — westchnął Schaffer. — Tego jednego możemy być pewni.

— Chyba ma pan rację — zgodził się sierżant, po czym spróbował poruszyć sprawę, która naprawdę leżała mu na sercu. — Panie inspektorze... — słowa te gorzko brzmiały w ustach człowieka, którego przełożony był młodszy od niego o parę lat.

— Tak?

— No więc... o co chodzi? Zdarzył się jakiś poważny wypadek, czy co?

— Wie pan chyba tyle samo co ja — odparł Schaffer i mimo że było to zgodne z prawdą, poczuł się winny, gdy w oczach starszego od siebie podwładnego dostrzegł wyraźne niedowierzanie. — Dostałem telefon, że mój urlop jest odwołany i że mam tu przyjechać — tylko tyle.

— Ale poinformuje nas pan, jak tylko się coś wyjaśni?

Schaffer uśmiechnął się blado. — Jasne.

Carson włączył silnik i próbował wykonać trudny manewr, by móc wjechać przodem na podjazd. Dzięki temu Schaffer zyskał akurat tyle miejsca, żeby precyzyjnie się obok mercedesa i się o niego nie otrzeć. Gdy samochody ustawiły się jeden za drugim i odjechały, Forsyth ponownie zablokował drogę. Potem wyłączył silnik i poprzez padającą mżawkę patrzył, jak jego towarzysz wraca i sadowi się na miejscu pasażera. Resory furgonetki ugięły się, gdy opadł na fotel.

— Co panu powiedział? — spytał Forsyth.

Toby Knight zdjął mundurową czapkę i wycierając mokrą od deszczu twarz wilgotną chusteczką, wykrzywił się z niesmakiem. — Nic. Udaje, że wie tyle samo co my.

— Cholerny skurwysyn. — Dick Forsyth poszukał wzrokiem obu samochodów, ale zniknęły mu już z oczu, a deszcz zdążył nawet zmyć ślady po oponach. — Prędzej powiedzą temu gnojowi w szykowej limuzynie niż nam.

Coś pojawiło się na drodze wiodącej od Penrith.

Forsyth włączył zapłon i uruchomił wycieraczki. Ich szerokie ramiona sunęły leniwie, na chwilę wylizując szyby do czysta, ale to coś zniknęło z ich pola widzenia, prawdopodobnie wskakując w przydrożne zarośla.



Policjant wyłączył zapłon i dmuchawy, zgasy kolorowe światełka na desce rozdzielczej.

Następny kierowca przeżyje tu ciężkie chwile.

**2.** Jerry Crichton rozpoczął karierę w Kumbryjskim Policyjnym Oddziale Wschodnim z bazą w Kendal. Był najwyraźniej, wedle dziwacznej terminologii Toby'ego Knighta, lubiany; w ciągu sześciu lat służby osiągnął dokładnie to, co chciał — jednoosobowy posterunek oraz (mniejszą lub większą) swobodę w ustalaniu planu pracy. Dla niektórych owo zajęcie byłoby katogą: ciągle kłótnie farmerów o wkraczanie na cudzy teren, utarczki z turystami, wydawanie pozwoleń na broń, długie godziny spędzone na mrozie w trakcie blokowania dróg albo wysyłania ekip ratowniczych — lecz Jerry Crichton był w swoim żywiole. Mieszkał w kamiennym domu w Ravens' Bridge, na samym końcu jeziora, na początku drogi do Langstone; mieścił się tam również jego posterunek. Domostwo znajdowało się w cichej uliczce za kościołem, z każdego okna rozciągał się widok na otwarte pola. Jerry miał żonę, córeczkę i biały policyjny samochód marki metro. Jako policjant sprawował pieczę nad czterema wioskami, w tym nad Langstone.

Dziś Langstone wyraźnie popadało w ruinę.

Wioska ciągnęła się niczym wstęgą, licząca nie więcej niż trzysta, czterysta jardów, a jedną trzecią jej długości zajmował hotel Langstone. Był to dwupiętrowy, szary budynek pokryty dachówką; długi, cały porośnięty bluszczem. Na centralnym miejscu frontonu znajdował się portyk, nad którym widniało wykuszowe okno. We wnęcie umieszczony był czarny szyld z wypisaną gotykiem nazwą hotelu. Dokładnie naprzeciwko stał budynek szkolny, piętrowy, w kształcie litery L; znajdowały się w nim jedynie trzy pokoje, szatnia, jedna klasa oraz gabinet dyrektora. Obok postawiono wiejską świetlicę z drewna i betonu, otwartą w 1913 roku i po raz ostatni wykorzystaną w roku 1962, okna i drzwi miała zabite deskami. Te dwa budynki zasłaniały jedyną w Langstone budkę telefoniczną umieszczoną w narożniku szkolnych murów, za nimi ciągnęła się już tylko wąska, spadzi-sta uliczka, przy której nierównym rzędem stały wiejskie chaty, a także nieco bardziej okazały pawilon sklepu Hamiltona, wyżej pięła się już tylko droga przez kotlinę.

Nie było tam chodników w potocznym rozumieniu tego słowa. Trzy przypadkowe przyczepy stały na hotelowym parkingu, a doborowy zestaw pojazdów terenowych, metro i roverów, który budził swym warkotem wioskę

już o świcie, musiał parkować, gdzie się tylko dało. Niektóre wcisnęły się w bezpieczne kąty za wykuszami i werandami, gdzie nie blokowały głównej, jedynej zresztą drogi przez wioskę, lecz większość stanęła w nierównym rzędzie tam, gdzie już kończyły się domy.

Jerry Crichton miał pilnować, by na drodze nie tworzyły się korki. Zadanie to można było przydzielić każdemu, lecz sierżant wymamrotał coś na temat znajomości terenu, po czym skoczył do otwartej klapy furgonetki, która z kliniki Jennera przywoziła jakieś związane linami, ciężkie plastikowe worki. Po wiosce kręciło się około osiemdziesięciu policjantów, z których większość pracowała w zespołach zajmujących się ochroną pogorzelniska kliniki przed zacierającym wszystkie — jakże istotne dla dochodzenia — ślady deszczem. Furgonetki pokonywały tę samą trasę, odwoząc wyczerpanych ratowników do hotelu i zabierając następną zmianę, również nieodznaczającą się szczególnie wielką energią. Na odcinku tym kursował jeszcze jeden pojazd, niebieski rover, wożący w jedną stronę wypełnione czymś poliuretanowe worki wielkości człowieka.

Ponieważ studzienki ściekowe były zapchane zwiędłymi liśćmi, po ulicy wartko płynęła rzeczulka, charkotliwie skrzecząc w rurach odpływowych i rynsztokach. Przejeżdżające pojazdy rozchlapwały wodę na wszystkie strony, tak że na poboczach drogi tworzyły się prawdziwe fale.

Gdy samochód Schaffera wjechał do wioski, Jerry Crichton zaczął się zastanawiać, czy blokada nadal sprawnie funkcjonuje, o ile się bowiem orientował, specjaliści od medycyny sądowej, o których sprowadzenie poprosił Stoneleya, przybędą dopiero za parę godzin, lecz nim machnął lizakiem i dobrnął do samochodu pośród szelestu swego przeciwdeszczowego płaszcza, Schaffer już wyciągnął przepustkę.

— Gdzie jest Stoneley? — zapytał bez wstępów.

Crichtonowi wydawało się, że widział, jak szef wysiadał z rovera po zakończeniu ostatniego kursu. — Chyba właśnie wrócił z kliniki.

— Gdzie chce zorganizować pokój operacyjny?

— Nie tam. W klinice nie ma miejsca. Przykrył i odgrodził linami tyle z tego rumowiska, ile się tylko dało. Nie ma nawet gdzie ustawić przycepy.

— No to gdzie?

Crichton wskazał ręką w kierunku szkoły, a deszcz pociekł strumyczkami z rękawa jego nieprzemakalnego płaszcza. — W sali lekcyjnej, w

budynku naprzeciwko hotelu. Tylko tam można pomieścić wszystkie ciała.

— Ktoś się uratował?

— O ile mi wiadomo, to nikt.

Schaffer zerknął do lusterka wstecznego. Carson jechał za nim, hamując z wolna. — Widzicie tego mercedesa za mną? — spytał Schaffer.

— Trudno go nie zauważyć — odparł Crichton.

— Chciał jechać do kliniki Jennera. Ułokujcie go gdzieś, tak żeby nie widział, co się dzieje i nic mu nie mówcie. Jak tylko będę mógł, zorientuję się, o co tu chodzi.

Crichton zastanawiał się przez chwilę. — Czy pokój na zapleczu hotelu byłby odpowiedni? Prawdę mówiąc, nie mamy nic innego.

— Może być. Ale uważajcie, żeby facet nigdzie się nie włóczył i nie zadawał głupich pytań.

Jerry Crichton skinął głową, cofnął się i stojąc po kostki w wodzie wskazał na drodze miejsce, gdzie kończył się sznur ciężarówek. Bardzo przeproszał, lecz bliżej Schaffer nie mógłby zaparkować. Gdy tylko samochód odjechał, Crichton odwrócił się i podszedł do mercedesa.

Pokój na zapleczu hotelu okazał się pustą jadalnią obok głównego salonu. W istocie znajdował się od frontu, lecz cały widok z okna zasłaniały parkujące pojazdy.

Sala obita była ciemnym drewnem i wyłożona wytłaczaną tapetą. W głębi znajdował się duży kominek, osłonięty zakurczonym, haftowanym parawanem, a w palenisku leżały równo ułożone pogrzebacze i szczypce z kutego żelaza. W jadalni poustawiano stoły — było ich zbyt wiele jak na pomieszczenie tej wielkości — nakryte sztywno wykrochmalonymi, grubymi, dyskretnie pocerowanymi obrusami. Ciężkie srebrne sztuce również nie pamiętały czasów swej świetności. Widać było, że przez lata szorowano je ostrymi zmywakami z włosia. Całość świadczyła o złym smaku, który jednak z czasem okrył się patyną i zyskał miano wiejskiej elegancji.

W pokoju było chłodno, mimo że stały tam grzejniki. Carson dotknął jednego — był ledwo ciepły.

Parkujący przed oknami samochód terenowy nagle ruszył z miejsca. Światło reflektorów na chwilę rozjaśniło panujący w pokoju mrok. Carson dostrzegł na drodze kilka przemykających się postaci, biegnących z pochylonymi głowami, a parę sekund później w korytarzu rozległ się tupot, gdy do otwartego westybulu wbiegło dwóch policjantów, mijając tabliczkę z ręcznie wykonanym napisem: „Zabrania się wchodzenia w butach

turystycznych oraz wnoszenia plecaków”. Wydawało się, że jedynym zajęciem właściciela hotelu jest ciągle dostarczanie gościom kawy, zupy i kanapek. Carson miał wrażenie, że gdzieś, w innych częściach budynku, toczy się życie, słyszał odgłosy rozpaczliwej, pospiesznej krzątania w kuchniach, pogawędki w saloniku po drugiej stronie poczekalni oraz martwą ciszę w sypialniach na górze.

Na kredensie ustawiono tabliczkę z rozkładem rejsów statku spacerowego po jeziorze. Carson podszedł i przeczytał go, nie dlatego, że poczuł zainteresowanie — rozkład i tak był już nieaktualny — ale by się czymś zająć. Odsunięty od centrum wydarzeń, czuł się bezradny i bezsilny, lecz nie miał wyboru — musiał czekać, aż przyjdzie po niego Schaffer. Stłumione odgłosy rozmowy policjantów, przechodzących korytarzem do jadalni, niczego mu nie wyjaśniły.

Przysunął sobie krzesło. Lniany obrus z szelestem ześliznął się ze stołu i zawisł nieruchomo na jego krawędzi.

Carson usiadł i czekał.

Schaffer, dyżurujący w szkolnej szatni, odsunął się na bok, by przepuścić dwóch mężczyzn. Nieśli na noszach jeden z tych ciemnoszarych, poliuretanowych worków na mięso i trudno im było przecisnąć się wąskim korytarzem. Worki wypełnione były bezkształtną i nieruchomą masą. Tuż za noszowymi szedł sierżant, który dźwigał pełne formularzy i kwestionariuszy pudła; to on zaprowadził Schaffera do biura, które oddano do użytku Stoneleya.

Stoneley rozmawiał przez telefon, lecz drzwi były uchylone, więc Schaffer wszedł do środka. Stoneley, uważnie słuchając swego rozmówcy — co było dość niezwykle — wbił wzrok w młodego inspektora. Po paru minutach Schaffer poczuł się zakłopotany tą lustracją, lecz Stoneley nadal bacznie go obserwował. Schaffer pragnął, by szef zaczął się przyglądać dopiero wtedy, gdy będzie mógł poświęcić mu trochę uwagi, a na razie przestał gapić się na niego jak na intruza.

Dwóch policjantów wniosło skrzynki z formularzami protokołów. Z mieszaniną ulgi i rozczarowania Schaffer zauważył, że nie pojawiła się Ellen O'Brien. Ta dziewiętnastoletnia dziewczyna była bardzo atrakcyjna i Schaffer robił co mógł, by jej unikać. Ellen wpływała destrukcyjnie na jego system nerwowy i młody detektyw, mimo całej mobilizacji intelektualnej, nie był w stanie nad tym zapanować. Ellen najwyraźniej robiła to bezwiednie, lecz z ogromnym wdziękiem.

Tuż przy drzwiach stał stary, zdezelowany stół. Posterunkowi dołączyli swoje szpargały do mnóstwa innych, leżących już na nim papierzysek. Pod

stołem wałała się sterta zapisanych zeszytów, podręczników i śpiewników kościelnych z pozaginanymi kartkami — najwyraźniej był to rezultat pospiesznego usuwania dobytku dyrektora, by zrobić miejsce dla prowizorycznego stanowiska pracy policji. Z budynku dopiero niedawno wyprowadzono uczniów, charakterystyczny dla dzieci, wilgotno-kwaśny zapach ciągle jeszcze unosił się w powietrzu.

Gdy policjanci wychodzili, Stoneley właśnie skończył rozmowę.

— Najwyższa pora — odezwał się do Schaffera bez żadnych powitalnych ceregieli czy uprzejmości. — Gdzieś ty się do diabła podziewał?

— Proszę pozwolić mi się wytłumaczyć — odparł Schaffer pojednawczym tonem. — Miałem urlop.

— Żadnych urlopów dla nikogo, póki sytuacja się nie wyjaśni. Co ci powiedziano?

Schaffer przysunął do biurka jedyne znajdujące się w gabinecie wolne krzesło. — Wiem o pożarze i kilkunastu trupach w klinice Jennera. Nie znam żadnych szczegółów.

Stoneley nachmurzył się, usiłując wyłowić z pamięci jakąś niejasną informację. — Czy to ty domagałeś się, żeby sprawdzić w Centralnej Kartotece dane całego personelu?

— Chyba ktoś inny.

— Jezu, mam nadzieję. Póki się tego nie dowiemy, nie będziemy mogli sprawdzić, czy znaleźliśmy wszystkie ciała.

— A ile ich jest?

— Razem dziesięć. Chyba jednego brakuje, ale nie możemy być tego pewni.

— A jak to się stało?

Stoneley parsknął nerwowym śmiechem i pokręcił głową. Nie był to przejaw rozbawienia, inspektora najwyraźniej trapiło poczucie całkowitej bezradności.

— Czekam na raport strażaków, ale mamy kłopoty przez ten deszcz. Nie starcza nam plastikowych płacht, żeby przykryć cały teren, a wiatr zrywa te, które już położyliśmy. Wiemy, że budynek wyleciał w powietrze tuż przed świtem i zanim ktokolwiek tam przybył, spaliła się prawie połowa.

— Jak to możliwe, że nikt się nie uratował?

Stoneley nie zdążył odpowiedzieć na pytanie, bo właśnie zadzwonił telefon. Przez chwilę przyciskał słuchawkę do ucha, po czym westchnął i powiedział rozmówcy, że przełączy go z powrotem na centralę, gdzie skontaktują go z centrum informacyjnym. Parokrotnie nacisnął widelki i odłożył

słuchawkę, nie sprawdzając nawet, czy jego taktyczny wybieg okazał się skuteczny. Schaffer powtórzył pytanie.

— Nikt się nie uratował przed pożarem, bo z tego co wiemy prawie wszyscy zostali zamordowani we własnych łóżkach. Zabójca przekradał się z pokoju do pokoju z dużym nożem kuchennym i podrzywał ludziom gardła, tak że jeśli nawet ktoś jeszcze żył, był zbyt ciężko ranny, by zdołać się wydostać, nim wybuchł zbiornik z gazem. Sześć ciał wywleczono na podwórze, cztery spaliły się w środku — wygląda na to, że sam morderca cholernie się zdziwił, gdy nastąpił wybuch.

— Czy mógł to być ktoś z tej czwórki?

— Nie za bardzo. Jednej dziewczynie starczyło siły, by się wyczołgać i dowlec z podwórza na pole, ale bandyta dopadł ją tam i wykończył. Niewykluczone, że tym się zajmował, gdy nastąpił wybuch.

— Nie sądzi pan, że mogło to być podpalenie?

— Nie. Morderca nie miał zamiaru zniszczyć kliniki, w każdym razie nie na początku. Nie spieszył się, widocznie uważał, że nic mu nie grozi. Przynajmniej jedna z ofiar nie spała jeszcze, gdy ją — czy jego — zaatakowano. Na podstawie oględzin zwłok, a raczej ich spalonych szczątków, ustaliliśmy, że mógł to być sam Jenner, który pracował do późna w gabinecie na parterze. Może doszło do walki. Może zniszczyli przewód elektryczny albo przewrócili grzejnik parafinowy — tego nie wiemy. Zbiornik z gazem stał w pomieszczeniu obok — taki wielki, na propan. Właśnie go napełnili przed zimą.

Schaffer zapytał o identyfikację ofiar.

— Na razie to niemożliwe — odparł Stoneley. — Póki nie ustalimy ich tożsamości, nie możemy nawet sprawdzić, czy kogoś brakuje.

— Sądzi pan, że to raczej członek personelu niż ktoś z zewnątrz? A może pacjent?

Stoneley wzruszył ramionami i pokręcił głową. Punkt konsultacyjny Jennera znajdował się w szpitalu w Carlisle, a to, co mieściło się w odległej dolinie nie było właściwie kliniką, lecz raczej zapleczem laboratoryjnym. Może Jennerowi przytrafił się jakiś niezadowolony klient, lecz Stoneley nie był skłonny do pójścia tym tropem.

— Kto więc — odezwał się Schaffer — chciałby wykończyć cały personel i wysadzić wszystko w powietrze?

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Bardzo by mi pomogło, gdyby moi pracownicy zjawili się na wezwanie i ostro zabrali się do roboty.

— Zawiadomiono mnie bardzo późno. Za parę godzin w ogóle by mnie nie zastali.

— Nie gniewaj się, Mike — powiedział Stoneley, zmieniając taktykę.  
— Jesteś mi potrzebny.

Schaffer nie dał się na to nabrać. — Nie gniewam się, ale nie lubię...

— Wiem, przepraszam. Ale okręgowy komisarz policji siedzi mi na karku i akurat teraz nie dałbym sobie rady bez oficera dochodzeniowego. Sam muszę zająć się ustaleniem faktów, a nie jestem przecież nieomylny.

— A o co chodzi komisarzowi?

Stoneley rozparł się wygodnie w fotelu kierownika szkoły i przez moment rozważał możliwość położenia nóg na biurku. — Nie wiem — odparł. — Ktoś go naciska, więc on ciśnie mnie. Jeśli zajmiesz się protokołami i obejrzysz zwłoki, ja postaram się, żeby nie przeszkadzali nam żadni politykierzy. Komisarz chce nam tu kogoś nasłać.

— Niech mu pan podziękuję za zaufanie — odparł sucho Schaffer. — Damy sobie radę.

— Z Woolwich ma przyjechać jakiś specjalista od eksplozji i bardzo się nam on przyda. Ale jeśli komisarzowi się wydaje, że może tu sprowadzić zespół ze Scotland Yardu, żeby potem zażądać zwrotu kosztów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, to niech się odpieprzy.

— Nie będzie mógł tego uzasadnić. Nie na tym etapie śledztwa.

— Może próbować — zawyrokował Stoneley. Było powszechnie wiadomo, że komisarz okręgowy szuka posady gdzieś bliżej stolicy. Stoneley uważał, że jednym z warunków przetrwania w tej robocie było poznanie, choćby powierzchowne, pomysłów i planów swoich przełożonych. W tym celu, po zakończeniu urzędowania, obchodził czasami pokoje i z koszy na śmieci wyjmował wyrzucone przez sekretarki stenogramy. Wspólniczka z hali maszyn odszyfrowywała mu później ich treść.

— Mogłoby się wydawać, że zdobędzie tym lepszą pozycję, im większe sukcesy będą odnosili jego ludzie — zauważył Schaffer.

— Bóg jeden wie, co mu chodzi po głowie. Słuchaj, przekażę ci to wszystko, bo muszę zaraz do niego zadzwonić.

Schaffer rozejrzał się po pokoju. Nie było tu specjalnie co przekazywać: stos pudeł z formularzami, kartoteki, pojedyncze kartki i katalogi leżące w oszklonej szafce. Książki dla dzieci najprawdopodobniej były własnością szkoły, nie policji.

— Zgarnąłem jednego faceta przy blokadzie. Był rzekomo umówiony z dziewczyną z kliniki.

— Miejscowy? — z zainteresowaniem zapytał Stoneley.

— Z Londynu. Nazywa się Peter Carson.  
— Więc może rzućmy na niego okiem.  
— Czy mogę zmienić rozkazy wydane ludziom przy blokadzie? Do tej pory wszystkich zawracają.

— O Jezu, koniecznie. — Stoneley aż się wzdrygnął, uświadomiwszy sobie własne roztargnienie. — Miałem im zostawić szczegółowe instrukcje, gdy tylko się rozlokują, ale potem musiałem iść na pogorzelsko i na śmierć zapomnieć.

Schaffer wstał, odsuwając krzesło. Zostało zaprojektowane chyba specjalnie tak, by siedzącemu na nim było niewygodnie — jak zresztą całe wyposażenie szkoły z czasów jego młodości. — Zawiadomię hotel, by go tu sprowadzili. Potem poinformuje mnie pan, na jakim etapie jesteśmy.

— Nie zajmie nam to dużo czasu. Zamknęliśmy szczelnie całą dolinę, a na wzgórzach umieściliśmy ludzi z lornetkami. Nie zauważono, by po eksplozji z doliny wyjeżdżały jakieś pojazdy, a więc jest szansa, że nasz rozpruwacz przyczaił się i szuka możliwości ucieczki. Teraz cały wysiłek kierujemy na dokładne przeszukiwanie okolicy.

— Więc zróbmy teraz możliwie jak najwięcej. Gdy dowie się o tym prasa, te pismaki rozpełzną się po całej dolinie.

— Dlatego nie piśniemy prasie ani słowa. Dorwałem miejscowego korespondenta i obiecałem mu złote góry za to, że będzie trzymał buzię na kłódkę.

— I to poskutkuje?

— Jasne. Facet nazywa się Hamilton i prowadzi w wiosce sklep. Pozwoliłem mu powłóczyć się po hotelu, ale ostrzegłem ludzi, żeby nie udzielali mu żadnych informacji.

— W porządku. — Schaffer podszedł do drzwi. Koło framugi wisiała stara, zakurzona rycina o treści religijnej. „Światłość świata” Holmana Hunta. — Przyślę panu tego Carsona, a potem zajrzę, co się dzieje przy blokadzie. Chciałby pan coś zmienić w naszej wersji?

Stoneley podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Był to stary aparat, z obłuzowaną tarczą.

— Powinna być możliwie najbardziej ogólnikowa. Inaczej możemy mieć nieprzyjemności.

— W porządku. — Schaffer wyrzwał na korytarz w poszukiwaniu jakiegoś nieszczęśnika niższej rangi, którego mógłby posłać do hotelu. Gdzieś w zakamarkach jego mózgu zrodziła się nagle nadzieja, że może Ellen O'Brien jest w pobliżu. Powinieneś się wstydzić, skarcił Schaffer sam siebie, jesteś ojcem rodziny. Na niewiele to się jednak zdało.



**3.** Carson zapoznał się z najdrobniejszym wzorkiem na wszystkich talerzach opartych o listwę, która obiegała jadalnię na wysokości drzwi i okien. Fajansowe talerze były stare i bardzo brzydkie. Większość eksponatów była potłuczona, lecz, niestety, starannie je posklejano.

Nie dość, że się nudził, to na dodatek było mu zimno i przebywając tak w samotności miał niemiłe uczucie, że otaczają go zasiadające przy każdym stole duchy dawnych biesiadników. Wydawało się, że materia tego miejsca wchłonęła zjawy nieprzeliczonych par w średnim wieku, w milczeniu tkwiących nad popołudniową herbatą — dzieci już je opuściły, a one same nie nauczyły się znowu żyć dla siebie, owe cienie sunące przez nobliwie kawiarnie i ogródkowe herbaciarnie krętą spiralą do grobu. Gdy bacznie rozejrzał się wokół, krzesła oczywiście były puste, lecz gdy tylko odwrócił wzrok, czuł, że widma napływają znowu, obserwując go i dzieląc się z nim swą niedolą.

Na ulicy i w dolinie deszcz powoli ustawał. Skłębione warstwy chmur rozrzedzały się, jak gdyby tracąc energię, a teraz wycofywały i ponownie gromadziły do następnego ataku. Gdzieś tam przebłyskiwały blade snopy światła, wyraziste na tle ponurej szarości. Nie były promienne ani jaskrawe, lecz przynajmniej przygnębiające i wyprany z barw widok za oknem zaczął odzyskiwać trzy wymiary. Mżawka nadal kapiała na szyby, lecz próbowała udawać tylko, że jest prawdziwym deszczem.

Carson podszedł do drzwi i lekko pochylił głowę nasłuchując. Z sąsiednich pomieszczeń doszły doń te same, irytująco niezrozumiałe odgłosy rozmowy. Na korytarzu jednak panowała cisza. Nie przypuszczał, by go zamknęli; w drzwiach była wprawdzie dziurka od klucza, ale zalepiona grubą warstwą lśniącej farby. Zamek był pewnie zapchany kurzem i smarem. Carson chwycił gałkę i próbował lekko ją przekręcić, poruszyła się, z trudem, ale jednak. Zachęcony, obrócił ją jeszcze trochę i poczuł, że drzwi ustępują. Uchylił je zaledwie na parę cali.

Czekał chwilę, nasłuchując, co dzieje się w hallu. Ośmielony ciszą, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Jerry Crichton wpatrywał się weń, siedząc na krześle po przeciwległej stronie. Nadal miał na sobie nieprzemakalne ubranie, lecz czapka od munduru, osłonięta od deszczu nylonowym pokrowcem, leżała obok na podłodze. Do czoła policjanta przylepione były pasma wilgotnych włosów. Crichton siedział pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, rękoma otaczając kubek z herbatą.

- Dokąd to się pan wybiera? — zapytał.
- Myślałem, że pan o mnie zapomniał — powiedział cicho Carson.
- Nic z tego. Proszę wracać do jadalni.
- Jestem aresztowany?

Crichton nadal się weń wpatrywał spojrzeniem bez wyrazu.

- Znowu sprawia pan kłopot — powiedział.
- Uważam, że zachowuję się więcej niż spokojnie. Czy kogoś tu zamordowano?

— A skąd przyszedł panu do głowy taki pomysł? — zapytał podejrzliwie Crichton.

- Nieważne. Wracam do jadalni.

Po czterech czy pięciu minutach usłyszał skrzypnięcie krzesła oraz odgłos kroków zdążających na zaplecze i do kuchni. Po paru sekundach policyjne buty znowu przemierzyły hall, głucho dudniąc na cienkim dywanie, a następnie zatrzymały się gwałtownie i za oknami Carson ujrzał sylwetkę Crichtona. Podszedł do szyby, czując, że Jerry Crichton budzi w nim takie zainteresowanie jedynie dlatego, że prócz sierżanta o jego obecności w wiosce wie tylko jakiś facet z wydziału kryminalnego, który gdzieś się ulotnił.

Potem szosą nadjechał samochód, ford estate, a posterunkowy pochylił się i rozmawiał z kierowcą. Dołączył do nich Crichton i gdy wymienili kilka słów, drugi policjant skinął głową i ruszył w kierunku szkoły. Sierżant pogawędził chwilę z kierowcą, pokazując na drogę, po czym cofnął się, a ford odjechał.

Carson poczuł się oszukany. Znowu o nim zapomniano, został zlekceważony, ale nie wolno mu było wyjść. Wrócił do stołu i leniwie skubał wystrzępiony rąbek obrusa.

Po paru minutach usłyszał w hallu głos Crichtona, do którego dołączył jeszcze inny, wyższy i bardziej natarczywy. Hałas wzrastał się i nagle wybuchnął w pokoju, do którego gwałtownie otworzono drzwi. — Proszę tutaj, panie Forester, i bez dyskusji — powiedział stanowczo Crichton. — Później pana poprosimy.

— Niech mu pan nie wierzy — zawołał Carson cierpkim tonem. — To podstęp.

Jerry Crichton nie zwrócił na niego uwagi, a Forester rzucił mu tylko przelotne spojrzenie. Mniej więcej trzydziestopięcioletni, był wzrostu nieco poniżej przeciętnej i miał krótko przycięte, ciemne, kręcone włosy. Nosił szarą, sportową kurtkę i nie wykazywał tyle dobrych chęci, ile życzyłby sobie Crichton.

— Pytam po raz ostatni — odezwał się. — Czy powie mi pan wreszcie, co się stało w klinice?

Crichton cofnął się, uważając za swe osiągnięcie to, że udało mu się przepchnąć faceta przez próg. — Już mówiłem — odparł, zamykając drzwi. — Nie ma sensu wypytywać.

Forester bezradnie spojrzął na drzwi, przez moment czując się zupełnie zagubiony.

— Ma rację — odezwał się Carson.

Forester odwrócił się gwałtownie. Oczy miał ciemne, tak ciemne, że wyglądały jak dwa węgle. — Ma pan z tym coś wspólnego? — zapytał.

Carson przecząco pokręcił głową. — Ani trochę — odparł. — Popeliłem tylko błąd, usiłując pojeździć sobie samochodem po wolnym kraju.

— Był pan tu wcześniej? Wie pan, co się stało?

— Wiem tyle samo, co i pan. Zatrzymali mnie przy blokadzie na drodze do doliny i odesłali tutaj. Z tego, co widziałem, wnioskuję, że musiało się wydarzyć coś poważnego.

Agresja Foreстера nieco zmaląła, rozglądał się po jadalni, którą widział po raz pierwszy w życiu, i sprawiał wrażenie nieco oszołomionego. — Usiłowałem się dziś dodzwonić tu z Carlisle, ale nie otrzymałem połączenia.

— Usiłował pan dodzwonić się do kliniki Jennera?

— Zgadza się.

— I co panu powiedzieli?

— Zaraz, zaraz, chwileczkę. — Forester podejrzliwie spojrzął na towarzysza, jakby wietrząc czyhające gdzieś niebezpieczeństwo. — Czy to przesłuchanie?

— Oczywiście, że nie. Ja też usiłowałem dostać się do kliniki, nim mnie zwinęli.

Forester znowu się uspokoił, lecz tylko odrobinę. — Jenner nie pojawił się w szpitalu — powiedział. — Jest tam konsultantem, udziela prywatnych porad. Czekaliśmy na wyznaczoną wizytę, a potem szpital odwołał ją bez żadnych wyjaśnień, więc chciałem się dowiedzieć, o co właściwie chodzi.

— Nie mógł się pan połączyć?

— Dodzwoniłem się do centrali, usłyszałem tylko nagrany komunikat.

— Zeszłej nocy linia nie była uszkodzona — rzekł Carson.

— Dodzwonił się pan?

— Nie, ale zadzwoniła stamtąd do mnie znajoma. Poprosiła, żebym przyjechał. Mówiła, że to coś ważnego.

— To wszystko? — W głosie Foreстера brzmiało rozczarowanie.

— Niestety.

Za oknem pojawiła się sylwetka kogoś biegnącego truchcikiem ze szkoły do hotelu. — Nie zrobiła jakiejś aluzji, nie napomknęła o czymś... — zaczął Forester, lecz Carson uciął zdecydowanie.

— Absolutnie nic. Jestem pewien, że wówczas nic podejrzanego się nie działo — nie była ani zaniepokojona, ani zdenerwowana, nic w tym rodzaju.

Forester zastanawiał się chwilę, po czym odwrócił się i kręcąc głową podszedł do okna. — Więc cokolwiek tu zaszło, musiało się stać późną nocą albo rankiem.

— Może nie ma to związku z kliniką. Może chodzi zupełnie o coś innego.

Forester przystanął i spojrzał na niego przenikliwie. — Wierzy pan w to?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo — przyznał Carson.

— A nie jest pan zaniepokojony?

— Na razie, nie.

Forester najwyraźniej nie wiedział, co o nim myśleć. — Jezu — odezwał się — ale z pana zimny drań. Mam w tej klinice dzieciaka i mało nie chodzę po ścianach!

— Oszczędzam energię i tyle. Czekam, póki nie poznam faktów.

Forester wahał się dłuższą chwilę, usiłując zrozumieć postawę

Carsona, po czym przestał się tym zajmować i ruszył w stronę drzwi. — Niech pan sobie czeka do woli — oznajmił. — Spróbuję sam się czegoś dowiedzieć.

Drzwi były już otwarte, ale drogę zagradzał Jerry Crichton. — Mówiłem, żeby pan tu został i czekał na wezwanie — powiedział.

— Jadę do kliniki Jennera — stanowczo stwierdził Forester.

— Nie pojedzie pan do żadnej kliniki, w ogóle nie wyjdzie pan z hotelu ani nawet z tego pokoju, póki na to nie pozwolę.

— A niby dlaczego mam pana słuchać?

— Jeśli dalej będzie się pan wyklócał, to przykuję pana do kaloryfera. Na wypadek gdyby pan tego nie zauważył, przypominam, że chodzi o sprawę najwyższej wagi.

— Nie ma sensu go wypytywać — wtrącił Carson. — On tylko kieruje ruchem.

Crichton podszedł teraz do Carsona, który z kamienną twarzą stał oparty o kredens. — A co do pana — odezwał się sierżant — proszę ze mną.

— Czyżby ktoś zdecydował się na rozmowę z zatrzymanym? — spytał Carson, nieco forsując ton niewinnego zdziwienia.

- Stoneley pana przesłucha.
- Kto to jest Stoneley? — zainteresował się Forester.
- Inspektor śledczy. On się nie zna na żartach, panie Carson.
- Chcę się natychmiast z nim widzieć — zażądał Forester.
- Niech pan czeka na swoją kolej. Pierwszy pójdzie ten wesołek.

Crichton szybkim marszem przemierzał szkolny budynek, a idący za nim Carson usiłował się rozglądać, nic nie przykuło jednak jego uwagi. Deszcz przestał padać, lecz powietrze przesycone było jeszcze przenikliwą wilgocią.

Ciemnoszare ściany szkoły podobne były do hotelowych murów, nieregularne bloki łupków dopasowano do siebie, a potem wyrównano, by utworzyły gładką powierzchnię. Mokry kamień błyszczał w promieniach południowego słońca. Crichton i Carson weszli parę stopni po schodach przy balustradzie, a za drzwiami skręcili w kierunku szkolnej szatni.

Wszystko tu wydawało się zminiaturyzowane. Ławki z listewek zaprojektowane jak dla krasnoludków, parapety i wieszaki umieszczone zaledwie cztery stopy nad zabloconą podłogą, a do tego — rozłożone i ciśnięte gdzie się da, absurdalnie wielkie, oblepione błotem policyjne kalosze i odblaskowe ubrania przeciwdeszczowe.

Na przeciwległym krańcu szatni znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Były stare i zniszczone, pokryte licznymi warstwami złuszczającej się farby, na matowym zaś szkłe górnej szyby widniały resztki oderwanych winylo- wych nalepek, przedstawiających postacie z komiksów. Crichton wprowadził Carsona do przestronnej, wysoko sklepionej sali, która służyła za miejsce zgromadzeń, wykładów oraz zabaw w deszczowe dni. Większa część pomieszczenia została odgradzona prowizorycznym korytarzem z dykty, który prowadził do gabinetu kierownika szkoły. Ściany z tektury były jednocześnie tablicami, na których dzieci kredkami rysowały błękitne skrawki morza i nieba, pochyle domy, niekształtne głowy z wyszczerzonymi zębami. Carson usłyszał dobiegający zza przepierzenia szelest sztywnego plastiku oraz sapanie mężczyzn podnoszących coś ciężkiego.

Jerry Crichton zastukał do drzwi biura, a Carson odwrócił się zainteresowany odgłosem kroków na gołych, drewnianych deskach. Był to oficer z wydziału kryminalnego, Schaffer. — Tędy — odezwał się Crichton i Carson wszedł do środka.

Stoneley był w trakcie wykręcania jakiegoś numeru. Posługiwał się przy tym niezatemperowanym końcem ołówka, który teraz zawisł w powietrzu, gdyż inspektor odwrócił się, by sprawdzić, co mu przeszkodziło. Carson

ujrzał mężczyznę o włosach koloru piasku, w średnim wieku, niewysokiego, krępego, który nie żałował pieniędzy na garnitury, lecz psuł cały efekt doborem fatalnych krawatów.

— Kto to jest, do diabła? — spytał Stoneley.

— Carson, z Londynu, panie komisarzy. Kazał pan go przyprowadzić.

Stoneley przybrał wyraz twarzy mający świadczyć o tym, że panuje nad sytuacją; odłożył słuchawkę, nie wykręcając numeru do końca.

— Proszę usiąść — powiedział i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Gdy Carson wykonywał polecenie, Schaffer chwycił za rękę wychodzącego Jerry'ego Crichtona i cicho poprosił go o przyniesienie skądś jeszcze jednego krzesła.

Stoneley przysunął sobie notatnik i otworzył go na czystej stronie. — Jechał pan do kliniki Jennera, zgadza się?

— Owszem — odparł Carson. — Ale obawiam się, że raczej się tam nie dostanę.

— Kogo miał pan zamiar odwiedzić?

— Znajomą, Tracy Pickford. Jest laborantką.

Następne pukanie do drzwi. Schaffer podniósł się, by otworzyć, a Stoneley zapytał: — Dawno pan ją zna?

Jerry Crichton stał tuż za progiem, w prowizorycznym korytarzu. Przepaszającym gestem pokazywał krzesło pociągnięte żółtym lakierem i upstrzone plamami farby. Było mniej więcej wielkości muchomora. Schaffer ze znużeniem pokręcił głową i zamknął drzwi, po czym splótszy ręce oparł się o ścianę tuż obok „Światłości świata”.

— Prawie jej nie znałem — mówił Carson. — Spotkaliśmy się przed paroma tygodniami, gdy była w Londynie. Potem widzieliśmy się jeszcze kilka razy.

— Dlatego zdecydował się pan na przyjazd?

— Na nic się nie decydowałem. Przyjechałem, bo zadzwoniła wczoraj wieczorem i poprosiła mnie o to.

Atmosfera przesłuchania uległa zmianie, gdy rozmowa przybrała inny obrót. Policjanci porzucili urzędową rutynę i zaczęli wykazywać prawdziwe zainteresowanie.

— Wczoraj wieczorem! — odezwał się Schaffer spod drzwi. — O której?

— Koło dziewiątej.

Stoneley postukał ołówkiem w blat biurka. — Chwileczkę. Dziewczyna, którą ledwo pan zna, dzwoni i prosi, by natychmiast do niej przyjechać prawie z drugiego końca kraju, a pan rzuca wszystko i pędzi? To się nie trzyma kupy, Carson.

Carson wzruszył ramionami. Jego to nie zdziwiło — no, może trochę. — Ale tak się właśnie stało.

— Jaki podała panu powód? — chciał wiedzieć Schaffer.

— Żadnego. Powiedziała, że wyjaśni mi wszystko na miejscu.

— Nie wytłumaczyła przynajmniej z grubsza, o co chodzi?

— Powiedziała, że może mnie to zainteresuje, tylko tyle.

Schaffer przestał podpierać ścianę i podszedł do biurka, by przycupnąć na jego brzegu. — Co miało być takie interesujące? — zapytał, odsuwając na bok jakieś papiery i mały kalendarz z kolorowymi kartkami.

— Nie wiem.

— A co z pańską pracą? — zainteresował się Stoneley.

— Nie pracuję. — Po czym dostrzegając w ich oczach natychmiastowy błysk podejrzliwości, dodał: — To znaczy mam wolny zawód.

— Konkretnie jaki?

— Piszę artykuły do gazet i posyłam je mojej agentce. Czasem je sprzedaje, czasem nie.

Schaffer był jednak czujny. — I tyle pan z tego wyciąga, żeby mieszkać w Londynie i mieć kosztowne auto?

— Prawie nic z tego nie wyciągam. Odziedziczyłem spory majątek po ojcu.

— Chcę wrócić do tej Pickford — powiedział Stoneley, a Schaffer nieco się rozluźnił. — Poznał ją pan w Londynie — co tam robiła?

— Zanim przejdziemy do dalszych wyjaśnień, może mi panowie powiecie, z jakiego powodu tu się znalazłem? Czy jestem o coś podejrzany? — zapytał Carson stanowczym tonem.

— Spróbuj pan tylko robić nam trudności, a znajdziemy jakiś powód — zapewnił go Stoneley.

— W takim razie chcę wezwać adwokata.

— No dobra, Carson — westchnął Stoneley — nie jest pan o nic podejrzany. A teraz odpowie pan na pytania?

— Jeśli mi wyjaśnicie, dlaczego nie mogę pojechać do kliniki Jennera.

Cierpliwość Stoneleya była już na wyczerpaniu. — Bo pańska znajoma nie żyje, a klinika Jennera już nie istnieje, dlatego.

Przez chwilę Carson siedział w milczeniu. Wiedział, że go obserwują i czekają na jego reakcję. Nie miał nic do zaoferowania. — Dziękuję, że zawiadomili mnie panowie w tak delikatny sposób — powiedział.

Zadzwęczał telefon. Schaffer pośpiesznie chwycił słuchawkę, nim zdołał zadzwonić po raz drugi, po czym odwrócił się nieco i w milczeniu

słuchał rozmówcy. — Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o klinice — odezwał się Stoneley.

— Nic nie wiem.

— Dziewczyna musiała rozmawiać z panem o swojej pracy.

— Mówiłem już, że nie znam — nie znałem — jej dobrze. Spotkalismy się na przyjęciu wydanym przez jednego z redaktorów „Observera”, a potem umówiliśmy w pubie nad rzeką. Później raz zabrałem ją na obiad, wymieniliśmy numery telefonów i kontakt się urwał, aż do zeszłego wieczoru.

— I chce mi pan wmówić, że nigdy nie wspominała nawet, czym się zajmuje?

— Wspominała, ale bardzo ogólnikowo. Wydawała się bardziej zainteresowana moją pracą. Miałem wrażenie, że nie przypadłem jej zbyt do gustu, więc się zdziwiłem, gdy zadzwoniła.

— A co mówiła? — Schaffer znowu włączył się do rozmowy.

— Tylko tyle, że muszę przyjechać i że wszystko mi wyjaśni na miejscu. Ale teraz to już niemożliwe, prawda?

— Sądźmy, że jedna osoba przeżyła — rzekł ostrożnie Schaffer — ale to nic pewnego. Nie mamy żadnych dowodów.

— Jak zmarła? — zapytał Carson.

Stoneley stanowczo pokręcił głową. — Nie udzielamy takich informacji.

— Dajcie spokój — powiedział Carson. — Gdy gazety się do tego dorwą...

— Nie dorwą się. W każdym razie dopóty, dopóki im na to nie pozwolimy. Niewykluczone, że morderca przyczał się gdzieś w dolinie i ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, są napaleńcy z aparatami fotograficznymi i notatnikami, którzy włóczyliby się po okolicy i blokowali jedyną drogę do wioski.

Carson zerknął w stronę drzwi, przypominając sobie sznur samochodów i furgonetek parkujących na ulicy.

— I tak droga jest nieprzejezdna.

Stoneley trzymał ołówek w obu dłoniach, nerwowo nim obracając. Wsunął go przed siebie i wyciągnął palec w kierunku Carsona. — Zakaz udzielania informacji dotyczy również pana, w razie gdyby przyszło panu do głowy zadzwonić do kogoś w tej sprawie.

— Spokojna głowa, nigdy nie pracowałem dla dzienników — zapewnił go Carson. — Ale mówi pan, że to morderstwo?

Stoneley, nieudolnie udając zdziwienie, uniósł brwi. — Czy coś takiego powiedziałem?

— Powiedział pan, że szukacie zabójcy.



— Niemożliwe. — Spojrzał na Schaffera. — Przypominasz sobie coś podobnego?

— Carson musiał się przesłyszeć, panie komisarzu — służbiście poparł go Schaffer.

— No dobrze — odezwał się Carson z rezygnacją. — Rozumiem.

Ponownie zastukano do drzwi, tym razem lękliwie zajrzała młoda policjantka. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu, jasną cerę i ciemne oczy. Z jakichś powodów Schaffera zaczęła niezwykle interesować kolejność dat w stojącym na biurku kalendarzu.

— Chciałabym zapytać, gdzie życzy pan sobie zainstalować radio, panie komisarzu — odezwała się Ellen O'Brien.

Stoneley na chwilę wstrzymał oddech, w zamyśleniu wpatrując się w sufit, po czym głośno wypuścił powietrze. — W głównej sali — odparł. — Powiedz im, żeby najpierw przenieśli gdzieś książki i wszystkie szpargały.

Uśmiechnęła się wdzięcznie i zaczęła cofać do drzwi, lecz tuż za nią stanął Jerry Crichton. — Kapitanie — zawołał. — Czy może pan przyjąć wiadomość przez radio samochodowe?

— Skąd?

— Z blokady.

Stoneley odsunął krzesło od biurka i podnosząc się skinął głową w kierunku Schaffera. — Mike się tym zajmie. Przekazuję mu wszystkie sprawy związane z zapleczem. Dopilnujesz tego, Mike?

— Oczywiście.

Tylko Carson został na swoim miejscu; był jedyną osobą, która nigdzie się nie spieszyła.

— Czy to znaczy, że mogę odejść? — spytał Carson.

— Najpierw poprosimy, żeby pomógł nam pan przy identyfikacji zwłok — odparł Stoneley, opierając się plecami o oszkloną szafę pełną książek dla dzieci. — Proszę ze mną.

Schaffer poszedł wykonać polecenie szefa, Jerry Crichton wrócił na szosę, a Carson ubolewał, że nie wie, dokąd udała się Ellen O'Brien i czym się teraz zajmuje.

Stoneley wyprowadził go z biura. Sala szkolna oklejona była paskami błyszczącej folii, przymocowanymi do nagich belek konstrukcji. Kilka wstążek kolorowej krepiny zwisało smętnie z oprawek elektrycznych, wywołując odległe wspomnienie bożonarodzeniowych zabaw i radości. W sali mieściła się teraz prowizoryczna kostnica.

Wszystkie niskie ławki szkolne były zestawione. Na każdej leżał długi, szary worek na mięso. Worki były tej samej wielkości i kształtu, lecz najwyraźniej różniły się zawartością. W sumie było ich dziesięć, ułożonych z

jednej strony pokoju, a przy każdym umieszczono szczelnie zamknięte, przezroczyste, plastikowe torebki. Znajdowały się w nich zegarki i zwęglone strzępy ubrań.

Ciałami zajmował się jeden policjant i dwóch cywilów. Cywile mieli na sobie fartuchy i gumowe rękawiczki. Do niewielkiej tabliczki umieszczonej na samym końcu długiego rzędu zwłok przymocowano kilka arkuszy papieru. Carson zauważył, że podobne tabliczki znajdują się przy każdym z worków. Większość nazwisk wypisano czarnym flamastrem na jednym arkuszu, niektóre tabliczki opatrzone były nazwiskami i znakami zapytania, przy paru widniał tylko pytajnik. Stoneley szedł wzdłuż rzędu zwłok, a Carson uświadomił sobie, że powinien podążyć za nim. Przerażenie i odraza wywoływały silne skurcze żołądka.

Zmusił się do skupienia uwagi i odczytywania nazwisk na tabliczkach. Żałował, że nie został w Londynie.

Horsley, B.D., M. (zident.)

Collison, R., M. (zident.)

Clarke, T.P., K. (?)

Noble, K., M. (zident.)

Noble, E., K. (zident.)

?

?

Jenner, B., M. (?)

Wells, CA., K. (?)

?

Stoneley zatrzymał się przy tabliczce z napisem Wells, CA., K. (?), a wówczas jeden z cywilów oderwał się od reszty i podszedł do niego. Przebranie rzeźnika nie pasowało do jego pogodnej i sympatycznej twarzy, Carson przypuszczał, że musi to być patolog. Włosy miał śnieżnobiałe, z żółtymi pasemkami, a brwi nastroszone w małe kępki. — Przepraszam, że nie podaję ręki — odezwał się.

— Postaram się wyjaśnić parę tych znaków zapytania, doktorze — powiedział Stoneley. — Możemy rzucić okiem?

— Ależ oczywiście. Tyle że nie jest to zbyt przyjemny widok.

Żołądek Carsona usiłował fiknąć koziółka.

Stoneley wskazał palcem leżący przed nimi worek. Barry Lennox, inspektor zajmujący się identyfikacją, podszedł, by również się przyjrzeć.

— Macie szczęście — powiedział doktor, wciskając się w wąską przestrzeń między ławkami. — Nie wybraliście tych, które są w najgorszym

stanie. — Skinął głową w kierunku Jennera, B., (M.) (?) spoczywającego tuż obok.

— Temu musimy sprawdzić uzębienie — zakładając, że to on. Za mało z niego zostało, by móc mieć pewność.

Patolog pochylił się nad workiem i zaczął coś majstrować przy szczelnym zamknięciu. Na rękach nie miał pięciopalczastych rękawiczek chirurgicznych z cienkiej, miękkiej gumy, lecz grube rękawice używane do robót domowych. Piskliwe dźwięki, jakie wydawały, wywoływały u Carsona gęsią skórkę. Serce zaczęło mu bić coraz szybciej i tylko mgliście uświadamiał sobie, że utrzymuje kontakt z podłogą. Doktor sprawnie otworzył worek i odkrył zwłoki.

Carson obawiał się gorszego widoku. Patolog nasunął szary plastik z powrotem pod brodę dziewczyny. Leżała cicha i spokojna, a blado-siny odcień skóry sprawiał, że jej rysy wydawały się bardziej delikatne niż za życia. Nie czuł przerażenia ani odrazy, nie czuł nic. Miał w sobie pustkę.

— To Tracy — odezwał się Carson.

Stoneley skinął głową i podziękował patologowi. Barry Lennox wyjął długopis z wewnętrznej kieszonki fartucha i zaczął zmieniać informacje na tabliczce, tymczasem Stoneley i Carson z powrotem przeszli wzdłuż rzędu ciał, kierując się ku wyjściu.

— Zdaje się, że nie zrobiło to na panu większego wrażenia — zauważył Stoneley, rzucając Carsonowi spojrzenie z ukosa. — Widział pan już kiedyś zwłoki?

— Raz — przyznał Carson.

— Te nie były jeszcze najgorsze — rzekł Stoneley i zatrzymał się przy drzwiach do biura. — Można się przyzwyczaić.

Carson zastanawiał się, czy Stoneley nie żartuje, ale doszedł do wniosku, że byłby to zbyt makabryczny dowcip. — Możliwe — odparł. — Ale nie ściągałbym tutaj tego drugiego faceta.

— Jakiego drugiego faceta?

— Forestera. Jest w hotelu. Miał dziecko w klinice.

— Dziecko? — spytał zaskoczony Stoneley. — Nie znaleźliśmy tam żadnych dzieci.

— Tak mi powiedział.

— W klinice nie było pacjentów. Mieściło się tam tylko zaplecze laboratoryjne. Ewentualni pacjenci znajdowaliby się w szpitalu w Carlisle.

— Mam nadzieję — rzekł Carson, bacznie obserwując reakcję Stoneleya — że jestem już wolny i mogę pojechać do domu.

— O nie. Jeszcze nie. Muszę mieć pana zeznanie na piśmie i wolalbym,

żeby był pan na miejscu w razie potrzeby złożenia dodatkowych wyjaśnień.

— A gdzie mam się zatrzymać?

Stoneley patrzył na niego otwierając drzwi do biura. — Po drugiej stronie jest hotel — powiedział. — Można tam wynająć pokój. Przypuszczam, że stać pana na to.

W szatni Carson natknął się na Schaffera. Policjant najwyraźniej się spieszył, lecz Carson zdążył zastąpić mu drogę.

— Gdzie mogę złożyć pisemne zeznanie? — spytał. — Stoneley się tego domaga.

— Niech pan poszuka jakiegoś posterunkowego w hotelu — poradził mu inspektor i popędził dalej.

Gdy Schaffer odnalazł Stoneleya, komisarz siedział przy biurku śliniąc kciuk i przewracając kartki kieszonkowej książeczki adresowej. Mimo deklaracji, iż wszelkie czynności związane z ustalaniem faktów przekazuje swemu oficerowi dochodzeniowemu, nie zdradzał chęci opuszczenia gabinetu z telefonem.

— Gdzie byłeś tak długo? — spytał.

— Mieliliśmy kłopoty ze słyszalnością w radiu samochodowym.

— To się poprawi, gdy przygotujemy sobie przyzwoite zaplecze.

— A co na to kierownik szkoły?

— Nie wiem — odparł Stoneley. — Wyrzuciłem go.

— A dzieciaki? Będą musieli znaleźć dla nich jakieś inne pomieszczenie.

Za drzwiami rozległ się hałas, sapanie i szuranie, po czym trzech umundurowanych mężczyzn wniosło sprzęt i zwoje kabla. — To nie moje zmartwienie. Mnie to miejsce jest bardziej potrzebne. Wszędzie lepiej niż w tych cholernych samochodach ratowniczych.

Rozległ się stukot i huk, który odbił się echem aż na samym szczycie budynku. Ustawiono drabinę i dwóch mężczyzn wspięło się do okna, ciągnąc za sobą belkę oraz składany maszt antenowy. — Jest jeszcze coś. Dowiedziałem się o tym przez radio. Przy blokadzie pojawił się facet z jak najbardziej oficjalną przepustką rządową. Zdaje się, że jest świetnie poinformowany, co się tu dzieje.

Stoneley z trzaskiem zamknął książkę adresową. — No, nie! Założę się, że to ta menda okręgowa nas podkablowała.

— Musiałem go jednak wpuścić.

— Będzie nas teraz przez godzinę o wszystko wypytywał. Potem powie: „Proszę informować mnie na bieżąco” — i więcej go nie zobaczymy. Na diabła mi to potrzebne?

— Myślisz, że będzie się wtrącał?

Z dachu dochodziły odgłosy nieregularnych uderzeń. Potem monterzy zyskali na pewności siebie, a walenie na częstotliwości. Stoneley schował do kieszeni książkę adresową i ruszył w kierunku drzwi.

— Może próbować — odparł. — Dlatego znikam, nim się tu pojawi.

— Serdeczne dzięki — rzekł Schaffer, lecz Stoneley był już w pół drogi do szatni.

— Zajmij się nim, Mike — rzucił przez ramię, chwytając kurtkę. — Masz większy talent dyplomatyczny niż ja.

Przed drzwiami zahamował samochód — czarna, czterodrzwiowa limuzyna. Była bez jednej plamki, co znaczyło, że lakier wielokrotnie i z czułością polerowano woskiem. Znad maski unosiły się kłęby pary, a siedzący za kierownicą szofer w ciemnej liberii wpatrywał się w nie jak w zwiastuny nieszczęścia. Przed drzwiami szkoły stał mały człowieczek.

— Który z was jest komisarzem okręgowym Stoneleyem? — zapytał.

Schaffer pospiesznie wskazał palcem przełożonego.

Człowieczek zignorował Schaffera i spojrzał ostro na Stoneleya. — Hennessy — oznajmił. — Z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Gdzie możemy porozmawiać?

— Wejdźmy do szkoły — powiedział z rezygnacją Stoneley.

Ponieważ monterzy radiowi przenieśli się do biura, obaj mężczyźni przeszli do szatni. Prócz niskiego wzrostu, Hennessy reprezentował typ grubaska, którego powszechnie określa się mianem „korpulentny”. Nosił zwyczajne okulary w ciemnej oprawce i golił się aż po czubki uszu. Stoneley z miejsca poczuł do niego antypatię.

Hennessy nie tracił czasu. — A więc — zaczął — po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, kto kazał tym ludziom przy blokadzie mówić, że w dolinie zarządzono kwarantannę.

— Chwileczkę — rzekł Stoneley. — To że przyjechał pan z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie oznacza jeszcze, że ma pan nade mną władzę.

— To się jeszcze okaże. Wersję o kwarantannie skreślamy, jasne?

— A to dlaczego?

— Za bardzo daje do myślenia w kontekście tego, czym zajmowano się w klinice, dlatego.

— Wezmę to pod uwagę.

— Proszę słuchać i nie dyskutować. W grę wchodzi coś więcej niż morderstwo.

Stoneley usłyszał w oddali odgłosy międzyinstytucjonalnych rozgrywek, przypominających walkę na ringu, w której nokautuje się jednym ciosem. — Czy nasz szef skontaktował się z panem? — zapytał.

— To ja skontaktowałem się z nim.

— Więc kto pana o wszystkim poinformował?

— Wasze niefortunne poszukiwania danych w Centralnej Kartotece zaalarmowały wszystkich. W programie odsyłaczy działa system obserwacyjno-ostrzegawczy, więc gdy tylko poprosił pan o akta personelu z kliniki Jennera, rozpętało się piekło.

— Mogę wiedzieć dlaczego?

— Nie może pan.

Stoneley zabierał się do wyjścia. — Przepraszam — powiedział — ale muszę przeprowadzić śledztwo w sprawie wielokrotnego morderstwa i nie mam czasu na międzyresortowe spory.

— To ja pana przepraszam — rzekł Hennessy z konwencjonalną zawodową kurtuazją, do której dołączył zdawkowy uśmiezek z podręcznika dyplomacji. — Nie miałem zamiaru pana obrazić. Przyjechałem, żeby wam pomóc.

— Nie potrzebujemy pomocy.

— Niestety, potrzebujecie, i to bardzo. Weźmy choćby tę historię z kwarantanną.

— Co jest złego w tej wersji, skoro trzyma ludzi z dala i zamyka im gęby?

— Skutek będzie akurat odwrotny do zamierzonego. Wie pan, czym się zajmowano w klinice Jennera?

— Jasne. Jenner robił dzieci z próbek. Nie chce mi pan chyba wmówić, że z powodu kliniki leczącej bezpłodność może wybuchnąć panika przed epidemią.

Hennessy z irytacją pokręcił głową. — Widzę, że czegoś pan nie rozumie. Tu było laboratorium, Stoneley. Niech pan zacznie o tym gadać, a zaraz wszystkie czubki z prasy, radia i telewizji przypędzą tu, wężąc nie wiem jaki horror. A wie pan, jacy oni są — byle plotkę potrafią rozdmuchać do gigantycznych rozmiarów.

— To coś nowego. Mówi pan tak, jakby można było wywołać epidemię za pomocą sprośnej książki i higienicznej chusteczki.

Hennessy rozejrzał się po wilgotnej szatni, najwyraźniej szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść. W tych ławkach nie zmieści się twój tyłek, purchawo, pomyślał złośliwie Stoneley.

— Jenner miał pozwolenie nie tylko na prowadzenie kliniki leczącej bezpłodność — wyjaśniał Hennessy. — Otrzymał fundusze na eksperymenty

genetyczne z ludzkim DNA. O niczym to wprawdzie jeszcze nie świadczy, gdyż niektóre manipulacje z DNA można przeprowadzać w przeciętnie wyposażonej kuchni i nie jest to związane z żadnym ryzykiem. Lecz jeśli komuś przyjdzie do głowy, że Jenner robił jakieś kombinacje z tkanką ludzką i wirusową, by stworzyć patogen, na który nie ma antidotum... Teraz pan rozumie?

Stoneley skinął głową, zmuszony przyznać mu rację. — Przepraszam — rzekł. — Nie zostałem o tym poinformowany.

— Musi pan natychmiast wydać rozkaz ludziom przy blokadzie, by podawali inne wyjaśnienia. Mnie nie posłuchają.

— Schaffer przekaze wiadomość przez radio. Może lepiej będzie mówić prawdę.

— Nie — odparł pospiesznie Hennessy. — Proszę podawać tylko niezbędne minimum informacji. Tu chodzi o coś więcej niż zwykłe morderstwo.

Stoneley przyjrzał mu się uważnie. — Czy wie pan coś, o czym ja nie wiem?

— Sprawa może mieć podłoże polityczne, na tym polega problem — odparł wymijająco Hennessy.

— Powiedziałem panu, że mnie to nie dotyczy.

— Może się to zmienić, jeśli tylko Kennedy i jego genetyczne lobby w Stanach znajdzie jakiś pretekst, by wyrzucić nacisk na Wielką Brytanię, żeby zwinęła swój monopol w leczeniu bezpłodności. Szukają okazji.

— Nie widzę tu żadnego związku ze sprawą.

— Pozornie on nie istnieje. Przyjaciele Ziemi czekają tylko na jakieś potknięcie, by móc się do nas przyczepić. Potem sypną się polecenia mające ograniczyć zakres prac, zaczną się oskarżenia o działanie na szkodę publiczną i ani się obejrzymy, jak będziemy mieli na karku stowarzyszenia naukowe. Nawet jeśli to wszystko w końcu wyjaśnimy, to i tak nasza międzynarodowa wiarygodność zostanie nadszarpnięta.

— W porządku — zmógł Stoneley, zasypany lawiną niezrozumiałych argumentów — przyjmuję pańskie wskazówki co do ogólnego postępowania. Ale nie pozwolę, by przeszkadzał mi pan w prowadzeniu śledztwa.

— Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne — rzekł gładko Hennessy.

— Ja myślę.

— Mogę zobaczyć miejsce zdarzenia?

Stoneley zastanawiał się przez chwilę. — Nalega pan na to?

— Nie, jeśli pan zdecydowanie nie chce.

— W takim razie nie mam zastrzeżeń. I tak przysłała pora, żebym sprawdził, czy szczegółowe przeszukiwania coś dały. Może pan jechać ze mną.

Po chwili wyszli z budynku; Hennessy zaczął rozmawiać ze swym szoferem, a Stoneley pomaszzerował ze sto jardów na parking hotelowy, gdzie Schaffer nadzorował wyładunek sprzętu z przyczep ratowniczych, które miały zostać wymienione, a jedna z nich była niesprawna. Stoneley wspiął się po trzech aluminiowych schodkach i wsadził głowę do środka przyczepy. Schaffer klęczał na podłodze, usiłując nasadzić pokrywę na maszynę do pisania.

— Mike — odezwał się Stoneley i inspektor uniósł wzrok.

— Tak?

— Czy nie było jeszcze kogoś do mnie? Chodziło o jakieś dziecko.

— Zgadza się, Forester. Chce pan z nim teraz porozmawiać?

— Zajmij się tym wszystkim, dobrze? Jadę do kliniki z tym tłustym wypierdkiem.

Schaffer przestał wpychać biurową maszynę do pisania do pokrywy przeznaczonej raczej do maszyny przenośnej. — Co jest grane? — spytał cicho.

— Nic, to co myśleliśmy. Chyba się boją, że tracą zagraniczne kontrakty na dostawy dzieci w próbkach, jeśli wyjdzie na jaw, że coś było nie tak.

— I to wszystko?

— Najwyraźniej to gratka dla pismaków. A on, póki siedzi cicho, nie będzie sprawiał kłopotów.

Czarny samochód odjechał, a Hennessy czekał na Stoneleya przy budce telefonicznej przed ciemną kopułą sali zgromadzeń. W ręce trzymał teczkę, a przez ramię miał przerzucony jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy; lśniącą tkanina, bez jednego zagniecenia, nasuwała myśl, że gdyby kiedykolwiek Hennessy miał skorzystać z okrycia, natychmiast potem by je wyrzucił i kupił sobie nowe.

Stoneley wybrał jeden z niebieskich land roverów, oceniając go wyżej niż własne auto. Minęli wiejskie chaty, sklep na rogu i sznur pustych samochodów ciągnący się wzdłuż drogi. Po przejechaniu zaledwie kilkuset jardów, gdy szosa stała się tak kręta, że widzieli tylko odcinki między poszczególnymi wirażami, wjechali w boczną drogę, pnącą się ukośnie w lewo. Podjazd niemal całkowicie zasłaniały gałęzie rosnących wokół jarzębin. Główny trakt blokowała furgonetka terenowa oraz prowizoryczna bariera z plastikowych stożków ustawionych wzdłuż zakrętu, lecz gdy tylko rover zwolnił, nadszedł posterunkowy i po usunięciu paru z nich dał ręką



znak, że mogą jechać dalej.

Droga była stroma, a porośnięte mchem murki wznosiły się po obu jej stronach. Był to dawny trakt gospodarski, lecz lśniąco czarny, gładki asfalt położono zaledwie przed paroma laty.

Choć deszcz już ustał, pod ciśnieniem mokrej ziemi usypanej za murkami z małych przydrożnych przepustów nadal tryskały strumyki wody, zalewając porośnięte chwastami koleiny, wyżłobione po obu stronach szosy. — Wie pan już, co się właściwie stało? — spytał Hennessy.

Stoneley zmienił biegi. — Szczerze mówiąc — powiedział — jeszcze nie. Moi inspektorzy przeszukują to, co zostało z kliniki. Obfotografowaliśmy ją ze wszystkich stron, a teraz zbieramy wszystko, co znajdziemy w tych zgłiszczach, oznakowujemy i przekazujemy specjalistom od medycyny sądowej. Sprawcą równie dobrze mogła być jedna osoba, jak i cały gang. Jesteśmy pewni, że ofiary zamordowano zanim nastąpił wybuch — wszystkie nie zwęglone ciała mają rany zadane nożem kuchennym długości mniej więcej stopy. Wygląda na to, że w każdym przypadku nóż był ten sam, co wskazywałoby na jednego zabójcę, ale nie mamy pewności. Dlatego tak nas interesuje brakujący członek personelu. Nie wiemy, ile faktycznie było osób w klinice, bo nie otrzymaliśmy jeszcze jasnej odpowiedzi z Centralnej Kartoteki.

— Informacja ta została utajniona za względów bezpieczeństwa. Powinno tu pracować i mieszkać jedenaścioro ludzi.

— Mamy czterech mężczyzn, cztery kobiety i dwa worki zwęglonych resztek.

— A więc szukacie kobiety.

Stoneley przyjął tę informację do wiadomości. — Tak jak wszyscy — odparł zimno.

Hennessy obrócił się na fotelu i wyrzał przez kwadratowe okienko w tylnych drzwiach land rovera. Langstone zniknęło im z oczu, na horyzoncie zaczęła wylać się cętkowana kropelkami deszczu, metalicznie szara tafla jeziora.

— Trochę to daleko od wioski, nie uważa pan? Nie odseparowujecie się zbyt, zakładając tu bazę?

— Mogę się zainstalować tutaj albo w dwóch starych przyczepach, w których wieje jak cholera. W każdym razie im mniej ludzi będzie się tu kręcić, tym większa będzie szansa, że nie przegapię czegoś ważnego. A w wiosce o tej porze roku jest spokojnie.

Rover nagle podskoczył, aż żołądki podeszły im do gardła. Droga opałała gwałtownie na skraju górskiej kotliny; oczom jadących ukazały się ruiny kliniki Jennera.

Była to zaadaptowana dla potrzeb laboratorium farma z przybudówkami. Całość ułożona w kształcie kulfonowatej litery U otaczała wyłożony kocimi łbami podwórzec, z którego niezabudowanej strony rozpościerał się widok na odległe jezioro. Wiekowe mury pozbawiono zbędnych nadbudówek i zmodernizowano, tak że zespół budynków pod wieloma względami stanowił współczesną imitację tradycyjnego gospodarstwa, zachowując zewnętrzny wygląd oryginału. Budynek z lewej, do którego podeszli Stoneley i Hennessy, okazał się wypalony i pusty. Niewiele zostało z nowoczesnego wyposażenia luksusowej kliniki. Spopielwały szczyt ściany mógł lada chwila runąć, lecz pozostała część muru, choć poczerniała, trzymała się w pionie. Wszystkie zabudowania, łącznie z nienaruszoną stodołą, oddaloną mniej więcej o sto jardów od głównych budynków, znajdowały się w małej kotlinie osłoniętej z trzech stron niewielkimi pagórkami. Za obiegającym farmę niskim murem granicznym rosło kilka drzew, lecz dalej zbocze kotliny było widoczne jak na dłoni.

— Niech pan na to spojrzysz — powiedział Stoneley, kierując rovera ku grupie furgonetek i białemu samochodowi oficera straży pożarnej, które stały rzędem tuż przy drodze. — Jenner musiał mieć forsy jak lodu, żeby kupić taki teren.

Na Hennessym nie zrobiło to wrażenia. — Jego sprawa. Mnie to nie interesuje.

Stoneley rzucił mu ukradkowe spojrzenie. Maską niezachwianej pewności siebie nie przylegała już tak szczelnie do twarzy urzędnika; widok ten podniósł nieco Stoneleya na duchu, pozwolił mu bowiem nagle zrozumieć, skąd nieprzyjaciel czerpie swą moc. — Nie lubi pan wsi? — zagadnął.

— Jasne, że nie — odparł gwałtownie Hennessy. — W lecie tylko muchy i turyści, a zimą nieprzejezdne drogi i zamrożnięte rury. Mogę w ogóle nie ruszać się z miasta.

Przejechali przez otwartą bramę, a następnie podskakiwali i podrygali na koleinach wyłobionych przez skręcające samochody. Rover bez trudu przedzierał się przez pola, zakręcił obok zabryzganego błotem białego metra i gdy Stoneley zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik, przechylił tak gwałtownie, że pasażer omal nie wypadł przez przednią szybę ze swego twardego fotela.

Stoneley zostawił Hennessy'ego, wlokącego się w swych miejskich butach po rozmięklej darni pola do wejścia na farmę. Brama ze stalowych rurek była otwarta na oścież, lecz między wrotami przeciągnięto linę — szlaban. Stoneley zanurkował pod nią i wszedł na podwórze.

Kocie lby pokrywała gruba warstwa gruzu, gdyż wyższe piętro lewej ściany pokruszyło się i runęło. Dwa pojazdy, peugeot estate i toyota, zaparkowane na podwórzu, były teraz poczerniałe i osmalone, spadające zaś cegły zmiażdżyły je niemal całkowicie. Potłuczone szkło zgrzytało pod stopami Stoneleya, który chciał przyjrzeć się wszystkiemu z bliska; ze skrzydła budynku został tylko zwęglony kikut, ściany i belki były zupełnie spalone, a w miejscu dachu widniało nad głowami niebo. Plastikowe płachty mające zakryć puste framugi okienne, by nie wpadał przez nie deszcz, w wielu miejscach już poodrywał wiatr. Gdzieś w pękniętej rynnie głucho dudniła woda.

Większość ludzi pracowała w głównej części domu, robiąc notatki i buszując wśród ruin. Na górnym piętrze tego sektora znajdowały się wyłącznie pokoje personelu, a na parterze mieściła się niewielka świetlica oraz przestronne, prywatne mieszkanie Jennera. Ściany były osmalone i pokryte sadzą, lecz ogień nie strawił ich doszczętnie. Znajdujące się w odległym skrzydle stajnie wprawdzie poszarzały od dymu, ale nie doznały większego uszczerbku.

Stoneley usłyszał za sobą kroki, to Hennessy próbował się z nim zrównać. Ciężko dyszał i pocił się, przeszedłszy zaledwie paręset jardów po łagodnym zboczu. W zrujnowanym skrzydle ciemna postać ostrożnie stąpała pośród popiołów i błota, z wolna kierując się ku światłu.

— Oficer straży pożarnej — przedstawił mężczyznę Stoneley, a Hennessy, który nie był jeszcze w stanie złapać oddechu, skinął głową.

Był to Clive Lord z Okręgowej Straży Pożarnej. Nosił srebrną odznakę na płaskiej czapce z daszkiem, ale poza tym ubrany był połowo: miał gumowe buty ze stalowymi nasadkami na czubkach i rowkowanymi podszewkami, grube spodnie, ciemny pulower ze skórzanymi łatami na łokciach i ramionach oraz rękawice. Z wyraźną ulgą wyszedł przez zwęglone drzwi na podwórze.

— Zaczyna ci się coś klarować? — spytał Stoneley. Pracował już z Clivem Lordem po pożarze hotelu i rozbiciu się cysterny z benzyną. W sytuacjach krytycznych Lord działał szybko i zdecydowanie, wnioski zaś wyciągał powoli i rozważnie. Po pogorzeliśku myszkował już ponad trzy godziny.

— Za wcześniej, by coś ustalić — odparł. — Ale mam pewne przypuszczenia. Chcesz je poznać teraz, czy poczekaś na raport?

— Nie mam zdrowia na czekanie. Powiedz od razu.

Lord był prawie pewien, że pożar zaczął się na parterze i że było to podpalenie. Wzdłuż skrzydła biegł krótki korytarz, na którego jednym końcu znajdowała się mała pralnia, a na drugim podręczny magazyn.

Strażak wyliczył znajdujące się w budynku pokoje, wskazując na wypalone teraz ścianki działowe. A więc był tu gabinet, szatnie z metalowymi szafkami i paroma stalowymi umywalkami, mała, wyłożona kafelkami sala operacyjna ze skomplikowanym łóżkiem, którego poszczególne części były ruchome, i mnóstwem sprzętu elektrycznego, teraz doszczętnie zniszczonego, dalej coś w rodzaju pokoju dla chorych i pralnia. Dokładnie nad tymi pomieszczeniami, piętro wyżej, znajdowały się trzy laboratoria, każde z oddzielnym systemem wentylacyjnym, a jeszcze wyżej, na strychu, zdaniem Lorda ulokowano resztę personelu.

— Znam plan budynku — powiedział Stoneley. — Mógłbym ci to wszystko sam powiedzieć.

— Serdeczne dzięki — odparł Lord. — Gdzie byłeś przed dwiema godzinami?

Wprowadził ich do biura. — Chyba tu się wszystko zaczęło.

— Jesteś tego pewien?

— Nie, na to jeszcze za wcześnie. Ale chyba przynasz, że to się trzyma kupy. Na podłodze jest parę kilo popiołu ze spalonego papieru. Otóż papier musi być luźno rozłożony, żeby całkowicie spłonął. Ciasno upakowany — na przykład w archiwach czy w rejestrach — nadpali się po bokach, ale środkowe strony zostaną nietknięte, nawet podczas największego pożaru. Uważam, że ktoś splądrował to miejsce i porozrzucił wszystkie dokumenty.

— Trzymaj się faktów, Clive — napomniął go Stoneley. — Dochodzenie zostaw nam.

— W ten sposób w zeszłym roku udowodnili podpalenie w fabryce w Leicester — dodał Lord z satysfakcją w głosie.

— No dobra, powiadasz, że ktoś tu myszkował. Skąd wiesz, że właśnie w tym miejscu podłożył ogień?

— Gdyż ten pokój palił się dłużej niż inne. Zabezpieczenie budynku było, ogólnie biorąc, dobre. Mieli wewnętrzne drzwi przeciwpożarowe, mnóstwo sprzętu gaśniczego, porządny system alarmowy. Przez pewien czas ogień prawie w ogóle się nie rozprzestrzeniał. Poradziłoby sobie z nim dwóch mężczyzn z gaśnicami.

Niestety, gdy ogień wybuchł, nikt nie był w stanie posłużyć się gaśnicą. Stoneley był ciekaw, jak doszło do tego, że pożar nagle się rozprzestrzenił, ogarniając płomieniami całe skrzydło.

— Kula ognista — wyjaśnił Lord, pokazując im pozostałości podręcznego magazynu. Zobaczyli poczerniały stos cegieł i mnóstwo poskręcane metalu. — To zbiornik propanu, zasilający bojler i system centralnego ogrzewania. Podłoga była betonowa, ale wygląda na to, że ktoś porozrzucił

sterty magazynów i gazet tuż koło cylindra. Tego robić nie wolno. Oczywiście zajęły się i zaczęły rozgrzewać zbiornik, przez co gaz ulatniał się szybciej, niż pozwalała na to przepustowość awaryjnych klap bezpieczeństwa. Cylinder pękł i wyleciał jak rakietka, prosto przez wewnętrzne ściany i podłogę drugiego piętra. Reszta utkwiała w murze na przeciwnym krańcu skrzydła. Wkrótce po tym z Ravens' Bridge przyjechała straż pożarna, której udało się powstrzymać ogień, nim ogarnął pozostałe budynki. Wjeżdżając na wzgórze usłyszeli huk i zobaczyli, jak ognista kula wlatuje w powietrze na jakieś sto stóp. Dzięki temu ulotnił się cały gaz i mogli podejść na tyle blisko, by użyć piany.

Stoneley podziękował mu, a Lord obiecał dostarczyć do rana pisemny raport z dokładniejszą analizą wypadków. Gdy strażak odszedł do swego samochodu, Stoneley i Hennessy przyglądali się chwilę pracy policjantów dokonujących szczegółowych oględzin głównego budynku, lecz nie zostali długo, by nie rozpraszać ich uwagi. Stoneley przemierzył podwórze i schyliwszy się pod przeciągniętą liną, sprężystym krokiem schodził ze wzgórza w kierunku rovera.

— Komisarzu — zasapał Hennessy, starając się podążyć tuż za nim. Nie był już tak opanowany i chłodny jak w chwili przyjazdu. — Nie chcę chodzić za panem jak pies pokojowy. Zaraz będę miał tego dosyć, a pan pewnie też.

— Chyba sami damy sobie radę — rzekł uprzejmie Stoneley. Zatrzymał się przy murku naprzeciw bramy zaimprovizowanego parkingu i rzucił okiem w dół. Po polu wolno posuwał się szpaler ponad dwudziestu ludzi, z których każdy poświęcał całą uwagę terenowi przed sobą. Od czasu do czasu zatrzymywali się zaalarmowani okrzykiem kogoś z mężczyzn, a dowodzący inspektor biegł do niego, by ocenić znaczenie znaleziska. Po minucie szpaler ruszał znowu.

— Czy skonsultuje się pan ze mną przed podjęciem jakichś konkretnych działań? — spytał Hennessy.

— Nie.

— Ale...

— Jestem otwarty na współpracę, ale pana propozycja to już przesada.

— Będę nalegał — rzekł Hennessy łagodnie.

— Nalegaj pan sobie — odparł Stoneley, na którym nie zrobiło to wrażenia. — Nic pan nie wskóra.

— Chyba już tłumaczyłem, że sprawa jest wyjątkowo delikatna.

— Owszem, i będę miał to na uwadze. Ale tu idzie o wielokrotne morderstwo i ani mi się śni rezygnować z mojej oceny sytuacji i odpowiedzialności

zawodowej na rzecz niedoświadczonego cywila, niezależnie od tego jak delikatne kwestie wchodzi w grę i jakie jest ich znaczenie polityczne.

— Przykro mi, Stoneley — powiedział Hennessy — ale nie mogę tego tak zostawić.

— Mnie też jest przykro — odparł Stoneley nie starając się ukryć braku szczerości — ale będzie pan musiał.

Powoli zapadał zmrok. Wyładowana policjantami furgonetka zdążająca z powrotem do Langstone minęła Stoneleya, idącego przez pole do swego land rovera. Za nim, potykając się, podążał Hennessy.

4. Carson odnalazł posterunkowego w hallu hotelu Langstone i oświadczył, że musi złożyć zeznanie. Przesadziła blondynka kazała mu poczekać, po czym odeszła, mamrocząc pod nosem niepochlebne epitety pod adresem Stoneleya. Po kilku minutach wróciła z czerwoną teczką, a parę kroków za nią szła nieco onieśmielona ciemnooka dziewczyna, która zajrzała w czasie przesłuchania do gabinetu dyrektora szkoły. Weszli do opustoszałego baru i usiedli na wysokich stołkach przy kontuarze, Ellen O'Brien zaś przycupnęła na niskim stołeczku: przysłuchiwanie się i obserwowanie procedury składania zeznań stanowiło prawdopodobnie część jej programu szkoleniowego. Nadal była nieco skrępowana, co nie pozwalało jej na rutynowe wykonywanie swych obowiązków i dowodziło, że jest nowicjuską w tym zawodzie.

Policjantka wyjęła zteczki formularz i rozpoczęła swoją pracę: zanotowała godzinę, z druczku na okładce notatnika przepisała formułę ostrzeżenia. Carson patrzył, jak zdanie po zdaniu, z mozolną powolnością, przelewała na papier jego zeznanie, w skupieniu marszcząc czoło, co przypominało mu odrabianie lekcji w młodszych klasach szkoły podstawowej. Chciał zaprotestować, że sam spisze swoje wyjaśnienia, ale zawahał się, nie wiedząc, jaki obowiązuje tu tryb postępowania. Ellen O'Brien zakaszła z powagą, zasłaniając usta dłonią i założyła nogę na nogę, parokrotnie jeszcze zmieniając ich ułożenie.

Gdy spisywanie „niepoświadczzonego zeznania” dobiegło końca i Carson dostał je do przeczytania, ze zdumieniem stwierdził, że było jasne i zwięzłe, bez zbędnych słów, stronniczości czy upiększeń. Z ulgą je podpisał, odzyskał ograniczoną wolność.

Kiedy wszedł do hallu, przybyła grupa kilkunastu policjantów. Szurali

nogami, wzdychali i pociągali nosami, wnosząc jeszcze więcej błota i zeschłej trawy na strzępy gazet, które miały chronić dywan w sali na parterze. Drzwi do jadalni były otwarte, lecz Forestera już w niej nie zastał: prawdopodobnie przemaglowują go w szkole, pomyślał Carson. W tej chwili jego głównym zmartwieniem było znalezienie miejsca na nocleg.

W recepcji nie zastał nikogo, a nie chciał korzystać z dzwonka przy kontuarze. Gdy się rozglądał wokoło, z saloniku szybkim krokiem wyszła dziewczyna, mniej więcej dwudziestotrzy-, dwudziestoczworoletnia. Niosła tacę wyładowaną pobrzękującymi filiżankami i dzbanuszkami do kawy. Przemknęła obok wejścia do baru, recepcji i Carsona, nawet na niego nie spojrzawszy. Poszedł w ślad za nią.

— Gdzie mogę znaleźć kierownika? — zapytał, gdy gwałtownie skręcili w korytarz prowadzący na zaplecze budynku.

— Chyba wyjmuje chleb i masło z lodówki — krzyknęła dziewczyna przez ramię. Miała silny akcent nowozelandzki, a może australijski. Odwróciwszy się bokiem, pchnęła biodrem wahadłowe drzwi, które otworzyły się natychmiast i dziewczyna przemknęła, korzystając z wolnej drogi.

— Potrzebuję pokoju na noc — wyjaśnił Carson wchodząc za nią do dużej, jasno oświetlonej kuchni. Powietrze było tu ciepłe i przesycone zapachem drożdży, przy drzwiach prowadzących do hotelowego ogródka kobieta w średnim wieku ręczną maszynką krajała ogromną konserwową szynkę.

Dziewczyna cisnęła tacę na suszarkę podwójnego zlewu. — Może pan przyjść później? — powiedziała odkręcając gorącą wodę. — Szeף jest bardzo zajęty.

— Owszem — rzekł Carson, cofając się, by nie zostać uderzony drzwiami — ale jeśli nie dostanę pokoju, nie będę miał dokąd pójść.

Do kuchni przykuśtykał przysadzisty mężczyzna w workowatej marynarce. Jakby nie zauważając Carsona podszedł do blatów przy kuchennych piecykach i położył na nich kilka twardych jak skała bochenków chleba, które zaczęły teraz lekko parować w ciepłym powietrzu.

— Proszę, Lesley — powiedział do dziewczyny. — Wrzuć je do kuchenki mikrofalowej.

Lesley zakręciła gorącą wodę i odeszła od naczyń. — Czy pan jest tu kierownikiem? — zapytał Carson, gdy mężczyzna przekuśtykał obok niego. Carson musiał odsunąć się na bok, gdyż drzwi ponownie się odchyliły.

— Tak — odparł krótko mężczyzna. — Przepraszam.

Do kuchni zajrzało dwóch mundurowych policjantów. — To tu możemy dostać gorącej zupy? — zapytał jeden z nich.

— Wszystkie zupa już wyszła — odparł kierownik. — Mamy herbatę i kanapki.

— Miała być zupa.

— Wasi kumple wszystko zjedli. Chciałem wziąć trochę warzyw ze sklepu, ale Billy Hamilton gdzieś sobie poszedł i wszystko pozamykał. — Kierownik otworzył zeszyt i coś sobie zapisał. Carson zauważył, że podzielił stronicę na kolumny i skrupulatnie odnotowywał cenę każdego posiłku zjedzonego przez policję.

— Widziałam go w hallu — powiedziała dziewczyna. — Udzielał jakiejś informacji dla „Advertisera”.

— Ale teraz go tam nie ma.

— W taką pogodę nie można pracować o kanapkach i herbacie — zgłaszali pretensje policjanci.

— Nic innego nie będzie, chyba że pomożecie mi się włamać do sklepu. Kuchnia jest dokładnie ze wszystkiego wyczyszczona.

Policjanci popatrzyli na siebie porozumiewawczo, a drugi z nich zapytał: — Czy do sklepu jest jakiś zapasowy klucz?

— Jeśli nawet jest, Billy nic mi o tym nie mówił.

— Chodźmy rzucić okiem — rzekł pierwszy policjant.

Kierownik westchnął i niechętnie ruszył za nimi, a wówczas

Carson odezwał się pospiesznie: — Zanim pan pójdzie, chciałbym dostać pokój.

— Dobrze, później. Widzi pan, jacy jesteśmy zaganiani. — Dziewczyna z głośnym trzaskiem zamknęła drzwiczki piecyka.

— To tylko chwilka — nalegał Carson, widząc, że jedyna szansa wymyka mu się z rąk, lecz jeden z policjantów rzucił nań ostrzegawcze spojrzenie.

— Chyba pan dobrze słyszał, nie? — powiedział.

— Niech pan pójdzie do recepcji i przejrzy książkę meldunkową — powiedział kierownik, akcentując wyraźnie każde słowo, jakby zwracał się do nierozgarniętego dzieciaka. — Niech pan się wpisze i weźmie klucz. Rano się tym zajmę. Lesley, zanotuj to, dobrze?

Dziewczyna ze znużeniem skinęła głową. — Jasne — odrzekła i nalawczy jeszcze gorącej wody do zlewu, sięgnęła po parę gumowych rękawic, które leżały na parapecie, miękkie i sflaczałe.

— Dzięki — powiedział Carson w kierunku drzwi, za którymi nikogo już nie było, po czym pomaszerował korytarzem do hallu.

Zastanawiał się, czy nie zapytać o obiad, ale zadowolił się jednym zwycięstwem.



Za kontuarem recepcji nie było nikogo, kto mógłby zgłaszać jakieś obiekcje czy zadawać mu pytania. Książka meldunkowa z luźnymi kartkami miała kształt teczki i leżała na półeczce pod blatem wraz z kilkoma paczkami kopert, pogniecionymi starymi magazynami, podręcznikiem obsługi samochodów, buteleczką lakieru do paznokci i dwoma wieszakami. Otworzył ją na ostatniej stronie i stwierdził, że od trzech czy czterech dni nikogo nowego nie wpisano.

Umieszczając swe nazwisko, uniósł na chwilę wzrok. Miał stąd widok na hall i dalej, na przeciwną stronę ulicy, gdzie przy niskich barierkach otaczających wejście do budynku szkoły stał, wpatrujący się w ciemniejące niebo, Forester. Niebieski land rover — należący do Stoneleya, o ile Carson dobrze pamiętał — przemknął ulicą, po czym Forester ruszył w stronę hotelu. Rozmowa z Schafferem najwyraźniej nie dodała mu otuchy.

Po wpisaniu się do książki Carson na chybił trafił zdjął klucz z haczyka. Do tablicy przypiętych było parę nieodebranych listów, sądząc po datowniku wiszących tu od roku. Rozejrzał się, a widząc idącego przez westybul Forestera, zapytał: — I jak poszło?

— Nie ma na co liczyć. — Forester stanął w drzwiach, rozglądając się wokół, jakby otoczenie wydawało mu się zupełnie nierealne. — Sądząc z tego, co mówił, cała klinika leży w gruzach.

— Ale mnie powiedzieli, że nie znaleźli żadnych ciał dzieci. Czyba jest więc jakaś szansa?

— Nie dla mnie.

— Ale skoro nie znaleźli ciała...

— Bo nie było ciała — dziecko jeszcze się nie urodziło. — Forester ze znużeniem przeszedł przez hall i opadł na stojące tu krzesło, które przed godziną zajmował Jerry Crichton. — Jenner przygotowywał się do wszczęcia żonie zarodka. Przeprowadził ponad trzydzieści prób, aż w końcu mu się udało.

— Strasznie mi przykro — powiedział Carson, wystrzegając się zdawkowego współczucia. — Ale to chyba nie to samo, co utrata prawdziwego dziecka, co?

Forester, wyciągnąwszy nogi, wpatrywał się w swe buty. — Może nie dla pana.

— Nie mogą państwo spróbować jeszcze raz?

— Moglibyśmy, gdybyśmy mieli za co. Bardzo w to wątpię, gdyż całą forszę władawaliśmy tutaj.

— Ale może pan zażądać częściowego zwrotu kosztów.

Forester spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem. — Niby od kogo?

— Nie wiem. Od firmy ubezpieczeniowej czy czegoś w tym rodzaju.

Forester wzruszył ramionami. — To nie tylko kwestia pieniędzy. Jeszcze parę lat i będzie za późno na cokolwiek. To byłby chłopiec.

— Na pewno może pan złożyć wniosek o odszkodowanie.

Informacja ta nie zrobiła na Foresterze większego wrażenia. — Moglibyśmy, ale pieniądze przyjdą za późno. I nie mam nawet pewności, że nam się uda — skoro embrion niemal przez całą ciążę nie ma żadnych praw, jak bronić czegoś, co jest w próbówce?

— No tak — przyznał Carson. — Bardzo mi przykro.

Forester obojętnie przyjął jego słowa do wiadomości.

— Chyba wrócę do Carlisle — oznajmił podnosząc się. — Powiedzieć, co się stało.

— Zdaje się, że Stoneley chce, żebyśmy zostali.

— Podobno. Ale nie przejmuję się za bardzo tym, czego chce Stoneley.

Carson, ciągle trzymając w ręku klucz z doczepioną do niego ogromną plastikową tabliczką, przesunął się wzdłuż kontuaru i opuścił kłapę. — Na pewno dostaną tego, kto to zrobił.

Forester znieruchomiał w drzwiach. — Kogo dostaną?

— No wie pan. Mordercę.

— Powiedzieli mi, że to był wypadek — oznajmił Forester, krzywiąc się z niechęcią, gdy nowa informacja przeniknęła do jego świadomości, kolidując ze starą.

— Ach tak — powiedział Carson, tracąc nieco pewność siebie. — Może rzeczywiście.

— Co panu powiedzieli? — zapytał Forester, ponownie zbliżając się do Carsona.

— Nic konkretnego, ale zablokowali dolinę i kogoś szukają. Przepuszczałem...

Forester przerwał mu, gdyż kierownik hotelu i dwaj policjanci wrócili właśnie z wiejskiego sklepu taszcząc łupy. Chwytał Carsona za rękę i pociągnął go do pustej jadalni, po czym zamknął za sobą drzwi.

— Bezczelni łgarze — syknął cicho. — Jest pan tego pewien?

— Musiałem zidentyfikować znajomą dziewczynę. Ona na pewno nie zginęła od ognia.

Forester zdawał się tego nie słyszeć. Wzrok miał utkwiony gdzieś ponad ramieniem Carsona, jego niespokojne oczy były jedynymi jasnymi punktami w nieoświetlonym pokoju. — Zdecydowali, że do niczego im się nie przydam, więc mnie spławili. A przynajmniej tak im się zdaje. — Jego uwaga znowu skupiła się na Carsonie. — Musiał pan kogoś zidentyfikować?

- Jedną z laborantek. Znaleźli ją niedaleko stąd, na polu.
- To pańska dziewczyna?
- Coś w tym rodzaju.

Nastawienie Foreстера zmieniło się nieco, ważną rolę odegrało w tym poczucie solidarności. — Nieładnie się wobec pana zachowałem. Głupio mi.

- Nie ma sprawy.
- Dranie. Jeśli ktoś do niczego im się nie przyda, biorą go za frak i niech się wynosi. Myślą, że niby kim są?
- Wykonują swoją robotę — rzekł Carson beznamiętnym głosem.
- To żadna wymówka — odparł Forester otwierając drzwi. — W końcu dla kogo to robią?

Wyszedł przez hall na ulicę. Carson odprowadził go aż do drzwi, lecz Forester zniknął w wieczornej szarówce. Znowu zaczęło padać.

**5.** Alison Wells spojrzała na nocne niebo i przeszła ją dreszcz. Po peronie dworca odbijał się echem nerwowy stukot pośpiesznego pociągu. Z rynien tryskała woda, gdy wagony z turkotem i dudnieniem potoczyły się ku Carlisle i nizinnym okęgom Szkocji.

Dworzec w Penrith zawsze przypominał jej niewielką szkołę z internatem albo klasztor. Fronton z czerwonej cęgly i piaskowca stanowił największą chlubę miasta, sam budynek był zadbane i schludny, a po przeciwległej stronie szerokiego asfaltowego dziedzińca rozciągał się wypielegnowany, otoczony parkanem ogród, z ruinami zamku pośrodku. Lecz obraz ten szpeciła brzydota widniejących za nim terenów: targu bydła i rzeźni — w ciepłe dni dzieci baraszkowały wśród starych murów, turlały w trawie i pławily w odorze zabitych zwierząt.

Ktoś tkwił w jedynej na dziedzińcu dworca budce telefonicznej, a pod osłoną nędznego dachu kulił się młody człowiek czekając na swoją kolej. Lotnicza kurtka niedostatecznie chroniła go przed zimnem. Alison postanowiła już nie dzwonić, lecz jechać prosto do kliniki. Uśmiechnęła się słabo do siebie — nikt nie będzie zmartwiony, jeśli zjawi się pół godziny później, nikt też specjalnie się nie ucieszy, gdy przyjedzie pół godziny wcześniej — stwierdziła beznamiętnie.

Choć zawadzała jej torba, wyładowana rzeczami zabranymi na weekend, Alison skuliła się przed deszczem i usiłowała biec. Przemierzywszy parę jardów, dotarła do furtki w parkanie z białych palików i otworzywszy ją nieporadnie, weszła na stary dworcowy dziedziniec. Niegdyś wypełniały

go szorstkie, lśniące hałdy węgla, lecz lokomotywy parowe dawno już zniknęły, zastąpione maszynami spalinowymi. Teraz znajdowała się tu tylko zepsuta furgonetka pocztowa, paręgórek koksu przykrytych brezentem i jej własna honda.

Z dali dobiegał cichy, wysoki, a potem gwałtownie obniżający się gwizd pociągu, który w ten sposób usiłował dodać sobie otuchy przed czekającą go nocną jazdą, lecz był to zagubiony, samotny dźwięk, odbijający się echem po pustym dziedzińcu jak bezładnie miotająca się ćma w świetle lampy. Alison rzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą.

Silnik zaskoczył i zapalił za pierwszym razem. Nieźle, pomyślała, jak na dwa dni stania, w czasie których samochód mógł wynaleźć mnóstwo powodów, by utrudnić współpracę. O dziwo, wcale jej to nie uspokoiło. Auto traktowało ją z przesadną uprzejmością, jakby wiedząc, że coś gorszego czeka na nią tuż za rogiem — ale, naturalnie, to były tylko jej wymysły. Zatrzymała się przed dziedzińcem i nie gasząc silnika poszła zamknąć furtkę.

Parę minut później zjechała z autostrady oddzielającej Penrith od masywu ziemi kumbryjskiej i zmierzała w kierunku zachodnim, do drogi na Ullswater. Wycieraczki poruszały się miarowym, niemal hipnotycznym rytmem i gdy Alison minęła oświetloną szosę, stwierdziła, że trudno jej się skupić na migoczącej tafli drogi, płynącej w blasku długich świateł samochodu. Na parę cali uchyliła boczną szybę. Zimny, chłuszczący kroplami deszczu wiatr uniósł jej włosy na karku i żarłocznie wpił się w obnażone ciało. Teraz przynajmniej na pewno nie pogrąży się w myślach.

Skręciwszy za Ravens' Bridge uświadomiła sobie, że prowadzi auto zupełnie automatycznie. Siła przyzwyczajenia. Do kliniki Jennera można było dojechać tylko tą drogą. Alison sądziła, że uczucie zmęczenia, niepokoju i niemożność koncentracji są rezultatem długiej, nudnej podróży oraz ciężkich chwil, które ją poprzedziły. Ze zdumieniem stwierdziła, że z chęcią wraca do małego pokoiku w starym budynku gospodarskim, który z czasem zaczęła uważać za swój dom, w przeciwieństwie do ponurego, dwupokojowego mieszkania w Ealing, w którym łazienkę i licznik dzieliła ze współlokatorką, choć to Ealing właśnie był jej „stałym adresem”. Myślała o swym pokoiku na strychu, wyłożonym deskami i czysto otynkowanym na biało, o belkowanym suficie, nachylonym pod dziwacznym kątem i nierównych liniach ścian; była to jej cicha przystań, gdzie otaczały ją wyłącznie osobiste, starannie dobrane przedmioty: książki na półkach, plakaty, narzuta na łóżko i chodniki o grubym splocie, mosiężna lampa na nocnym

stoliku, która rzucała mętne, żółte światło i powiększała wszystkie cienie. Jej część mieszkania w Ealing na zasadzie kontrastu stała się miejscem, gdzie gromadziła wszelkie zbędne rupiecie, na których wyrzucenie nie mogła się zdobyć.

Dotarła do ciemnego i w nocy niemal niewidocznego jeziora. Zdradziły jej migotliwe refleksy kilku punkcików świetlnych na odległym zboczu kotliny. Łodzie spacerowe, przycumowane przy zbitym z listewek występie przystani dla parowców, poruszyły się lekko, falując w bryzgach i pianach wody, po czym drogę zasłoniły sylwetki pierwszych drzew porastających brzeg jeziora.

W samym Ravens' Bridge nie dostrzegła nikogo, tylko od czasu do czasu w jakimś sklepie czy chacie zamigotało żółte światełko. Alison skręciła koło kaplicy i znalazła się na długiej, zakończonej ślepych zaułkiem drodze do Langstone.

Zerwanie znajomości z Eddiem sprawiło jej ból, lecz uznała to za konieczne. Najbardziej cierpiała chyba dlatego, że tak łatwo pogodził się z jej decyzją: po prostu wzruszył ramionami, dokończył jeść pizzę i wyszedł. Mógł przynajmniej mieć tyle przyzwoitości, by udawać, że go to dotknęło, a z kolei ona powinna być rada ze słuszności podjętych kroków. Eddie nie wdał się z nią w romans, po prostu pieprzył ją według rozkładu jazdy pociągów. Pracujesz w ten weekend? Kurczę, dziewczyno, biedny Eddie nie będzie miał się z kim zabawić.

Eddie to przeżyje, nie ma obawy — a lepiej, że skończyła z nim, niż gdyby miał stać się jeszcze jednym jej nawykiem, który związałyby ją z Ealing. Jutro po południu Eddie znowu zasiądzie w kawiarni British Museum z rozłożonym przed sobą jakimś niesłychanie trudnym tekstem, a wzrokiem będzie oceniał predyspozycje następnej zdobyczy. Cenił u dziewcząt inteligencję, gdyż, jak mawiał, miał o czym porozmawiać, gdy się potem szykował do wyjścia.

Za kwadrans byłyby w domu, lecz akurat wtedy zepsuły się wycieraczki.

Przy szybkości czterdziestu mil na godzinę widziała przed sobą jedynie pajęczynę, siatkę lśniąca w blasku reflektorów, za którą była tylko ciemność. Automatycznie nacisnęła hamulec i samochód zjechał w lewo, dygocząc i wirując na mokrych oponach; naciągnięty do granic możliwości pas bezpieczeństwa wpił się jej w ramię. Dwa koła ześliznęły się z szosy, podskakując na wybojach tak silnie, że o mały włos nie przebiły podwozia. Ze wszystkich sił starała się wyprowadzić samochód na niewidoczny asfalt, lecz opór kierownicy był jeszcze większy; potem, niemal przez całą sekundę kółko dało się swobodnie obracać, lecz samochód pofrunął dwie stopy nad ziemią, tak że zupełnie straciła nad nim panowanie, w końcu opadł z

hukiem i trzasnął o kamień, ustawiony na sztorc przed bramą farmy.

Szyba nagle zmieniła się w tryskającą strumieniem kolorów kaskadę, a głowa Alison jak poderwana potężnym ciosem poleciała na wyścielany podglówek hondy, po czym pas rozluźnił się i dziewczyna opadła do przodu. Po paru sekundach rzeczywistość odzyskała swoje normalne kształty. Alison nadal kurczowo ścisnęła kierownicę. Miała złamane dwa paznokcie. Samochód stał nieruchomo.

Pęknięta szyba rozpadła się na tysiące małych kryształków. Siatka była nieregularna, rozchodziła się na wszystkie strony, od biegnącego przez środek paska, przez który w normalnych warunkach mogłaby coś dojrzeć — przynajmniej na tyle, by bezpiecznie zahamować. Ale w nocy, w deszczu, przy braku innego oświetlenia prócz ukośnego blasku własnych reflektorów — nie miała szans.

Alison odpięła pas i natychmiast wypuściła go z ręki. Taśma szybko i sprawnie zwinęła się jej na ramieniu, klamra zaczęła o coś na moment, podskakując na biodrze. Otworzyła drzwi i wyszła w noc, uchwyciwszy się samochodu dla utrzymania równowagi. Gdy pierwsza kropla deszczu dotknęła jej skóry, Alison schyliła się i wyjęła z samochodu cienki, nylonowy płaszcz od deszczu, który przed trzema dniami włożyła zwinięty pod siedzenie.

Samochód zatoczył się na słupek bramy, jeden reflektor dyndał żałośnie. A nie mówiłem, zasapał z zadowoleniem, będzie jeszcze gorzej. Słupek pochylił się, a część przyległego muru nadkruszyła się i odpadła; brama zaś wylądowała nieco dalej na polu, odciskając swój kształt w trawie.

Alison upuściła płaszcz, prawie tego nie zauważając. Leżał jak krwawo-pomarańczowa plama obok przygasłego reflektora. Następnie dziewczyna przeszła parę kroków, by obejrzeć uszkodzony wóz.

Przedni błotnik zgniół się i zwinął od uderzenia, tak że naciskał na koło, które było nachylone pod dziwnym kątem, co nie wróżyło nic dobrego. Gdy Alison pochyliła się, by obejrzeć szkody — zaparło jej dech i zaboląła lewa pierś, którą mocno przycisnął napięty pas. Samochód raczej nie ruszy z tego miejsca bez pomocy; Alison jęknęła, zamknęła oczy i oparła czoło o chłodny metal błotnika, lecz mimo żarliwych zaklinań sytuacja nie uległa zmianie.

Włosy mysiego koloru zafalowały i uniosły się na karku, jakby potargane paluchem nieznośnego dzieciaka. Otworzyła gwałtownie oczy i odzyskała jasność myślenia. Ktoś ją obserwował. Opierając się o samochód z trudem stanęła na nogi i rozejrzała wokoło. Poza zasięgiem światła reflektorów nie było nic widać, jedynie czarne cienie zbiegały się i stapiały ze sobą.

Na położonym mniej więcej o milę pagórku dostrzegła światła farmy i smolistą czerń rzędu drzew, które jakby odgradzały trakt gospodarski, łączący się z drogą tuż za polem. W otaczających ją ciemnościach pomieściłoby się wszyscy strażnicy Hadesu. A płaszcz zniknął.

Kojarzyła mgliście, że gładki materiał prześliznął się jej przez palce i opadł na ziemię, a teraz płaszcz nigdzie nie było. Nie wiał wiatr, nie mógł go więc porwać. Reflektor zamrugał i przygasł nieco, gdy akumulator zaczął słabnąć, wyczerpany zasilaniem długich świateł.

Alison cofnęła się w stronę samochodu, widząc jak jej własny cień zańczył na polu, gdy znalazła się w zasięgu światła. Coraz wyraźniej słyszała, jak w przyjazne dźwięki nocy zaczęły wkradać się nowe, złowieszcze odgłosy — odległy chłopot jeziora, hałaśliwy szelest suchych liści na drzewach, jakby wylamywano komuś palce, stukot i pobrzękiwanie stygnącego silnika hondy.

Drzwi samochodu były uchylone i już miała wsiadać do auta, by znaleźć w nim bezpieczne schronienie, gdy omiotły ją światła reflektorów. Prześliznęły się po niej trzykrotnie, przygważdżając ją w miejscu, a gdy oszołomił ją hałas i jaskrawy blask, poczuła się jak uwięziona w pułapce.

— Dajcie tu trochę światła! — krzyknął Schaffer, a jeden z policjantów przekreślił reflektor zamocowany na dachu rovera. W kierunku hondy biegli umundurowani funkcjonariusze, omiatając snopami światła skraj szosy; kilku policjantów ruszyło w stronę bramy.

Gdy Schaffer do niej podszedł, Alison bezwiednie skuliła ramiona.

— Nic się pani nie stało? — zapytał.

— Nie... chyba nie.

— Zauważyła pani coś dziwnego?

— Miałam wrażenie, że ktoś mi się przygląda, ale nie widziałam nikogo.

Po przeciwnej stronie szosy światła latarek tańczyły między drzewami jak robaczki świętojańskie. — Dokąd pani jedzie o tej porze? — spytał Schaffer. — Wie pani, że droga zaraz się kończy?

— Pracuję tu — odparła, z trudem trzymając kierownicę. — W klinice Jennera, tuż za wioską.

— Pani jest z kliniki Jennera?

— Owszem. Czy coś się stało?

— Niech pani wsiądzie do mojego samochodu — powiedział Schaffer rozglądając się. Znowu poczuł niepokój.

— Nic mi nie jest. Trochę się zdenerwowałam, bo nawaliły mi wycieraczki.

Mimo protestów, ciągnął ją za sobą. — Jednak chciałbym, żeby wsiadła pani do mojego wozu.

— A co z moim? — zapytała opierając się słabo, gdy lekko chwycił ją za ramiona i pchnął w kierunku samochodu.

— Zajmiemy się nim. Nie traćmy czasu.

Podeszli do limuzyny Schaffera. — Dlaczego? — spytała. Policjanci wynurzali się z lasu, przeskakując przez siatkę z drutu, odgradzającą drzewa od drogi. Jeden z nich zobaczył Schaffera i przecząco pokręcił głową.

— Dlatego, że grozi pani niebezpieczeństwo — wyjaśnił inspektor.

Już prawie wciągnął ją do auta, gdy jeszcze coś sobie przypomniała. — Mój bagaż...

— Przyniosę go. Chcę, żeby była pani bezpieczna.

Schaffer zamknął Alison, blokując obie pary drzwi. Potem podszedł do sierżanta, który stał przy uszkodzonym samochodzie, obserwując teren.

— Macie coś? — zapytał inspektor.

Sierżant nie okazywał entuzjazmu. — Na razie nic.

— Mówi, że miała wrażenie, jakby ją ktoś obserwował. Może się tu ktoś ukrywać?

— Nie sędzę. — Sierżant podniósł głos i krzyknął do kierującego reflektorem: — Przejeżdż po trawie! — Ukośny snop światła prześliznął się po łące wysokich bujnych traw, lekko falujących na wietrze. Wynurzył się z nich umundurowany mężczyzna, zostawiając za sobą wydeptaną bruzdę. — Widzi pan teraz, o co mi chodzi? — ciągnął sierżant. — Każdy, kto by się tu kręcił, zostawiłby ślad. Pewnie dziewczyna ma zbyt bujną wyobraźnię.

— Możliwe. Ale nie możemy ryzykować.

Obaj policjanci poszli po bagaż Alison. Gdy inspektor zastanawiał się, jak pociągnąć za uchwyt, który przesunąłby fotel do przodu i dał mu dostęp do tylnego siedzenia, sierżant wbił wzrok w pękniętą szybę.

— Chyba kamień — odezwał się po chwili.

— Owszem — przyznał stłumionym głosem siedzący w samochodzie Schaffer. Część policjantów gramoliła się z powrotem do furgonetki. Ludzie byli wykończeni tym długim, ciężkim dniem i nieoczekiwanym incydentem, który przedłużył jeszcze i tak spóźniony powrót do domu.

— Widać miejsce, w które trzasnął i szyba się rozprysnęła — ciągnął sierżant, gdy Schaffer wynurzył się z torbą. Wskazał punkt, z którego promieniście rozchodziły się ślady uderzenia. — Kamień i tyle.

— Owszem — zgodził się Schaffer, nie w pełni usatysfakcjonowany. — Ale skąd się wziął?

— Trudno powiedzieć. Kiedyś poszła mi szyba, ot tak po prostu. Nie było żadnych kamieni. Wypadek. Za mało, by wysunąć z tego jakies



podejrzenie. — Odwiozę tę kobietę do wioski. Stoneley zostaje na noc i będzie chciał z nią porozmawiać. Może pan podholować hondę z powrotem do Penrith?

— Nie chce pan zabrać jej ze sobą?

— Nie. Kotlina i tak jest zapchana, nie można dodatkowo ładować wraków na główną ulicę. Niech pan ją przez noc przechowa w jakimś garażu, a rano znajdziemy warsztat, który się nią zajmie.

Paru mężczyzn z powrotem wyciągnięto z furgonetki, by przywiązali linę holowniczą. Schaffer włożył torbę Alison do bagażnika swego samochodu i otworzył drzwi od strony kierowcy. Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. W mdłym świetelku samochodowej lampki widać było zmieszanie na jej twarzy. Schaffer zdołał jeszcze dostrzec jasne oczy, ładny kształt brwi, regularne kobiece rysy i włosy do ramion, które w świetle dziennym prawdopodobnie były popielato-blond. Gdy zamknął drzwi, światelko zgasło.

— Zajęliśmy się pani samochodem — powiedział. — Odwiozę panią do wioski.

Siedząc w samotności, Alison bezskutecznie próbowała zrozumieć, co się wokół niej dzieje. — Dlaczego grozi mi niebezpieczeństwo? — spytała. — Czy ktoś tu na mnie czyha?

— Nie sądzę — odparł Schaffer, starając się by zabrzmiało to szczerze.

— W takim razie...

— Kiedy ostatnio była pani w klinice Jennera?

— Przedwczoraj. Wyjechałam do Londynu.

— Do rodziny?

— Wynajmuję tam mieszkanie. Jak większość z nas. Ale co to ma do rzeczy?

— Ktoś żywił jakąś urazę do personelu Jennera. A ponieważ nie mogliśmy pani znaleźć, była pani naszą główną podejrzaną.

Oczy Alison zrobiły się okrągłe ze zdumienia. W ciemnościach Schaffer dostrzegł ich słaby błysk. — Podejrzaną? — powtórzyła. — O co?

— Pojedziemy do mojego szefa, on pani wytłumaczy.

— Ale co ja takiego zrobiłam?

— Prawdopodobnie nic, ale przez jakiś czas nie byliśmy tego pewni. Schaffer wyraźnie unikał odpowiedzi.

— Nie powie mi pan,

tak? — spytała. — Czy ktoś nie żyje?

— Boże, to będzie najgorzej strzeżony sekret w Kumbrii. Owszem, ktoś nie żyje.

— Kto.

Zawarczał silnik furgonetki i hondę wzięto na hol. Umundurowany mężczyzna, który wyłonił się z wysokich traw, odskoczył na bok, gdy kilka kamieni z nadwężonego muru potoczyło się pod jego stopy. Mężczyzna trzymał coś w dłoniach, ale Schaffer nie mógł dojrzeć co to było.

— Kto nie żyje? — powtórzyła pytanie Alison.

— Nic pani nie powiem. Stoneley i tak naskoczy na mnie, że nie trzymam języka za zębami. Dowie się pani wszystkiego na miejscu.

Posterunkowy zastukał w okienko i Alison odkręciła szybę.

— Czy to należy do pani? — zapytał, unosząc jej pomarańczowy płaszcz przeciwdeszczowy.

— Owszem — odparła niepewnie. — Gdzie pan go znalazł?

— Był przerzucony przez murek, pewnie go tam pani zostawiła.

Mechanicznie wzięła od niego płaszcz, a gdy policjant odszedł, przykręciła szybę. Potem powoli zwinęła nylon i ukradkowo wsunęła go pod tylne siedzenie, jakby wstydząc się tej czynności. Schaffer włączył silnik i wjechał na drogę wiodącą do Langstone.

**6.** Wraz z pojawieniem się Alison Wells Stoneley stracił jedyną podejrzaną osobę, której zniknięcie mogło być ważne dla śledztwa, lecz jeśli nawet martwiło to komisarza, niczego nie dał po sobie poznać — wprost przeciwnie, następnego ranka tryskał humorem, choć przespał nie więcej niż pięć godzin. Dobry nastrój nie miał jednak trwać zbyt długo.

Jak przystało na dobrego wiejskiego gospodarza, Stoneley wstał wcześniej, po czym zebrał wszystkich oficerów i rozkazał im dokładnie przeszukać teren. Przeniesieniem ciał personelu kliniki miał zająć się później patolog. Poprzedniego wieczoru wikary z Ravens' Bridge zaproponował Barry'emu Lennoxowi, by na noc przetransportowali zwłoki do kaplicy. Lennox przekazał tę wiadomość Stoneleyowi.

— Sław go, ale bardzo uprzejmie — odparł Lennoxowi Stoneley. — A potem dowiedz się, co ten staruch wie.

Gdy zespół zajmujący się przeszukiwaniem terenu wsiadł do roverów i furgonetek uważnie studiując mapy, Stoneley przygotowywał do drogi dwóch ekspertów od wybuchów, którzy przybyli z Woolwich, by obejrzeć ruiny kliniki w nadziei, że dorzucą coś do raportu Clive'a Lorda. Był rześki, pogodny ranek, a silny wiatr rozpędził deszczowe chmury. W asyście dwóch specjalistów z Woolwich Stoneley szedł właśnie z hotelu do swego

samochodu, gdy ujrzał Hennessy'ego, spieszącego mu na spotkanie.

— Stoneley! — krzyknął Hennessy z drugiej strony ulicy. — Mam do pana sprawę!

— Przepraszam na chwilę — powiedział Stoneley konspiracyjnym szeptem. — Muszę załatwić tego urzędasę. — Podniósł głos, by usłyszał go Hennessy, niespokojnie rozglądający się na boki przed przejściem na drugą stronę ulicy. — Oby szybko! Bardzo się spieszę.

Hennessy podbiegł do niego, jak zwykle zasapany i z wypiekami na twarzy. Nikt w hotelu nie zadbał o odświeżenie mu garnituru ani nie wyprasował pogniecionej w czasie podróży koszuli, a przy śniadaniu musiał zadowolić się samoobsługą. Nie był do tego przyzwyczajony.

— W pokoju operacyjnym czeka na pana wiadomość — poinformował Stoneleya.

— Gdyby tak było, oficer by mnie zawiadomił. A właściwie skąd pan to wie?

— Wiadomość dopiero nadeszła. To ja postarałem się o jej przysłanie.

Dobry humor powoli opuszczał Stoneleya, zaczęła natomiast narastać w nim podejrzliwość. — Chwileczkę... Co jest właściwie grane?

Dwaj eksperci sądowi poruszyli się nerwowo, zaniepokojeni ciężką atmosferą.

— Wczoraj wieczorem uczciwie pana ostrzegąłem — odezwał się Hennessy. — Nie zaprzeczy pan chyba, że chciałem pójść na współpracę.

Stoneley przyglądał mu się przez chwilę, lecz Hennessy miał nieprzenikniony wyraz twarzy, typowy dla policjantów z wieloletnim stażem. Po chwili komisarz udał się do szkoły, zostawiając Hennessy'ego w towarzystwie dwóch ekspertów.

W sali przeznaczony na prowizoryczną kostnicę zainstalowano aparat radiowy i dwa teleksy. Było teraz znacznie mniej miejsca. By uniknąć przeciążenia systemu telefonicznego, do skrzynki Telecomu znajdującej się w wiosce dołączono nowe linie. Zasilały one też małą, obsługującą sześć numerów centralkę ustawioną wprost na stole roboczym. Stoneley podszedł do pracującego teleksu. Trzymająca właśnie papier z wiadomością jasnowłosa policjantka aż drgnęła, zaskoczona zniecka.

— To dla mnie? — zapytał.

Skinęła głową i podała mu skrawek wydruku. — Dopiero co przyszło. — Do rosnącej legendy szefa dołączył jeszcze jeden element.

Stoneley rzucił okiem na świstek, po czym jeszcze raz przeczytał go z niedowierzaniem. — Sukinsyn! — wymamrotał zdumiony. — Coś podobnego!

DO ODDZ. POLICJI 5085

OD POLICJI W PENRITH 6440

GODZ. 0856, 16.10.87

ZAWIESIĆ OPERACJĘ. SPRAWA NAJWYŻSZEJ WAGI DLA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO. NATYCHMIAST PRZERWAĆ WSZELKIE CZYNNOŚCI DOCHODZENIOWE, POZOSTAĆ NA MIEJSCU DO CZASU PRZYBYCIA JEDNOSTKI SPECJALNEJ.

PODPISANO: STANNEYFORTH,

BIURO KOMISARZA OKRĘGOWEGO.

W drzwiach stał Hennessy, najwyraźniej nie mając chęci na przekroczenie progu terytorium, na którym wiedział, że byłby niemile widziany. Na szczęście zdawał sobie sprawę, że nie powinien okazywać satysfakcji.

— No dobra, Hennessy — odezwał się Stoneley. — O co w tym wszystkim chodzi?

— To nie jest sprawa dla miejscowej policji. Przykro mi, że to pana zdenerwowało.

— Zdenerwowało? Oględnie pan to ujął. Jestem wściekły jak cholera. Co pan tam kombinuje za moimi plecami?

Hennessy ostrożnie postąpił parę kroków. — Nic nie kombinuję — przekonywał. — Powiedziałem panu tyle, ile mogłem.

— Ale ja się nie zgadzam.

— Niestety, nie ma pan wyboru.

— To się jeszcze okaże. Kto panu wydaje polecenia?

— Mówiłem już, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. To ich decyzja, nie moja.

— Więc nie mają prawa nam rozkazywać — oznajmił triumfalnie Stoneley. — My odpowiadamy przed miejscową władzą, nie przed Ministerstwem.

— Wiem o tym. Nieważne, przed kim pan odpowiada. Rozkaz i tak obowiązuje.

Obsługa radia i centralki telefonicznej wpatrywała się w swój sprzęt z przesadną uwagą, za wszelką cenę pragnąc sprawić wrażenie, że się nie przysłuchują rozmowie.

— Nie dam się na to nabrać — zareplikował Stoneley. — Nie ma pan nade mną władzy konstytucyjnej. Nie zaszedłbym tam, gdzie jestem, nie wiedząc, jak działa ten system.

— Nie twierdzę, że mam nad panem jakąś władzę — zauważył Hennessy. — To nie moje nazwisko widnieje pod rozkazem.

Fakt. Hennessy nie mógł wydawać mu poleceń, lecz Stanneyforth jak najbardziej. — No dobrze — powiedział Stoneley. — Dosyć tej zabawy. — Wyciągnął przed siebie teleks. — Co pan o tym wie?

— Nic — odparł Hennessy z fałszywą skromnością. — Jestem tylko urzędnikiem państwowym.

— Niech mi pan nie wciska takiej gadki. Ten drań Stanneyforth załatwił nas jak neptków, żeby się panu przypodobać. Co mu pan obiecał i dlaczego?

Zadzwęczała centralka. Obsługa niechętnie założyła słuchawki i zajęła się połączeniem.

— Nic pan w ten sposób nie zyska — ostrzegł Hennessy. — Niech pan odwoła ludzi i ściągnie sprzęt nim wpakujecie się w prawdziwe kłopoty.

— Czyja dobrze słyszę? Chce pan pouczać komisarza okręgowego, co ma robić?

— Ja tylko dobrze radzę. To pański szef wydał panu polecenie. Uważam, że rozsądnie byłoby je wykonać.

Stoneley przez moment mierzył Hennessy'ego gniewnym wzrokiem.

— Zadzwoń do niego — powiedział, ale w jego głosie brzmiała już gorzycz porażki.

— Dobry pomysł — zgodził się Hennessy.

Stoneley wskazał palcem tekst na teleksie. — Mogli to przysłać nie wiadomo skąd.

— Chyba nie. Niech pan sprawdzi kod.

— Miałem taki zamiar. — Stoneley rzucił okiem na sześć aparatów telefonicznych i zauważył udawaną obojętność na twarzach obsługującego je personelu. Potem udał się do biura kierownika szkoły, gdzie telefon nadal miał bezpośrednie wyjście na zewnątrz.

Hennessy poszedł za nim. — Niech pan od razu zadzwoni do ministra spraw wewnętrznych, jeśli dostanie pan połączenie. I do szefa Policji Państwowej.

Stoneley odwrócił się i zatrzymał w drzwiach, blokując Hennessy'emu wejście. — Dlaczego pan to robi? — spytał, wpatrując się w twarz urzędnika i usiłując coś z niej wyczytać. — Co było takiego, do cholery, w tej klinice, co was tak przeraża?

— Wydawało mi się, że miał pan zadzwonić — powiedział Hennessy.

Zaczekał na zewnątrz, a Stoneley kopnięciem zamknął drzwi biura i zatelefonował na komendę. Dowiedział się, że Stanneyforth jest na zebraniu

i nie można mu przeszkadzać, ale owszem, wydano takie polecenie, opatrzone numerem 0856. Stoneley cisnął słuchawką silniej, niż to było konieczne, po czym opadł na fotel, ponuro wpatrując się w aparat telefoniczny. Nie miał zamiaru nigdzie więcej dzwonić — aby nie dostarczać Stanneyforthowi amunicji, którą kiedyś, w przyszłości, mógłby przeciw niemu wykorzystać. Pchnął krzesło i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Hennessy bez komentarza odsunął się na bok, gdy Stoneley podchodził do centralki.

— Połącz się ze wszystkimi wozami na farmach — polecił. — Niech natychmiast wracają. Żadnego bałaganienia.

Telefonistka sięgnęła po listę kodów samochodowych. Stoneley uniósł wzrok i zobaczył, że Hennessy nadal stoi przy drzwiach biura. Wyglądał na może odrobinę zakłopotanego, ale mogło to być złudzenie.

— Czy to dlatego, że nie schwytaliśmy mordercy od razu? — zapytał. — O to chodzi?

— To nie ma z tym nic wspólnego.

— Wie pan, policja ma swoje metody działania. Nigdy nie łapiemy pierwszego z brzegu bandziora, który akurat kręci się w pobliżu, bo poważnie nic z tego nie wynika. Pracujemy wolno i metodycznie i jestem w tym dobry.

— Nie wątpię w to — gładko zapewnił go Hennessy. — Tu absolutnie nie chodzi o pańską osobę.

— To niewielka pociecha. Gdybyśmy mieli czas i możliwości, by wykonać naszą robotę, złapalibyśmy go. — Rozprostował zgnieciony teleks i jeszcze raz go przeczytał, uśmiechając się gorzko przy wzmiance o jednostkach specjalnych. Potem gwałtownie zmiął cienki papier w kulkę i rzucił ją w kierunku kosza. Odbiła się od ściany i potoczyła po podłodze, lecz Stoneley wychodził już z szatni, a Hennessy popędził za nim.

Jasnowłosa policjantka wymieniła rozbawione spojrzenie z telefonistą i podeszła, by podnieść zmięty świstek. Do niczego nie mógł się już przydać, gdyż była to ostatnia kopia żółtej rolki, lecz policjantka najpierw rozprostowała go i przeczytała ze zdumioną miną, nim zdecydowała się podrzeć papierek i wyrzucić strzępki do kosza. Wydawało się jej, że usłyszała, jak Hennessy, krocząc za Stoneleyem, mamrocze coś do siebie.

Chyba brzmiało to jak: Tego się właśnie obawiałem.

7. Farma Ravens' Crag wznosiła się wysoko na zboczu doliny. Składała się z kilku starych zagród dla owiec i postawionych bezładnie, zaniedbanych budynków, z których rozciągał się widok na jezioro i biegnącą o milę

niżej szosę. Przed porannym chłodem chroniła Desmonda Gaskella stara kurtka i trzy pulowery; pracował już od paru godzin. Lata harówki na powietrzu zahartowały go — całe dni spędzał w ponurym zimnie i zacinającym deszczu, z natury też był powolny i cierpliwy, dzięki czemu zdołał nie poddać się rozpacz.

Naprawiał dziurę w ogrodzeniu owczarni, znajdującej się o milę od farmy. Niektóre mury pamiętały jeszcze czasy średniowiecza, kiedy to stawiano je pod nadzorem mnichów z opactwa Furness. Właściwie nie wymagały naprawy, tylko od czasu do czasu jakiś kawałek trzeba było dosztukować. Gdyby szkodę tak zostawić, owce mogłyby wydostawać się przez wyrwę, powiększając ją coraz bardziej, tak że niebawem ogrodzenie przestałoby istnieć. Gaskell zdawał sobie sprawę, że słabo zna się na murarce i silny mróz może zniszczyć całą robotę, ale był bezradny: nie stać go było na wynajęcie któregoś z dwóch zawodowych murarzy mieszkających w dolinie.

Brama do zagrody zbudowana była ze starego drewna, zamykało się ją na pętlę ze sznura, przymocowaną do wbitego w słupek gwoździa. Sama zagroda miała kształt nieregularnego trójkąta ograniczonego z dwóch stron frontem domostwa oraz ślepymi oczami obory. Spoglądały one przez niski murek na bezładnie porozrzucane przybudówki, z których większość była zbyt zbutwiała i popadająca w ruinę, by przydały się komukolwiek prócz kurcząt, błakających się wokół zagrody i wydziobujących co się da z przyległego, kamienistego pola.

Farma najwyraźniej podupadała. Jej właściciel, agent londyńskiego syndykatu myśliwskiego, zdawał sobie sprawę z tego stanu rzeczy i nie zamierzał mu przeciwdziałać, czekał po prostu, aż sytuacja pogorszy się na tyle, że Gaskell zrezygnuje z pracy dobrowolnie, a opustoszały teren przejdzie pod wspólny zarząd z sąsiednim majątkiem. Gaskell zamknął za sobą bramę i mijając zagrodę gwizdnął na psy.

W pół drogi do domu, gdy Gaskell poczuł już zapach smażonego bekonu, farmer spostrzegł, że drzwi stodoły uchylone są na parę cali. Były stare i wypaczone, a drewno, z którego obłaziła farba, niebezpiecznie przechyliło się, jeśli nie zamknięto ich na haczyk. Dwojgu swym dzieciom zabronił bawić się w stodole, gdyż stryżek w każdej chwili mógł się zawalić, a w pułapki na szczury zawsze coś się złapało, lecz miał wrażenie, że jego nakaźów nie traktowano zbyt serio, były raczej wskazówkami, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zdołają skryć się przed jego wzrokiem. Nim dokładnie zamknął drzwi, zajrzał jeszcze do stodoły, gdzie w błękitnej smudze

światła stał przykryty brezentem, bezużyteczny traktor. Latem był on niezbędny przy pracach polowych, lecz zimą na nic się nie mógł przydać. Pierwszy śnieg na tych wysokościach spadnie za parę tygodni, może jeszcze przed końcem miesiąca.

Psy nie przybiegły na gwizdnięcie, ale Gaskell nie miał czasu by się nad tym zastanowić, gdyż uwagę jego przykuła policyjna furgonetka, tarabaniąca się po zboczach na farmę. Na początku zasłaniały ją przydrożne drzewa, a gdy się zza nich wyłoniła, Gaskell usłyszał warkot pracującego na najwyższych obrotach silnika, kiedy samochód, jęcząc rozdzierająco, wspinał się na wzgórze. Zamiast więc wrócić do domu, Gaskell podszedł do bramy i zaczął czekać, aż furgonetka zahamuje.

Z wozu wysiadło dwóch mężczyzn, ale nie było wśród nich miejscowego posterunkowego, Crichtona. Umundurowany policjant dźwignął się zza kierownicy, a ten w cywilu wysiadł z drugiej strony. Przednie drzwi zostały otwarte, by służyć jako radio, a gdy podeszli do bramy, tajniak wyjął odznakę. Czysta formalność; machnął nią tak szybko, że Gaskell nie zdążył niczego przeczytać, nawet zresztą nie próbował.

— To pańskie gospodarstwo? — spytał, zbliżając się, Barry Lennox.

— Nie moje. Jestem dzierżawcą.

— No, to mniej więcej to samo. Chciałbym zadać parę pytań i trochę się rozejrzeć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Ma to związek z kliniką, prawda?

Lennox przyjrzał mu się badawczo, usiłując ukryć zainteresowanie. — Słyszał pan o tym?

— Słyszeli chyba na każdej farmie w dolinie. Tyle było huków, kiedy wybuchła.

— Może nam pan opowiedzieć, co pan widział?

Gaskell wzruszył ramionami i przestąpił z nogi na nogę, wpatrując się w ziemię jak nerwowe dziecko, poproszone o wyrecytowanie wierszyka. — To się zdarzyło tuż przed świtem, więc byłem już na nogach. Usłyszałem wybuch, a kiedy spojrzałem w kierunku wioski, zobaczyłem ogień na zboczach góry.

— Zawiadomił pan straż? — wtrącił się policjant w mundurze.

Stał parę jardów dalej, przyglądając się przybudówkom i sprawiając wrażenie nieobecnego.

— Nie mogłem — odparł Gaskell. — Nie mam telefonu.

Lennox zerknął na przeciągnięte w górę przewody telefoniczne.

Biegły od budynku do słupa koło drzew, a następnie przez zakopany w ziemi kabel łączyły się z siecią Telecomu. — A to co takiego? — zapytał.



— Linia jest, ale nie mogliśmy zapłacić rachunku, więc nas odcięli. — Po czym, jakby się usprawiedliwiając dodał: — Specjalnie nam tego nie brakowało.

— I nie próbowaliście interweniować? — spytał umundurowany policjant.

Drzwi domu otworzyły się i pojawiło się w nich dwoje dzieci: dziewczynka mniej więcej dziesięcioletnia oraz chyba siedmioletni chłopiec. Oboje mieli na sobie ciepłe palta, a na nogach kalosze. Stanęli przy schodkach i z daleka obserwowali przybyszy.

Gaskell znowu przestąpił z nogi na nogę i włożył długie, kościste ręce do kieszeni. — Wasi ludzie przyjechali po jakichś dziesięciu czy piętnastu minutach. Mam stąd dobry widok na zakręt przy jeziorze.

Lennox skinął głową. Widział w dole szosę, biegnącą przez ponad dwie mile wzdłuż jeziora. — Zauważył pan wczoraj coś dziwnego czy niezwykłego?

Gaskell zastanawiał się przez chwilę. — W wiosce był straszny ruch.

— Ale oprócz tego. Włoczyli się tu jacyś nieznajomi, ktoś chodził po górach?

— Nie o tej porze roku. W dolinie zawsze jest spokojnie.

— Możemy się rozejrzeć po podwórku i przybudówkach? — spytał Lennox.

— Jeśli mi powiecie, czego szukacie.

— Sami nie bardzo wiemy — odparł Lennox, gdy umundurowany policjant otworzył bramę, a Gaskell usunął się, by go przepuścić. — Sprawdzamy wszystkie farmy w okolicy.

— Tylko wy dwaj? — spytał nieco zdziwiony gospodarz.

— I jeszcze paru.

Gaskell odwrócił się i przez chwilę obserwował umundurowanego policjanta. Lennox miał rację, posterunkowy nie wiedział, czego szuka. — Nie jesteście stąd — zauważył farmer. Dwójka dzieci, Peter i Sarah, nadal przypatrywała się im z wytrzeszczonymi oczyma, nie ruszając się z progu, a z tyłu za nimi lekko zafalowała zasłonka w kuchni.

— Przyjechaliśmy z miasta — odparł Lennox. — Kręcimy się po okolicy.

— Widzę. Ktoś zginął, prawda?

— To była poważna katastrofa — odparł ostrożnie Lennox. — Stałby się cud, gdyby wyżyli.

Gaskell nachmurzył się i znowu przestąpił z nogi na nogę. — Jeśli to był wypadek, to czego szukacie?

Powolny, lecz logiczny tok rozumowania farmera sprawił, że Lennox

poczuł się nieswojo. — Musimy wziąć pod uwagę wszystkie ewentualności.

Policjant w mundurze poszedł do stodoły. — Czy drzwi są zamknięte na klucz?

— Na skobel. — Gaskell nie podniósł głosu, zabrzmiał on jednak wystarczająco donośnie. — Niech pan chwilę zaczeka.

Gdy Gaskell ruszył w stronę policjanta, Lennox usłyszał trzaski i szumy samochodowego radia, a potem charakterystyczny sygnał wywoławczy policji. — Zaczekajcie chwilę — zawołał — będzie wiadomość z operacyjnego.

Podbiegł do furgonetki i sięgnął po mikrofon. Prowizoryczna centralka nadawała: „Delta Cztery, zgłoś się”, nacisnął więc przycisk „odbiór”.

— Tu Delta Cztery.

— Zwijajcie namioty, chłopcy, i wracajcie do wsi — rozległo się przez zakłócenia w eterze. — Cała sprawa jest zawieszona.

— Jak to zawieszona?

— Nie pytaj mnie, ja tylko przekazuję wiadomość. Jedna rzecz — jak przyjedziecie, trzymajcie się z dala od Stoneleya.

Policjant w mundurze mijał właśnie bramę, a tuż za nim podążał Gaskell z wyrazem nieufności na kanciastej, ogorzałej twarzy. Z drugiej strony podwórka ciągle obserwowało ich dwoje dzieci i jeszcze ktoś w kuchni — Lennox nagle nabrał przekonania, że chyba już od dawna nie przytrafiła się tej rodzinie taka rozrywka. — Trzymać się z dala od Stoneleya? — powtórzył. — Dlaczego?

— Małe spięcie z tym typem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a nasz ukochany wódz zdaje się ciężko to przeżył.

— Szef? Nie wierzę. — Umundurowany policjant oparł się o błotnik i pochylił, by lepiej słyszeć, a Gaskell został parę kroków za nim.

— Więcej ani słowa. No, dosyć tych pogaduszek, muszę mieć ciszę w eterze. Mam jeszcze nadać pięć komunikatów.

— Delta Cztery, koniec odbioru — wygłosił automatycznie Lennox i odwiesił mikrofon.

— Odwołują nas? — spytał zdumiony policjant. — Dlaczego?

Lennox zsunął się z fotela kierowcy i przeszedł na swoją stronę furgonetki. — Nie pytaj mnie — odparł. — Ja tu jestem od odbierania telefonów.

Mężczyzna w mundurze westchnął ciężko i odwrócił się do Gaskella. — Wycieczka odwołana — powiedział. — Ale i tak dziękuję.

Gaskell otworzył bramę, by furgonetka mogła cofnąć się i wykręcić,

a potem patrzył, jak podskakiwała na drodze, aż zniknęła za drzewami. Z powrotem zamknął bramę i podszedł do dzieci.

— Nie macie nic do roboty? — spytał z udawaną surowością, z jaką zawsze się do nich zwracał. Były zbyt duże, by szczebiotać do nich jak do maluchów, a głupio się czuł rozmawiając poważnie z tak małymi istotkami. Dosyć się namęczył z dorosłymi.

— Mamy, tato — odparły i pomknęły, zachowując pytania na później, gdy zbiorą jajka, nakarmią kurczaki, a rodzice przestaną się kłócić. Gdy mały Peter przebiegał przez podwórko, jego gumowce z hałasem zapadały się w błoto. Odziedziczył je po siostrze i ciągle były na niego za duże.

Żona posprzątała ze stołu po śniadaniu dzieci i postawiła jego nakrycie na gołym blacie. June Gaskell przewracała bekon na zbyt dużej patelni, robiąc przy tym więcej hałasu, niż to było konieczne. Od lat już w wyrazie jej twarzy była tylko udręka i niezadowolenie. Serce w Gaskellu zamarło, gdyż wiedział, co teraz nastąpi. Usadowił się na wygiętym krześle i czekał.

— Czego chcieli? — spytała June Gaskell nie odwracając się.

— Byli z policji.

— Tyle sama widziałam. Czego chcieli?

— Pytali o ten wielki wybuch wczorajszego ranka.

— A dlaczego mieliby pytać akurat ciebie?

Gaskell namyślał się nad odpowiedzią. Jest duże prawdopodobieństwo, że będzie zawierała słabe punkty albo nieścisłości, które tylko żona potrafi wychwytać.

— Pytali nie tylko mnie. Zaglądają do wszystkich.

— Tak tylko gadają. — Ze złością rozbila parę jajek o brzeg patelni i wylała ich zawartość na pryskający tłuszcz. — Potem będą chcieli cię przyłapać.

— Na czym?

— To właśnie chciałabym wiedzieć.

— Pytali tylko, czy jakiś obcy nie kręcił się po górach.

— A kto by chodził w góry o tej porze roku? — W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby był to jego wymysł, głupi i absurdalny, ale nauczył się nie usprawiedliwiać, gdyż to rozjuszało żonę.

— Nie wiem — odparł. — Nikogo nie widziałem, więc nic im nie mogłem powiedzieć.

Dostał śniadanie, a dzieci wróciły do swoich obowiązków. Typowy wiejski posiłek: bekon w opakowaniu próżniowym, pomidory z puszki, grzanka — niejadalna kromka wybielonego chleba, a wszystko pochodziło z cotygodniowych zakupów w sklepie Hamiltona. Tylko jajka były z ich gospodarstwa — jedno z nich właśnie rozlało się na patelni.

Zbliżało się dziesięć po dziewiątej i dzieci były spóźnione do szkoły. June Gaskell dała im kanapki i jabłka, a potem stanęła w drzwiach, by sprawdzić, czy mają pozapinane guziki i czy żadna część ubrania niepotrzebnie nie wychodzi im na wierzch. Sarah uznała, że jest zbyt dorosła by poddawać się takim zabiegom, lecz Peter zgodził się na nie z miną wyrażającą melancholijną zadumę.

— Szukają kogoś, prawda? — spytał.

— Nikogo tu nie ma — ucięła June Gaskell.

Sarah uśmiechnęła się chytrze. — Założę się, że go nie znajdą. Na sto procent.

— Nie mieli do nas żadnego interesu — rzekła June Gaskell i obróciła Petera ku drzwiom. — Po prostu przejeżdżali tędy i tyle.

— Wiem, kogo szukają — oznajmił Peter, wyciągając rękę, by otworzyć drzwi.

— Ja też wiem — dodała Sarah.

Wyszli i razem stanęli na progu, dzieląc wspólny sekret; krew z jej krwi, nieprzyjazne istoty. — Spóźnicie się do szkoły.

— Może w ogóle nie będzie lekcji — stwierdził Peter z przesadnym rozczarowaniem, podszytym dużą dozą nadziei. — Może pani znowu odeśle nas do domu, jak wczoraj.

— Wczoraj to co innego — oświadczyła im. — Ruszcie się.

Gaskell wycierał talerz kawałkiem chleba, gdy jego żona zamknęła drzwi i podeszła do okna. Patrzyła, jak dzieci przechodzą przez podwórko, a potem maszerują drogą.

— Znowu zaczynają — odezwała się ze znużeniem.

— Słyszałem.

— Myślałam, że już im przeszło. Że już się to skończyło.

Gaskell skrzyżował nóż i widelec na pustym talerzu i sięgnął po stojący obok kubek herbaty, która studziła się na stole. — Rosną i tyle. Nie ma się czym przejmować.

— Tobie łatwo mówić. Nie masz ich na głowie cały dzień, kiedy są w domu.

Gaskell skurczył się wewnętrznie na dźwięk żoninych oskarżeń, którymi dręczyła go od lat. Tobie łatwo. Ty uważasz, że to w porządku. — Można się było tego spodziewać — przekonywał. — Mnóstwo dzieciaków wymyśla sobie towarzyszy zabaw. To nic nadzwyczajnego.

— I wierzysz w to tylko dlatego, że tak ci powiedział nauczyciel? Robiłeś tak, jak byłeś mały?

— To co innego.

— Ja na pewno niczego takiego nie wymyślałam.

— Nie wychowałaś się na farmie. Nie mają tu towarzystwa, więc ponosi je fantazja. Nie ma w tym nic złego.

— Nic złego? — powtórzyła i gwałtownie odsunęła się od okna. — Skąd wiesz, czy nic im się nie poprzestawia w głowach?

— Przejdzie im to, jak dorosną.

— Mówiłeś, że już im przeszło.

— Tak mi się wydawało. Słuchaj, jeśli ci zależy, jak następnym razem będę w wiosce, mogę jeszcze pogadać z nauczycielką.

— Pogaduszki nic tu nie pomogą. Muszą się stąd wyrwać zanim będzie za późno.

Powinien się tego spodziewać. Wysączył ostatnią kroplę herbaty i odsunął krzesło od stołu. — Znowu zaczynasz — powiedział.

— Owszem, znowu. I tym razem nie możesz sobie tak po prostu wyjść.

— Mam robotę — odparł, lecz w jego głosie była odrobina skruchy, gdyż w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że żona ma rację.

— Zagrzebaliśmy się tutaj jak w grobie. Co roku mamy więcej długów i mniej zarabiamy. Dlaczego nie chcesz sprzedać tego kramu i przenieść się do miasta?

Słowo „sprzedaż” było tutaj nie na miejscu. Prócz stada odpornych górskich owiec, cała reszta była własnością Deightona, nawet meble, pamiętające jeszcze czasy wojny. — A co ja będę robił w mieście? — powiedział. — Nie mam fachu, a jak spłacimy długi, ze sprzedaży nic nam nie zostanie.

— Dlaczego tylko nam tak się nie wiedzie? Dlaczego wszyscy inni farmerzy mają eleganckie samochody, a my nie możemy sobie pozwolić nawet na naprawę traktora?

— Bo nie pracują u Deightona, w tym cały problem. On chce, żebym się wyniósł i dlatego nie inwestuje.

— Więc idź do niego! — nalegała, kładąc na stole zaciśnięte pięści. — Przynajmniej z nim porozmawiaj!

Gaskell spojrział na żonę. W ciągu ostatnich paru lat zbrzydła bardzo, a wzrok jej stał się błędny, jak u zwierzęcia zamkniętego w klatce, które samo siebie gryzie i drapie pazurami.

— Przed nikim nie będę się płaszczyl — powiedział.

Żalodne utyskiwania urwały się jak nożem uciął, jej słowa przepojone były teraz jadem. — Pewnie, że nie. Prędzej twoje dzieci umrą z głodu.

— Umrą z głodu i zimna w mieście bez dachu nad głową. Nie ma tam dla mnie pracy.

— Bo nie chcesz jej poszukać. To beznadziejne. Dlaczego z tym wszystkim nie skończysz?

— Mam robotę — powtórzył i tym razem mówił poważnie.

Widząc nadchodzącego Gaskella, kilka lśniaco-czerwonych kur prze-rwało pogawędkę i rozbiegło się z gdakaniem. Odszedł już parę kroków od domu, gdy przypomniał sobie o psach — przydadzą mu się, by sprowadzić owce na niższe pastwiska. Nie przybiegły jednak na jego wezwanie. To do nich niepodobne — były dobrze wyćwiczone i czujne, a tak posłuszne, że nie przywiązywał ich nawet do budy pod przybudówką. Miał właśnie jeszcze raz na nie gwizdnąć, gdy ujrzał, że drzwi stodoły stoją otworem.

Podszedł ku nim zdumiony. Policjant nie byłby w stanie otworzyć skobla — trzeba nacisnąć i jednocześnie lekko unieść drzwi — Gaskella zaś nie było w pobliżu, by mu pomóc. Potem policjantów odwołano przez radio. Może docisnął drzwi do końca, a skobel odskoczył, gdy nikt tego nie widział.

Gaskell szybkim ruchem otworzył drzwi i wszedł do środka. Poczł zapach myszy i zbożowego pyłu, zatęchłej paszy i mokrych gazet. Uniósł róg poplamionego brezentu, który zarzucił na traktor, by osłonić przed kurzem na wpół rozebrany silnik, nieomal modląc się, by pod jego nieobecność zdarzył się cud i silnik, znowu złożony do kupy, zaczął sprawnie działać.

Niestety. Odslonięte serce pojazdu zionęło czernią i połyskiwało zakrzepłym olejem. Doprowadzenie traktora do porządku wymagało ręki fachowca, a nie mógł zaciągnąć pożyczki, przekroczył już bowiem konto w banku i nie miał nic pod zastaw. Żałował, że w czasie dziesięciu lat swojej dzierżawy nie nawiązał przyjaźni z mieszkańcami doliny, lecz June zawsze uważała, że farmerzy i ich żony spoglądają na nią z góry mając za złe, że nie pochodzi ze wsi. Nie chodzili do kościoła, nie mieli też w okolicy rodziny, która mogłaby stanowić dla nich oparcie, a więc nie dysponowali żadnymi atutami.

W powietrzu czuło się coś jeszcze, zapach, który z niczym mu się nie kojarzył; dziwną, piżmowatą słodycz, trudną do zidentyfikowania. Coś otarło się o kark Desmonda Gaskella i...

**8.** Mniej więcej dwadzieścia po dziewiątej policyjne patrole zaczęły zjeżdżać z powrotem, by się dowiedzieć, że mają wszystko spakować i ruszać do domu. Z pokoju operacyjnego należy usunąć cały sprzęt, a zebrane dotychczas informacje zgarnąć do jednej teczki. Hennessy dzwonił z hotelu do swego londyńskiego biura, przypuszczalnie instruując personel, jak zawiadomić krewnych ofiar z kliniki, aby uniknąć rozgłosu. Tymczasem Stoneley wziął intruza za słowo i odwołał nawet blokadę — jeśli chce

trzymać ludzi z dala od doliny, w porządku, lecz niech sam to zorganizuje. Forester wjechał do wioski bez kłopotów i w pokoju kierownika szkoły natrafił na Stoneleya, posepnie wpatrującego się w filiżankę zimnej herbaty z hotelowego termosu.

— Jest pan zajęty? — spytał Forester od progu.

Stoneley, który najwyraźniej nie miał nic do roboty, odparł: — Owszem.

— Chciałem zamienić z panem słówko. — Forester wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Stoneley był rad, że zostanie mu oszczędzony widok pokoju operacyjnego, ogałacanego ze sprzętu i rozbieranego na kawałki, lecz nagle coś przyszło mu do głowy.

— Chwileczkę — powiedział — nie jest pan chyba z prasy?

Forester pokręcił głową, a Stoneley westchnął rozczarowany, gdyż umknęła mu szansa storpedowania wersji Hennessy'ego.

— Byłem tu wczoraj — powiedział Forester — ale nie chciałem się pan ze mną widzieć. Chodzi o ten wypadek.

— Jaki wypadek?

— No właśnie. Chcę się dowiedzieć, dlaczego wciśnięto mi ten kit, gdy pytałem o moje dziecko.

Coś zaświtało Stoneleyowi w głowie. — Teraz sobie przypominam, mówiło się o tym wczoraj. Chyba wszystko się wyjaśniło.

— Może panu to wystarcza, ale mnie nie. — Forester odsunął się od drzwi i obrzucił wzrokiem pokój, jakby w poszukiwaniu wrogów i kłamców. Stało przed nim drugie krzesło, ale z niego nie skorzystał.

— Nie było tu żadnych dzieci — oznajmił mu Stoneley, czując się nieco zakłopotany tą lustracją. — Nic o tym nie wiem.

Forester zatrzymał się i popatrzył na niego znad biurka. — Mojego by pan nawet nie zauważył — powiedział. — Na tyle jeszcze nie urosło.

O Jezu, pomyślał Stoneley, gdy Forester świdrował go przenikliwym spojrzeniem, to wariat. — Inspektor Schaffer powiedział mi, że rozmawiał już z panem na ten temat. Mówi pan o jajeczku w butelce, tak?

— Dość brutalnie pan to ujął.

— Przepraszam, ale od rana nie jestem w zbyt poetyckim nastroju. Może pan się uważać za szczęściarza, skoro tylko tyle pan stracił.

— Tylko tyle — powtórzył jak echo Forester. — Co to ma znaczyć „tylko tyle”?

— To znaczy, że klinika była pełna żywych, dorosłych ludzi, synów i córek, kochanków i przyjaciół. Jeśli tacy ludzie znikają nagle z powierzchni ziemi, zostaje spora luka.

— Więc uważa pan, że nie mam powodów do rozpaczyny. Zgadza się?

Za drzwiami upadło coś ciężkiego, a wnioskując z zamieszania, był to jakiś kosztowny przedmiot. Następnie przytłumiony dziewczęcy głos powiedział: „O kurczę”, po czym rozległo się klaskanie jednej pary rąk. Stoneley odsunął na bok herbatę. Wolał, by była zimna; jeśli dostawał ciepłą, czuł się zobowiązany do jej wypicia.

— Uważam, że w porównaniu z innymi stracił pan naprawdę niewiele — stwierdził. — Niech się pan uważa za szczęściarza i wraca do domu.

— Nie jestem pewien czy to zrobię. To zależy — powiedział Forester.

— Od czego?

— Od tego, jak zamierzacie zatuszować sprawę.

— Zatuszować? — wykręcał się Stoneley. — O czym pan mówi?

— A ta gadka o wypadku? Wiem, że to nieprawda.

— Kto panu powiedział?

— Carson, zeszłego wieczoru w hotelu.

— Carson? — powtórzył Stoneley lekceważąco i wstał z krzesła, by podejść do okna, gdzie znalazłby się nieco poza zasięgiem agresji Forestera, nad którą, trzeba przyznać, facet całkowicie panował. — Ma za dużo pieniędzy, a za mało rozumu. W żadnym razie nie brałbym pod uwagę jego opinii.

— Dalej chce mnie pan przekonywać, że to nie było morderstwo? I powiada pan, że nie będziecie szukać winnego?

— Z niejaką ulgą chciałem oznajmić, że nie mam już z tym nic wspólnego.

— Co to ma znaczyć?

Za biurowym okienkiem z małą szybką rozciągał się widok na bujną łąkę. Wysoka, wyblakła trawa, nietknięta przez bydło, porastała teren aż do stromego wzniesienia na zboczu doliny. — To znaczy, że nie prowadzę już śledztwa — oznajmił Stoneley. — To znaczy, że nie będę musiał uprawiać dyplomatycznych gier, by kupa przyrośniętych do biurka jajogłowych detektywów była zadowolona, uważając, że trzymają rękę na pulsie i żeby mogli podzielić się zaszczytami za moją harówkę, kiedy przyprowadzę im mordercę. A przede wszystkim to znaczy, że nie znajdę mordercy.

— Więc ujdzie mu to płazem? — zapytał oszołomiony Forester.

— Nie wiem. O wszystko proszę pytać Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Ale niech pan nie myśli, że uda się coś z nich wyciągnąć.

— A więc miałem rację. — Forester mówił już tylko do siebie. — Ta gadka o wypadku służyła do zamydlenia oczu. Teraz wszystko się zatuszuje i spokój.



Gdzieś w górze za oknem widać było fragment drabiny opartej o rynnę; wszystkie zespoły pewnie już wróciły, więc można ściągnąć maszt. — Ta gadka miała załatwić zupełnie co innego — powiedział Stoneley. — To tylko niezręczny wykręt, by trzymać ludzi z dala od doliny, gdyż chcieliśmy się tu zainstalować. Gdyby przyjechał pan godzinę wcześniej, powiedzieliśmy, że ten teren jest objęty kwarantanną.

— I co teraz?

— Chyba wejdzie tu wojsko. Mnie to już nie obchodzi.

— Jasne — rzucił Forester ze złośliwą goryczą — założę się, że to panu odpowiada.

Stoneley odwrócił się od okna, zionąc wściekłością z powodu tego ciosu poniżej pasa. — Nie ma pan prawa tak mówić. To najgorsza zbrodnia, jaka zdarzyła się w tym rejonie w ciągu całej mojej kariery zawodowej, i wcale nie miałem ochoty przerywać śledztwa. Nadal badałbym sprawę, gdyby mi jej nie odebrano.

— Dlaczego to zrobili? Co oni ukrywają?

— Coś panu poradzę. Niech pan nie zadaje takich pytań. I niech panu nie przyjdzie do głowy, iść z tym do prasy. Uprzedziłem już Carsona, w razie gdyby wpadł na pomysł, by o tym napisać. Ja mogłem tylko prosić redaktorów, żeby poszli mi na rękę, lecz Hennessy i jego banda mogą w ogóle zablokować informacje.

— Całkiem pana wymanewrowali?

Stoneleya kusilo, by wyjawić coś więcej, lecz wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. — Chyba dość panu naopowiadałem — odparł, zmuszając się do zachowania spokoju. — Panie Forester, ze względu na pańskie własne dobro, niech się pan w to nie miesza. Może pan być wdzięczny, że wiele pan nie stracił. Niech pan poczeka na oficjalną wersję, wystąpi o odszkodowanie z firmy ubezpieczeniowej i spróbuje jeszcze raz. — Jego słowa znaczyły mniej więcej: „nie ma się co stawiać, i tak pan nie wygra” — i parzyły Stoneleya jak ogień. — Skoro ja jestem bezsilny, to pan tym bardziej.

Forester przyglądał się Stoneleyowi przez chwilę. Wydawał się nieobecny, wszystko miał na chłodno wykalkulowane. — Oficjalny raport. Owszem, poczekam na niego — powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł z biura.

W hallu likwidowano prowizoryczne przepierzenia. Dziesięć worków na mięso leżało w rzędzie na środku korytarza. Ubrania i wszelkie drobiazgi odesłano do analizy poprzedniego wieczoru, a teraz z Carlisle przybyły dwa nieoznakowane pojazdy, by zabrać zwłoki na sekcję. Gdy usunie się worki, klasa szkolna powróci do poprzedniego stanu, z dziecięcych ust znowu

popłyną religijne pieśni, a ławki przestaną służyć za katafalki. Na Stoneleya podziałała makabra tego porównania, biedne gnojki, pomyślał, gdyby wiedziały, co czeka je na końcu drogi. Udając się na poszukiwania Mike'a Schaffera, poczuł się stary i wykończony. Schaffer rozmawiał z patologiem siedzącym już w samochodzie. Gdy skończył i odwrócił się, ujrzał, że Stoneley czeka na niego samotny i opuszczony, jak dziecko, z którym nikt nie chce się bawić. Schaffer nie wiedział jeszcze, że zostali zmuszeni do odwrotu — dopiero co przybył z konwojem pogrzebowym — lecz natychmiast wyczuł, że coś jest nie w porządku. Miej się na baczności, ostrzegł samego siebie.

— Przepraszam, że tak późno — powiedział — ale trochę się zeszło, nim ciężarówka wjechała pod górę. Część drogi się rozmyła.

— Cóż — odparł Stoneley z rezygnacją — mogły nam być potrzebne wczoraj.

— A dzisiaj nie?

— Nie. Mamy załadować wszystkie ciężarówka i odesłać je z powrotem.

Taka technika operacyjna w przypadku poważnych zbrodni była dla Schaffera zupełną nowością. — Dlaczego? — spytał oszołomiony.

— Bo się zwiijamy, dlatego.

— Złapał go pan? — spytał Schaffer z olbrzymią nadzieją w głosie i odrobiną rozczarowania.

Stoneley błyskawicznie ostudził jego zapal.

— Nie będziemy mieli okazji. Hennessy przejął dowodzenie i pozbywa się nas.

— Hennessy? — Wczoraj był tylko niegroźnym typkiem. — Może to zrobić?

— Już zrobił.

— No nie — powiedział Schaffer, kręcąc głową. — No nie, tego już za wiele.

— Możesz schować swoje argumenty do kieszeni. Użyłem ich wszystkich. Hennessy sprowadza swoich ludzi i to załatwia sprawę.

— Założę się, że jakichś amatorów.

Stoneley niespokojnie rozejrzał się wkoło, jakby bojąc się, że ktoś ich może podsłuchiwać. Schaffer dostrzegł w jego spojrzeniu znajomy błysk. Szeft nieznacznie kiwnął głową, nakazując Schafferowi iść za sobą, po czym obaj wyszli na ulicę, oddalając się od hotelu i całego panującego w nim zamieszania.

— Chyba masz rację z tymi amatorami — rzekł Stoneley. — Stwarza nam to szansę działania. Dajmy im dosyć sznura, a sami się zwiążą jak barany.

— Nie bardzo rozumiem.

— Pozwólmy durniowi udowodnić, że jest durniem. — Gdy stanęli koło budki telefonicznej, ze szkoły wyniesiono jeszcze dwa worki na mięso, po czym Stoneley perorował dalej: — Dlatego nie walczę już z Hennessym i nie rozwiążę całkowicie grupy operacyjnej. Nie będą mieli nic przeciwko temu, że zostawię tu człowieka z telefonem i podstawową dokumentacją, jaką do tej pory zebraliśmy — o ile nie pójdą na całość i nie zażądają wprowadzenia tu stanu wyjątkowego, ale podejrzewam, że na to musieliby mieć zgodę parlamentu.

Doszli już prawie do sklepu Hamiltona i Schaffer uśmiechał się z aprobatą na myśl o tej zakamuflowanej, lecz trafnej strategii. — Żal mi tego faceta, kimkolwiek będzie — powiedział.

— Nie żałuj go za wcześnie.

Uśmiech Schaffera jaśniał jeszcze przez chwilę, po czym nagle zgasł. Zaraz, chwileczkę — zaprotestował, lecz Stoneley błyskawicznie uciął jego obiekcje.

— Jesteś najlepszy. Wiem, że mogę ci zaufać.

Przystanęli przed sklepem, obwieszonym pordzewiałymi emaliowanymi tabliczkami mającymi zachęcać klientów do kupowania tu kawy i herbaty. W zakurzonej witrynie na tle wyblakłej tapety ustawione były też puszki z toffi i miętowymi cukierkami. — Przecież jestem inspektorem — bronił się Schaffer. — Chyba nie chcesz, żebym zbijał baki i udawał, że pracuję.

— Nie będziesz się obijał. A ja muszę mieć bystrego fachowca, żeby mi meldował, co się tu wyprawia.

— Ale ja mam urlop — jak tonący brzytwy Schaffer uchwycił się swej ostatniej szansy. Równie dobrze skazaniec mógłby próbować odłożyć egzekucję z powodu wizyty u dentysty.

Stoneley od razu go zgasił. — Urlop odwołany. Masz z tego jeszcze dodatkową korzyść, bo twoje obowiązki przejął już ktoś inny. Wiesz, że nie przychodzi mi to łatwo. Pewnie zjawią się tu całe watahy różnych obiboków, lecz w dalszym ciągu mamy do czynienia z wielokrotnym morderstwem i zabójca pewnie ciągle jeszcze kręci się po okolicy. Nie możesz całkiem machnąć na to ręką tylko dlatego, że nie pozwolili ci grać Sherlocka Holmesa.

Powoli ruszyli z powrotem. — Kogo grać?

— Nieważne, jesteś za młody. Wybierz potrzebny sprzęt i zainstaluj się w szkole. Jeśli kierownik będzie robił jakieś trudności, skieruj go do mnie. Kiedy Hennessy i jego wojskowe łamagi dojdą do wniosku, że jesteśmy niezbędni, będziemy na miejscu. Czy będziesz czegoś potrzebował?

Jasne, pomyślał Schaffer, mógłbyś zostawić mi Ellen O'Brien i łożko wodne, lecz odparł tylko drewnianym głosem: — Wszystko sobie załatwię.

Stoneley z aprobatą poklepał go po ramieniu i rozchmurzył się. — Dobra — powiedział. — Chodźmy teraz do hotelu i napijmy się tego gotowanego gówna ze zdechłych rybek, które uchodzi tu za herbatę.

Przed wejściem do szkoły sierżant — usiłując bez większego powodzenia odgrywać rolę dobrodusznego, łagodnego wujaszka — tłumaczył grupce dzieciaków, że dziś również nie będzie lekcji. Szkraby wysłuchały tej nowiny i trzymając w rękach karteczki z informacją dla rodziców, wróciły do domów. Gdy tylko oddaliły się na bezpieczną odległość, pobiegły ulicą wrzeszcząc, skacząc i przezywając się. Stojący przed hotelem Schaffer przyglądał się, jak przemykają między zaparkowanymi ciężarówkami.

Mają smarkacze szczęście.

Tuż po pół do dziesiątej Carson ze wzgórza obserwował wioskę. Ponad drzewami dostrzegał dachy chat i sylwetkę hotelu, lecz gdyby wspiął się wyżej, gdzie droga nieco ostrzej zakręca, całkowicie straciłby je z oczu. Wyraźnie widział teraz jezioro i szczyty gór na horyzoncie, spowite mgłą i wyraziste jak warstwy papieru na chińskiej akwarelce. Gdy ustał mu w piersi ostry ból, odwrócił się i ruszył w górę.

Dzisiaj miał na sobie narciarską kurtkę, a na nogach ciężkie buty o rowkowanej podeszwie. Wiedział, że da sobie radę na utwardzonej powierzchni, jeśli będzie się posuwał w kierunku kliniki śladem zakopanego kabla telefonicznego, oznakowanego betonowymi słupami, wkopanymi w miękką ziemię na skraju asfaltowej drogi, lecz zdawał też sobie sprawę, że nie jest przygotowany na wędrowkę po lasach czy górskich szczytach. Doszedł do wniosku, że w innych okolicznościach mogłoby mu się tu nawet podobać, a może wręcz zachwyciłby się wyludnioną po sezonie okolicą. Zimą nie było tu zbyt wielu turystów, dlatego postanowił odwiedzić jeszcze kiedyś to miejsce, oddalone od małomiasteczkowego zgiełku i leczące z hotelowej klaustrofobii. Tu w górze powietrze było rześkie i zimne, a przenikliwy wiatr chłodził jego ciało.

W wiosce nikt nie zainteresował się jego eskapadą i nie próbował go zatrzymać, bez przeszkód więc dotarł do rozwidlenia dróg. Trasę wyznaczały plastikowe stożki, a po półmilowej wspinaczce mięśnie ud i łydek uznały, że skargi na nic się nie zdadzą i przemierzając kolejne kilometry zaczęły pracować zgodnym rytmem. Po przebyciu trzech czwartych mili Carson

natrafił na gwałtowny uskok, po czym jego oczom ukazały się ruiny kliniki Jennera.

Wiatr zwał większość plastikowych i brezentowych płacht, a potem owinał je wokół budynków, tak że widok ten przypominał olbrzymią ludzką czaszkę pokrytą warstwą śmieci. Dwa wraki samochodów, do połowy zagrzebane w ziemi, tkwiły na poboczu, a przy bramie Carson zauważył samotną postać kobiety wyglądającej przez sznurowaną barierkę.

Alison nie zareagowała na odgłos kroków i nie odwróciła się, gdy Carson stanął tuż za nią. Dziewczyna miała na sobie rozpiętą cienką kurtkę, której poły szarpał wiatr. Szukała wzrokiem w pogorzelsku czegoś, czego tam nie było — może duchów.

— Nie zimno pani? — spytał Carson.

Przez moment wydawało się, że w ogóle nie usłyszała pytania, ale w końcu ocknęła się z zamyślenia. — Myślałam, że nikogo tu nie ma — powiedziała, niechętnie odrywając wzrok od ruin. — Kim pan jest?

— Nazywam się Peter Carson.

Nazwisko umknęło jej z pamięci prawie natychmiast. — Pan z policji?

— Nie. A pani?

Zaskoczyła ją dziwaczność tego pomysłu. — Ja? Nie. — Pokazała na górną część wypalonego skrzydła kliniki. — Tu był mój pokój, o tam.

— Pracuje pani dla Jennera?

— Pracowałam. — Ogarnęła wzrokiem poczerniałe budynki, ogrodzenie dziedzińca, morze zbrązowiałych, wysokich do pasa jesiennych paproci. — Na tym polu znaleźli Tracy.

— Wiem. To ja ją zidentyfikowałam.

— Dobrze, że nie musiałam tego oglądać. Widziałam kilku pogorzelsców.

Dziewczyna była wyraźnie w szoku.

— Tracy nie zginęła w pożarze — oznajmił, a Alison po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

— Tak mi powiedzieli.

— Każdemu mówią co innego. Wersje zmieniają się co dwie godziny. Chyba starają się coś ukryć.

Nie zrobiło to na niej większego wrażenia. — Czy Tracy była pańską żoną?

— Nie wiedziałem nawet, że była mężatką — przyznał zmieszany Carson.

— Ojej, mam nadzieję, że nie palnęłam głupstwa.

Gwałtowny podmuch wiatru zatargał brezentowymi płachtami. — Niech się pani nie obawia — odparł Carson. — Znaliśmy się bardzo krótko. Nieoczekiwanie zadzwoniła prosząc, bym tu przyjechał. Nigdy się nie dowiem, co chciała mi powiedzieć.

Z rozczarowaniem stwierdził, że znowu przestała zwracać na niego uwagę, bacznie przypatrując się martwym budynkom po drugiej stronie barierek. — Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała.

— Pani też pracowała w klinice?

Powoli niemal niedostrzegalnie skinęła głową. — Byłam w Londynie, przyjechałam dopiero wczoraj wieczorem. Inaczej mogłoby mnie spotkać to samo.

— Miała pani szczęście. Niech pani tak to potraktuje. — Chryste Panie, pomyślał, plotę androny. Trzeba wymyślić coś lepszego.

— To jakoś nie bardzo pomaga. Chciałabym tylko się stąd wydostać, ale ten... ten Stoneley nie pozwala mi wyjechać. Nie pozwala mi nawet poszukać moich rzeczy.

— Prawdopodobnie chce, żeby niczego nie ruszać.

— Dlaczego, skoro to był tylko wypadek?

— Nie wiem, mówiłem pani, że ich wersja co chwila się zmienia.

Alison stanowczo postanowiła otrząsnąć się z szoku. — No tak — powiedziała — ale teraz można skorzystać z jego nieobecności. — Podniosła linę i przeszła pod nią, zostawiając Carsona, który stał niezdecydowany i patrzył, jak dziewczyna ostrożnie stąpa po podwórzu. Przemógł się jednak i pomyślawszy: raz kozie śmierć, ruszył w ślad za nią.

Stanęła w drzwiach wyrwanych przez eksplozję i spojrzała w górę. — To kompletna ruina — powiedziała, a jej głos odbił się echem od resztek spalonych ścian. — Podłoga się zupełnie zapadła.

Carson przecisnął się przez szczelinę w murze. — Gdzie był pani pokój?

— Wyżej, na strychu. — Pokazała ręką skrawek nieba. Nagle coś przyszło mu do głowy.

— Pani nazywa się Wells? — zapytał.

— Tak, Alison Wells. Czy Tracy mówiła panu o mnie?

Carson nie zamierzał wyjaśniać, że widział jej nazwisko na karteczce przyklepionej do ciała Tracy, gdyż uświadomił sobie coś innego. — Wszystko, co tu znaleźli, zapakowali w worki i przewieźli do wioski.

Alison pokręciła głową. — Nie ma sensu tego szukać. Wszystko przepało. Wystarczy spojrzeć.

Wyszli na zewnątrz, by nie patrzeć dłużej na osmolone dymem ściany i dyndające deski czegoś, co było kiedyś podłogą pierwszego piętra. — Co pani ma zamiar teraz zrobić? — zapytał Carson.

— Wydostać się stąd jak najszybciej. Gdy tylko Stoneley mi na to pozwoli.

— Stoneley chyba przestaje zajmować się sprawą. Dlatego nie ma tu nikogo.

Alison potknęła się o kilka porzucanych kamieni i Carson wyciągnął rękę, by podtrzymać dziewczynę, ale nie skorzystała z jego pomocy. — Wycofuj się? — zapytała. — Tak szybko?

— Dowiedziałem się o tym pół godziny temu. Sprawę przejmuję jakiś Hennessy.

To nazwisko najwyraźniej nie było jej obce. — Hennessy? Przyjechał tu?

— Zna go pani?

— Właściwie nie. Słyszałam o nim w klinice.

Podeszli do tylnej części mało uszkodzonego farmerskiego domu. Carson był dziwnie podekscytowany towarzystwem dziewczyny. Przypadkowy obserwator mógłby ich wziąć za parę kochanków, przyjaciół lub kuzynów.

Ktoś zakaszał. A przynajmniej tak się Carsonowi zdawało.

— Proszę zaczekać — powiedział.

— Co się stało?

— Wydaje mi się, że coś słyszałem. — Dźwięk ten nie dochodził od strony budynków, lecz raczej z gęstwiny więdnących paproci rosnących za murem podwórka. Ktoś, kto spowodował ten hałas — jeśli w ogóle się nie przesłyszeli — celowo ukrywał się w krzakach.

— Wydawało się panu — stwierdziła Alison, lecz Carson stanowczo pokręcił głową. Pomyślał o nożach, pożarze i dwunastu szarych workach leżących na szkolnym korytarzu, z których dwa były jeszcze ciepłe.

— Chodźmy — powiedział i zaczął ją delikatnie popychać ku najbliższym drzwiom. Nie stawiała oporu. — To parszywe i niebezpieczne miejsce.

— Nic nie słyszę — mechanicznie powtórzyła Alison. Ręka dziewczyny była lodowata. Carson nie mógł otworzyć drzwi. — Chyba się panu zdawało.

— Możliwe — odparł i obrzucił wzrokiem podwórze w poszukiwaniu kryjówki. Wydostać się stąd można było tylko wprost na ogrodzoną murem drogę, na której staliby się łatwym łupem każdego prześladowcy.

Popchnął ją w stronę spalonej toyoty; dziewczyna potykała się o odłamki szkła i kamienie, którymi usiany był dziedziniec. Carson rozejrzał się w poszukiwaniu kawałka cegły lub metalowej rury, która mogłaby

służyć mu za broń i dodać nieco odwagi. Żaden kamień nie miał odpowiedniego kształtu, a jedynym metalowym przedmiotem, znajdującym się w zasięgu jego wzroku, była spłaszczona puszką po zupie Heinza, leżąca parę jardów od samochodu. Może komandosów uczą, jak można wykorzystać taki kawałek złomu, ale Carson nie miał o tym pojęcia.

— Co takiego pan usłyszał? — spytała Alison podniesionym głosem.

— Czyjs kaszel — powiedział ponuro.

Przyjrzała mu się uważnie i parę razy zamrugała oczami z niedowierzaniem. — Zachowujemy się tak dziwacznie, bo panu wydawało się, że ktoś zakaszał? Mówi pan poważnie?

— Nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu zadźgano tutaj dziesięcioro ludzi — więc jestem daleki od żartów. Wydawałoby się, że jako jedyny żywy członek personelu będzie się pani bardziej niepokoić niż ja.

Zza muru dobiegło potężne kichnięcie.

— Teraz też się przesłyszałem? — wyszeptał triumfalnie Carson.

— Nie powiedziałabym, że świadczy to o grożącym nam niebezpieczeństwie — odparła Alison i uniosła głowę, by spojrzeć przez pozbawione szyb okna toyoty.

Na drugą stronę wysokiego na cztery stopy, zwieńczonego kamieniami muru dziedzińca spadł z głuchym łoskotem czarny, bezkształtny wór. Gdy wyraźnie zaniepokojona Alison wysiadła z samochodu, z jej dżinsów posypały się odłamki szkła i wzbila warstwa kurzu. Wór poruszył się nieco i ponownie kichnął. Alison pobiegła w jego kierunku.

— To Lucy! — krzyknęła do Carsona. — Niech pan tylko spojrzy!

Carson stąpał niepewnie parę kroków za nią. Z otwartego worka popatrzyły na mężczyznę załzawione, kaprawe oczy.

— Ależ to mała — odezwał się zdziwiony.

— To nie mała, to szympans. — Zwierzę było ogromne, zupełnie nie przypominało owych słodkich stworków, które Carson zawsze uważał za szympansy. — Ale co ona tu robi?

Lucy pociągnęła nosem i lekko potarła go nadgarstkiem. Na jej futrze widniały placki łysej skóry, wygolono jej też kawałek sierści na brzuchu wokół blizny pooperacyjnej, z widocznymi niechlujnymi szwami. Rana była zaogniona i paskudziła się, a Lucy zakwiliła i uniosła ręce, gdyż wydawało się jej, że Alison chce dotknąć bolącego miejsca. Był to dziwny, niepokojący dźwięk.

— Ktoś musiał ją wypuścić, nim wybuchł pożar — rzekła Alison. — Teraz wróciła. — Dziewczyna usiłowała posadzić Lucy na ziemi, a mała



bezsukutecznie starała się jej w tym pomóc. Leżała na plecach, dysząc chrapliwie, z opadniętą szczęką i ustami wykrzywionymi w nienaturalnym uśmiechu.

W paprociach kuliły się jeszcze dwie ciemne postaci, w ich skołtunione futra zaplątały się zwiędłe jesienne liście. Carson powiedział o tym Alison, a ona podniosła się i spojrzała w stronę krzaków.

— To Fifi i Bobo — rzekła. — Będziemy potrzebowali pomocy.

Małpy najwyraźniej rozpoznały Alison. — Czy są niebezpieczne? — zapytał niespokojnie Carson.

— Nie, jeśli się umie z nimi obchodzić. To szympansy laboratoryjne, w pełni uczłowieczone. Ale ten jeden jest w kiepskim stanie.

— Skąd się one wzięły?

Alison skinęła głową w stronę budynku, który Carson uważał za stajnię. — Ze zwierzyńca, o tam.

Dwa szympansy kuśtykały przez pole ku niskiemu murkowi, mniejszy wcisnął rękę w fałdę skóry między brzuchem i udem większego.

— Nadchodzą — powiedział Carson.

— Okryję czymś Lucy. Pan niech idzie do wioski i sprowadzi pomoc. — Alison wyraźnie się rozpogodziła.

Carson był nieco zakłopotany, bo nie czuł się pewny siebie przy tej odważnej dziewczynie, która tak spokojnie i rozsądnie zareagowała na widok owych dziwacznych stworów.

— Stoneley chyba w to nie uwierzy — odezwał się. Sam nie był pewien, czy wzrok go nie myli.

— Więc niech pan idzie do Hennessy'ego. On wie, co się tu dzieje.

— Najpierw pani pomogę — zaproponował z nadzieją, że nie przyjmie propozycji.

— Lucy jest dla pana za ciężka. Dam sobie radę.

Fifi i Bobo żwawo przeskoczyły przez mur, co natychmiast przekonało Carsona, że Alison wie co robi. Te dwa osobniki nie były chorymi wymoczkami, a noc spędzona na dworze wcale im nie zaszkodziła. Większa samica, niemal dorosła, o długiej, bladej twarzy i krzaczastych brwiach, przeskoczywszy murek opadła na twarde, czarne kłykcie, po czym zrobiła parę susów i usiadła przy Lucy. Druga miała nieco powyżej trzech stóp i bardziej przypominała wielkookie, drobne szympansy z reklamówek i filmów o dżungli.

Lucy ponownie zakwiliła, a młodszy szympanś wydał serię przeraźliwych okrzyków. Alison najwyraźniej nie groziło żadne niebezpieczeństwo, Carson ruszył zatem w kierunku drogi. Przy sznurowej barierce przystanął i obejrzał się: dwie zdrowe małpy pomagały zanieść chorą do domu.

Po niespełna dwudziestu minutach Carson dotarł do wioski, niemal cały czas zbiegając ze zbrocza. Nim doszedł do traktu, nie spotkał żywej duszy. Jedynymi poruszającymi się istotami były dwa króliki, umykające na oślep przez parę jardów, póki nie wpadły na pomysł, by ukryć się w przydrożnym rowie. Zdaje się, że Stoneley rzeczywiście zupełnie się wycofał.

Ze sznura samochodów i furgonetek, parkujących na skraju wioski, zostało zaledwie kilka pojazdów. Sprzed hotelu zniknęły dwie przyczepy rautunkowe, a trzecią doczepiano właśnie do land rovera biorąc ją na hol. Na hotelowym korytarzu Carson zauważył pokojówkę kroczącą ostrożnie z naręczem bielizny pościelowej. Włosy miała związane w kucyki, była zmęczona i wyczerpana.

Stanąwszy przy drewnianej poręczy, Carson krzyknął głośno: — Czy zatrzymał się tu niejaki Hennessy?

Australijka poruszała się ostrożnie, gdyż dywan z trudem można by określić jako nadający się do użytku — innymi słowy był stary, brzydki, powycierany i miał postrzępione brzegi, a powyciągane sznurki z osnowy mogły stanowić niebezpieczną pułapkę. — Nie wiem — odparła, zerkając ostrożnie znad stosu bielizny. — A jak on wygląda?

— Nie mam pojęcia. Nigdy go nie widziałem.

— Więc niech mnie pan nie pyta. Tu jest potworny burdel. — Szczerliwie dotarła na parter i skierowała się w stronę kuchni.

— A gdzie jest szef? — zapytał Carson.

— Bóg raczy wiedzieć. — Jej głos odbił się echem w korytarzu. — Jeżeli wyczuwa pan zapach pieniędzy, to pewnie zastanie go pan przy ich liczeniu.

Plecami oparła się o wahadłowe kuchenne drzwi i zniknęła za nimi pozwalając, by przez parę sekund odchylały się miarowo, jakby oczekując na aplauz. Dziewczyna kokieteryjnie kręciła biodrami, pewnie wprawiała się w tym przez cały sezon. Carson odwrócił się i już miał zamiar skierować się w stronę szkoły, gdy usłyszał wołanie: — Czy to mnie pan szuka?

W załomie schodów stał niski, otyły mężczyzna. Zszedł parę stopni i zajrzał do hallu. Był w samej koszuli, w rękach trzymał szorstki hotelowy ręcznik i wycierał nim szyję, najwyraźniej właśnie się ogolił, gdyż tuż nad uszami miał dwie obwódki z piany.

— Pan Hennessy?

— Zgadza się. — Hennessy zszedł po nadszarpniętych zębem czasu schodach, które trzeszczały i skarżyły się: Hej, tłuściochu, idź po zewnętrznej stronie. — Z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Peter Carson. Właśnie wróciłem z kliniki.

Hennessy przystanął, a jego różowa, okolona łysiną twarz przybrała srogi wyraz. — A kto do diabła pozwolił panu tam iść? — zapytał.

— Nikt mnie nie zatrzymywał — powiedział Carson i już miał mówić dalej, gdy Hennessy rozejrzał się dookoła i głośno zawołał: — Stoneley! Co to ma znaczyć?

Po paru sekundach z hotelowego hallu powoli wynurzył się Stoneley. W jednej ręce trzymał filiżankę z herbatą, a w drugiej połówkę biskwita. Kąciki ust zadrgały mu lekko, gdy zobaczył, w jakich tarapatkach znalazł się Hennessy, ale poza tym jego twarz wyrażała nienaganną uprzejmość. — O co chodzi? — zapytał.

Hennessy pokazał palcem na Carsona. — Ten człowiek wszedł na teren kliniki i nikt go nie zatrzymał.

Być może Hennessy spodziewał się, że Stoneley wyciągnie kajdanki i zawoła: „Dalej, chłopaki, skujcie go!”, ale komisarz po prostu zerknął na Carsona i powiedział: — A co mnie to obchodzi?

— Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, dlaczego to miejsce jest niestrzeżone.

— Wykonuję tylko rozkazy.

— Nikt panu nie mówił, że każdy może wejść na teren kliniki.

— Jeśli chce pan wypożyczyć moich ludzi, proszę złożyć zapotrzebowanie na piśmie. Ale skoro mój zespół został odsunięty od sprawy, mam dla nich co innego do roboty.

Hennessy zszedł jeszcze trzy stopnie i stanął twarzą w twarz ze Stoneleyem. — Ale miał pan zostawić kilku ludzi.

Komisarz uważnie rozejrzał się po hallu. — Zostawiłem. Gdzieś tu się kręca.

Hennessy był bliski wybuchu, gdy nagle odezwał się Carson: — Mogę wtrącić słówko?

Obaj mężczyźni zamilkli i spojrzeli na niego. — W klinice została dziewczyna, Alison, z trzema prawdopodobnie chorymi małpami.

— Alison? — powiedział Hennessy. — Alison Wells?

— Zgadza się. Pracowała w klinice.

Hennessy odwrócił się do oficera. — Stoneley, ty draniu, dlaczego nie powiedziałaś mi, że ona żyje?

Stoneley wzruszył ramionami. — To wszystko jest w papierach. Jeśli nie interesują pana na tyle, żeby je przeczytać, to pańska sprawa. — Popatrzył na Carsona. — Powiedział pan „małpy”?

— Tak, szympansy.

— Oczywiście — rzekł podekscytowany Hennessy. — Zwierzyniec. Że też o tym nie pomyślałem.

— Prawdziwe małpy? — spytał Stoneley z zainteresowaniem, nadal przyglądając się Carsonowi.

— Chodzi o to, że jedna z nich jest chora. Alison potrzebuje pomocy żeby sprowadzić je do wioski.

— Stoneley — odezwał się Hennessy tonem nieznośnym sprzeciwu. — Potrzebuję pańskiej furgonetki i paru kocy.

Stoneley namoczył połówkę biskwita w resztkach herbaty. — Nie prowadzę już tej sprawy.

— Niech pan na chwilę zapomni o osobistych urazach, zgoda? To poważna historia.

— Nie rozumiem, czemu się pan tak podnieca z powodu kilku małp.

— To nie są małpy, ale laboratoryjne szympansy. Na miłość boską, niech pan przestanie się dąsać jak dziecko i zacznie działać jak policjant.

Oczy Stoneleya zwięzły się nieco. Poczł się urażony. — Zgadzam się na wypożyczenie furgonetki — powiedział niechętnie. — Koce są na górze.

— Może wezwać weterynarza? — zaproponował Carson.

Hennessy pokręcił głową. — Bardziej przyda nam się normalny lekarz. — Spojrzał na Stoneleya. — Czy w pańskich samochodach są apteczki? Z penicyliną, morfiną i tak dalej?

— Owszem, ale mamy tylko podstawowe leki.

— Chodzi o doraźną pomoc — rzekł Hennessy i pocierając skórę na policzkach, do których przywarło wyschnięte mydło, ruszył z powrotem ku schodom. Stoneley rozglądał się przez chwilę, nim postawił filiżankę na półokrągłym stoliku, ozdobionym wazonem z zeschniętymi paprociami. Znajdował się na nim również nieodzowny rozkład rejsów parowca po jeziorze. Zmierzał ku drzwiom, gdy Carson rzucił w przestrzeń: — Mogę pojechać z panem?

Hennessy wchodził po schodach szybko i sprawnie, co było zdumiewające przy jego tuszy. — Niestety, Carson — odrzyknął. — Odtąd teren kliniki jest zamknięty. W ogóle nie powinien był pan się tam znaleźć.

Zniknął, a jego głos niósł się jeszcze na schodach. Stoneley wyszedł już i znalazłszy się w pół drogi do szkoły, krzyknął do sierżanta, by wyznaczył kierowcę i furgonetkę.

Carson został w hallu sam. Patrzył na bury, zniszczony i tandetny dywan, kilka starych mebli, ustawionych raczej w charakterze dekoracji, parę wyblakłych rycin, na zwykłym, nieco pożółkłym papierze przedstawiających sceny myśliwskie. Gdzieś za ścianą grubości trzech czy czterech

cegieł ktoś odkręcił gorącą wodę i rury zatrzęsły się z wysiłku. W mrocznym, wyłożonym boazerią barze z jękiem zaczął wibrować ochładzacz bulelek z automatycznym termostatem.

— Nie ma o czym mówić — skonstatował głośno Carson.

Po kwadransie furgonetka była z powrotem. Zawróciła przy hotelu, by zwierzęta można było przenieść do podwójnego garażu, wciśniętego w wąski kąt między zapleczem budynku a znajdującym się za nim starannie utrzymanym ogródkiem skalnym, który odgradzał początek zbocza. Właściciel hotelu zgodził się na jakiś czas przestawić na parking swego range rovera i renault żony. Carson, z rękami w kieszeniach, przypatrywał się gorączkowej krzątaninie i zastanawiał, czy za wynajęcie pokoju obowiązuje stała stawka, czy też właściciel gotów będzie negocjować uwzględniając wyjątkowość sytuacji.

Lucy, owinięta w koce, rozglądała się niepewnie, gdy wynoszono ją z furgonetki. Bobo, większa z dwu zdrowych małp, wyszła sama i ufnie podążyła za Alison przez boczne drzwi garażu, a Fifi, niespokojna, że ją zostawia, dreptała tuż za nimi, ciągnąc po ziemi pled.

Znalazszy się na wolności, szympansy pobiegły prawdopodobnie do najbliższego lasu, lecz mimo lęku wywołanego eksplozją i niezrozumiałymi rzeczami, które wokół nich się działy, małpy były zbyt uczłowieczone, by uciec na dobre. Po deszczowym dniu i nocy spędzonej pod gołym niebem, ostrożnie powróciły do znajomego miejsca.

Fifi i Bobo przeżycia te zdaje się nie zaszkodziły, lecz z Lucy było znacznie gorzej. Najwyraźniej była osłabiona po jakiejś, przebytej tuż przed ucieczką, operacji, a ponadto prócz zakażenia otwartej rany wszystkie objawy wskazywały na zapalenie płuc. Po paru minutach z garażu wyszła Alison w towarzystwie młodego posterunkowego, który popędził do głównej części hotelu.

— Jak one się czują? — spytał nieco zakłopotany Carson, gdy przechodzili przez niewielki parking.

— Z Lucy jest bardzo źle, może umrzeć. Dwa pozostałe mają się dobrze.

— Zawsze myślałem, że zwierzętom deszcz nie szkodzi.

— Szympansy są wytrzymałe, ale mogą się zarazić od ludzi każdą chorobą. Na grypę padają jak muchy. Nie mają wrodzonej odporności. Hennessy posłał po lekarza z Penrith.

— Nie zostanie pani z nimi?

Przecząco pokręciła głową i wdepnęła w sam środek brudnej kałuży, ze złością niszczącą powstałą na niej tęczę. — Hennessy mi nie pozwoli —

powiedziała. — Chcę się raz na zawsze pożegnać z tym zadupiem.

— Wraca pani do Londynu?

Zaczekali, aż furgonetka, którą przetransportowano szympansy, zakręci i zawróci w ich stronę. — Jak tylko mój samochód będzie gotowy — Alison usiłowała przekrzyknąć hałas przejeżdżającego auta. — Muszę trochę poczekać.

— A co się stało z pani samochodem? — zapytał Carson.

— Wczoraj w nocy zjeżdżając z szosy rozbiłam szybę. Wygięłam błotnik o słupek bramy i zablokowałam koło. Policja doholowała go do jakiegoś garażu w Penrith.

— Może pani wracać i kazać sobie przywieźć samochód, kiedy już będzie gotowy. Zakładając, że Hennessy panią puści.

— Chyba chce, żeby wszyscy możliwie jak najszybciej się stąd wynieśli — odparła Alison. Myśl o wydostaniu się z okolicy, w której doszło do takiej tragedii, najwyraźniej ją pociągała. — Ale to będzie dosyć kosztowne.

— Nie bardziej niż pobyt w hotelu. Właściciel zapisuje już trzecią książkę meldunkową.

— Może ma pan i rację — powiedziała, gdy minęli okna ponurej jadalni i podeszli do porośniętej bluszczem werandy. „Zabrania się wchodzenia w butach turystycznych i wnoszenia plecaków. Serdecznie witamy, ceny umiarkowane”. — Póki jakaś agencja nie znajdzie mi pracy, nie będę miała dopływu gotówki. — Zatrzymali się i po raz pierwszy spojrzęła Carsonowi prosto w twarz. Światło dzienne rozjaśniło błękit jej oczu, zmieniając ich odcień na niebieskozielony. — Wraca pan do Londynu? — zapytała.

— I to jak najszybciej — odparł, pragnąc, by starczyło mu odwagi i pewności siebie, żeby w pełni odwzajemnić jej spojrzenie. Ostro skarcił się w myślach, bo pytała przecież tylko o umożliwienie wyjazdu, a nie zapraszała go do łóżka. — Chętnie panią podrzucę, jeśli pani sobie życzy.

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem. — Pójdę po bagaż — powiedziała. — A raczej to, co z niego zostało.

**9.** Roger DeLisle Forester, były pilot wojskowy, miał tytuł magistra. Talenty swe kształcił w takiej właśnie kolejności. Opuścił szkołę mając siedemnaście lat, jako bystry i wielce obiecujący uczeń, o rok młodszy od reszty kolegów, i natychmiast wstąpił do lotnictwa. W wieku lat dwudziestu paru poślubił córkę pośrednika handlu nieruchomościami i został

członkiem załogi bombowca Vulcan z bazą na Cyprze.

Urzędnicy, którzy opracowali podpisany przez Forestera kontrakt, byli dobrymi fachowcami. Umowa miała wizją nie tylko zrobienia zawodowej kariery, lecz ułożenia sobie całego życia. Zdłudne wrażenie uczciwej gry stwarzała klauzula pozwalająca po jakimś czasie odnowić kontrakt bądź odejść ze służby. Lecz gdy dobieje się do trzydziestki — co w wieku siedemnastu lat wydaje się bardzo odległe, a jednocześnie na tyle bliskie, że młodzieńcowi zdaje się, iż jeśli nie zostanie asem pilotażu, będzie jeszcze mógł rozpocząć nowe życie — no więc, gdy stuknie trzydziestka, a człowiek uświadamia sobie, że nie ma umiejętności ani kwalifikacji do wykonywania innego zawodu, gdy rozważy się wszystkie za i przeciw (jaki siedemnaście lat byliby aż tak rozsądny?), podpisuje się cyrograf. Człowiek przyjmuje do wiadomości, że świat nie stoi już przed nim otworem, że tak naprawdę nigdy nie stał — i decyduje się.

Forester przewidział to wszystko i postanowił nie czekać, aż jego optymizm wygaśnie. W wieku dwudziestu sześciu lat złożył podanie z prośbą o zwolnienie ze służby. Naturalnie, zostało ono odrzucone.

Nielatwo przyszło mu podjąć podobną decyzję. Władze podejrzliwie obserwują wówczas petenta, który zawiódł ich zaufanie. Taki pilot jest dokładnie obeznany z budową i obsługą najnowocześniejszych typów broni (choć w istocie są one często przestarzałe), a daje dowód, że jego postawa życiowa pozostawia wiele do życzenia.

Były też inne względy przemawiające przeciwko takiemu posunięciu: coraz miłsze ciepłe wygodny i stabilizacji sprawiło, że ambicja Forestera ulatniała się jak kamfora. Miał przyjemne służbowe mieszkanie w Akrotiri, o tynkowanych na biało ścianach i podłogach wyłożonych czerwoną terakotą, a z balkonu rozciągał się widok na dachy domostw i okolicę aż po Morze Śródziemne. Jeśli tylko trzymali się brytyjskiej społeczności w bazie, tarcia między miejscowymi Grekami i Turkami nie stanowiły dla nich zagrożenia. Marie odstawiła pigułki i — choć nie zaszła jeszcze w ciążę — już czuła się lepiej, przeszły jej bóle głowy, a także przygnębiające napady apatii, spowodowane zatrzymaniem wody w organizmie. Jeśli chodzi o dziecko, lekarz z bazy poradził jej, by się nie przejmowała, często bowiem trzeba trochę poczekać, napięcie nerwowe tylko jej zaszkodzi, powinna więc przestać się martwić i uwierzyć w pomyślne zakończenie.

Forester nalegał na jak najszybsze załatwienie sprawy. W dokumentach znalazł przepis, którym mógł podeprzeć swoje podanie. Wiedział, że jeżeli, zgodnie z kontraktem, zaczeka następnych parę lat, straci resztkę pewności

siebie i jeśli będzie zwlekał tak długo, najprawdopodobniej podpisze umowę na dalszą służbę. Oświadczył władzom, że chce kontynuować naukę — był to powód wzbudzający szacunek i nie można mu było nic zarzucić, a miał jeszcze ten walor, że odpowiadał prawdzie — w końcu więc doszli do wniosku, iż z takiego niezadowolonego pilota niewiele będą mieli pożytku i zwolnili go.

Wrócili do Anglii i następne trzy lata spędzili w zaniedbanym, lecz przyjemnym mieście portowym, gdzie Forester studiował socjologię. Marie zarabiała na utrzymanie ich obojga pracując w biurze adwokackim, wszystkie oszczędności pochłonęło bowiem wykupienie Forestera z wojska, resztę pożyczył im ojciec Marie. Szczęściem nie należał na natychmiastowy zwrot pożyczki, młodzi uzgodnili zaś między sobą, że Marie zrezygnuje z pracy, gdy po skończeniu studiów Forester znajdzie odpowiednią posadę i wówczas powrócą do swych planów założenia rodziny. Na szczęście Marie nie zaszła jeszcze w ciążę, a ponieważ nie chciała znowu brać pigułek, odwiedziła miejscową klinikę, skąd wróciła z kilkunastoma tubami lepkiego kremu i kapturkiem antykoncepcyjnym. Był wielkości miseczki i wydawał dziwne odgłosy, gdy zakaszła.

Owe trzy lata upłynęły nawet szczęśliwie. Wynajęli domek z tarasem, tuż obok slumsów, a Forester uwierzył, że gdy człowiek ma w perspektywie niewątpliwe polepszenie warunków, nic nie może go załamać. Marie częściej tylko podzielała jego optymizm, martwiła się, co poczną, gdy mąż skończy studia.

Po ośmiu miesiącach, które Forester spędził jako wysoko wykwalifikowany bezrobotny, wreszcie się poddał. Nikt najwyraźniej nie potrzebował absolwentów, a zwłaszcza posiadaczy dyplomów uczelni humanistycznych, toteż z powodów czysto finansowych przyjął pracę, którą zaproponował mu ojciec Marie. Naturalnie tylko na jakiś czas, póki nie znajdzie czegoś, co mu naprawdę odpowiada. W głębi duszy wiedział jednak, że został pokonany. Marie była zadowolona, przyjęła to niemal z ulgą. Wrócili do rodzinnego miasta, a Forester miał wrażenie, że stare, znajome ulice śmieją się z niego szyderczo. Myślałeś, że uda ci się od nas uciec? Liczyłeś, że się stąd wyrwiesz?

Mając wreszcie stałe dochody, zaczęli spłacać ojca Marie. Kupili tani domek na niewielkim, schludnym osiedlu, zabudowanym identycznymi domkami, a po pracy Forester przerabiał kursy korespondencyjne, dające szansę na postawienie jeszcze paru literek przed nazwiskiem. Było to dziecinnie łatwe w porównaniu z intensywnym tokiem studiów, do którego przywykł, lecz czuł się przygnębiony i pozbawiony perspektyw. Gdy jego osobiste pragnienia nie mogły już się ziścić, stając się nieuchwytnymi, przepełnionymi goryczą mrzonkami, zapragnął dochować się dzieci, które



mogłyby owe dążenia zrealizować. Niebawem stało się to jego obsesją.

Gdy przez następne dwa lata bez skutku usiłowali mieć dziecko, Forester poddał się badaniom na bezpłodność. Zdawał sobie sprawę, że to on może być odpowiedzialny za ten stan rzeczy — zapoznał się z fachową literaturą i był świadom, że w jednej trzeciej przypadków bezpłodności kłopoty mają mężczyźni. Ponieważ struktura nasienia była prawidłowa, więc zdecydowali się na przebadanie Marie w prywatnej klinice.

Podstawowe testy niczego nie wykazały. Nie występowały wyraźne zahamowania psychiczne ani reakcja przeciwciał, cykle były regularne, a jajczkowanie wydawało się prawidłowe. Aby uniknąć błędnej diagnozy, lekarze zdecydowali się jeszcze na wziernikowanie, które wykazało, że nastąpiła endokrynoza — zablokowanie jajowodów złuszczonej resztkami z błony śluzowej macicy. Gdyby wykryto to dziesięć lat wcześniej, prawdopodobnie można by je było bez trudu udroźnić, lecz teraz jajowody uległy trwałemuszkodzeniu, jajeczka nie mogły się przez nie przedostać, co uniemożliwiało zapłodnienie. Prowadzący badania lekarz oznajmił, że operacja najprawdopodobniej rozwiązałaby problem, ale gwarancji dać nie może, niech więc małżonkowie wrócą do domu i podejmą jakąś decyzję.

Trudno to było zrealizować, gdyż Marie tylko wylewała całe potoki łez, a zmęczony słuchaniem jej szlochu Forester znowu zagłębił się w fachowej lekturze.

Szansa na wyleczenie jajowodu wynosi zaledwie dwadzieścia procent. Nawet gdyby udało się usunąć uszkodzone odcinki i połączyć ze sobą zdrowe, istnieje ryzyko, że powiększająca się tkanka blizny pooperacyjnej utworzy nową przeszkodę. Poza tym, jak poinformował lekarz, kuracja nie jest tania. Wielka Brytania przoduje w leczeniu bezpłodności, lecz ma to znaczenie czysto prestiżowe, pionierskie prace Steptoe i Edwardsa polegające na zapłodnieniu *in vitro* i wszczepieniu zarodka, przeprowadzone w latach siedemdziesiątych, nie były finansowane przez Radę ds. Rozwoju Medycyny. Dotacje i fundusze przyznawane na budowę i wyposażenie klinik pochodziły z przemysłu, nie z resortu zdrowia. Ponad czterdzieści procent pacjentów klinik przybywało z zagranicy — nagle noworodki przyczyniły się do rozwoju swoistej turystyki.

Forester mógłby wziąć pożyczkę — jego teść i dyrektor banku należeli do tej samej loży masonskiej — lecz kuracja była ryzykowna, z małą szansą na powodzenie. Forester szukał czegoś pewniejszego.

W swym biurowym kalendarzu sfałszował listę urzędowych spotkań

i spędził popołudnie w centralnej bibliotece miasta studiując fachową literaturę. Mnóstwo klinik dokonywało podstawowych zabiegów, jak zapłodnienie nasieniem obcego dawcy, koncentracja spermy albo kuracja hormonalna, lecz w celu przeprowadzenia leczenia chirurgicznego należało się udać do kliniki przyszpitalnej, gdzie opłaty były zatrważająco wysokie.

Zapłodnienie laboratoryjne i wszczepienie zarodka stanowiły najbardziej kosztowną pozycję we wszystkich typach kuracji z wyjątkiem chirurgii genetycznej, która znajdowała się w fazie tak wczesnych eksperymentów, że współczynnik aborcji był bardzo wysoki, gdyż embriony rozwijały się zniekształcone i niezdolne do życia. Eksperymenty przeprowadzano prawie wyłącznie na ochotnikach. Lecz zaletą zapłodnienia laboratoryjnego było to, że metoda prób i błędów tworzyła pewien system. Komórki starano się połączyć na wiele sposobów, np, nieznacznie zmieniając temperaturę lub poziom kwasowości, by potem niezwykle precyzyjnie zgrać występowanie cyklu z poziomem hormonów i wszczepić blastocystę. Forester doszedł więc do wniosku, że choć kuracja jest niezwykle kosztowna, próby przeprowadzane będą aż do skutku, co przy zwykłym leczeniu jajowodu nie jest praktykowane — a pierwsze niepowodzenia są równoznaczne z porażką.

Druga taka szansa może się nie powtórzyć. Wobec konieczności spłaty pożyczki i przy długach, w których już toną, nigdy nie będą mogli sobie na to pozwolić, a dla Marie, ze względu na wiek, rodzenie dzieci niebawem stanie się zbyt ryzykowne. Forester przekartkował roczniki medyczne i książki telefoniczne i skompletował spis klinik, po czym wrócił do biura i wystukał na maszynie list do każdej z tych placówek, prosząc o przysłanie katalogu i aktualnego cennika. W ciągu dwóch tygodni otrzymał wszystkie odpowiedzi i po rozmowie z ojcem Marie, w ciągu trzech dni pożyczka znalazła się na jego koncie.

Spośród wszystkich ofert najbardziej obiecujące wydały mu się dwie: kliniki Jennera w Carlisle oraz Instytutu Sherborne koło Windsoru. Obie zapewniały częściowy zwrot kosztów w przypadku całkowitego niepowodzenia, można by nawet — jeśli nie jest zbyt późno — sprzedać samochód i wziąć niewielką pożyczkę pod zastaw domu, wystarczyłoby to na podjęcie ostatniej próby wyleczenia Marie. Z biura Forester zadzwonił do obu klinik. Na przyjęcie do Instytutu trzeba by czekać osiemnaście miesięcy, lista pacjentów, przybywających głównie z Ameryki i krajów katolickich, była bowiem długa, lecz do Carlisle można było dostać się na jesieni — jeśli decyzję podejmą natychmiast.

Powiedział o tym Marie, lecz ta nie chciała o niczym słyszeć, mówiła jakieś głupstwa o jego pracy, martwiła się, czy znajdą miejsce na nocleg i kto zajmie się kotem — rozpieszczonym stworzeniem, którego nawyki higieniczne ograniczały się do tego, że załatwiał się poza domem.

Forester nie bardzo się tym przejął. Przekazał już zaliczkę klinice Jennera i zarezerwował tam miejsce.

Gdy Forester dowiedział się o tak zwanym „wypadku”, pojechał do odległego o dwadzieścia mil Carlisle i powiadomił o wszystkim Marie. Spakowała już niezbędne rzeczy i gotowa była do odjazdu. Pacjentów oficjalnie poinformowano, że wynikły jakieś niespodziewane trudności i o ile podporządkują się odgórnemu zaleceniu, by wiadomość o incydencie utrzymać w tajemnicy — wszystkie koszty zostaną im zwrócone.

Marie miała już suche oczy i była spokojniejsza. Niezwykle skomplikowany proces leczenia i związane z tym kłopoty przyćmiły nieco jej wizję radosnego i beztrudnego macierzyństwa, a zatem straty tej nie odczuwała tak boleśnie. Już od dawna czuła się niepełnowartościowa w swej kobiecości, ale nauczyła się stawiać czoło sytuacji i godzić się z nią. Obsesja męża tylko budziła uśpione kompleksy.

Forester odprowadził żonę na stację i wsadził do wieczornego pociągu, a jeszcze przedtem zatelefonował do teścia, z prośbą by po nią wyszedł na dworzec. Potem wrócił do taniego hotelu, w którym się zatrzymali, i spędził noc przy zapalonym świetle, wpatrując się w sufit.

Po spotkaniu ze Stoneleyem w pokoju operacyjnym, który właśnie demontowano, Forester usiadł za kierownicą swego samochodu, by nad wszystkim się zastanowić. W głowie miał taki chaos i zamęt, że zupełnie nie mógł się skoncentrować, więc po jakimś czasie zaniechał prób.

Samochód był zaparkowany w zatoczce za sklepem Hamiltona, gdyż bliżej centrum nie mógł znaleźć miejsca. Zawrócił wóz i ustawił go tak, by móc obserwować co się dzieje w wiosce, a samemu być możliwie najmniej widocznym.

Zobaczył, jak z tymczasowej kostnicy kilku ludzi przenosi do nieoznakowanych pojazdów wypełnione worki na mięso. Widział, jak Stoneley i jego młody inspektor przeszli parę jardów ulicą w kierunku sklepu, po czym zawrócili, najwyraźniej knując coś w konspiracji. Po dziesięciu minutach zobaczył Carsona, zbiegającego górską drogą w kierunku hotelu, a potem spostrzegł Stoneleya z dziewczyną i jakimś tłusciochem, którego nigdy przedtem nie widział. Cała ta gromadka wraz z dwoma posterunkowymi wsiadła do furgonetki zaparkowanej przed hotelem.

Forester nie był pewien, do czego właściwie zmierza. Nie oczekiwał sprawiedliwości, nie był tak naiwny. Sprawiedliwość to tylko kompromisy negocjowane przez najpotężniejsze zainteresowane siły. Teraz je właśnie ustalają. Jego interesy nie zostały uwzględnione — myśleli, że go kupią obietnicami zwrotu kosztów i rekompensaty. Gdy furgonetka pomknęła ku bocznej drodze za kliniką, miał już ułożony niemal gotowy plan działania.

W hotelowym hallu nie było nikogo. Forester uniósł klapę kontuaru recepcji i wszedł do środka, by przekonać się ile kluczy wisi na kołkach. Cztery były puste, co znaczyło, że pokoje te są zajęte.

Nie zwracając uwagi na panujący pod kontuarem bałagan, otworzył dwie płytkie szuflady tuż pod blatem stołu. W jednej znalazł romansową powieść z pozaginanymi rogami, w drugiej rękawiczkę, talię kart, plastikową łódź podwodną i spory pęk kluczy. Wziął klucze, zamknął za sobą klapę i ruszył na piętro.

Było mroczno, chłodno i cicho. Całe piętro zajmowały pokoje, umieszczone po obu stronach korytarza, a światło wpadało przez małe okienka nad jego głową. Forestera interesowały tylko pokoje od frontu.

Właściciel z żoną mieli niewielkie mieszkanie na dole, a więc wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem łazienek i składziku na bieliznę, były pokojami gościnnymi. Forester nasłuchiwał przez chwilę, lecz najwyraźniej oprócz niego nikogo tu nie było.

Dziesięć pokoi. Z pędu kluczy Forester wyciągnął wytrych i ruszył korytarzem ku ostatnim drzwiom. Zastukał lekko, a nie słysząc odpowiedzi, przekręcił klucz i wszedł do środka.

Był to mały pokoik. Na łóżku siedział stary pluszowy niedźwiadek, na ścianie wisiały plakaty reklamowe linii lotniczych; pierwszy ukazywał Sidney Harbour Bridge, a drugi trasę narciarską w miejscowości, o której Forester nigdy nie słyszał. Na stoliku przy łóżku stał przenośny telewizor, a pod oknem, na prowizorycznej półce, zrobionej z opartej na ceglach deski, rzędem ustawione były książki. W pokoju tym mieszkał ktoś z hotelowego personelu. Forestera osoba ta nie interesowała zupełnie, toteż mężczyzna wycofał się i przeszedł do następnego pomieszczenia.

Wszystkie pokoje były mniej więcej tej samej wielkości i kształtu, lecz różniły się nieco umeblowaniem, jakby poszczególne sprzęty nabyto w wyniku parokrotnych wizyt na wiejskich wyprzedażach. W rogu każdego pokoju stała miska i lustro, a łóżka przykrywały ciężkie narzuty. Forester nie zwracał uwagi na meble, lecz od razu podchodził do okna, by zobaczyć, jaki widok rozciąga się stąd na ulicę. Nie zauważył większych różnic, dopóki nie wszedł do pokoju Alison.

Znajdował się pośrodku korytarza i był większy niż pozostałe. Nieco dodatkowej powierzchni zawdzięczał wykuszowemu oknu zastępującemu zwykłe, pionowo uchylane szyby. Z okna widać było niemal całą drogę, wejście do hotelu i budynek szkoły naprzeciwko. Forester spróbował uchylić jedno skrzydło. Z pewnym wysiłkiem udało mu się je otworzyć, na szczęście nie zacięło się.

Zadowolony rozejrzył się po pokoju. Jedynymi meblami były masywne łóżko i duża, ciemna szafa. Kwiaty na tapecie tworzyły deseń niezbyt wymyślny, lecz i nieagresywny. Na krzesła przy łóżku leżały skłębione dziewczęce fatalaszki, zdobne morzem falbanek, a zwinięty płaszcz z pomarańczowego nylonu był wciśnięty w kącie.

Ulicą znowu przejechała furgonetka powracająca z pospiesznej wyprawy do ruin kliniki. Forester wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, notując w pamięci widniejący na nich numer, po czym odwrócił się i zszedł po schodach.

Włożył z powrotem klucze do szuflady i zaczął w niej grzebać w poszukiwaniu książki meldunkowej. Widział, jak Peter Carson wpisywał się do niej poprzedniego wieczoru, więc przypuszczalnie — póki stacjonuje tu policja, a kuchnia pracuje na najwyższych obrotach — należy obsługiwać się samemu. Przewrócił parę kartek. W drugiej połowie miesiąca zaledwie kilku gości zatrzymało się tu na krótko, głównie w czasie weekendów. Nim zrealizuje swój plan i będzie mógł wrócić do Langstone, minie przynajmniej tydzień; niedobrze mu się robiło na myśl, że może przybyć za późno, ale nie widział możliwości szybszego powrotu. Pokój z wykuszowym oknem zarezerwował z tygodniowym wyprzedzeniem, następnie wyjął z szuflady papeterię i do firmowej koperty włożył dwa banknoty mające stanowić zaliczkę. Na kopercie napisał swoje nazwisko, numer pokoju i daty.

Gdy uniósł wzrok, spostrzegł przed wejściem Carsona w towarzystwie dziewczyny, która powiedziała: „Wezmę swój bagaż, a raczej to, co z niego zostało”. Potem przeszła do hallu, a Carson podążył za nią.

Dziewczyna nie знаła Forestera, minęła go obojętnie, nie patrząc w jego stronę. Carson zatrzymał się przy kontuarze i rzucił jakiś powitalny slogan.

— Wyjeżdża pan? — spytał Forester.

Carson otworzył skoroszyt na tabeli taryf i z tylnej kieszeni dzinsów wyciągnął książeczkę czekową. — Hennessy powiada, że mogę się wynieść, a zdaje się, że teraz on rządzi. A pan?

— Ja się tu jeszcze pokręcę. Zobaczą, co jest grane.

— Wątpię, czy będzie co oglądać. Mogę...?

Forester spojrział na długopis, który nadal trzymał w dłoni, powiedział:  
— Jasne — i wręczył mu go.

— Nie powinien pan tak się tym przejmować — oświadczył Carson, gdy skończył wypisywanie czeku i z trudem zamykał skoroszyt. — Niech pan spróbuje o wszystkim zapomnieć.

— Tak jak pan? — Forester pokręcił głową. — Niektórzy nie dochodzą do siebie tak szybko.

**10.** Gdy Carson schodził z bagażem, Forestera już nie było. Alison siedziała na twardym krześle naprzeciwko jadalni, torbę z rzeczami postawiła obok. Podniosła się na widok mężczyzny.

— Zapłaciłem rachunek czekiem — powiedział. — Zostawić czek i za panią?

— Dajmy sobie spokój — odparła apatycznie. — Niech Hennessy się tym martwi.

Wyjechali z wioski i cofnęli się do wąskiej drogi okrążającej jezioro. Alison pokazała bramę, przy której zjechała z szosy i rozbiła samochód. Gdy minęli Ravens' Bridge i zdążali na wschód podziwiając urok polodowcowej doliny, oboje odprężyli się nieco. Był to jeden z najstarszych masywów w Europie. Wyglądał jak przysypany błękitno-szarym popiołem, oznaczony głębokimi bruzdami dolin, na podobieństwo szprych rozchodzących się na wszystkie strony z samego serca wyżyny. Miejsce to było zbyt wiekowe i zbyt wiele widziało, by mogło zwieść swym dobrotliwym wyglądem.

Carson miał właśnie poinstruować dziewczynę, jak odchylić siedzenie, by móc wygodniej się oprzeć, ale sama na to wpadła. Przejechanie tych ostatnich paru mil przed autostradą było czystą przyjemnością: cztery wąskie dróżki wiodły przez centralny rezerwat przyrody; teraz czuli się prawie jak turyści podziwiający uroki okolicy, lecz spokojna podróż nie była im sądzona.

Trzy mile przed dużym skrzyżowaniem Carson zerknął we wsteczne lustro i ujrzał białe policyjne metro. Wóz znajdował się jakieś sto jardów za nim. Carson nie wiedział, od jak dawna policja go śledzi, i choć wcale nie jechał zbyt szybko, zdjął nogę z pedału gazu i zwolnił.

Policyjny kierowca zdał już sobie chyba sprawę, że został zauważony i nie musi dłużej bawić się w podchody. Niebieskie światelko na dachu nagle ożyło i pojazd śmignął na pas wyprzedzania, zatrzymując się tuż przed mercedesem. Zapalił się napis STOP. Carson zjechał na bok parę jardów za nim.

Policjant niezgrabnie wygramolił się z metra, a gdy wyglądził mundur i podszedł do mercedesa, Carson czekał już na niego przed samochodem.

W policjancie rozpoznał młodszego z dwóch funkcjonariuszy, którzy stali zeszłego popołudnia przy blokadzie. Nie zainteresował się zbyt kierownicą, z zadowoleniem natomiast lustrował samochód, jakby była to okazała zwierzyna, którą właśnie upolował.

— Poproszę dokumenty — rozkazał.

Carson wyjął z portfela prawo jazdy i inne papiery. — Jechałem najwyżej trzydziestką — oświadczył.

— Ja jestem od tego, żeby wiedzieć, z jaką prędkością pan jechał. Skąd się pan tu wziął?

— Z Londynu.

Forsyth spojrział na niego badawczo. — Tylko bez wygłupów.

— Pytał pan o to — odparł Carson.

— Skąd w tej okolicy?

— Dobrze pan wie, że byłem w Langstone. Stał pan przy blokadzie, kiedy wyjeżdżałem.

Policjant wyciągnął plik formularzy z przyplaszczonej kieszeni kurtki. — I niech się pan nie stawia. Wy, cwaniaczki, wszyscy jesteście tacy sami. Dostaje pan mandat za przekroczenie prędkości.

— Chyba nie mam się co upierać, że to nieprawda.

— Zgadza się. — Forsyth uniósł wzrok znad formularzy, w jego oczach błysnęła iskierka nadziei.

— Pił pan?

— Nie — odparł Carson. — Niestety.

Forsyth oddał wypełniony kawałek druku i wręczył go Carsonowi. — Dostanie pan wezwanie i kwestionariusz do wypełnienia. Wtedy może pan podać okoliczności łagodzące, które według mnie nie istnieją.

— Wiem, co z tym robić — rzekł Carson, składając mandat wraz z dokumentami i pakując wszystko razem do portfela.

Gdy Forsyth odszedł, wsiadł do samochodu, włączył silnik i nim ruszył, przepuścił kilka ciężarówek. Przez okienko od strony pasażera Alison spoglądała na wóz policyjny zjeżdżający na bok, Forsyth, pólżąc na siedzeniach, coś sobie notował. Odwróciła się do Carsona.

— To skandal — powiedziała. — Wcale pan szybko nie jechał.

— Wiem. — Carson ponownie zerknął w lusterko, metro ruszało, migając światłami. — To się dość często zdarza.

— Ale dlaczego?

— Chodzi o samochód — wyjaśnił. Policyjne auto trzymało się z tyłu,

jakby czekając na błąd kierowcy. — Nie znoszą mnie. Tak samo jak wszyscy, którzy plują na maskę albo rysują lakier.

— Może pan stracić prawo jazdy.

— Nie tak często wlepiają mi mandat. — To była prawda. Zazwyczaj przez parę minut prawili mu kazanie, żeby zrozumiał kto tu rządzi i znał swoje miejsce, po czym puszczali go wolno. Ale miejscowa policja mogła być w szczególnie parszywym nastroju z powodu odebrania im sprawy kliniki.

Zbliżali się do dużego rozjazdu na autostradzie, z mnóstwem obwodnic i skrzyżowań, pod nimi biegła sześciopasmowa szosa. — Nie kusi pana, żeby zmienić samochód?

Carson zwolnił podjeżdżając do ronda i dał sygnał, że skręca w kierunku południowym. — I dać za wygraną? — zapytał.

Gdy skręcał w rozwidlenie jednej z dróg, w słonecznym, przedpołudniowym blasku mignął mu w lusterku biały bok metra. Nieprzerwany potok samochodów płynął ze Szkocji na południe, a gdy Carson dodał gazu, by do niego dołączyć, znowu zobaczył policyjne auto. Zatrzymało się przed wjazdem na autostradę; Carson wiedział, że Forsyth go obserwuje. Delikatny nacisk na pedał gazu i wszystko zostało daleko w tyle.

Dzieci najlepiej wyczuwają istotę czasu. Znają jego prawdziwą naturę i pojęcie względności, wiedzą, że godziny potrafią wlec się bez końca, a przyjemne dni mijać bardzo szybko.

Zazwyczaj Sarah i Peter Gaskell pokonywali odległość z farmy Ravens' Crag do Langstone i szkoły w dwadzieścia pięć minut, idąc na skróty polami do drogi w dolinie. Dziś powrót zajął im ponad dwie godziny, gdyż opóźniali go i odwlekali, owładnięci urokiem odludnej, lecz pełnej życia okolicy.

Zajęcia szkolne zawieszono do czasu znalezienia i urządzenia nowych pomieszczeń. Żadne z nich nie rozumiało niuansów owej wymęczonej angielszczyzny, którą do nich przemawiano, lecz wiedzieli, że wiadomość na karteczce, którą kazano im zanieść do domu, oznaczała jedno — wolność. Głośno chichotali, biegnąc po wysokiej trawie w stronę przydrożnego murku, choć Peter potykał się w za dużych, odziedziczonych po siostrze gumowcach, które spadały mu z nóg mimo dwóch par grubych skarpet.

Wspięli się na murek i zeskoczyli na drugą stronę. Droga, nieutwardzona i kamienista, miała po bokach wyżłobione dwie koleiny, między którymi biegł niewielki wał. We wgłębieniach potworzyły się ciemne kałuże po wczorajszym deszczu.



Przed nimi stał dom. Radość przyćmiło nieco poczucie winy. Sarah żałowała, że zgubiła po drodze karteczkę. Wypadła z kieszeni jej wełnianego płaszcza, gdy pochyliła się nad wartkim strumieniem, beltając patyczkiem w błocie, by zobaczyć, czy coś się w nim nie poruszy, lecz woda gwałtownie uniosła patyczek, aż zawirował na wzburzonej powierzchni i odpłynął. Peter co jakiś czas przypominał jej, że Dostanie Za Swoje.

Matka prawdopodobnie im nie uwierzy, tym bardziej że nie znają żadnego zaklęcia, dzięki któremu mogliby odczarować jej gniew. Ojciec podda się i niechętnie ją poprze, unikając oczu dzieci i niebawem znajdzie sobie do roboty coś, co pozwoli mu wyjść z domu. Pójdzie z psami w góry.

Ich protesty prawdopodobnie zostaną zlekceważone. Każą im zawrócić i iść z powrotem do szkoły. Gdy farma ukazała się ich oczom, próbowali wziąć się w garść, przygotowywali do opowiedzenia całej historii z poważnymi minami, przesadnym żalem i troską.

Na dziedzińcu panowała cisza, brama była otwarta. Peter pociągnął dziewczynkę za rękaw. — Spójrz! — powiedział, a Sarah skinęła głową.

Na środku podwórza czekał na nich Dziwny Chłopiec. Czekał, by się pobawić.

Część trzecia

LONDYN

16 października 1987 r.

**11.** Po dwugodzinnej jeździe Carson i Alison zatrzymali się w przydrożnym zajeździe, pamiętającym chyba epokę kamienną, ustawionym na gruncie, gdzie dzierżawa była wyjątkowo tania, gdyż budowla ta niemal okrakiem siedziała na autostradzie. Na górze była kawiarnia, niżej znajdowały się pokoje wypoczynkowe i kiosk, w którym można było kupić najdziwniejsze akcesoria. Z tandetnych głośników dudniła głośna magnetofonowa muzyka. Ulokowany w niewiadomym miejscu sprzęt grający był mocno przestarzały. Czekaając na dziewczynę Carson poszedł do kiosku; podłoga była wilgotna, widocznie niedawno przetarto ją mokrą szmatą. Lśniący winyl pachniał trochę środkiem dezynfekującym.

Wczesnym popołudniem była tu jeszcze większość porannych gazet i Carson wziął dwie na chybił trafił. Przejrzał je na podjeździe przed domem, szukając jakiegokolwiek wzmianki o wydarzeniach w klinice, ale nic takiego nie znalazł. Gdy usłyszał kroki Alison, wrzucił oba egzemplarze do zdezelowanego kosza na śmieci.

— Wszystko w porządku? — spytał, a ona zmarszczyła nos z obrzydzeniem, a potem uśmiechnęła się.

Wrócili do mercedesa, nabrali paliwa, po czym włączyli się w sznur pojazdów. Byli coraz bliżej celu podróży, a mijana okolica z każdą milą stawała się coraz brzydsza. Niebawem wioski skupiły się i stały miastami, miasta zaś połączyły się by stworzyć metropolię. Gdy natłok szarości po obu stronach stał się zbyt uciążliwy, szosa zniknęła nagle, zostawiając ich w korku ulicznym, utworzonym z aut tych, którzy we wczesnych godzinach wieczornych wracali z pracy.

Gdy z wolna posuwali się czekając na kolejną zmianę świateł, Carson z ukosa rzucał spojrzenia na swą pasażerkę. Siedziała w rozłożonym fotelu, ale nie spała, z głową odwróconą w bok wyglądała przez okno niewidzącymi oczyma. Ostatnich kilka mil do Ealing wlekli się straszliwie, przystając co chwila, tak że przebycie tej odległości zajęło im ponad godzinę; jasność dnia zaczęła już przygasać, gdy Alison dawała Carsonowi wskazówki jak

nie pogubić się w labiryncie ulic i samochodów zaparkowanych z dala od centrum handlowego. Nim wytłumaczyła Carsonowi, gdzie ma się zatrzymać, mrugały już światła na przejściach, a lampy płonęły czerwienią.

Mieszkanie Alison znajdowało się na najwyższym piętrze dużego domu, który mógłby wyglądać okazale, gdyby nie został wciśnięty między inne, stłoczone w jednym rzędzie budynki, a jego ogródków nie zniszczono, przeznaczając je na parking. Przeszli przez sklepiony, zbudowany z cegły pasaż, a Carson zaniósł torbę Alison do samych drzwi i czekał, aż dziewczyna znajdzie klucz.

— Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie — powiedziała. — Czy mogę zapłacić za benzynę?

Carson pokręcił głową. — To żaden wydatek. Nie ma o czym mówić.

— Nie mogę o tym nie mówić. — Alison znalazła klucz, otworzyła drzwi i wsunęła rękę, by zapalić światło w przedpokoju.

— Musi pani ograniczyć wydatki, póki nie znajdzie pani pracy.

— Z tym nie będzie kłopotu. — Otworzyła drzwi i zaprowadziła mężczyznę na górę. Hall był czysty i schludny, lecz zupełnie bezosobowy, co było cechą charakterystyczną wspólnych mieszkań. — Agencja znajdzie mi pracę, jak tylko będę gotowa.

— Chce pani trochę ochłonać?

Skinęła głową. — Myślę, że dobrze mi to zrobi.

Z wąskiego podestu prowadziło kilka korytarzy do różnych części budynku. Alison weszła do krótkiego, ślepego korytarzyka, w którym znajdowało się czworo drzwi. Dwie pary były ponumerowane. Dziewczyna otworzyła drzwi oznaczone ósemką.

Zasłony w mieszkaniu były zaciągnięte. Carson usłyszał odgłos przekreścanego kontaktu, ale światło się nie zapaliło.

— Chyba trzeba wymienić żarówkę — stwierdziła Alison przechodząc przez pokój, przy czym parokrotnie wpadała na różne sprzęty, źle oceniwszy ich położenie.

Ponownie rozległ się jakiś dźwięk, tym razem niżej, pewnie dziewczyna próbowała włączyć stojącą na stoliku lampę, lecz światła nadal nie było. — Nie ma prądu — powiedziała Alison wyraźnie zaniepokojona. — Przepraszam na chwilę.

Otarła się o niego w ciemności. Jej bliskość sprawiła, że mrówki przebiegły mu po grzbiecie, a na ciele pojawiła się gęsia skórka. Gdy dziewczyna wyszła, zza uchylonych drzwi wpadło trochę światła z korytarza.

Carson postawił torbę na podłodze i podszedł do niewyraźnego, szarego

kwadratu okna. Odsunął nieco zasłonę, co trochę poprawiło sytuację — może przy blasku wieczornej poświaty i żółtym świetle sodowych lamp Alison przynajmniej nie potknie się o stojącą na środku pokoju torbę. Z przeciwległego końca korytarza dochodziło uporczywe stukanie do drzwi.

To, co zdołał zauważyć w mieszkaniu, niewiele mówiło o jego właścicielce. Pod oknem stał składany stół, z twardymi krzesłami po obu stronach; obrócone w kierunku pokoju tkwiły tam na podobieństwo dwóch kamiennych lwów. Przed nim znajdowała się niska kanapa i stoliczek ze szklanym blatem, pod którym leżały stosy pism. Na drugim niskim stoliku stało tanie stereo i kilka nierównych stert płyt, na ścianie wisiały plakaty chyba jakiegoś znanego grafika, ale w ciemnościach Carson nie mógł rozróżnić szczegółów. Drzwi po drugiej stronie korytarza otwarły się i miły dziewczęcy głos dał wyraz swemu zdumieniu.

— Alison! — zawołała nieznajoma. — Nie wiedziałam, że wrócisz tak wcześniej.

— Dlaczego nie ma prądu?

— Odcięli dziś rano. Zakwestionowałam rachunek.

— Ale przecież posłałam ci czek na pokrycie mojej części.

— Wiem, ale nie o to chodzi. Coś mi się w tym rachunku nie zgadzało.

— Więc go nie zapłaciłaś?

Choć Carson nie widział dziewczyny, nie miał wątpliwości, że coś kręci.

— Pieniądze są odłożone — powiedziała.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, kiedy tu byłam przed dwoma dniami?

— Nie chciałam cię denerwować. Nie spodziewałam się, że wrócisz tak prędko, więc uważałam, że to nie ma znaczenia.

— Czyli nie mamy gorącej wody i nie działa kuchenka — westchnęła Alison.

— Jutro to załatwię — zapewniła potulnie dziewczyna. — Zrobiłabym to dzisiaj, gdybym wiedziała, że przyjedziesz. Strasznie mi przykro.

Carson nagle zorientował się, że niewiele brakowało, by przysłuchując się rozmowie, wszedł niechcący do sypialni dziewczyny. Mimo iż ta wymiana zdań żywo go zainteresowała, cofnął się nieco. Zaraz potem wróciła Alison. Trzymała w ręce jakieś pudełko, a gdy je uniosła, zagrzechotało coś w środku.

— Dała mi trochę świec — rzekła Alison tonem pełnym rezygnacji i niedowierzania. — Oto dowód prawdziwej troski.

— Dlaczego to ona płaci rachunki?

— Jest jeden licznik. Wolałabym płacić oddzielnie, ale mamy wspólną łazienkę i kuchnię. Dam głowę, że nie zakwestionowała tego rachunku, bo nie mi o tym wcześniej nie mówiła. Po prostu nie zapłaciła i już. Moje pieniądze daje bezrobotnemu tureckiemu kelnerowi, a ja siedzę po ciemku. Chciałam pana przynajmniej czymś poczęstować.

— Może mógłbym zaprosić panią do siebie? — zaproponował Carson i poczuł się nieco zaskoczony natychmiastową zgodą.

— Świetnie. Jedźmy.

Tym razem postanowiła sama nieść torbę, co zwalniało Carsona od kurtuazyjnego gestu, który wykonał przed złożeniem propozycji wizyty. Mieszkał zaledwie parę mil dalej, na horrendalnie drogim i zatłoczonym skrawku terenu, znajdującym się pół mili od rzeki, na wschód od Kew Bridge. Ruch zdążył już znacznie się zmniejszyć, toteż znaleźli się na miejscu w ciągu dwudziestu minut. Trochę czasu zajęły Carsonowi zakupy w otwartych do późna delikatesach.

Był to okazały dom, zbyt obszerny, by zajmował go jeden najemca, toteż przedsiębiorca uprościł go nieco i przerobił na cztery oddzielne mieszkania, połączone jedynie wspólnym hallem i schodami. W budynku, składającym się z trzech pięter i piwnicy, Carson zajmował cały parter oraz pomieszczenie niegdyś służące za garaż, a obecnie przerobione na drugą sypialnię, do której można było wejść przez niezbyt wygodne, kręte przejście pod schodami.

Carson zaparkował mercedesa na podwórku z dala od ulicy i obszedł samochód, by pomóc wysiąść Alison. Była pod wrażeniem wielkości budynku, dużego portyku z rzędem białych kolumn, do którego wchodziło się po czterech kamiennych stopniach, i odnowionej elewacji z eleganckimi białymi okiennicami. W mieszkaniu na piętrze, najmniejszym spośród wszystkich czterech, paliło się światło.

Drzwi frontowe były ciężkie i solidne, opierały się naciskowi wolno zamykającej je sprężyny. W hallu, tuż za kratką domofonu z ponumerowanymi przyciskami znajdowała się półka z korespondencją, leżało tam parę przesyłek zaadresowanych do Carsona, ale były to tylko kosztowne śmieci — makulatura z automobilklubu. Jedyne drzwi znajdujące się w hallu na tym poziomie prowadziły do mieszkania Carsona, parę jardów w dół na lewo. Gdy mężczyzna je otwierał, frontowe drzwi wreszcie się zamknęły.

— Zostawia pan światło w hallu?

— Zgaśnie za parę sekund.

Weszli do środka. Stali teraz w małym korytarzu o kształcie nieregularnego

czworoboku, który prowadził na prawo do krótkiego przejścia zakręcającego koło schodów. Z lewej strony od frontu znajdowała się sypialnia, Carson otworzył przeciwległe drzwi i zapalając po drodze światło wprowadził Alison do salonu.

— To robi wrażenie — powiedziała dziewczyna. Pokój był duży i jasny, z oszklonymi drzwiami, wychodzącymi na okoloną balustradą werandę, skąd rozciągał się widok na ogrody i dalej na rzekę. Gruby, zielony dywan miał odcień leśnego mchu, a ściany były gołębno-szare.

Jedynym odstępstwem od prostoty stanowił kominek z okresu Regencji z palnikiem gazowym w kształcie kłody drewna ułożonej na palenisku z kutego żelaza oraz ozdoba sztukateria biegnąca pod sufitem. Przez oszklone drzwi widać było, jak ostatnie czerwone blaski gasną na niebie.

Carson wydawał się nieco zbity z tropu jej zachwytem. Rozejrzał się, jakby nigdy nie poświęcił mieszkaniu specjalnej uwagi. — Dziękuję — powiedział niepewnie.

Alison podeszła parę kroków i przesunęła ręką po zielonym aksamitnym obiciu stylowego fotela przed kominkiem. — Skoro może pan sobie pozwolić na to wszystko i jeszcze utrzymać samochód, to praca w prasie musi się nieźle opłacać.

Carson wzruszył ramionami. — Właściwie nie — powiedział. — Sprzedają niewiele artykułów.

— Nie rozumiem...

— Pisanie jest moim hobby — wyjaśnił. — Większość pieniędzy pochodzi z funduszu powierniczego.

Skinęła głową, zaintrygowana, lecz zbyt dobrze wychowana, by wtykać nos w nie swoje sprawy. — Mam nadzieję, że w łazience jest gorąca woda? — zapytała.

— Ile pani sobie tylko życzy — odparł Carson. — Pysznic jest tuż koło sypialni, po tej stronie, a za rogiem jest łazienka.

— Pysznic najzupełniej mi wystarczy.

Wprowadził ją do sypialni i położył torbę na łóżku, a potem poszedł przynieść jej parę ręczników z komody w hallu. Alison rozpięła torbę i zaczęła grzebać w sklębionych ubraniach w poszukiwaniu mydła. Jutro będzie musiała zrobić jakieś zakupy, większość jej rzeczy została bowiem w klinice.

Pokój był skąpo umeblowany i schludny, emanujący czystością, gustownie urządzone, podobnie jak reszta mieszkania nic jej nie mówił o Carsonie — może z wyjątkiem tego, że ma sprzątaczkę, gdyż efektem panującej w nim bezosobowej czystości może osiągnąć tylko ktoś z zewnątrz. Przy łóżku stało radio i szafka wypełniona książkami.

— To musi nieźle kosztować — rzekła Alison na tyle głośno, by ją usłyszał. — Ceny na Strandzie są horrendalne.

— Nie mam pojęcia. — Jego stłumiony głos dochodził zza kredensu. — Wszystkim zajmował się agent.

— Więc nawet nie wie pan, ile to kosztuje?

Carson zjawił się z ręcznikami: kąpielowym i dwoma zwykłymi i położył je na kołdrze. — Specjalnie mnie to nie interesowało. — Zrobił parę kroków w kierunku drzwi. — Mówiąc najogólniej, ojciec nie był biedny, kiedy ustanowił ten fundusz.

— Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić — zawołała zza drzwi. — Proszę mi o tym opowiedzieć.

— Pierwsze pieniądze dostałem, gdy miałem dwadzieścia dwa lata. — Stłumiony głos Carsona dochodził teraz z kuchni na przeciwległym końcu korytarza. — Zostawił matkę, gdy miałem cztery lata, i nigdy nie dał jej ani pensa.

Zdumiało to Alison, lecz była mile zaskoczona, słysząc w jego głosie odrobinę irytacji. — Czy zrobił kiedyś dla pana coś dobrego?

— Owszem — doleciało z oddalonej kuchni. — Umarł.

Przymknęła drzwi; z początku miała zamiar zupełnie je zamknąć, lecz zmieniła zdanie i zostawiła uchylone na parę cali. Potem, rozpinając bluzkę, obeszła łóżko i usiadła, przechylając głowę w bok, by w łagodnym świetle stojącej na stole lampy odczytać tytuły książek. Nic jej nie mówiły owe tomiki w miękkich i twardych okładkach, pomieszane bez ładu i składu; wśród różnorodności tytułów znalazła kilka nieaktualnych wydań „Rocznika Pisarzy i Artystów”. Wstała i zrzuciła z siebie dzinsy i majtki.

Peter Carson usilnie wpatrywał się w rozłożoną przed nim na kuchennym blacie książkę z przepisami kulinarnymi. Same porady nie nastroczały większych trudności, lecz zupełnie nie mógł się skupić na czytanych tekstach.

Był zły na siebie, że zmarnował okazję. Nie dlatego, że czuł się sprowokowany czy podniecony, przeciwnie, właśnie poczuł się swobodnie, nie musiał już niczego udawać i zupełnie się rozluźnił. W jego życiu były jednak rzeczy, które wolał trzymać w ukryciu, zwłaszcza przed Alison.

Może i tak nie miałyby to sensu. Prawdopodobnie rozejrzała się po mieszkaniu i porównała je z dwoma nędznymi, prawie nieumeblowanymi pokojkami, które właśnie opuściła — w ten sposób powstała między nimi bariera nie do przekroczenia. To parszywe dziedzictwo starego lenia, pomysłał z goryczą Carson, zwalić na mnie forszę, zanim mogłem nauczyć się,



jak o nią walczyć albo co z nią zrobić — a teraz już za późno, żeby naprawdę na coś mi się przydała. Nie miał żadnych pragnień, nie pożerała go ambicja; prawdopodobnie do końca życia będzie pławił się w tym niezasłużonym dobrobycie, a potem zestarzeje się i umrze.

Do tej pory powinien był już się przyzwycząić do otaczającego komfortu, lecz on, przeciwnie, niemal wstydził się swego mieszkania. Może jest dla mnie jeszcze jakaś szansa, myślał, układając surowe platy mięsa na desce. Trysnęła z nich krew, plamiąc stalowe ostrze noża.

Kabina prysznicowa z umywalką i toaletą znajdowała się tuż obok sypialni, a kłęby pary wytworzyły się prawie natychmiast mimo gorączkowej pracy wentylatora. Gdy Alison weszła z powrotem do sypialni, chłodne powietrze od razu liźnęło niewytarte ręcznikiem plamy wilgoci na plecach i ramionach.

Przez otwarte drzwi od kuchni przenikał smakowity zapach jedzenia. Końcem kąpielowego prześcieradła przetarła mokry jeszcze kark, a luźno związany węzeł rozplatał się i ręcznik opadł na podłogę.

Szlafrok Carsona wisiał na haczyku za drzwiami. Alison zastanawiała się, czy go przypadkiem nie założyć, ale nie mogła się zdecydować. Gdyby mieszkanie nosiło wyraźniejsze piętno indywidualności gospodarza, takie posunięcie byłoby na miejscu, lecz elegancja otoczenia miała charakter tak bezosobowy, że w tym stroju dziewczyna czułaby się niepewnie.

Zapierająca dech w piersiach siła strumienia wody w prysznicu bardzo pomogła jej pozbyć się znużenia i choć na chwilę zapomnieć o przeżyciach ostatnich dwu dni; może dlatego Alison zebrała się na odwagę. Zdjęła z haczyka błękitno-szary szlafrok i powąchała go — materiał był czysty i bezwonny, dziewczyna nie wyczuła charakterystycznego dla mężczyzny piżmowego zapachu, jakby od momentu kupna szlafroka nikt go nie nosił.

Włożyła go i stanęła przed lustrem toaletki. Był na nią, naturalnie, o wiele za duży, lecz mimo to szalenie twarzowy. Ostateczny efekt nie był jednak taki, jakiego by sobie życzyła, więc rozplatała na karku węzeł opaski przytrzymującej włosy i pozwoliła im luźno opaść na ramiona.

Nadal nie była zadowolona. Tak udrapowała teraz szlafrok, by odsłaniał jak najwięcej. Wystarczy byle kichnięcie, żeby całe to draństwo ześliznęło się z jej ramion i bezwładnie opadło na podłogę, lecz wtedy można by jej zarzucić nachalną prowokację. W końcu rozwiązała pasek i nago stanęła przed lustrem.

Uważnie przyjrzała się swej wysmukłej sylwetce, krągłym kształtom, delikatnej warstwie talku na jędrnej skórze. Gdy była pod prysznicem, drzwi sypialni uchyliły się nieco i gdyby Carson przechodził przez salonik na przeciwnym krańcu korytarza, prawdopodobnie mógłby ją zobaczyć nągą, lecz Alison czuła, że coś jest nie tak i najwyraźniej nie ma to związku z jej osobą. Była to wina otoczenia, bezosobowego i zniechęcającego. Brak zainteresowania ze strony Petera Carsona — gwarantowany.

Westchnęła lekko i nim zaczęła się ubierać, zamknęła drzwi.

Gdy zjawiła się w salonie, światło kinkietów było przyćmione, a elegancki stół przy drzwiach balkonowych został nakryty dla dwóch osób. Stały na nim kieliszki i otwarta butelka wina.

— Jeszcze chwilkę — krzyknął Carson z kuchni.

— Nie ma pośpiechu — powiedziała Alison i podeszła do okna. Prócz własnego odbicia widziała zarys ogrodu, wał przeciwpowodziowy i ścieżkę flisacką na końcu. Odwróciła się, gdy Carson postawił na stole gorącą potrawę z ryżu. — Czy ma pan klucz do tarasu? — spytała, a mężczyzna skinął głową.

— Złapie pani? — Wyłowił z kieszeni niewielkie etui i rzucił w jej stronę. — To ten mały, czarny, który zupełnie nie przypomina klucza. — Trzeba cztery razy przekręcić, żeby otworzyć zamek, a potem odblokować zatrzask.

Wrócił do kuchni, Alison zaś otworzyła drzwi i wyszła na taras wyłożony glinianymi płytkami. Spojrzała przez balustradę na otoczone murem, niepozorne podwórko, należące do mieszkania w suterenie, obmurowaną ceglami niszę, w której stały białe meble ogrodowe z kutego żelaza, a w otwartych beczułkach rosły jakieś krzewy. Do mieszkania można było zajrzeć przez duże werandowe okno, a drewniana brama prowadziła do ceglanych schodów, którymi można było przejść na drugą stronę budynku. Nad jej głową umieszczona była mniejsza weranda należąca do sąsiadów z góry; październikowy wiatr zawodził w żelaznych konstrukcjach tarasu, wydając dźwięk przypominający błagalne kobiece wołanie. W oddali, oblane księżycowym światłem, lśniło lustro rzeki, przecięte kreską kolejowego mostu. Alison lekko zadrżała i wróciła do pokoju.

Zamknęła okno i zaczęła szukać klucza, ale Carson stwierdził: — Później się tym zajmę. Jedzenie gotowe.

Było to na pewno lepsze niż kanapka i piwo, którymi raczył ją nieodżałowany Eddie. Za jego czasów zresztą, Alison prawdopodobnie musiałyby

sama pofatygować się po trunki, gdyż chłopak pod jej nieobecność na pewno osuszyłby ostatnią puszkę. Zerknęła w stronę wąskiego tarasu i powiedziała: — Bardzo tu miło. Ale czy nie podglądają pana?

Carson pokręcił głową. — Jest za mało miejsca. A na górze i tak nikt nie mieszka.

— Ktoś się wprowadził i sprzedaje mieszkanie?

— Raczej trzyma je puste i czeka, aż ceny pójdą w górę. — Już miał dodać: na tym właśnie mój stary zrobił forszę — lecz powstrzymał się w porę.

Alison zauważyła, że Carson próbuje opanować zdenerwowanie, więc szybko zmieniła temat. — Proszę mi opowiedzieć o artykułach, które pan pisze. Czy jest szansa, że któryś czytałam?

— To możliwe, ale mało prawdopodobne. Nie napisałem ich tak wiele. Nie jestem dobrym fachowcem.

— Jest pan pesymistą.

— Ale to prawda. Nie jestem dość przebojowy, by zająć się naprawdę ważnymi sprawami, a nie potrafię zapalić się do tego, czym żyje cały plotkarski świat. Większość opracowań źródłowych zamawiam w agencji, a i tak opieram się na materiałach z drugiej ręki.

Siedzieli i jedli. — Dlaczego pan się tym zajmuje — odezwała się — skoro ta praca daje panu tak niewiele satysfakcji?

— Nie powiedziałem, że nie daje mi satysfakcji. — Pochylił się, by nalać jej wina, i wówczas uświadomiła sobie, że niemal od razu opróżniła swój kieliszek. — Czasami mój styl odpowiada dokładnie zamówieniu — ciągnął. — Dostaję mnóstwo zleceń od przedsiębiorstw, magazynów linii lotniczych i im podobnych. Kiedyś amerykański agent umieścił mój materiał w „Reader's Digest”.

— Naprawdę? — zdziwiła się Alison. — Myślałam, że do „Reader's Digest” się nie pisze. Że te artykuły opracowuje komputer.

— No cóż — odparł zmieszany Carson. — Właśnie takimi rzeczami się zajmuję.

Poziom wina w butelce znacznie się obniżył, toteż po posiłku Carson wyciągnął z dna kredensu butelkę porto. Brak orientacji w zapasach trunków mógłby świadczyć o tym, że pił tylko wtedy, gdy podejmował gości, a to nie zdarzało się zbyt często. Włączył gazowy palnik na kominku, po czym usiedli na stylowej kanapie. Alison zgodziła się na jeden kieliszek porto, nie była pijana, ale wiedziała, że powinna sprawiać takie wrażenie.

Rozmowa ożywiła się nieco i Alison zauważyła, że Carson stara się, by dotyczyła wyłącznie jej życia, więc nie usiłowała już nic z niego wyciągać

ani go sondować. Byłoby to niedelikatne. Gdyby Carson okazywał jej wyraźne zainteresowanie i czułaby, że mu się podoba, zgodziłaby się na podwiezienie i obiecując wspólny lunch w bliżej nieokreślonej przyszłości, zapomniałaby o sprawie. Ta sytuacja była dla niej wyzwaniem.

Nim zdołała się opanować, smacznym ziewnięciem dała znać, że godzina jest już dość późna, co Carson przyjął ze zrozumieniem.

— Odwiozę panią — zaproponował. — Mam też wolny pokój, jeśli nie chce pani siedzieć po ciemku. — Była to delikatna kwestia, wystarczyła minimalna zmiana tonu, a mógłby zostać źle zrozumiany.

Uśmiechnęła się. — Dzięki, ale tyle pan już dla mnie zrobił. Muszę jeszcze przemyśleć parę spraw.

— Jasne — odparł. — Przyniosę pani torbę.

Carson jechał niezwykle ostrożnie, co chwila spoglądając w lusterko, lecz drogę do Ealing przebyli po zatłoczonych jezdniach bez kłopotu. Nie było gdzie zaparkować samochodu, co rozwiązało problem pożegnania. Nim wysiadła, cmoknęła go w policzek, jakby dawała ukradkowego całusa szkolnemu koledze. Zanim Carson zdążył zareagować, już jej nie było. Zatrzymała się przed ceglanym łukiem, uśmiechnęła po raz ostatni i pomachała mu ręką.

Dotknął policzka końcami palców.

A potem pojechał do domu.

**12.** Poranne słońce wpadało przez okna korytarza, opromieniając blaskiem unoszące się w powietrzu drobinki kurzu i napełniając wnętrze lawendowym aromatem wosku do podłóg. Okna w gmachu sądu były otwarte, lecz kaloryfery pod nimi grzały całą mocą, musiałyby upłynąć parę godzin, by dało się odczuć jakąś zmianę temperatury, ale dotrzymanie kroku wyjątkowo kapryśnej w tym miesiącu naturze było niemożliwością. Przed paroma dniami, rozmyślał Tony Donaldson, lało i było przeraźliwie zimno, teraz zaś wszyscy człapią w kaloszach, okutani w pulowery, co jest strojem równie odpowiednim jak kostium kąpielowy do skoków spadochronowych. Taka pogoda nie potrwa długo, a ostatnie dni października mogą nawet przynieść pierwsze opady śniegu, lecz do tego czasu ludzie będą trzęśli się z zimna albo ociekali potem, pokutując za swą łatwowierność.

Donaldson odsunął się na bok, by przepuścić dwóch pogrążonych w rozmowie adwokatów, ludzi jeszcze stosunkowo młodych, którzy usilnie

starali się stwarzać pozory, że dojrzały wiek mają już prawie za sobą. Donaldson niechcący oblał jednego z nich herbatą, która z plastikowego kubka pocięła mu po palcach, toteż jeden ze stetryczących młodzieńców rzucił mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Donaldson najchętniej pokazałby mu język.

Pani Balanchine siedziała na twardym krześle przed salą rozpraw numer dwa. Panował tu duży ruch, gdyż urzędnicy i asystenci bez przerwy kręcili się po korytarzu; przybysza z zewnątrz mogło to wprawić w oszłomienie, toteż gdy Donaldson pojawił się z powrotem, pani Balanchine odczuła wyraźną ulgę. Była to starsza niewiasta, drobna i krucha, miała na sobie najlepsze tweedowe palto, a na głowie mały kapelusik ozdobiony z boku drobnymi kretonowymi kwiatkami. Na jej kolanach leżała duża torba, którą ścisła jak tarczę.

Za krzesłami znajdował się obudowany grzejnik z małą półką, na której Donaldson postawił plastikowe kubeczki.

— Zdenerwowana? — zapytał w języku migowym, po czym zrobił gest wyrażający obawę, lecz złagodził go uśmiechem.

— Szybko skończyć, do domu — odpowiedziała błyskawicznymi ruchami rąk, bez najmniejszego przestanku, mrugając oczami zza grubych szkieł okularów. Młodociany urzędnik jednego z biur mieszczących się w głębi korytarza, który mijał ich z plikiem dokumentów przewiązanych wstążką, tak się na nich zagapił, że wpadł na otwierające się właśnie podwójne drzwi sali sądowej

Spokojnie — Donaldson usiłował rozładować jej zdenerwowanie. Bez obaw, rozmowa tylko ze mną. Nie ma pośpiechu, nikt nie goni. Szybko się skończy.

Pani Balanchine pochodziła z Renwick, małej wioski położonej około dziesięciu mil na północ od Penrith. Od dziecka miała poważne kłopoty ze słuchem, które w wieku dwudziestu paru lat przerodziły się w zupełną głuchotę. Opiekę społeczną tworzyły wówczas stowarzyszenia dobroczynne, a określenie „głuchoniema” było powszechnie używane. Wykształcenie odebrała bardzo marne, gdyż nauczyciele niesłusznie uznali, że niemożność wypowiedzenia się i ogólna inteligencja, idą ze sobą w parze. Dopiero w późniejszych latach, z pomocą męża, nadrobiła szkolne braki.

Edward Balanchine leżał teraz w szpitalu. Miał złamaną rękę i miednicę, ponieważ przed trzema tygodniami potrącił go samochód. Można powiedzieć, że żona miała szczęście, gdyż wyrzuciło ją na jezdnię, nabiła sobie parę guzów, ale poza tym wyszła bez szwanku. Kierowcę odnaleziono i właśnie za kilka minut miał stanąć przed sądem, oskarżony o niebezpieczną jazdę i ucieczkę z miejsca wypadku. Tony Donaldson zmienił harmonogram swych wizyt i cały rozkład zajęć w wydziale opieki społecznej,

by przez większą część dnia móc towarzyszyć pani Balanchine jako tłumacz.

Urzędnik sądowy stanął w drzwiach i wezwał świadka. Pani Balanchine odczytała to z wyrazu twarzy Donaldsona, wstała wraz z nim i odwróciwszy się poszła przodem.

Sala rozpraw niemal cała wyłożona była wspianiałą boazerią, a na centralnym miejscu znajdowała się ława sędziowska. Przewodniczący okazał się mężczyzną, o krągłej twarzy zwieńczonej łysiną, kobieta zaś i mężczyzna po obu jego stronach wydawali się anemiczni i pozbawieni sił witalnych, jakby większość swej energii przekazywali dorodnemu towarzyszowi.

Nie przewidziano, że potrzebny będzie tłumacz, a żaden z sędziów nie znał tekstu odpowiedniej przysięgi. Na szczęście Donaldson miał w portfelu ową formułkę, zapisaną na odwrocie jakiejś pogniecionej karteczki. Gdy ją odczytywał, zorientował się, że na końcu sali powstało zamieszanie.

Zerkając na kartkę wygłosił przysięgę, której słowa znał na pamięć, gdy przez oszklone drzwi dostrzegł zielony wojskowy mundur. Woźny sądowy rozmawiał z jakimś oficerem i Donaldson ponownie miał skupić się na tekście, gdy ujrzał, że woźny odwraca się i wskazuje go palcem. Oficer przyjrzał mu się badawczo.

Donaldson zająknął się. Kilka osób uniosło głowy, jedna czy dwie obróciły się w kierunku drzwi. Widząc to, woźny zaczął wypychać oficera za drzwi. Wojskowy tłumaczył coś jeszcze, ale woźny stanowczo pokręcił głową.

Procedura wygłaszania przysięgi dobiegła końca, teraz podniósł się oskarżyciel. Donaldson nie był zbyt zadowolony z zajmowanego przez siebie miejsca — światło zza jego pleców padało wprost na panią Balanchine, dokładnie odwrotnie niż być powinno — ale jakoś sobie z tym poradzą. Głośno powtórzył pierwsze pytanie, tłumacząc je na język migowy i od czasu do czasu wykonując jakiś pomocniczy gest, ze względu na prawniczą precyzję odchodząc od ich zwykłego, zwięzłego i skondensowanego sposobu porozumiewania się. Pani Balanchine w skupieniu zmarszczyła brwi, usiłując połapać się w wyszukanej gramatyce, gdy — litera po literze — tłumaczono jej pytanie. Na ławie oskarżonych siedział chudy, uśmiechnięty nienaturalnie dziewiętnastolatek. Zdaje się, że uważał oskarżyciela za durnia, a jego adwokat również nie był zbyt zadowolony, nie bardzo mu odpowiadało przesłuchiwanie świadka przez tłumacza.

Wrócił oficer. Czapkę od munduru trzymał w ręce, jakby znajdował się w kościele. Usiadł w pustej ławce na końcu sali, zajmując jedno z miejsc dla publiczności. Jedyne reporter miejscowej gazety odwrócił się, by na niego spojrzeć.

Rozprawa trwała krótko, z twarzy oskarżonego zniknął uśmiech, gdy pani Balanchine szczegółowo opisała, jak samochód wypadł z za rogu i zarzucił tuż przy murze, gdzie wraz z mężem czekali, by przejść na drugą stronę jezdni. Obrońca usiłował przyłapać ją na pomyłce w identyfikacji, ale dokładnie opisała pokryty metalowym lakierem samochód, szerokie koła, kilka trójkątnych nalepek na tylnej szybie; wydawało jej się też, że pamięta kilka puszystych kulek zwisających ze wstecznego lusterka, podała również trzy pierwsze litery numeru rejestracyjnego.

Dalej poszło już szybko. Oskarżony wymienił błotnik w swoim wozie i nie mógł sobie przypomnieć, co zrobił ze starym. Po pośpiesznej naradzie z adwokatem oświadczył, że pragnie zmienić zeznanie. Sędziowie podtrzymali nakaz aresztu i oznajmili, że wniosek o zapłacenie kaucji rozpatrzą po południu.

Teraz rozległo się kasłanie, cichy szmer rozmów i szelest przewracanych kartek, gdyż sąd przygotowywał się do następnej rozprawy, a Donaldson pomógł pani Balanchine opuścić miejsce dla świadków. Gdy zmierzali w kierunku drzwi, zastąpił im drogę oficer.

— Pan Donaldson? — zapytał. Jak na żołnierza ubrany był niedbale, niemal sportowo. Spod grubego swetra wyglądał wąski, staroświecki krawat, spodnie miał zaprasowane, a buty lśniące. Z bliska wyglądał znacznie młodziej.

— Zgadza się — odparł Donaldson.

— Proszę, żeby poszedł pan ze mną.

— Dokąd?

— Nie mogę panu powiedzieć. Załatwiłem to z pańskim zwierzchnikiem. Wie o wszystkim.

— Ale o co chodzi? — zapytał Donaldson, prowadząc oszołomioną panią Balanchine ku drzwiom. Oficer zatrzymał ich.

— Panie Donaldson. Mam rozkaz sprowadzić pana bez względu na okoliczności.

— Pod groźbą użycia broni?

— Nie — odparł zmieszany oficer — oczywiście, że nie.

Pojawił się woźny sądowy, prosząc, by wyszli na korytarz. Wojskowy niechętnie ustąpił.

— Niech pan posłucha — odezwał się Donaldson, gdy znaleźli się na zewnątrz. — Nie chcę panu robić trudności, ale nie może pan nagle pojawiać się nie wiadomo skąd i niemal aresztować mnie bez słowa wyjaśnienia.

Oficer zawahał się, po czym rzekł: — Zawiozę pana do Langstone. Wie pan, gdzie to jest?

— Wiem.

— Potrzebujemy kogoś, kto by nam coś — zrobił ręką niezdecydowany gest — wytłumaczył, czy jak to się tam nazywa.

— Kiedy?

— Zaraz. Przed budynkiem stoi mój land rover.

— Wykluczone. Muszę zabrać panią Balanchine do szpitala, by mogła odwiedzić męża.

— W porządku. Podrzucimy ją po drodze.

Donaldson pomógł pani Balanchine usadowić się w land roverze. Bez protestów usiadła na miejscu pasażera, Donaldson zaś przycupnął na wąskiej bocznej ławeczce, myśląc: niemożliwe, by to się działo naprawdę. Kierowca najwyraźniej nie znał okolicy, a konieczność dawania mu wskazówek uniemożliwiała zadawanie pytań czy prowadzenie rozmowy, zdołał tylko zorientować się, że jadą do Langstone, a reszty miał dowiedzieć się na miejscu. Ponadto jeszcze raz go zapewniono, że wszystko zostało załatwione z jego biurem. Absolutnie odporny na wątpliwości wojskowy umysł, pomyślał Donaldson, jeśli coś zatwierdzono szczebelek wyżej, dalsze pytania są zbędne.

Land rover zatrzymał się przed szpitalem w zatoczce dla karettek, a potem odjechał na parking, gdzie czekał na Donaldsona, który zaprowadził panią Balanchine na oddział męski. Pana Balanchine'a można było odwiedzać o każdej porze, co oznaczało, że stan jego jest krytyczny. Donaldson zostawił panią Balanchine na oddziale i poszedł poszukać telefonu, żeby zadzwonić do biura.

Powiedziano mu, że prośbę o jego zwolnienie zaakceptował szef wydziału, lecz teraz jest nieosiągalny i niczego nie może wyjaśnić. Zawsze jest nieosiągalny, pomyślał Donaldson i spytał, co będzie z panią Balanchine. Poinformowano go, że ktoś już po nią jedzie.

Podróż do Ravens' Bridge przebiegła bez żadnych komplikacji; minęli przystań parowca, małe drewniane mola, następnie zakręcili i przejechali na drugą stronę płytkiego, leniwie płynącego strumienia, po raz ostatni spojrzeli na spokojne, mieniące się wody jeziora i wjechali do wioski. Było tu parę herbaciarni, kilka małych hotelików, sklep z akcesoriami marynarskimi, parking, a dalej przystań dla łódek spacerowych. Sezon dobiegł końca, co napawało mieszkańców uczuciem ulgi i smutku. Nie sprzedawano już sieci rybackich ani pocztówek, a uroczo bezużyteczne wyroby z fajansu miały przeczekać zimę i dotrzeć do przyszłego sezonu.

Wyjechali z wioski i mijając kilka nowo wybudowanych domów ruszyli wąską drogą wokół jeziora.



Na drodze nie było ruchu, więc nie zatrzymując się w Langstone, skręcili zaraz za hotelem i pojechali prosto do kliniki Jennera.

Widok, który ukazał się oczom Tony'ego Donaldsona, przywiódł mu na myśl dziwną kompozycję z kamienia i płótna. Te części budynku, które nie były zupełnie zniszczone, przykryto folią i zamieniono na tymczasową przechowalnię policyjnego sprzętu. Główny dziedziniec był niemal całkowicie zakryty płachtą namiotową, rozciągniętą między kilkoma słupami. W pobliżu stał zaparkowany land rover i dwie wojskowe ciężarówki z otwartymi plandekami.

Oficer zaprowadził Donaldsona do pomieszczenia, które kiedyś musiało być czymś w rodzaju świetlicy. Telewizor i plastikowe krzesła odsunięto pod ścianę, a pokój zamieniono na połowę centrum dowodzenia. W powietrzu nadal unosił się ostry, przesiąknięty nieco wilgocią, zapach spaleni-  
zny.

— Proszę chwilę zaczekać — rzekł oficer i wyszedł.

Donaldson rozejrzał się wkoło. Na ścianie wisiała tablica z przepisami BHP i kilka starych i poźółkłych ogłoszeń. Nie było dywanu. Do blatu ciężkiego, drewnianego biurka przypięta była duża mapa sztabu generalnego, leżały na nim również jakieś papiery, które Donaldson usiłował odczytać do góry nogami, lecz przeszkodził mu w tym mały, tłusty człowieczek.

— Przepraszam za to wszystko — powiedział. — Nazywam się Hennessy. — Odwrócił się, by przedstawić szczupłego oficera o ciemnej karnacji, który wszedł za nim. — Kapitan Robert Windeler z oddziałów specjalnych. — Windeler lekko skinął głową i wolno obszedł biurko, inicjatywę rozmowy zostawiając Hennessy'emu.

— Czy dowiem się wreszcie, po co mnie tu przywieźliście? — spytał Donaldson.

— A nikt panu nic nie mówił?

— Tylko tyle, że potrzebny jest tłumacz.

Hennessy sprawiał wrażenie zadowolonego z utrzymania dyskrecji. — Zaraz się pan wszystkiego dowie, ale najpierw proszę to przeczytać i podpisać.

Windeler podsunął mu oświadczenie. — To tylko zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy — powiedział. Mówił z lekkim obcym akcentem, co w połączeniu z odcieniem skóry i ciemną karnacją mogło wskazywać, że pochodził z Południa. — Zwykła formalność.

Donaldson przeczytał oświadczenie i podpisał je, chodziło tylko o zachowanie milczenia. Windeler wziął od niego dokument, wsunął go do

szuflady, po czym zamknął ją na klucz.

— W porządku, Hennessy — odezwał się. — Teraz może go pan zabrać. Ale dalej twierdzę, że traci pan czas.

— Możliwe. Niebawem się przekonamy.

Hennessy wyprowadził Donaldsona na podwórko. — Być może uzna pan tę robotę za uieco... dziwną — powiedział, dobierając słowa równie uważnie, jak stawiał kroki między stertami kanistrów, zwojami drutu i nie wiadomo czemu mającymi służyć zielonymi workami. Szarpane wiatrem płótno nad ich głowami sprawiało, że podtrzymujące je słupki drżały z wysiłku. — Być może nic z tego nie wyjdzie, ale bez pana nie będziemy mieli pewności.

Tynk pachniał wilgocią, a dziedziniec pokryty był białym pyłem, co dowodziło, że dopiero niedawno uprzątnięto stąd zgliszcza. Podeszli do drzwi znajdującego się chyba w najlepszym stanie budynku, prostokątnego i pozbawionego okien. Stojący przy wejściu żołnierz w mundurze polowym i berecie odsunął się, by ich przepuścić.

Przez wysokie, wąskie okna wpadał do środka opalizujący półmrok. Na początku Donaldson miał wrażenie, że znajduje się w stajni, ale tu zapach był inny, stęchły i nie tak silny jak odór końskiego nawozu. Wzdłuż ścian stały klatki, w których majaczyły człekokształtne cienie, wyłożona płytkami podłoga była jeszcze wilgotna od niedawnego polewania, a z tyłu pomieszczenia stało kilka zdezelowanych szafek, duży emaliowany zlew i goły rzeźniczy stół, ze sklepową wagą pośrodku.

Większy z dwóch szympansów wyprostował się i złapał za pręty klatki. Miał zjezoną sierść, co nie świadczyło o jego pokojowych zamiarach. W pomieszczeniu nikogo więcej nie było. Donaldson pytająco spojrzął na Hennessy'ego.

— Proszę nie patrzeć na mnie jak na durnia. I tak głupio się czuję — rzekł Hennessy.

— Ale z kim mam rozmawiać?

Hennessy był najwyraźniej zażenowany. — Prawdę mówiąc, z nimi. Nazywają się Bobo i Fifi.

Większa szympansica usiadła, a mniejsza wyglądała zza jej pleców. — Czy to żart? — zapytał Donaldson.

— Ależ nie, zapewniam pana.

— Przecież to małpy.

— Szympansy. To różnica.

— Nie taka znowu wielka.

Donaldson ponownie zerknął na klatkę, trzymając się z dala od krzepkiej łapy Bobo. Była czarna, umięśniona i najwyraźniej bardzo silna.

— Panie Donaldson, bardzo pana proszę. To poważna sprawa. Niech pan przynajmniej spróbuje.

— Porozmawiać z szympansem językiem migowym?

— Nie ma w tym nic śmiesznego. To szympanasy laboratoryjne i nim ściągnięto je do kliniki Jennera, brały udział w eksperymentach lingwistycznych. Chciałbym, żeby pan stwierdził, czy można się z nimi porozumieć.

Bobo bacznie obserwowała wszystkie gesty Donaldsona. — Ale od czego mam zacząć?

— Nie wiem. Tak jak pan zaczyna rozmowę z dzieckiem. Pan tu jest ekspertem.

Gdy Donaldson przykucnął przed klatką i uczynił powitalny gest w języku migowym, poczuł się zażenowany całą tą sytuacją. Oba szympanasy przyglądały mu się z obojętnością. Fifi ziewnęła i podrapała się.

Donaldson wstał. — Chyba nie traktuje pan tego poważnie?

— Proszę, niech pan chociaż spróbuje.

Tłumacz przeliterował słowo „Bobo”. Większa szympanśca wyprostowała się i oparła twarz o pręty, obserwując go z ukosa, Fifi tymczasem szczyrzyła zęby i kręciła głową. Nie świadczyło to o zrozumieniu. — Co one lubią? — spytał Hennessy'ego.

— Jak to, co lubią?

— Cukierki, czekoladę, czy coś takiego?

— Nie wiem. Myślałem, że lubią tylko banany.

— Może pan ściągnąć trochę z wioski? Musimy je czymś zainteresować.

Hennessy pomyślał chwilę, po czym skinął głową. — Załatwię to — powiedział i ruszył do drzwi.

Gdy Hennessy rozmawiał ze stojącym na zewnątrz żołnierzem, Donaldson znalazł kontakt elektryczny i zapalił światło. Trzy gołe żarówki, tkwiące wysoko między krokwiami, nie rozświetliły wprawdzie mroku, ale zrobiło się trochę widniej. Podszedł do klatki i skupił uwagę na Bobo, gdyż siedziała bliżej i okazywała mu więcej zainteresowania. Pokazał na migi: „Bobo chce czekoladę” i chyba udało mu się zaciekawic małpę, gdyż Bobo wydała kilka głośnych okrzyków i zakołysała się z boku na bok. Zapytał jeszcze, czy Bobo nie chce herbatnika, loda, banana: reakcja była taka sama, ale nic więcej nie udało mu się uzyskać.

Donaldson usłyszał, że Hennessy wrócił i stanął za jego plecami, odezwał się więc: — Co z bananami?

— Chyba są w spiżarni — powiedział Hennessy. — Pójdę zobaczyć.

Gdy Hennessy szperał w szarych szafkach na drugim końcu pokoju, Donaldson ponawiał próby porozumienia się z Bobo. Fifi rozrzuciła po klatce garście słomy, a duża szympanśica, uczepiona prętów, kołysała się na stojąco.

Pojawił się Hennessy z naręczem dojrzałych, lekko czerniejących bananów. Bobo zareagowała natychmiast, wyciągając rękę żebraczym gestem: unosiła ku górze dłoń o lekko zgiętych palcach. Fifi przyczłapała i stanęła za nią, zainteresowana poczęstunkiem.

— Bobo chce banana? — zapytał w języku migowym Donaldson, czując, że Hennessy bacznie go obserwuje. Bobo dalej wyciągała rękę, lecz Donaldson trzymał owoc zbyt daleko, by mogła go osiągnąć.

— Nic z tego nie będzie — zaczął, lecz w tym momencie Bobo cofnęła rękę do klatki i zrobiła dłońmi niewyraźny gest.

— Czy to coś znaczy? — spytał z nadzieją Hennessy.

Donaldson miał wątpliwości. — Nie jestem pewien. Mógł to być jakiś wariant słowa oznaczającego banana. — Obserwując Bobo, palcem wskazującym i kciukiem nakreślił w powietrzu zarys owocu, a potem wykonał ruch markujący obieranie.

Bobo przytknęła do warg zakrzywiony palec, po czym opuściła otwartą dłoń. Następnie obie ręce znowu przyłożyła do ust i szeroko rozłożyła ramiona, ponownie je złączyła, wypychając do przodu pięści, zakołysała zadem i powtórzyła gest Donaldsona, tym razem precyzyjnie i dokładnie, na koniec zaś zgięła palce, wyraźnie pokazując literę B.

Gesty były nieco chaotyczne, ledwo przypominające język migowy, lecz ich znaczenie nie ulegało wątpliwości: PROSZĘ, TRENER, DAJ BANANA BOBO.

Donaldson nie posiadał się ze zdumienia. Bobo znowu wysuwała rękę błagalnym gestem i mężczyzna uświadomił sobie, że ciągle trzyma banany. Oderwał z kiści jednego i wyciągnął go w kierunku klatki. Bobo zacisnęła wargi, zaczęła dyszeć i kłapać zębami z zachwytem, kiedy owoc znalazł się w zasięgu jej palców. Gdy wzięła banana, przelotnie dotknęła Donaldsona swą szorstką, suchą i ciepłą dłonią. Potem, zaciskając pięści poszła w głąb klatki, a za nią kroczyła Fifi z oczyma utkwionymi w bananie.

— I co z tego wynika? — spytał Hennessy.

— Nie jestem pewien. Bezsprzecznie pamiętają parę znaków, lecz jeszcze nie wiem jak dużo.

— Ale można im zadawać pytania?

— Obawiam się, że oczekuje pan zbyt wiele.

Bobo odrywała kawałki banana i wkładała do ust. Fifi cierpliwie siedziała obok, z ręką wyciągniętą jak żebraczka. Bobo uszczknęła cząsteczkę

i wspinałomyślnie jej wręczyła.

— Zdolności językowe szympanów są wysoko oceniane — rzekł Hennessy. — Zobaczmy, co się jeszcze uda panu z nich wyciągnąć.

Donaldson położył banany na stole, przyniósł nóż i głęboki talerz. Gdy kroił w plastry owoce, Bobo i Fifi znowu podeszły do kraty i zrobiły się dość hałaśliwe. Musiał uważać, by szympansy zbyt szybko się nie najadły i nie znudziły zabawą, gdyż wtedy nie będzie miał żadnego bodźca mogącego nakłonić je do współpracy.

Ustawił talerz przed klatką w dobrze widocznym miejscu i za każdym razem nagradzał kawałkiem banana poprawną identyfikację. Bobo wykonywała wszystkie znaki, za każdym razem zgarniając kawałek owocu, Fifi zaś uważnie obserwowała te transakcje, lecz sama nie podejmowała próby porozumienia się. Ten język migowy odbiegał od normy, wiele gestów było zmienionych i trudnych do odczytania, mała pokazywała palcami tylko pierwsze litery wyrazów. Poziom konwersacji znacznie się podwyższył, gdy po kilku przynagleniach Bobo zaczęła budować zdania o logicznej konstrukcji. Donaldson doszedł do wniosku, że w pewnym sensie to on jest teraz uczniem — Bobo używała znanego sobie słownictwa, do którego usiłował się dostosować.

— Sam w to nie mogę uwierzyć — wymamrotał.

Zainteresowanie bananami powoli osłabło. Bobo prawie każdy kawałek oddawała Fifi, a potem odsunęła się od prętów i zaczęła rozrzucać słomę po klatce. Fifi pozostała na miejscu z ręką wyciągniętą przez kraty, przenosząc wzrok z bananów na Donaldsona, lecz nie wykonując żadnych gestów.

— Jakież problemy? — zapytał Hennessy.

— Zaczyna się nudzić.

— Niech pan wprowadzi jakieś utrudnienia.

— Nie jest już głodna i trudno ją nakłonić do porozumiewania się. Gdy tylko dostanie, czego chce, przestaje się starać.

Hennessy podszedł bliżej, wiedząc teraz, że nie będzie przeszkadzać w „konwersacji”. Bobo leżała na plecach, machając nogami w powietrzu. — Czy ona nie rozumie, o co panu chodzi?

— Rozumie. Wykorzystuje to, jak może. Kiedy nauczono je języka migowego?

— Przed paru laty, ale opiekunowie ćwiczyli z nimi cały czas — w każdym razie tak mi powiedziano. Łatwiej wtedy dają sobą kierować. Znały już sporo znaków i ciągle uczyły się nowych słów.

Rozległo się stukanie do drzwi i po chwili wszedł żołnierz niosąc torby pełne łakoci. Cisnął je na stół, a Donaldson podszedł, by zobaczyć, czym teraz dysponuje. Były tam landrynki, kilka tabliczek czekolady, torebki z

toffi, parę kartonów mleka o różnych smakach i blok lodowy, który zaczynał się topić i przeciekać przez papier.

— Mógłby pan to podpisać? — zwrócił się żołnierz do Hennessy'ego.

Urzędnik zerknął na podsunięty mu kawałek papieru. — A co to takie-go? — zapytał.

— Czek. W sklepie nie chcieli mi dać na kredyt.

— Mają do nas zaufanie — zauważył Hennessy, kładąc papiera na stole i sięgając po długopis.

— Nie nalegałem. I tak się głupio czułem. Pewnie myślą, że robimy tu balangę.

Donaldson cisnął ciekące lody do zlewu i wysypał zawartość toreb na tackę zdjętą z wagi. Toffi zostały na stole, gdyż nie zamierzał po każdej odpowiedzi odczekiwać pięciu minut, aż małpa z głośnym mlaskaniem przeżuje nagrodę. Wziął rzeźbioną stalową tackę i ustawił ją obok klatki tak, by znalazła się poza zasięgiem małpich rąk, lecz była dobrze widoczna. Poszedł przynieść sobie krzesło.

Hennessy, który wkładał długopis do kieszeni, podniósł wzrok i krzyknął ostrzegawczo. Donaldson odwrócił się i zobaczył, że Bobo wysunęła rękę przez pręty i popychała tackę patykiem, kołyszając nią, tak by słodycze się rozsypały i łatwo było po nie sięgnąć.

Donaldson odsunął miskę i siadając umieścił ją między nogami. — Sprytna małpa — powiedział.

Bobo poklepała się po głowie, co znaczyło „myśleć”.

Hennessy przyniósł sobie krzesło i ustawił je w pewnej odległości. — Nie wolno ich nie doceniać — powiedział. — Jak chcą, potrafią nawet otwierać zamki.

— No dobrze, możemy spróbować. Czego chce się pan dowiedzieć?

Szło to powoli, Donaldson usilnie starał się przełożyć pytania Hennessy'ego na logiczny łańcuch migowych znaków, które Bobo mogłaby zrozumieć.

— Bobo pamięta ogień?

— OGIEN (był w ślepych zaułku, małpa przypominała sobie tylko znak, nie wydarzenie. Trzeba spróbować jeszcze raz.)

— Bobo pamięta duży ogień. Bobo przestraszona. Bobo ucieka?

— BOBO UCIEKA ZIMNA ZIELONA SŁOMA (Zimna zielona słoma?

— Trawa przed budynkiem — podsunął Hennessy. — Była wysoka i mokra. Tamtej nocy wyszedł jeszcze jeden stary szympans, który złapał zapalenie płuc i potem zdechł. Niech pan zapyta, kto otworzył klatkę?)

— Kto otworzyć klatka: Bobo, Fifi?

— PROSZĘ, TRENER, OTWÓRZ KLATKA BOBO.

- Trener nie może otworzyć klatka. Kto otworzyć klatka?
- PROSZĘ, TRENER, OTWORZYĆ KLATKA.
- Jeśli Bobo mówić, kto otworzyć klatka, trener prosić otworzyć klatka. Kto otworzyć klatka?
- PROSZĘ, TRENER, DAJ CZEKOLADA BOBO.
- Kto otworzyć klatka, żeby Bobo uciekać od duży ogień, uciekać na zimna zielona słoma? Powiedz trener, trener dać czekolada Bobo.
- DUŻY OGIEŃ. BOBO UCIEKAĆ. BOBO CHOWAĆ SIĘ.
- Kto otworzyć klatka, żeby Bobo uciec?
- LUCY OTWORZYĆ KLATKA BOBO.
- Niech pan z niej wyciągnie co się da — nalegał Hennessy.
- Bobo, powiedz trener, kto otworzyć klatka duży ogień?
- BRUDNA ŚWINIA TRENER.

Bobo pobiegła w głąb klatki, a Fifi w popłochu musiała uciekać jej z drogi, by nie zostać stratowana, potem Bobo wzięła garść słomy i gnoju, rzuciła w Donaldsona i wcisnęła się między pręty, wrzeszcząc tak przeraźliwie, że aż ciarki przebiegały po skórze. Sierść jej się zjeżyła, a wyszczerzone żółte, nierówne zęby wyglądały dość groźnie. Nagle oderwała się od prętów i odwróciła tyłem.

Donaldson zeskoczył z krzesła i potykając się przeszedł parę kroków, Hennessy zaś odsunął się jeszcze dalej, a stojącemu przy drzwiach strażnikowi kazał odejść.

— Chce pan, żebym spróbował jeszcze raz? — spytał Donaldson. Na szczęście nawóz był suchy i łatwo dał się wycesać z włosów. Małpa rzeczywiście zachowała się jak rozkapryszony bobas.

— Nie, chyba nie ma sensu. W każdym razie jestem wdzięczny, że pan w ogóle próbował.

— Mogę zaryzykować. Nie ma sprawy.

— Robi się późno. Dziękuję, że się pan natrudził.

Zerknąwszy na zegarek, Donaldson zorientował się, że było po piątej, czyli przez prawie siedem godzin, obywając się bez lunchu, karmił przysmakami bystrego czelkokszałtnego. Fifi z powrotem stanęła przy prętach, na próżno wyciągając rękę w kierunku tacy. Palce miała zakrzywione, lecz raczej nie był to znak wyrażający prośbę. Skulona w głębi klatki, Bobo ponuro napinała i rozluźniała mięśnie.

— Ta mała pokazuje chyba znak „C” — odezwał się Donaldson. — Czy z kimś się to panu kojarzy?

— Nie — odparł Hennessy i kopnął tacę, tak że jej zawartość rozsypała się po klatce. — Chodźmy, poszukamy samochodu, który pana odwiezie.

Land rover czekał na zewnątrz, lecz parę minut zajęło im odnalezienie kierowcy. Gdy stali na przykrytym płachtami podwórzu, Hennessy odezwał się: — Tylko proszę pamiętać, nikomu ani słowa. Z pańskim biurem wszystko załatwiliśmy.

— A komu mógłbym o tym powiedzieć? — zapytał Donaldson drewnianym głosem świadczącym, że sam się zastanawia, co tu właściwie zaszło. — Kto by mi uwierzył?

— Może pana korcić, ale to nie byłoby rozsądne. Dziękuję za pomoc.

Gdy rover zjeżdżał po stromym zboczu do wioski, by dostać się na okalającą jezioro drogę, dolinę zaczęły zasnuwać wieczorne mgły. Dzisiejsze przeżycia wydały się Donaldsonowi zupełnie nierealne, jakby wyrwane z dziwnego snu. Czuł się podekscytowany i trochę przestraszony. Na kilka chwil zdołał wymazać z pamięci dziwaczne obozowisko, pokój z klatkami, a także Hennessy'ego stojącego mu nad głową. Najbardziej nierzeczywista wydała mu się ta ciemnooka, obca istota, z którą tak swobodnie porozumiewał się językiem gestów.

Hennessy obserwował odjeżdżającego rovera, póki nie zniknął za zagrodą, pośród pofałdowanej zieleni wysokich wzgórz. Następnie ogarnął wzrokiem odległy kraniec doliny; zapadający zmierzch rozmył jej kontury, przywodząc na myśl zwoje błękitnego jedwabiu. Czeka go następna, przesiąknięta wilgocią, parszywa deszczowa noc. Jutro będzie musiał pojechać do Penrith, by kupić ubranie bardziej pasujące do tego miejsca, prowincjonalnego i odpychającego. Odwrócił się i spojrzał na klinikę, na niskie, odsłonięte ściany pomieszczenia dla zwierząt.

— Bezczelni łgarze — mruknął pod nosem.

Rennie Hamilton wyszła z lady wiejskiego sklepu i ostrożnie próbowała precyzyjnie się między wielkimi stojakami i stosami pudeł. Wyciągając szyję, usiłowała dojrzeć pasażerów rovera przejeżdżającego koło hotelu i kierującego się w stronę jeziora. Poprzedniego wieczoru pojawił się tu konwój ciężarówek wojskowych, a wszystko co mogło mieć związek z wydarzeniami w ruinach kliniki było teraz na wagę złota w sąsiedzkich rozmowach.

Spóźniła się, samochód zniknął. Aby dostrzec cokolwiek z dekoracji wystawy sklepowej, musiała się trochę natrudzić i już miała zrezygnować z wysiłków, gdy coś innego, dalej na drodze, przykuło jej uwagę.

— Niemożliwe — powiedziała.

— Co jest niemożliwe? — zapytał jej mąż, z trudem dźwigając się z pustej lady chłodniczej. Gdy zanurzył szmatę w wiadrze z roztworem siarczynu, trochę płynu pocięło na linoleum. Skończył wreszcie robotę, którą



ciągle odkładał na później. Włączył agregat chłodzący, a gdy maszyna znowu podjęła pracę, za ladą rozbłysły światła.

— Jedno z dzieci Gaskellów idzie drogą z torbą na zakupy. Ten chłopaczek. Nikogo z nim nie ma. — Odsunęła się od okna. — Teraz rozumiem. Od ośmiu tygodni robią zakupy i jeszcze nie zapłacili ani pensa. Sami boją się przyjść, to przysyłają dzieciaka.

— Nie obsługuj go — powiedział stanowczo Hamilton, prostując szczupłe, pięćdziesięcioletnie ciało i czując, jak trzaskają mu niektóre stawy.

— Nie mogę tego zrobić — odparła obchodząc ladę. — I jego ojciec też o tym wie. Dlatego przysyłają go samego.

— Pójdę tam i zapytam Gaskella, co on sobie myśli.

— To nie my mamy go nachodzić. On powinien przyjść i uregulować rachunki, jak wszyscy w dolinie, a nie wysyłać małego chłopaczka i nawet nie silić się na żadne wymówki.

Drzwi otworzyły się i zadźwięczał dzwonek przy futrynie. Szurając za dużymi gumowcami wszedł Peter Gaskell. Obszerna, pusta brezentowa torba uderzała mu o kolana. Włosy miał zmierzwione, a kołeczki budrysówki źle pozapinane. Gdy zamykał za sobą drzwi, ledwo sięgał ręką klamki.

Hamilton zniknął w korytarzu prowadzącym do mieszkalnej części domu. Drzwi były prawie zawsze uchylone i Rennie usłyszała chlup wylewanej wody.

Peter Gaskell położył na ladzie kartkę z zeszytu z wypisaną listą zakupów.

— Sam jesteś, Peter?

— Nie ma lekcji. — Nie wydawał się jednak specjalnie tym uszczęśliwiony.

— Wiem, ale torba jest za ciężka, żebyś sam ją niósł.

— Tylko z powrotem — oświadczył z niepodważalną logiką. — W tę stronę była pusta.

— A ojciec nie mógł z tobą przyjść?

— Poszedł w góry. Dam sobie radę.

Popatrzyła na wątłego, nędznie odzianego chłopaczka i ogarnęła ją fala rozpaczliwej czułości. Nie miała własnych dzieci. Przez moment chciała powiedzieć, że mąż odwiezie zamówione produkty własną furgonetką, ale coś szybko kazało jej się wycofać z tego pomysłu. To nie leżało w wioskowych zwyczajach. Mieszkańcy płacili długi, a gdy potrzebowali pomocy, prosili o nią i nigdy nie spotykali się z odmową. Takie były prawa kierujące

tą małą, rozproszoną społecznością, a system ten był godny i przez wszystkich akceptowany. Być może. Gaskellowie czuli się nieco wyobcowani, lecz mieszkańcy wioski czekali, chętni i gotowi ich przyjąć, wystarczyłoby tylko, gdyby wykazali trochę dobrej woli.

Obejrzała listę. Te same artykuły co zawsze, lecz na dole było parę zagadkowych pozycji dopisanych dziecięcą ręką. Odwróciła spis w stronę chłopca i zapytała: — A co to, tutaj?

— Owoce. W tym tygodniu potrzebujemy jabłek i pomarańcz.

— To ty napisałeś?

— Tak. Tata mnie prosił.

— Napisałeś „owce”. Nie mogłam się zorientować, o co chodzi.

Do sklepu wrócił Hamilton, odwijając rękawy i zapinając mankiety. — Daj to — powiedział, wskazując na listę. — Zajmę się tym.

Chodził wzdłuż półek, poruszając ustami i odczytując zamówienia. Szło mu to z trudem. Z liczbami dawał sobie radę, podobnie jak z kwartalnymi bilansami i VAT-em, lecz litery tańczyły mu przed oczyma, nieomal umykając spoza zasięgu wzroku.

Peter Gaskell wsunął ręce do kieszeni. Nie podszedł do stoiska z importowanymi amerykańskimi komiksami, jak to czynił zazwyczaj, lecz przyglądał się drodze. Pewnie będzie już ciemno, nim dotrze do domu. O czym myślą jego rodzice, wysyłając go zupełnie samego?

— Jak się mają twoja mama i tata, Peter? — spytała Rennie Hamilton.

— Dobrze — odparł lakonicznie.

— Wiesz, to już koniec sezonu. Jabłka sporo kosztują — zawołał Hamilton z głębi sklepu.

Żona gestem nakazała mu milczenie i wysunęła się zza lady. — Chodź tu na chwilę, Peter — powiedziała. — Masz źle zapiętą kurtkę. — Przykucnęła, by się z nim zrównać, a chłopiec uniósł podbródek, żeby mogła poprawić kołeczki. — Powiedz ojcu — rzekła cicho — że mnóstwo ludzi z wioski chętnie mu pomoże. Tylko nie chcą się pchać nieproszeni.

— Dobrze, powtórzę — obiecał Peter.

— Powiedz mu też, że chcemy z nim zamienić słówko, przy okazji następnych zakupów — dorzucił głośno Hamilton.

— To może poczekać — powiedziała gniewnie Rennie Hamilton prostując się. — Jeszcze nie skończyłeś?

— Został tylko bekon. Pewnie dać ci to wszystko na kredyt?

— Tak, proszę pana — powiedział Peter.

Bekon i ser były w chłodni, znajdującej się na tyłach sklepu, więc gdy

mąż wyszedł, Rennie Hamilton zapakowała wszystkie produkty do brezentowej torby, szybko podliczyła należność i dopisała ją do rosnącej kolumny w książce kredytowej.

Gdy mąż przyniósł bekon, wrzuciła paczkę do torby i oddała ją dziecku. Zakupy wydawały się dla niego za ciężkie, lecz Peter poradził sobie opierając torbę na nodze, gdy Rennie przytrzymała mu drzwi.

— I dlaczego tak mnie uciszałaś? — zaczął dopytywać się mąż, gdy tylko chłopiec wyszedł.

— To nie była właściwa pora — odparła żona.

— Nie? — Przed nim na ladzie leżała otwarta książka. — Wiesz, ile jest nam winien?

Pani Hamilton popatrzyła na Petera dochodzącego już do szkoły. Brezentową torbę postawił na ziemi i obszedł ją dookoła, by przełożyć ciężar do drugiej ręki. — Na razie od tego nie zbankrutujemy.

— Ale kiedy nam zapłaci? Myślisz, że zobaczymy jeszcze te pieniądze?

Niechętnie odwróciła się od okna. — Nie możesz wyżywać się na dziecku — powiedziała.

— I właśnie dlatego Gaskell go wysyła. Żeby wykorzystać twoje dobre serce. Jak dotąd, świetnie mu się to udaje.

— Nie zaczynaj — ostrzegła, zerkając na stary zegar. Zostało jeszcze pół godziny do zamknięcia sklepu. — Potrafisz tylko mamrotać coś do siebie na zapleczu, kiedy dzieciak jest w sklepie, ale jak trzeba zrobić coś konkretnego...

— Przecież powiedziałem, że pójde to załatwić — zaprotestował.

— Bo wiedziałeś, że ci nie pozwolę.

— Gaskell nie pociągnie przez następny rok w dolinie.

— Może gdyby farma miała innego właściciela... Znowu spojrzała na ciemniejącą drogę. Peter Gaskell zniknął już jej z oczu. — Ale nie możemy się wtrącać.

**13.** Gdy syn Desmonda Gaskella opuszczał Langstone ze swym nieporęcznym pakunkiem, Roger Forester siedział w wynajętym samochodzie, jakieś trzysta mil na północ od wioski. Zjechał z szosy na zapuszczoną, zasypaną zwiędłymi liśćmi ścieżkę i przez gałęzie drzew nad głową obserwował gasnące światło dnia. Wiedział, że powinien starać się usnąć — w ciągu ostatnich dwóch dni przespał najwyżej pięć lub sześć godzin —

lecz był spięty i czujny ową chłodną jasnością umysłu, pojawiającą się na krawędzi zupełnego wyczerpania. Później, gdy wróci na szosę, przykryje się płaszczem i zaśnie skulony niewygodnie na tylnym siedzeniu.

Własny samochód sprzedał za gotówkę w Carlisle, a miał ważniejsze wydatki, niż pozwalanie sobie na łóżko w hotelu. Wynajęcie auta pochłonie majątek, lecz prócz zaliczki, którą musiał uiścić, Forester nie miał zamiaru za nie płacić. Dotychczas najwięcej kosztowała go benzyna, żywność i parę narzędzi, a gdy zacznie brakować gotówki, będzie musiał przestać kupować jedzenie i zadowolić się tym, co znajdzie w pobliskich lasach.

Okolicę wybrał starannie. Zaczął od Inverness i przesunął się na zachód, wokół Beaully Firth, ku lasom Corriehallie i Lochrosque. Interesowały go osady i wioski na skraju krainy jeleni, chatki i domostwa mogące stanowić bazy dla zapalonych myśliwych. Nie zwracał uwagi na miejsca, w których odkrywał ślady czyjejś obecności, a także te zbyt widoczne lub położone za blisko szosy. Na szczegółową inspekcję zasługiwały jedynie opuszczone budynki na skraju wioski i oddalone od drogi pojedyncze domki.

Miał wrażenie, że znalazł, czego szukał, w osadzie tak malej, że nie było jej nawet na mapie samochodowej. Przejechał koło zabudowań, następnie zawrócił na podjeździe i ponownie przebył tę trasę, tym razem wolniej. Jego uwagę zwróciły dwa rzędy domków. Były oddalone od siebie o paręset jardów, jeden skrywał się przed drugim za zakrętem, a oba znajdowały się spory kawałek od szosy i dostać się do nich można było tylko prywatnymi drogami, utrzymanymi lepiej niż główny trakt. Spomiędzy drzew prześwitywały bielone ściany i wyrównana linia nowych dachówek. Wyglądało to obiecująco. Kilka mil za wioską zatrzymał się przy szosie i czekał na zmierzch.

Był pewien, że w końcu musi mu się udać, a tutaj, na skraju dużej, prywatnej posiadłości miał chyba największe szanse. Szukał domku letniskowego, drobnomieszczańskiej oazy ciszy i spokoju, która zazwyczaj bywa skąpo umeblowana tanimi sprzętami i z rzadka odwiedzana. Ta okolica oddalona jest o cztery godziny jazdy od Edynburga czy Glasgow — na tyle blisko, by można tu przyjechać na weekend, a wystarczająco daleko, żeby miejsce to było odludne. Idealny azyl dla mieszczaucha, który przeżywa prawdziwą uciechę, gdy ujrzy przez lornetkę sarnę czy jelenia i przywali w zwierzę ze strzelby.

O pół do ósmej wysiadł z samochodu, oświetlając sobie drogę latarką i przez gęste poszycie przedarł się do pobliskiego strumienia. Słońce dawno już zaszło i zapadła ciemność, całkowita, doskonała. Powietrze było

ożywczo chłodne, a Forester ochlapał sobie jeszcze twarz zimną źródlaną wodą, co odświeżyło go i złagodziło tępy ból za oczami. Potem napelnił swój tani termos i zaniósł go do samochodu, gdzie zjadł kolację złożoną z suchego, kruszącego się chleba i sera.

Hałaśliwy warkot samochodowego silnika zakłócił leśną ciszę. Forester cofnął się w stronę szosy, przy słabym blasku tylnych świateł starając się dojrzeć trakt. Gdy samochód grzmotnął o asfalt, kierowca ostro zakręcił, obracając wóz przodem do wioski.

Dojeżdżając do pierwszego z dwóch domków zwolnił i pochylił się nad tablicą rozdzielczą, by móc lepiej widzieć zbocze. Prócz długiego podjazdu, pnącego się wzdłuż drogi, z boku, przy murze, dostrzegł kondygnację wąskich schodów.

Żółte światelka okien majaczyły między drzewami. Jechał dalej.

Za zakrętem, w drugim rzędzie domków, nie ujrzał już żadnych oznak życia. Znalazł miejsce na poboczu, gdzie zaparkował, a potem wziął latarkę, komplet narzędzi i wysiadł z samochodu.

Kiedyś ten rząd domków też łączyły z drogą schody, lecz teraz były zarosnięte i najwidoczniej nikt z nich nie korzystał. Musiał obejść teren dookoła, ale dzięki temu miał czas przekonać się, czy na pewno nikt tu nie mieszka.

Na zboczu stały trzy przylegające do siebie bungalowy o kamiennych ścianach. Od frontu znajdował się mały, brukowany dziedziniec, a z tyłu kilka przybudówek. Domki zostały odrestaurowane i wyglądały zbyt malowniczo, by mogły być prawdziwe. W oknie jednego z nich umieszczono skrzynkę na kwiaty, o ścianę przy drzwiach stały oparte taczki. Wszystkie zasłony były zaciągnięte, z żadnego pokoju nie przeświecało światło.

Forester błysnął latarką w kolejne okna od frontu i zaglądał przez szyby, gdy zniekształcony promień omiatał pokoje. Wszystkie pomieszczenia były niskie, o nieregularnych kształtach, ściany miały otynkowane na biało, z wystającymi drewnianymi krokwiami pod sufitem; znajdował się tu też otwarty, kamienny kominek. W dwu domkach Forester zauważył oszklone szafki na broń. Puste, oczywiście, ale też nie ludził się, że będzie miał tyle szczęścia.

Z tyłu znajdowały się niemal identyczne, standardowe kuchnie, o podłogach wyłożonych kamiennymi płytami i urządzone możliwie tanim kosztem. Drzwi do nich były chyba oryginalne, jedynie pomalowano je na nowo i zaopatrzono w nowoczesne zamki yale.

Forester postawił na ziemi brezentową torbę z narzędziami i rozpiął zamykający ją pasek. Na wszelki wypadek miał łom, lecz wolałby wejść do środka w sposób mniej rzucający się w oczy. Metal zadźwięczał o metal,

gdy otwierał torbę, a ze środka wypadła sterta plastikowych kart. Były to żartobliwe legitymacje członkowskie fikcyjnych organizacji: Stowarzyszenie Postępowych Alkoholików, sekretarka Pudding Clubu, Koncesjonowany Rozpustnik. Wielkością i kształtem bardzo przypominały karty kredytowe.

Drzwi drugiego domku wyglądały na najbardziej wypaczone, a gdy oparł się o nie z całej siły, odchyliły się na kilka milimetrów. Przytrzymując drzwi ramieniem i ściskając pod pachą latarkę, Forester wyjął jedną z kart i wsunął ją w szparę. Gdy legitymacja wystawała z framugi nie więcej niż na pół cala, chwycił ją kciukiem i palcem wskazującym, po czym zaczął delikatnie przesuwając.

Mniej więcej po minucie plastikowy kartonik pękł na zgięciu i Forester musiał ostrożnie go wyciągnąć. Włożył kartę do kieszeni, nieco mocniej oparł się o drzwi i spróbował z następną. Mógł się jedynie domyślać, gdzie znajduje się zakrzywiony metal sprężyny zamka i mieć nadzieję, że przy delikatnych manipulacjach uda mu się go odciągnąć. Znowu nacisnął drzwi ramieniem, by możliwie jak najbardziej je odchylić.

Otworzyły się nieoczekiwanie i Forester wpadłby z impetem do ciemnej kuchni, gdyby nie to, że coś blokowało je od środka. W świetle latarki tuż nad zamkiem błysnął sztywno napięty posrebrzany łańcuch. Forester wyjął z torby nożyce do cięcia metalu, sprawnie się nimi posłużył i po upływie pół minuty wszedł do kuchni. Najwyraźniej do domku nigdy się jeszcze nie włamano i właściciel nie liczył się z taką możliwością, u dołu kuchennych drzwi bowiem widniał jeszcze jeden rygiel, który nie był zasunięty.

Nim Forester wszedł do głównego pomieszczenia, przeszukał szuflady i szafki. Porcelanowa zastawa była dość tandetna, garnki i inne akcesoria kuchenne stanowiły przypadkową zbieraninę. W szufladzie przy zlewie znalazł saszetkę ze sporą ilością różnych kwitów, które zabrał ze sobą. Dwa pokoje połączone były korytarzem wiodącym na schody.

Znalazł licznik, włączył prąd, po czym, zaciągnąwszy zasłony, zapalił światło — będzie to wyglądało mniej podejrzanie niż błyski latarki w oknie. W szafce na broń było miejsce na sześć strzelb myśliwskich, a pod nią znajdowały się dwie niezamknięte na klucz szuflady. Jedna zawierała tylko puste pudełko po nabojach, w drugiej znalazł sporo rachunków ze sklepów z bronią i kilka kart gwarancyjnych. Wziął je ze sobą i podszedł do sterty przesyłek pocztowych leżących na wycieracze po wewnętrznej stronie frontowych drzwi. Po drodze przystanął, by rzucić okiem na oprawne w ramki fotografie i dyplomy ustawione rzędem na gzymsie kominka.

Zdjęcia ukazywały grupy myśliwych z bronią, tylko na dwóch widniał ten sam mężczyzna, przykłękający na kolano obok zabitego jelenia. Trzymał łeb zwierzęcia za rogi i z nieśmiałym zadowoleniem wpatrywał się w obiektyw aparatu. Miał odstające uszy i strzechę kędzierzawych włosów, które sterczały mu na głowie jak wełniany beret. Ślepią jelenia zaszyły bielmem, a nozdrza zalane były krwią. Obie fotografie zostały zrobione w tym samym miejscu.

Na piętrze Forester nie znalazł nic ciekawego, choć przeszukał kieszenie kosztownych sportowych ubrań, wiszących w garderobie. Zszedł z powrotem do kuchni i wyłożył na stole swoją zdobycz.

Korespondencja była nieciekawa, lecz przeczytał wszystko uważnie, po czym wepchnął do kieszeni przedarte koperty, by potem wyrzucić je w lesie. Kwity z zakupu broni były mu chyba najbardziej przydatne, a wszystkie karty gwarancyjne nosiły podpis nabywcy. „Ian P. Sampson” wypisane było pochyłymi kulfonami, które nie będzie trudno podrobić. Jak wynikało z innego dokumentu, „P” oznaczało Paula.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej formularz. Podanie o wydanie/odnowienie/zmianę zezwolenia na posiadanie broni. Na świstku papieru nabazgrał parę linijek, by przećwiczyć charakter pisma Sampsona, po czym zaczął wypełniać kwestionariusz. W imieniu właściciela domku zapewnił, że nie ma kryminalnej przeszłości ani zaburzeń umysłowych — nie było sensu posuwać się dalej, nie mając pewności, czy konto Sampsona było czyste — a potem, przy pomocy zapisków z szuflady, skompletował listę broni.

Składał podanie o zakup strzelby kalibru 308 jako dodatkowej broni do polowania na jelenie w pobliskich lasach. Była to odpowiednia strzelba na zwierzynę, o dużo większej sile rażenia niż wszystko, co znajdowało się w arsenale Sampsona, gwarantowana śmiercionośna broń tego samego kalibru co karabin 7.62 mm powszechnie używany w NATO, którym Forester potrafił się posługiwać. Było naturalne, że Sampson mógł zapragnąć takiej zabawki.

W kwestionariuszu nadal były luki, w większości dotyczące danych personalnych Sampsona. Forester wpadł na pomysł, jak zdobyć dodatkowe informacje, lecz będzie musiał poczekać z tym do jutra.

Wsunął saszetkę z powrotem do kuchennej szuflady, a kwity i karty gwarancyjne do szafki na broń, po czym z torby z narzędziami wyjął śrubokręt, odkręcił od ramy drzwi odcięty koniec łańcucha i włożył go do kieszeni. Za kilka dni wpadnie do sklepu z artykułami żelaznymi, kupi identyczny egzemplarz i podczas następnej wizyty założy go na miejsce. Sampson

pewnie będzie przypuszczał, że zapomniał zamknąć łańcuch. W sumie nie miało to znaczenia — Forester spodziewał się, że prędzej czy później go złapią — więc każda zwłoka mogła zniweczyć jego plan.

Rozejrzał się po raz ostatni. Na stole i szafkach widniały ślady startego kurzu, dmuchnął więc na nie z całej siły, obłok pyłu zawirował w powietrzu. Za dwa, trzy dni nic nie będzie widać. Oprócz tego, miejsce wyglądało tak jak je zastał. Zgasił światła i rozsunał zasłony — było ciemno choć oko wykol. Wyłączył prąd, zabrał z kuchennego stołu narzędzia oraz na pół wypełniony formularz i wyszedł tylnymi drzwiami. Zamek zatrzasnął się, a Forester ruszył z boczem w kierunku swego samochodu.

**14.** Carson, ubrany w szlafrok kąpielowy, leniwie snuł się po mieszkaniu, gdy zadzwonił telefon. Poczłapał boso po dywanie i podniósł słuchawkę. To była Alison.

— Jak się masz, Peter — powiedziała.

Myślał o niej, lecz nie chciał się z tym zdradzić. — Alison! — powiedział głosem, w którym dźwięczało zdumienie. — Właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

— To ja miałam zadzwonić.

— Więc dlaczego tego wcześniej nie zrobiłaś?

Dobre pytanie. — Nie dałaś mi swojego numeru.

— Ty mi też nie dałaś swojego. Ale oba numery figurują w książce.

Na chwilę zapadła przykra cisza, po czym Alison mówiła dalej:

— Czy to jedna z twoich metod badawczych? Nic dziwnego, że tak niewiele sprzedajesz swoich artykułów.

— Myślałem, że jesteś zajęta.

— Przecież mówiłam ci, że na razie chcę trochę odpocząć. Zjemy razem lunch?

— Dzisiaj? — spytał, myśląc o wysiłku, jakim byłoby wzięcie prysznicą i ubranie się, mając jednocześnie nadzieję, że w jego głosie nie brzmi panika.

— Masz już coś innego w planie?

— Absolutnie nic.

— To może wpadniemy do jakiegoś pubu przy ścieżce flisackiej na Strandzie? Nie musiałybyś się daleko fatygować.

— Nie jestem tak leniwy, jak sobie wyobrazasz. — Owszem, jesteś, pomyślał, zaciskając pasek rozchylającego się szlafroka. — Przyjechać po ciebie?



— Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Spotkajmy się za godzinę na Kew Bridge. Możemy zrobić sobie mały spacer.

— Świetnie — powiedział Carson, a Alison odłożyła słuchawkę.

Zjawił się na spotkanie nieco przed dwunastą i czekał pod mostem na brzegu rzeki, na wprost oblażącej z tynku starej pralni na Thames Road. Nad głową z warkotem przejeżdżały pojazdy zdążające do Richmond i Kew. Ścieżka zaczynała się parę jardów dalej i biegła wzdłuż rzeki, tu jej granice wytyczał wąski skrawek nadrzecznej trawy i drzew, których sąsiedztwo natychmiast podnosiło cenę przeciwległej posiadłości przynajmniej o dziesięć tysięcy.

Po kilku minutach Alison pojawiła się przy moście i przeprosiła za spóźnienie. Gdy ruszyli przed siebie, Carson zapytał: — Dlaczego akurat dzisiaj?

— Bo dopiero dziś się rozpozodziło. No i jestem ci winna lunch.

— Ależ doprawdy — zaczął nerwowo — nie musisz się rewanżować.

— Uspokój się — powiedziała — tylko żartowałam.

— Naturalnie. Przepraszam.

Zeszli z drogi, by minąć kaczkę, która najwyraźniej nie miała zamiaru się ruszyć. Ten odcinek ścieżki miał około sześciu stóp szerokości, po jej lewej stronie stały maleńkie domki, a po prawej wznosiła się żelazna barierka. Wody przypiływu były niskie, odsłaniały śliskie, szare błoto nabrzeża. Niektóre domki za kamiennymi tamami miały wiele uroku, inne były brzydkie, stłoczone i odrobinę urody zawdzięczały wyłącznie otoczeniu.

— Wiesz, Peter, chyba cię rozszyfrowałam — odezwała się Alison. — Jesteś strasznie wrażliwy na punkcie swego majątku.

— Tego bym nie powiedział.

— Myślisz, że zraża on do ciebie ludzi i zamykasz się przed nimi w sobie, by nie mogli cię zranić.

— Mam z tym trochę problemów — przyznał. — Ale nie mogę narzekać.

— Więc nie narzekaj, kiedy postawię ci lunch. I nie martw się, że nie mogę sobie na to pozwolić. Agencja zgodziła się płacić mi zaliczkę przez parę tygodni, póki nie zdecyduję, co robić dalej.

— Zaliczkę? To jakaś wyjątkowa agencja.

— Personel laboratoryjny jest dziś na wagę złota. Nie wiesz, że wchodzimy w etap gospodarki naukowej?

— Jakoś do tej pory mi to umykało.

Mijali właśnie mały, ciemny pub, w którym już zaczynało być tłoczno. Przy drzwiach, z kuflami piwa w rękach, stało dwóch brodatych młodzieńców,

bluzy z nadrukiem „Adidas” wydymały się im na brzuchach. Nieporadnie próbując ukryć zainteresowanie, przyglądali się Alison.

— Znam lepsze miejsce, po drugiej stronie rzeki — powiedział Carson i poszli dalej.

Po moście dudniły stare wagony kolejki z Gunnersbury do Kew Gardens. Alison zwróciła uwagę na niskie wały przeciwpowodziowe przed domkami. Carson odparł, że teoretycznie jego dom również znajduje się w strefie zagrożenia powodzią, lecz odkąd tam mieszka, nigdy nic takiego się nie zdarzyło, natomiast domy przy ścieżce są regularnie zalewane, gdy jest duży przypływ.

Zbliżyli się do pubu, o którym mówił, i weszli po schodkach na górę. Sala jadalna usytuowana była nieco niżej, więc gdy usiedli przy stole, z małego bocznego okienka mieli widok na ścieżkę znajdującą się na wysokości ich głów.

Carson oparł krawędź dłoni o szybę, jakieś dwie stopy nad parapetem.

— Gdy byłem tu kiedyś — powiedział — woda sięgała aż dotąd.

— Chyba nie będę już zazdrościła ludziom, którzy mają domy nad rzeką. Wolę ich czasem odwiedzać.

Mężczyzna zamówił karafkę czerwonego wina, na które miała ochotę. Potem zapytał: — Ile czasu przeważnie spędzasz w Londynie?

— To zależy. Zazwyczaj mieszkam tam, gdzie pracuję, ale co jakiś czas się przenoszę. Nie chcę się zupełnie odrywać od domu.

— A jak długo byłaś w klinice Jennera?

— Szczerze mówiąc, straciłam rachubę. Nie każ mi liczyć, ile to lat — zepsułyś mi całe popołudnie.

Pojawiło się wino podane w czymś, co przypominało szpitalną kaczkę. Gdy mieli pełne kieliszki, Carson spytał ostrożnie: — A jak się czujesz po tym wszystkim?

Przez chwilę milczała, a on popatrzył na nią niespokojnie. Wahała się, porządkując myśli, po czym rzekła: — Właściwie nic nie czuję. Chyba jeszcze nie uzmysłowiłam sobie, co się naprawdę stało i wcale tego nie chcę. To tak, jakby... im dłużej będę starała się o tym nie myśleć, tym łatwiej będzie mi dojść do siebie. A ty?

Postawił karafkę. — Bezpośrednio mnie to nie dotyczyło. Nie byłoby uczciwe, gdybym zaczął uważać się za poszkodowanego.

— Na miłość boską, Peter — zawołała w nagłym porywie irytacji — dlaczego znowu nie jesteś szczery?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — odparł.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka. Złożyli zamówienie, a gdy odeszła, Alison znowu zaczęła:

- Jasne, że rozumiesz. Bronisz się, znowu udając obojętność.
- Nie robię tego celowo.
- Nie byłabym taka pewna. Zawsze się asekurujesz — niczym nie ryzykujesz, niczego nie tracisz. Podobam ci się?

To pytanie zbiło go z tropu. Zakłopotany, rozejrzał się dookoła. — No cóż, owszem — odparł.

— Spróbuję pominąć element uniku i uznam twoją odpowiedź za szczerą. Czy przespałbyś się ze mną?

- Zależy.
- Od czego, na miły Bóg?
- Od tego, czy będziesz zachowywać się tak agresywnie jak teraz.
- Peter — w jej głosie dźwięczała prośba — nie atakuję, chcę być bliżej ciebie.

— Nie musisz, jestem tutaj.

— Owszem, widzę zewnętrzną powłokę, ale gdzie jest Peter Carson? Przed dwoma dniami, u ciebie w mieszkaniu, potrzebowałam pociechy. Dostałam cholernie dobry posiłek, było wytwornie jak diabli i na tym koniec. Zostałam odwieziona do domu przez najbogatszego prawnika w Londynie.

Pojawiły się talerze z sałatą, lecz Carson ledwo zwrócił na nie uwagę. — Ależ dusiłaś to w sobie — powiedział ze zdziwieniem.

— Muszę wiedzieć — nalegała. — Odrzucasz mnie, czy po prostu nie zrobiłam na tobie wrażenia?

— Słuchaj, Alison, przepraszam. — Chciał jej powiedzieć, że nie umie obcować z ludźmi, że za każdym razem ponosi porażkę. Ale zdołał wykrztusić tylko: — Nie chciałem cię urazić, przykro mi, jeśli tak się stało. Możemy zacząć od nowa?

Już miała coś powiedzieć, lecz zmieniła zamiar. Uśmiechnęła się i odprężyła, a Carson poczuł, jak taje pod jej spojrzeniem.

— Wiesz, podsunęłaś mi pewien pomysł — powiedział po chwili.

— Naprawdę? Jaki?

Musiał przesunąć się z krzesłem, by zrobić miejsce dla nowych gości, którzy siadali przy stole za nim. Czterech mężczyzn w różnym wieku, wszyscy ubrani w tanie garnitury w złym guście, tę godzinę wolności od biurowego kieratu rytualnie spędzało w knajpie. — Masz rację, zbyt obojętnie podszedłem do tego, co przydarzyło się Tracy — odparł. — Nie powinienem był przyrykać na to oczu, tylko starać się zaangażować w sprawę.

Alison nagle zrobiła się czujna, zniknął jej pogodny nastrój. — W jaki sposób?

— Chcę napisać artykuł o klinice Jennera.

— To nie rozwiąże problemu. Nie pora na żarty, Peter.

— Traktuję to zupełnie poważnie. Chcę odejść od stylu tych koszmarnych artykułików „na wagę”, rzucam to w diabły.

Zmarszczyła brwi i wyjrzała przez okno. Po moście przejechał pociąg, a od jego dudnienia zadrżały szyby. — To nie jest dobry pomysł — powiedziała.

— Ale sama mnie do tego namawiałaś. Potrzebuję twojej pomocy przy ustalaniu faktów. Wielu rzeczy nie rozumiem — na przykład dlaczego Jenner wybrał na swoje laboratorium tak odległe i niedostępne miejsce?

— Podobała mu się okolica.

— I wiesz, nie mam pojęcia, czym naprawdę zajmowała się klinika mająca leczyć bezpłodność. Co właściwie mają do tego szympansy?

Zdjęła z kolan papierową serwetkę, energicznie zmieła ją w kulę i rzuciła na talerz. — Muszę już iść — powiedziała.

Carson spojrział na nią, nic nie rozumiejąc. — Zasiedziałam się — dodała. Wyjęła z portfela parę banknotów i położyła je obok swego talerza i na pół opróżnionej szklanki. — Tyle powinno wystarczyć. Zajmij się tym, dobrze?

Oślupiały Carson patrzył, jak wstała, bokiem wysunęła się zza stołu, spuszczać oczy i unikając jego spojrzenia. — Ale miałaś opowiedzieć mi o klinice.

— Kiedy indziej. Proszę, Peter, daj sobie spokój z tym artykułem.

— Ale dlaczego?

— Nie pytaj, po prostu zaufaj mi. Lepiej tego nie ruszać.

Chciał pójść za dziewczyną, lecz powstrzymały go leżące na stole pieńdże i twarde krzesło, które wrzynało mu się w plecy i mimo nacisku, ani drgnęło. Siedzący za nim biurowi koledzy wybuchnęli chóralnym, hałaśliwym śmiechem. Była to rozpaczliwa wesołość, małe antidotum na nudę. Alison weszła na schody i zniknęła w tłumie, który zdążył do tej pory wypełnić bar.

Dobra robota, Carson. Znowu wszystko spieprzyłeś, no nie?

**15.** Gdy dotarł do domu i spojrział na zegarek, było dopiero po pierwszej. Stał na schodach przed ciężkimi frontowymi drzwiami i grzebał w kieszeniach szukając kluczy, kiedy usłyszał niewyraźny dzwonek telefonu. W hallu, gdzie hałas uliczny był nieco stłumiony, dźwięk brzmiał znacznie głośniej, a gdy otworzył drzwi mieszkania, rozległ się ostro w pustych pokojach.

Nie zamykając drzwi Carson pośpieszył do salonu, by podnieść słuchawkę. Zdążył powiedzieć „halo”, gdy połączenie na moment się urwało, po czym usłyszał przerywany sygnał.

Po chwili nieznamy głos zapytał: — Carson? Peter Carson?

— Kto mówi?

— Roger Forester. Przypomina mnie pan sobie z Langstone?

Roger Forester. Jakże mógłby zapomnieć roztrzęsionego człowieczka w tej jadalni podobnej do trumny? — Oczywiście że pamiętam. Po prostu nie spodziewałem się pańskiego telefonu — powiedział.

— Sprawdzalem wszystkich Peterów Carsonów w londyńskiej księżce telefonicznej. W końcu trafiłem na pana.

— A czym mogę służyć?

— Potrzebuję pomocy. Słyszałem, jak ten detektyw mówił, że jest pan reporterem.

Carson przeniósł aparat na kanapę. — Nie wiem, co pan słyszał, ale nie jestem reporterem.

Forester wydawał się całkowicie zbity z tropu. — Mówił coś o powtarzaniu przez telefon tej historii — powiedział z napięciem w głosie. — Że trzeba pana powstrzymać.

— Wszystko mu się pomieszało. Piszę artykuły do gazet.

— Czy to nie to samo?

— Absolutnie nie — znowu rozległ się sygnał nakazujący wrzucić monetę, toteż dodał pośpiesznie: — Może da mi pan swój numer? Odzwonię do pana.

— Nie trzeba — powiedział Forester po chwili. — Mam worek drobnych. Czy do tych artykułów zbiera pan jakąś dokumentację?

— Czasami. Ale jeśli nie powie mi pan o co chodzi...

— Potrzebuję pewnych informacji, a nie mam pojęcia, jak je zdobyć.

— Jakich informacji?

— W związku z tą historią w klinice. — Forester był ostrożny. — Niestety, nie mogę wchodzić w szczegóły.

— Co mogę konkretnie dla pana zrobić?

— Potrzebuję danych dotyczących pewnej osoby. Myślałem, że pan mi w tym pomoże.

— Czy to ktoś z kliniki? — spytał zaintrygowany Carson.

— Nie. I nikt o znanym nazwisku. Szukam kogoś, kto nieoficjalnie zdobędzie mi te informacje.

— Mówiłem już, że nie jestem reporterem.

Nie to Forester spodziewał się usłyszeć. — Niech mi pan przynajmniej podpowie, jak się do tego zabrać.

— Nie wiem, czy powinienem. Do czego to panu potrzebne?

Nastąpiła kolejna przerwa w połączeniu, więc Forester znowu wrzucił bilon do aparatu. — Mówiłem, żeby pan nie pytał — powiedział, gdy linia niechętnie przystała na następne pięćdziesiąt sekund rozmowy. — Podali oficjalną wersję, że to był wypadek, a teraz tuszują sprawę jak szaleni. Życie w wiosce powróciło do normy, ale wojsko otoczyło ruiny kliniki.

— Wiem, że nadal jest pan wytracony z równowagi, ale...

— Wytracony z równowagi? A pan? Pana też to dotyczy. Zdążył pan już zapomnieć?

— Musi pan działać ostrożnie — poradził Carson. Forester miał chyba obsesję na punkcie... powiedzmy sobie szczerze — zarodka w butelce.

— Niech pan posłucha — odezwał się Forester głosem, w którym dźwięczało napięcie, a Carson wyobraził sobie, jak mężczyźnie bieją zaciśnięte na słuchawce dłonie, gdy ze wszystkich sił próbuje przekonać rozmówcę — przepadły wszelkie szanse na to, że będę miał dziecko, a policja i rząd osłaniają mordercę.

— Ale dlaczego mieliby to robić? — spytał Carson z udawanym niedowierzaniem.

— Bo z kliniką Jennera to śmierzcząca sprawa i nie chcą, żeby to wyszło na jaw.

— Śmierzcząca? A konkretnie?

— Nie mam pojęcia. Może zła prasa na temat tego interesu z leczeniem bezpłodności może mieć międzynarodowe reperkusje?

— Czy to nie trochę naciągane?

— Na pewno nie. Tylko nasz kraj ma dobrze zorganizowany cały ten biznes. Jest też parę takich miejsc w Stanach, ale nie są dotowane z budżetu państwa, a miejscowe grupy nacisku nękają te placówki i nie pozwalają na ich rozbudowę. Taka sama historia jest w Europie, gdzie działają organizacje religijne. Jeśli jakiś szejka pragnie mieć syna i potrzebuje wsparcia najnowszej technologii, przysyła do nas kilka żon i butelkę zabiegu skrętku. Majstrują za niego synów i dostaje nawet genetyczną gwarancję zdrowia. I z tego kapie forsa.

Carson oparł się wygodnie na kanapie. — Nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z morderstwem — powiedział. Ale jego ton mówił „leć dalej”.

— Nie rozumie pan, że to interes na wielką skalę. Dochód z eugeniki równa się wpływowi z handlu bronią.

— Sprzedaż broni maleje.

— No to może wyrobów metalurgicznych. — To jest, a przynajmniej była, domena Foreстера. — Obecnie koncentrujemy się na badaniach i eksporcie technologii. Nie przechodzi przez budżet, a dochody są coraz

większe. Pewnie teraz dostanie pan cykora i powie mi, żebym trzymał się od tego z dala.

— Chcę tylko wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

— Widzi pan teraz, na jaką skalę to jest interes? Rozumie pan, że opłaca się im nagiąć fakty i obejść sprawiedliwość, skoro idzie o taką stawkę?

Gdy Forester wpychał do aparatu ostatnią monetę, Carson zapytał: — Więc czego chce się pan dowiedzieć?

— A pomoże mi pan?

— Sam pewnie nie dam rady, ale znam pewną agencję, której mogę to zlecić.

— Pokryję wszystkie koszty.

— To nieważne.

Z szuflady stolika, na którym stał telefon, Carson wyjął ołówek i reporterski notes. Oparł go na kolanie i zapisywał informacje, które podawał mu Forester.

— Chodzi o człowieka nazwiskiem Ian Paul Sampson, zamieszkałego chyba gdzieś koło Edynburga. Może w Leith, ale nie jestem pewien. W średnim wieku, niezłe sytuowany. Chcę znać jego adres, zawód, miejsce pracy i czy te dane uległy jakimś zmianom w ciągu ostatnich pięciu lat. Muszę też wiedzieć, kiedy i gdzie się urodził.

Carson zapisał: „data ur. — gdzie i kiedy?”, po czym zapytał:

— Jeszcze coś?

— Nie, to wszystko.

Zmarszczył brwi i spojrzał na notatkę: — Nie rozumiem, jaki to ma związek z kliniką.

— Bezpośrednio żadnego. Tylko tyle mogę panu powiedzieć.

— Zobaczę, co się da zrobić. Jak się z panem skontaktować?

— Teraz sporo się kręcę — odparł Forester. — Zadzwoń do pana... powiedzmy jutro po południu?

— Zajmie mi to pewnie więcej czasu.

— Tak czy inaczej odezwę się, żeby sprawdzić jak panu idzie. Dziękuję panu, Carson.

— Nie ma o czym mówić.

— Naprawdę jestem wdzięczny. I przepraszam za to, co wygadywałem na początku.

W jego tonie wyczuwał nutę koleżeńskiej więzi, którą pamiętał jeszcze z Langstone. Carsonowi robiło się od tego dziwnie ciepło na sercu. — W porządku — powiedział. — Chyba zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Gdy rozmowa dobiegła końca, Carson, z otwartym na kolanach notesem, wpatrywał się w wygasły kominek. Forester ma absolutną rację, w Langstone działa się podejrzane rzeczy, a on po prostu postanowił nie angażować się i wszystko zignorować. Podczas spotkania z Alison dał się sprowokować i zadał te same pytania, które męczyły Forestera, lecz najwyraźniej nie tego od niego oczekiwała, gdyż ucięła rozmowę nim zdążył się czegoś dowiedzieć.

Wrócił do stolika i z szuflady wyciągnął cieniutki, mało używany notesik adresowy. Przekartkował go, szukając numeru swej agencji dokumentacyjnej. Trafił na nią dzięki ogłoszeniu w gazecie i dobrze mu się z nią współpracowało — raczkująca wówczas spółdzielnia chętnie brała wszystkie zlecenia. Numer był ciągle zajęty.

Nakręcił go jeszcze dwa albo trzy razy, lecz albo w agencji prowadzili długą rozmowę, albo też nie zdążył się połączyć między kolejnymi telefonami. Przynajmniej stać ich na opłacanie abonamentu. Odłożył słuchawkę i sięgnął do półki pod stolikiem po najnowszy tom książki telefonicznej. Było w niej mnóstwo abonentek o nazwisku Wells, kilkanaście nosiło imiona zaczynające się na literę A, lecz nigdzie nie mógł znaleźć adresu Alison, choć wiedział, że jej numer figuruje w książce! Jeszcze raz nakręcił numer agencji i znowu usłyszał przerywany sygnał.

Do diabła, był na nogach, ubrany do wyjścia. Odstawił aparat na stolik i wepchnął notatnik do kieszeni.

Najpierw metrem pojechał do Ealing. Ani mu się śniło brać mercedesa do jazdy po mieście — było nim tak trudno manewrować po zatłoczonych ulicach, nie mówiąc już o znalezieniu miejsca do parkowania.

Boczne drzwi domu uchylily się, gdy tylko nacisnął klamkę — prawdopodobnie zamykano je jedynie na noc. Wszedł po schodach i zapukał do mieszkania Alison, lecz nikt nie otwierał, a pukaniu towarzyszył głuchy, pusty dźwięk.

Z mieszkania naprzeciwko dochodziła głośna muzyka. Podeszedł do drzwi i walnął w nie tak mocno, że aż zabolaly go pięści — a mimo to wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli ktoś go usłyszy. Płyta miłosiernie ucihła, po czym w mieszkaniu coś się przewróciło.

Po upływie mniej więcej pół minuty drzwi otworzyły się i Carzona uderzyła fala głośniejszych rytmów, poczuł też jakiś intensywny, mdły zapach. W drzwiach stał bezrobotny turecki kelner i przyglądał mu się badawczo. Był muskularny i przysadzisty, miał na sobie pogniecione i poplamione spodnie od pizamy. Oliwkowa skóra błyszczała w słabym świetle korytarza, w mieszkaniu zaś było niemal zupełnie ciemno.



— Szukam panny Wells. Nie orientuje się pan, kiedy wróci?

Turek nie odpowiedział, tylko odwrócił się i zniknął. Muskulary napinały mu się i poruszały pod skórą przywodząc na myśl spaghetti z oliwą, Carson domyślił się, że mężczyzna musiał kiedyś ćwiczyć przed lustrem kulturystykę. Na tle zaciągniętych zasłon, w głębi mieszkania, poruszały się jakieś cienie, a parę sekund później w kręgu światła pojawiła się dziewczyna. Była boso, na dżinsy narzuciła męską koszulę, a podwinięte rękawy odsłaniały chude ramiona. Nie była umalowana, włosy miała w nieładzie i wyglądała na zmęczoną. — O co chodzi? — spytała.

— Szukam Alison Wells. Nie wie pani, gdzie ona może być?

— Słyszałam, jak wychodziła dziś rano koło jedenastej. Potem chyba wróciła i przed godziną znowu wyszła.

Cień Turka przemknął przez pokój za plecami dziewczyny, oczy pałające jak dwa rozżarzone węgle były wbite w Carsona. — Nie wie pani, czy znajdzie ją w agencji?

— A co to za agencja?

— Nie wiem, jak się nazywa. To agencja pośrednictwa pracy dla personelu laboratoryjnego.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zdumienia. — To ona się tym zajmuje? Nie wiedziałam.

— No cóż, w każdym razie dziękuję — rzekł Carson.

Uśmiechnęła się do niego zdawkowo i nieszczerze, oczy miała zatroskane i podpuchnięte. Zamknęła drzwi.

Spółdzielnia Zbierania Dokumentacji znajdowała się w bocznej uliczce przy Leicester Square, prowadziła do niej alejka sąsiadująca z placem, na którym znajdowało się kilka dużych i eleganckich kin. Kolejki kinomanów i występy ulicznych grajków przywodziły na myśl blichtr Hollywood, lecz alejka była tylko nędznym przesmykiem między wysokimi murami i pełnym pojemników na śmiecie miejscem noclegu różnych włóczęgów. Chodnik był tak zavalony śmieciem, że ugiął się pod stopami, a niebo nad głową zasłaniała siatka żelaznych drabinek i kondygnacji schodów ewakuacyjnych.

Biura znajdowały się w wysokim budynku, który mógł wyglądać schludnie i szacownie w czasach, gdy Dickens naklejał nalepki na butelki w fabryce szuwaksu, teraz jego główną wartością była cena gruntu, na którym stał. Zniszczona, stara rudera, zazdrośnie strzegła praw do swego terenu. Paradne niegdyś wejście od ulicy za placem było odgrodzone, zabite deskami i zaklejone wieloma warstwami ogłoszeń. Carson wszedł służbowym wejściem.

W gołych deskach podłogi nadal tkwiły czarne pinezki, niegdyś

przytrzymujące linoleum. Wilgoć i odór kocich odchodów wyjaśniały od razu, dlaczego dwa pierwsze piętra były niezamieszkane. Carson zaczął wchodzić po schodach, omijając sterty pożółkłych dzienników i przypięty łańcuchem do zbutwiałego drewna balustrady rower, po czym wspiął się na piętro. Pozbawione drzwi pokoje zionęły pustką, zerwane tapety smętnie zwisały ze ścian, a tynk odpadał całymi płatami.

Spółdzielnia Zbierania Dokumentacji usiłowała zadbać o wystrój wnętrza za pomocą paru galonów niedrogiej farby. Kolorowy rzucik na obłazłej ścianie bił w oczy fatalnym doborem kolorów. Na swój sposób spółdzielnia odniosła sukces, gdyż działała prawie nieprzerwanie od ponad pięciu lat. Założył ją wraz z dwoma przyjaciółmi Adrian Cotterell, po tym jak wyleciał z wydziału dziennikarstwa, a choć wspólnicy po roku wycofali się, udało mu się utrzymać interes.

Carson zajrzał do pierwszego pomieszczenia. Nędznie umeblowany pokój, zagracony tandetnymi sprzętami, zavalony był kartotekami i mnóstwem papierów. Większość dokumentów pochodziła z drugiej ręki; jako zdezaktualizowane, tanio odkupywano je od bibliotek odnawiających swój księgozbiór. W następnym pomieszczeniu dzwonił telefon. Cotterell siedział za wielkim, zdezelowanym mahoniowym biurkiem. Do tej pory nikt się nie pofatygował, by wyrzucić je na śmietnik.

— Zajęty jesteś? — spytał Carson stając w drzwiach.

Dzwonek telefonu, jak na życzenie, zamilkł nagle. Cotterell przez chwilę patrzył niewidzącym wzrokiem, po czym uśmiechnął się, skojarzywszy sobie Carsona i jego portfel. Nic pilnego, Peter — powiedział. — Pracujesz nad czymś?

— Właśnie zaczynam — odparł Carson, zamykając za sobą drzwi.

Nieznany Carsonowi mężczyzna, urzędujący w sąsiednim pokoju, wsadził głowę przez drzwi. Spod ciemnego pulovera z krótkimi rękawami wystawał mu niemiłosiernie sprany podkoszulek. Fryzura „na jeża” miała ukryć tworzącą się łysinę. — Ten facet, którego chciałeś zapytać o doping koni, pracuje w Instytucie Weterynarii.

— Możesz się tym zająć?

— Za dziesięć minut mam być w bibliotece w Holborn — zaprotestował dokumentalista.

— To tylko chwilka. Muszę sprawdzić parę danych.

Cotterell był może nieco szorstki w obejściu, lecz najwyraźniej kierował tym interesem i nie wolno było zawracać mu głowy, gdy miał zlecenie na widoku.

Dokumentalista przestał podierać framugę i wszedł do pokoju. — Gdzie jest ta teczka? — spytał z rezygnacją.

— O, gdzieś tutaj. — Cotterell podniósł kilka folderów, które wypadły

mu z ręki i rozsypały się po biurku. Widocznie często z nich korzystano, bo całe były zasmarowane pośpieszonymi notatkami, uwagami i odnośnikami.

— Mam — powiedział dokumentalista i wyciągnął spod spodu jakąś teczkę. Cotterell usiłował ułożyć pozostałe w stabilny stos.

— Przepraszam za ten bałagan — odezwał się do Carsona, gdy znów zostali sami. W sąsiednim pokoju dokumentalista głośno rozmawiał przez telefon, przerzucając jednocześnie teczkę w poszukiwaniu informacji. — Znasz Davida? — spytał Cotterell.

— Chyba nie.

— David Reynolds. Dołączył do nas przed paroma miesiącami. To było chyba już po twoim ostatnim zleceniu.

— Bardzo możliwe. — Carson zdjął dwie związane sznurkiem paczki magazynu „American Cinematographer” z jedyne go w tym pokoju wolnego krzesła i usiadł na nim. — Teraz mam następne.

Cotterell skinął głową i zaczął rozglądać się za kawałkiem papieru. — Na jaki temat?

— Medyczny. Chodzi o leczenie bezpłodności w placówkach państwowych i prywatnych.

— Jak chcesz to potraktować?

— Jeszcze nie wiem. Zorientuję się, jak będę miał wszystkie dane. Zależy mi na możliwie największej liczbie związanych, źródłowych materiałów, zrozumiałych nawet dla laika.

Wszedł David Reynolds, informacje dotyczące dopingu na wyścigach konnych cisnął na biurko Cotterella i włożył marynarkę. Mijając Carsona uśmiechnął się przelotnie. — Masz na to przeznaczoną konkretną sumę, czy chcesz, żebyśmy ci podali przybliżone koszty?

— Oszacujcie to sami. Potrzebuję dokładniejszych informacji niż te, które zazwyczaj mi podajecie, więc nie idźcie na łatwiznę. Mam też parę pytań szczegółowych.

— Wal.

Carson wyjął notes i starał się odczytać swe nabazgrane w metrze notatki. — Wszystkie dane dotyczące doktora Jennera. Nie wiem, jak ma na imię, ale był konsultantem w jakimś szpitalu w Carlisle, miał też zaplecze laboratoryjne koło Langstone w Kumbrii.

— Może przeprowadzić wywiad środowiskowy?

— To nie takie proste. W klinice był jakiś wybuch i zmiotło cały personel. Możesz się dowiedzieć, jak brzmi oficjalna wersja?

Cotterell częściowo stenografował, niektóre słowa zastępując symbolami. — Chyba trzeba się będzie tam wybrać — powiedział.

— Raczej bym to odradzał. Nie chcę szumu koło tej sprawy,

przynajmniej nie na tym etapie. Muszę też wiedzieć co się tylko da o facecie nazwiskiem Hennessy. Jego imienia też nie znam, ale chyba jest urzędnikiem średniego szczebla.

— Z Jennerem sprawa będzie prosta, ale o Hennessym mam trochę za mało danych — powiedział zniechęcony Cotterell.

— Niestety, nie mam więcej informacji. Wiem tylko, że pojawił się parę godzin po wypadku i wdał w jakąś awanturę z głównym gliną. Następnego dnia policja zwinęła się i odjechała.

— Zobaczymy, co się da zrobić.

Carson odwrócił kartkę, zerkając na pierwszy zapis w notesie. — Jeszcze jedno. — Wydarł jedną stronę i położył na biurku. — Czy możesz znaleźć dane, dotyczące niejakiego Iana Paula Sampsona?

Cotterell skinął głową patrząc na spis wymaganych informacji. Skoro zna drugie imię i przybliżone miejsce zamieszkania delikwenta, powinno pójść mu gładko. — Czy to ma związek z poprzednią sprawą?

— Możliwe, ale nie jestem pewien. Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć.

Teraz Cotterell starannie dobierał słowa. — Zazwyczaj nie zadajemy pytań, ale czy to jakaś śmierzcząca sprawa?

— Nie wiem. Przyjmij, że tak i zacznij działać.

— To coś nowego w twojej pracy.

— Nie przejmowałbym się tym na twoim miejscu. Wiem, że będzie mnie to kosztować.

Cotterell odłożył pióro i zakolysał się na skrzypiącym krześle. — Spróbuję trochę się rozeznać. Zadzwoń wieczorem ze wstępnymi informacjami i szacunkiem kosztów — powiedział.

— Możesz od razu się tym zająć? — spytał Carson, podnosząc się i wkładając notatnik do kieszeni.

— Nie ma sprawy, teraz jest zastój — Cotterell szurnął krzesłem o podłogę i wstał zza biurka, by odprowadzić Carsona. — Czy coś interesującego kiedykolwiek wydarzyło się w październiku?

— Rewolucja w Rosji.

— Zależy, co kogo interesuje.

Cotterell skontaktował się z nim wieczorem, około ósmej. Carson właśnie odłożył słuchawkę, usiłował bowiem dodzwonić się do informacji, by zdobyć numer Alison, lecz gdy czekał na przyjęcie zgłoszenia, przyszło mu do głowy, że dziewczyna na pewno pogardliwie potraktuje jego poczynania — toteż odłożył słuchawkę, nim telefonistka zdążyła się odezwać.

Żeby nie wiem jak mu to odradzała i tak będzie robił swoje. Chciał poznać prawdę.

— Mam szacunek kosztów, Peter — powiedział Cotterell bez żadnych wstępów. — O ile zdążyłem się zorientować, nie wyrobimy się poniżej czterech setek.

— I co za nie dostanę?

— No cóż, pięćdziesiątka już poszła na opłacenie dziewczyn w Centralnej Kartotece. Wliczamy w to koszty. Ann będzie siedziała murem ze dwa — trzy dni w bibliotekach, przeglądając indeksy czasopism, za to poleci setka plus koszty ksero.

— A ta pięćdziesiątka? Czy to znaczy, że coś dla mnie macie?

— Tylko podstawowe informacje na temat Hennessy'ego i Sampsona. Podać ci teraz?

Notatnik miał pod ręką. — Wal.

Z Sampsonem, zdaje się, poszło najłatwiej. Ten adwokat z Edynburga miał dwa domy, dwa samochody i lawirował między dwiema kobietami, póki jedna nie dowiedziała się o drugiej. Carson zanotował wszystkie szczegóły, które podał mu Cotterell, po czym zauważył: — Uwinęliście się z tym.

— Dzięki płytce silikonowej. Po prostu wystukuje się nazwisko i wszystko wylatuje jak grzanka z tosterka.

— A Hennessy?

— Z nim było nieco trudniej, ale chyba się nam udało. Powiedziałaś, że pojawił się w parę godzin po wypadku, więc najprawdopodobniej natychmiast wyjechał z Londynu. To, że poradził sobie z policją, nasunęło nam na myśl, że musi być kimś z rządu i to dość grubą rybą. Najpierw wzięliśmy pod lupę Ministerstwo Nauki i Edukacji. Mają tam jednego Hennessy'ego, lecz jego sekretarka oświadczyła, że od tygodnia nie ruszał się zza biurka. Więc wzięliśmy namiary na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Mają dwóch pracowników o tym nazwisku, lecz jeden jest kobietą na urlopie macierzyńskim. Drugi przed trzema dniami wyjechał na Północ — nie podano jego telefonu ani adresu, lecz biuro jest z nim w kontakcie.

To chyba ten. — Czym się zajmuje? — zapytał Carson.

— Jest zastępcą komisarza w Radzie do Spraw Badań Medycznych. To urząd w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych patronujący genetycznym eksperymentom. Mają siedzibę na Park Crescent. Hennessy jest we władzach wykonawczych komitetu, który ma oceniać oraz uprawomocniać propozycje badań nad DNA i ustalać stopień ich ryzyka.

— Co to ma wspólnego z leczeniem bezpłodności? — Był zupełnie zdezorientowany.

— Dowiemy się tego. Chcę, żeby Dave Reynolds zajął się Jennerem — nie masz nic przeciwko temu?

— Rób jak uważasz — powiedział mu Carson. — Daję ci wolną rękę.

— Na to pójdzie największa forsa. W „Who's Who” wyczytałem, że Jenner przez dziesięć lat pracował na tym samym uniwersytecie, który ukończył David. Ma tam znajomych wykładowców, toteż będzie mógł niejedno z nich wyciągnąć bez wzbudzania podejrzeń. Zdaje się, że chciałeś załatwić to po cichu?

— Zgadza się. Niech jedzie.

— Wiesz już konkretnie, czego mamy szukać?

— Nie, działajcie rutynowo. Na razie nie będę się wtrącał.

Dotychczas spółdzielnia Cotterella po prostu przygotowywała

Carsonowi szkice artykułów. Tak duże zlecenie to było coś zupełnie nowego. — Zabierzemy się do tego jutro z samego rana. Za parę dni powinniśmy coś dla ciebie mieć.

Pożegnali się, a Carson zostawił informacje dla Foreстера przy telefonie, by mieć je pod ręką, gdy tylko zadzwoni.

**16.** Pierwsze szare smugi porannego słońca zaczęły rozpraszać mrok, gdy Roger Forester wysiadł z wynajętego samochodu i stanął obok niego na drodze, by wyprostować obolałe członki. W nocy temperatura spadła, zwiędłe liście pokryły się warstewką szronu i teraz skrzypiały i kruszyły się pod stopami mężczyzny, który powłócząc nogami podszedł do bagażnika i wyciągnął z niego torbę.

Obłoczki pary unosiły się z jego ust, gdy przez ścięte mrozem zarośla przedzierał się do strumienia. Przez kilka pierwszych dni mył się w nim i golił w lodowatej wodzie, lecz teraz było na to za zimno. Napełnił więc tylko aluminiowy pojemnik i zaniósł go do gazowej kuchenki.

Gdy wrócił, zupa zaczynała już bulgotać. Rosół może nie był najlepszym śniadaniem, ale przynajmniej był gorący. Gdy zdejmował menażkę z ognia i ustawiał na kuchence pojemnik z wodą, nad lasem zaczęła już unosić się poranna, chłodna mgła. Żar parzył mu palce nawet przez rękawice.

Pół godziny później siedział skulony w krzakach na wzgórzu nad domkiem Sampsona. Miał stąd rozległy widok na szosę i boczną drogę prowadzącą do rzędu małych, ładnych domków.

Dochodziła ósma. Na szosie pojawił się listonosz, a ostry pisk hamulców przeszył powietrze, gdy zwolnił i zsiadł z roweru. Skręcił z drogi i

zaczął schodzić po stromej pochyłości wzgórza. Forester poczuł nerwowe skurcze żołądka.

Listonosz był wysoki, chudy i trochę przygarbiony — tak przynajmniej wydawało się obserwującemu go z pewnej odległości Foresterowi. Musiał mieć niezłą kondycję, jeżdżąc codziennie po wiejskich drogach z ciężką torbą. Od trzech dni pojawiał się zawsze o tej samej porze, z parominutowym zaledwie opóźnieniem.

Dziś przyjechał nieco później. Może musiał dostarczyć dodatkową pocztę, prawdopodobnie do któregoś z dalej położonych domków. Forester odczekał, aż listonosz zjedzie ze wzgórza, a gdy zniknął mu z oczu, ruszył w kierunku bungalowów.

By wejść tylnymi drzwiami, posłużył się kolejną ze swych plastikowych kart. Teraz nabrał już wprawy i robił to szybciej niż przy użyciu klucza. Wchodząc do kuchni rzucił okiem na nowy łańcuch. Brakujący kawałek kupił bez kłopotu w sklepie z wyrobami żelaznymi w Inverness, założenie go zajęło mu zaledwie kilka minut.

Pod drzwiami leżała tylko jedna przesyłka. Spojrzał na kopertę i położył ją na miejsce. Był to druk reklamowy, jeden z wielu, jakie znalazł podczas pierwszej wizyty, a później spalił w lesie. Westchnął ciężko starając się zachować spokój.

Aby ewentualny przechodzień, zerkając przez okno, odniósł wrażenie, że dom jest zamieszkały, a właściciel gdzieś na krótko wyszedł, Forester rozłożył na stole w saloniku kilka czasopism, a w kuchni postawił na pół opróżnioną butelkę mleka, położył też parę naczyń na suszarce. Teraz zabrał je ze sobą. Spełniły swoje zadanie, o czym świadczyła karteczka, wsunięta przez szparę w drzwiach w sobotnie popołudnie: „Panie Sampson — rozumiem, że się panu spieszy, postaram się załatwić wszystko jak najszybciej”. Była to odpowiedź na jego liścik, który dołączył do opłaty manipulacyjnej i podania o zezwolenie na broń. Napisał w nim, że ma szansę kupienia strzelby Weatherby Magnum Deluxe po niebywale okazyjnej cenie, jeśli tylko załatwi sprawę w ciągu paru dni. Podanie i inne dokumenty zaniósł na mieszczący się w przerobionym garażu posterunek miejscowej policji, wykorzystując okazję, że akurat nikogo w nim nie było.

W notce policjant obiecywał wszcząć postępowanie w ciągu dwu — trzech dni, ale trzeba się będzie liczyć z tym, że wprawdzie ustalenie, iż Sampson jest godnym i odpowiedzialnym obywatelem, nie żadnym zbrojcem, ani niebezpiecznym lewakiem, zajmie zaledwie parę sekund, to zezwolenie będzie się musiało jeszcze wiele godzin odleżeć pośród innych papierów i odczekać swoje na dniu szuflady, by w końcu wylądować w kopcach. Właśnie owa biurokratyczna mitręga wystawiała cierpliwość

Forestera na najcięższą próbę — każdy dzień z dala od Kumbrii zmniejszał jego szanse na pomyślne zakończenie dochodzenia.

Gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku, wyszedł kuchennymi drzwiami. Pojedzie teraz do Inverness, zawiezie ubranie do pralni i poszuka publicznej łaźni z gorącym prysznicem. Ale jutro wróci.

Gdy Roger Forester zamykał za sobą drzwi domku, inspektor Mike Schaffer zdejmował nogi z trzeszczącego łóżka polowego w gabinecie mieszczącym się w szkolnym budynku w Langstone i chwiejnie usiłował się wyprostować. Jego sytuacja przypominała położenie Forestera o tyle, że było mu zimno, źle spał i jadał dania z puszek podgrzewanych na turystycznej maszynie. Miał też telefon, teleks i dach nad głową, lecz nie cieszyło go to zbyt.

Było tu nawet gorzej niż w wydziale spraw kryminalnych z jego zdezelowanymi meblami, drucianymi koszami na śmieci i wypełnionymi do ostatniego skrawka tablicami ogłoszeniowymi. Tam jednak przynajmniej coś się działo, a dla Schaffera nie ulegało wątpliwości, że jego obecność w Langstone jest wyłącznie dyplomatycznym wybiegiem. Niestety, Stoneley nie pozwolił mu na powrót oznaczający całkowite wycofanie sił policyjnych. Miej chociaż oko na to, co tam wyrabiają, powiedział swemu inspektorowi, po czym złożył mglistą, nieokreśloną obietnicę, że nie potrwa to długo. A zatem Schaffer siedział nad stertą sensacyjnych książek ze sklepu Hamiltona i od czasu do czasu usiłował złapać Hennessy'ego, by wydobyć z niego jakieś informacje.

Odkręcił gaz i włączył palnik, by ogrzać trochę pomieszczenie. Miał elektryczny piecyk, który wprawdzie żarzył się radośnie, nie dawał jednak odrobiny ciepła. Trochę trwało, nim zmobilizował się na tyle, by ściągnąć stary pulower i spodnie od dresu, w których spał, i zacząć się ubierać.

Schaffer był jeszcze na tyle młody, że emocjonalnie traktował swoją robotę, lecz nie zachwycała go myśl, że jako jedyny przedstawiciel policji został odsunięty od śledztwa dotyczącego poważnej katastrofy, co więcej, nie miał zamiaru się z tym pogodzić. Złożył podanie o przyjęcie do policji na ostatnim roku studiów uniwersyteckich. Swoją decyzję dokładnie przemyślał. Po przeszkoleniu w Wyższej Szkole Policyjnej stwierdził z lekkim zdziwieniem, że ta nieodparcie praworządna machina ma jednak pewne wady i nie funkcjonuje tak sprawnie jak przypuszczał. Skuteczność jej działania zależała od motywacji pracujących tu funkcjonariuszy, a na przykład Jeny Crichton pragnął jedynie bez przeszkód pysznić się swą władzą, Toby Knight zaś wykorzystywał każdą okazję, by demonstrować swe pretensje do świata.



Ponieważ podjął służbę jako absolwent uniwersytetu, miał zagwarantowany przyspieszony awans. Nie od razu mu się to udało. Wiedział, że zwierzchnicy doceniają jego zdolności, i to nie ci, którzy szukają w policji tylko zaszczytów, nie „twórcy ogólnej taktyki” ani „architekci dalekosiężnych strategii”, lecz starzy, doświadczeni fachowcy, których zdanie w ostatecznym rozrachunku najbardziej się liczyło. Gdy przyjdzie pora, zdobędzie pozycję drugiego Stoneleya.

Z dnia na dzień Mike Schaffer miał jednak coraz więcej wątpliwości. Po długim, mozolnym wspinaniu się po szczeblach kariery Stoneley stwierdził, że jest nowicjuszem w biurowych potyczkach, przy których starcie z kryminalistą staje się dziecinnie łatwe. Miał małą, myszowatą żonę i dwóch dorosłych synów, którzy odwiedzali dom, by wypić całe piwo z lodówki i powiedzieć ojcu, że jest brutalem w zramolałym, chyłym się ku upadkowi społeczeństwie. Co gorsza, Stoneley zaczął podejrzewać, że może to być prawda. I takie też wspaniałe perspektywy rysowały się przed Schafferem.

Żałował, że nie zostawili mu masztu radiowego, by mógł przynajmniej posłuchać muzyki i złapać jakieś wiadomości. Mały tranzystor z cynowym szpikulcem w miejsce anteny tak wysoko w górach był beużyteczny. Jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę w ogromnej szkolnej sali były rozlegające się od czasu do czasu szумы i trzaski teleksu.

Podszedł wolnym krokiem do aparatu. Po północy usłyszał, że teleks przekazuje skrót codziennych wiadomości, lecz Schafferowi nie chciało się ich przeglądać — gdyby zdarzyło się coś ważnego lub mającego wpływ na tok dochodzenia, Stoneley sam by do niego zatelefonował. Pomieszczenie, w którym przebywał, było mroczne, pełne ruchliwych cieni i Schaffer nie czuł się tu swobodnie.

Oderwał dwuwarstwowy papier, który zwinął się i opadł na stolik z tyłu drukarki. W sali nadal panował bałagan pozostawiony przez oddział operacyjny; ławki, na których układano zwłoki, były zsunięte, a ruchome przegrody zestawiono z jednej strony, by było łatwiej wynosić plastikowe worki.

Schaffer przystanął, żeby popatrzeć na niektóre kolorowe rysunki, przypięte do jednej z desek. Niedługo będzie musiał podziwiać podobne obrazki w wykonaniu własnych dzieci, więc powinien już się zacząć przyzwyczajać. Niektóre namalowano z dużą wprawą, inne były bardzo nieudolne, lecz każdy miał swoisty urok. Schylił głowę, by uważniej przyjrzeć się rysunkowi umocowanemu najniżej, jakby nauczycielka chciała zaznaczyć, że nie należy on do wystawy.

Na dole namalowany był pasek zieleni i brązu, a z jednej strony — ciasno włoczony dom. Na pierwszym planie widniały trzy figurki, chłopiec z lewej i dziewczynka z prawej. Trzymały za ręce jakąś postać.

Schaffer na moment wbił w nią wzrok, po czym wyprostował się i zamrugał oczami. Teraz zorientował się już, dlaczego rysunek wyeksponowany był oddzielnie. Dziecko, które ze swej wyobraźni wysnuło tak niepokojącą wizję, powinno czym prędzej znaleźć się pod opieką psychologa. Przeczytał nazwisko w rogu arkusza.

Peter Gaskell, lat 7 1/2.

Z ulicy dobiegł warkot land rovera. Schaffer miał właśnie przejść do szatni i wyjrzeć przez okno, lecz gdy chwycił lornetkę, do grubych zewnętrznych drzwi rozległo się pukanie, które głuchym echem odbiło się po pustym budynku.

Hennessy czekał na ulicy koło barierki. Nie miał już na sobie niestosownie eleganckiego garnituru, w którym po raz pierwszy pojawił się w wiosce. Teraz ubrany był w tweedową marynarkę i wysokie skórzane buty — odpowiedni, jego zdaniem, strój na wieś. Tuż za nim koło rovera stał jakiś wojskowy.

— Mam nadzieję, że nie obudziliśmy pana — odezwał się Hennessy i Schaffer uświadomił sobie, że jest nieumyty i nie ogolony.

— Boże drogi, nareszcie ludzka twarz.

Hennessy zwrócił się do wojskowego: — To inspektor Schaffer. Jeden z ludzi Stoneleya, którego zostawił nam przez uprzejmość.

Na twarzy wojskowego pojawił się wyraz zniechęcenia: — Niech mnie pan nie wciąga w kompetencyjne spory, Hennessy. Nie mam na to czasu. — Spojrzał w kierunku Schaffera: — Jestem kapitan Windeler, dowódca jednostki specjalnej stacjonującej w klinice.

Schaffer skinął głową. — Widziałem, jak pan przejeżdżał.

— I chyba to jest jeden z powodów, dla których Stoneley wybrał szkołę jako punkt obserwacyjny — powiedział Hennessy. — Każdy pojazd, który wjeżdża do doliny albo ją opuszcza, musi przejechać tą drogą.

— Nie mamy nic do ukrycia przed policją — powiedział Windeler.

Schaffer nie bez trudu przełknął docinek. — Ani przed opinią publiczną?

— Z powodów strategicznych na tym etapie musimy być bardzo ostrożni z podawaniem informacji.

— I dlatego uparcie nazywacie wydarzenia w klinice wypadkiem?

— Nigdy ich tak nie nazywaliśmy. O ile wiem, na ten pomysł wpadł pański nadinspektor, zaraz po wycofaniu wersji o kwarantannie.

— Miało to być posunięcie krótkotrwałe — zaprotestował Schaffer

— dając możliwość odizolowania doliny i stworzenia najlepszych warunków do obławy.

Windeler uśmiechnął się uprzejmie. — I dalej spełnia swoją rolę. Zapewniam pana, że to doceniamy.

— Ale po co tu wojsko? — dopytywał się Schaffer. Hennessy rozglądał się wkoło, usiłując nie sprawiać wrażenia zbyt zadowolonego z siebie. — To jest zwyczajna policyjna robota.

— Dowodzę jednostką specjalną, wykonujemy bardzo nietypowe misje. To nie jest zwyczajna obława, inspektorze.

Schaffer zachnął się. — Zgoda. Niewiele się dzieje w waszym obozie.

— Cieszę się, że pilnie korzysta pan z lornetki — rzekł Windeler, wskazując na Zeissa, którego Schaffer nadal trzymał w ręku — ale wątpię, czy wiele pan przez nią zobaczy. Chciałbym, żeby udzielił mi pan pewnej informacji.

— Doprawdy? — spytał podejrziwie Schaffer.

— Zanim pański oddział się wycofał, sprawdzaliście farmy w dolinie, zgadza się?

— Niektóre. Nie udało się nam doprowadzić tego do końca.

— Jeśli powie mi pan, gdzie wasi ludzie już byli, pójdziemy odwiedzić resztę.

— Właściwie możecie zaczynać od początku — powiedział Schaffer. — W ciągu ostatnich paru dni wiele się mogło zdarzyć.

— Być może, ale się nie zdarzyło. Wiedziałbym o tym. Widzi pan, inspektorze, nie próżnowaliśmy przez ten czas. Pracujemy nawet w nocy. Jeśli ktoś lub coś porusza się po dolinie, zostaje to dokładnie zlokalizowane.

— Zakładając, że ten pański facet jeszcze tu jest. Szanse na to muszą być teraz zerowe.

— I tu się pan myli, inspektorze. Prawdopodobnie możemy bez pudła przyjąć tylko jedno założenie: że „nasz facet”, jak go pan nazywa, jest jeszcze w dolinie.

Było to już za wiele dla Hennessy'ego, który miał wrażenie, że stosunki między policjantem i kapitanem zaczynają się układać zbyt harmonijnie jak na jego gust. — Chyba już dość powiedzieliśmy, kapitanie. Proszę o listę, inspektorze.

Schaffer nieznacznie wzruszył ramionami i wszedł do środka, pozostawiając do ich uznania decyzję, czy mają iść za nim. Windeler wszedł od razu, Hennessy — chwilę później.

W jednym z pudeł, w których przechowywano dokumenty, znalazł kod radiowy oraz adresy farm. Było ich dziesięć, z czego cztery sprawdzono. Schaffer wyciągnął kartkę do Windelera i rzekł:

— To nie ma sensu. Nie może pan siedzieć i czekać, aż ten facet sam się zgłosi.

Windeler przez chwilę przyglądał się spisowi, po czym starannie go złożył. — Policja bez wątpienia wezwalaby niezliczone brygady ludzi, żeby stratowały teren i przeszukiwały okolice, i to w atmosferze takiego podniecenia i ciągłych reorganizacji, że nawet najbardziej cyniczny obserwator byłby pod wrażeniem.

— Tak działamy i mamy wyniki.

— Owszem, ale nie tutaj. Czekanie może być skuteczne, jeśli się wie, na co czekać.

Schaffer nie był przekonany. — A wy na co czekacie?

— Na śnieg — odparł Windeler krótko i wyszedł z sali.

Nawet Hennessy był zaskoczony tym nagłym odejściem, toteż przez chwilę stał zbity z tropu, lecz zaraz odwrócił się i popędził za oficerem. Silnik land rovera już pracował, gdy urzędnik wyszedł na ulicę, a kiedy wgramolił się na fotel, Windeler ruszył, nie sprawdzając nawet, czy drzwi są dobrze zamknięte.

Schaffer stał przed okolonym barierką wejściem i patrzył, jak odjeżdżają. Potem podniósł wzrok ku łagodnie zarysowanym stokom, wznoszącym się wysoko nad wioską. Z lornetką czy bez, nie dostrzegał tam żadnego ruchu — lecz nie wiedział właściwie, co chciałby zobaczyć, natomiast Windeler miał, zdaje się, dużo więcej pewności.

Zarzucił lornetkę na ramię i wrócił do szkoły, by upitrasić sobie jakieś śniadanie.

— Śnieg? — spytał z niedowierzaniem Hennessy, gdy Windeler nie zwalniając skręcił za szkołą. — Mówi pan poważnie?

Rover podskakiwał na wybojach, lecz mocno trzymał się szosy. — A dlaczego nie? — spytał Windeler.

— Przepraszam, najwyraźniej nie jestem strategiem. Oszczędzamy siły i czekamy, aż złapie zapalenie płuc, zgadza się?

Windeler zamilkł na chwilę, jakby z pobłażaniem wysłuchał bajdurzenia rozgarniętego dziecka. — To jest myśl — przyznał. — Gdybyśmy mieli pewność, że musi się ukrywać na dworze, byłby to nawet dobry pomysł.

— Daj pan spokój.

Windeler rzucił okiem na drogę, nim skapitulował przed stromym zboczem i zmienił biegi. Gdy w samochód wstąpiło nowe życie, wojskowy odezwał się: — Schaffer działa panu na nerwy, co? No, niech się pan przyzna, Hennessy. Nie może się pan doczekać, kiedy wywrócimy całą dolinę do góry nogami i wysiudamy stąd mordercę.

— Ależ w żadnym razie. Nie zależy nam na wywołaniu takiego zamieszania.

— Dlatego właśnie udajemy, że jest tu tylko garstka ludzi i czekamy, aż wpadnie w pułapkę.

— A co ma do tego śnieg?

— Ślady. Cały czas ich szukamy, lecz jak dotąd bezskutecznie. Mamy specjalne urządzenia laserowe, emitujące sygnały na odległość ilekroć zarejestrują najmniejszy ruch.

Hennessy był zbity z tropu. Przez chwilę zapomniał nawet o zachowaniu wyniosłej postawy i siedział przygarbiony w zaprojektowanej z maksymalną prostotą stalowej kabinie rovera. — A więc nad doliną jest rozpięta jakby niewidoczna sieć? — spytał.

— Właśnie. Stąd wiemy, że ciągle jest tutaj. Prognoza pogody mówi, że w ciągu paru dni możemy spodziewać się opadów śniegu. Potem wystarczy nam jeden sygnał alarmowy i pójdziemy za nim wszędzie.

— Może Bóg da, że to będzie daleko od wioski.

— Obiecuję, że załatwimy wszystko szybko i sprawnie.

Hennessy nie był do końca przekonany. — Jeśli to się rozniesie, koniec z moją karierą.

— Tu wchodzi w grę ważniejsze sprawy — przypomniał mu Windeler.

— Możliwe, ale ta akurat pobudza mnie do działania. Dowiedziałem się wczoraj, że są jakieś reperkusje w Londynie.

— Jakie reperkusje?

— Mamy kolejne sygnały z Centralnej Kartoteki — jest tam jakaś wtyczka, która usiłuje wygrzebać dane na temat Jennera i kliniki. Zacząłem po cichu sprawdzać, kto robi forszę na nieoficjalnym udzielaniu informacji.

— A może to całkiem niewinna sprawa?

Hennessy był odmiennego zdania. — Mną się też interesują. I to mnie naprawdę martwi.

— A więc należy się dowiedzieć, kto jest taki ciekawski. Niech go pan znajdzie i przekona, żeby się odczepił.

— Raczej go przycisnę. Mam wrażenie, że to część poszukiwań zakrojonych na większą skalę, może reakcja na jakiś przeciek. Rozesłałem polecenia do wszystkich bibliotek naukowych, by wszelkie adnotacje dotyczące Jennera wkładali pod koniec dnia do banku danych. Gdyby tylko wypożyczono książki czy pisma, które nas interesują, albo poproszono o ich odbitki, natychmiast będziemy mieli wydruk nazwisk i adresów tych klientów. Jeśli czyjeś nazwisko pojawi się dwukrotnie, będzie to sygnał do działania.

Przed sobą widzieli już klinikę. — A jeśli się okaże, że ten ktoś pracuje dla Amerykanów? — spytał Windeler.

— Niech pan tak nie mówi. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Windeler uśmiechnął się. — To nie jest robota dla pana, panie Hennessy. Jak się pan tak będzie przejmował, nie dociągnie pan do pięćdziesiątki.

— Jeśli Amerykanie dowiedzą się, czym zajmowano się w klinice Jennera — odparł ponuro Hennessy — to jest to więcej niż pewne.

**17.** Wtorkowy poranek był pochmurny, posępny i nie tak rześki jak poprzednie. Gdy Forester zmierzał do swego punktu obserwacyjnego, poczuł, że boli go głowa. Miał wrażenie, że ktoś w głębi czaszki usiłuje ostrym szpikulcem wydlubać mu oko.

Powinien zorientować się, że coś jest nie tak, lecz gdy ujrzał smużkę dymu nad drzewami, prawie nie zwrócił na nią uwagi. Dopiero gdy ogarnął wzrokiem drogę, zrozumiał, co się stało.

Na brukowanym podjeździe stały dwa samochody. Range rover przed domkiem, ze skrzynkami do kwiatów w oknach, a przy drzwiach Sampsona było zaparkowane niebieskie volvo combi.

Co to ma znaczyć, do diabła? Mógł się tego spodziewać w weekend, a nie w jakiś tam wtorek, nijaki dzień, kiedy wspomina się tęsknie przyjemności minionej niedzieli i wygląda nieokreślonych radości, które przyniesie następna. Sampson nie miał najmniejszego prawa pojawiać się tu we wtorek i wszystko spieprzyć. Kim on w końcu jest, do cholery?

Forester patrzył przed siebie z kurczowo zaciśniętymi pięściami, drżąc z gniewu. Wziął parę głębokich oddechów i zmusił się do zachowania spokoju. Za jakieś dziesięć minut pojawi się listonosz. Może nie przywiezie dziś zezwolenia, bo w przeciwnym razie Sampson ruszy niedługo na posterunek z otwartą kopertą w dłoni. Foresterowi nie będzie trudno po prostu ulotnić się stąd, lecz nie chodziło tu o niego, spędził już tydzień poza Kumbrią i był chory z obawy, że po powrocie zostanie opuszczone ruiny kliniki, a życie w dolinie toczyć się będzie jak zwykle. Nie może po prostu przemieść się do innej części kraju i zaczynać wszystkiego od nowa.

Trzeba złapać listonosza przed domkiem. Zaczął wolno schodzić zboczem ku drodze.

Przypomniawszy sobie pierwszy dzień w tej okolicy, kiedy to zatrzymał się przy Conon Bridge, by zajrzeć do sklepu sportowego i posłuchać miejscowych plotek. Gdy przyglądał się wędkom, siciom i zielonym brezentowym

torbom ułożonym na półkach, słyszał, jak rusznikarz za ladą udziela informacji przez telefon. Do dwudziestego nic — powtarzał każdemu rozmówcy. Miejsca w obu autobusach turystycznych zostały wyprzedane na miesiąc naprzód. Forester podszedł do okna i wyjrzał na podwórze, gdzie stały obok siebie dwa przystosowane do jazdy terenowej land rovery. Wyglądały zarazem solidnie i elegancko, z dużymi bagażnikami na dachu i zamocowanymi dodatkowymi reflektorami. Nic tu dla siebie nie znalazł, podszedł więc do filcowej tablicy i udając zainteresowanie wywieszonymi na niej ogłoszeniami, przysłuchiwał się rozmowie dwóch mężczyzn przemierzających myśliwskie kurtki.

Dziś był dwudziesty, koniec sezonu ochronnego na jelenie. Sarny urodziły małe i odchowały je na tyle, że przeżyją do następnego najazdu myśliwych. Sampson, jak wielu innych, przyjechał, by zapolować, gdy stada były jeszcze najliczniejsze.

Forester wdrapał się na niski murek i zeskoczył na ścieżkę. Zerknął na zegarek — miał niespełna pięć minut, a gdy biegł truchcikiem, by przeciąć listonoszowi drogę, nie przychodził mu do głowy żaden sensowny pomysł. Można staruszka nastraszyć i zabrać mu list, a nawet całą torbę i rower, lecz przecież listonosz będzie pamiętał, jakie przesyłki miał jeszcze roznieść, więc po przeprowadzeniu szybkiego dochodzenia sprawa się wyda i zezwolenie Foreстера będzie bezużyteczne. A jeśli nie znajdzie go w dzisiejszej poczcie? Zaprzepaści to, co osiągnął do tej pory, nic na tym nie zyskując. Trzeba jakoś zatrzymać tego człowieka, odwrócić jego uwagę. Ale jak?

Musiał wymknąć się na szosę, lecz akurat przejeżdżała furgonetka z pojemnikami na mleko; jej światła hamulcowe jarzyły się, kiedy zwalniała na zakręcie. W każdej chwili może pojawić się przygarbiona postać na rowerze, a on nie miał pojęcia, co wówczas zrobi.

Turkot furgonetki przycichł i Forester oczekiwał, że teraz rozlegną się miarowe piski i skrzypienie starego roweru. Słyszał jednak tylko śpiew ptaków i plusk wody gdzieś w lesie. Potem wyszedł zza zakrętu i ujrzał rower.

Oparty był o słupek przy murze, w miejscu, z którego do domków prowadziło kilka kondygnacji schodków. Forester był tu już kiedyś. Najwyraźniej listonosz wolał krótszą wspinaczkę niż drogę przy podejździe. Torby z przesyłkami nie było.

Rower stał w poprzek obłożonego wielkimi płytami z szarozielonego kamienia otworu studzienki przeciwpowodziowej. Z głębi odpływu nie dochodziło bulgotanie wody, był zarzucony śmieciami i chyba nieużywany. Forester odsunął rower i pochylił się nad ciemną dziurą.

Brezentowa torba na listy spoczywała na kamiennej półce, parę cali nad gnijącym nawozem, który zapychał odpływ. Forester sięgnął po nią. Stwierdziwszy, że jest cięższa niż na to wygląda, rozpiął paski, klamry i podniósł klapę.

Koperty popakowane były w paczki i obwiązane grubymi taśmami elastycznymi. Opierając torbę o ścianę otworu słyszał, jak wysoko na zboczu ktoś pogwizduje. Wyciągnął jeden plik i spojrzął na pierwszy adres, lecz z niczym mu się nie kojarzył. Spróbował z następnym. Wydawało mu się teraz, że słyszy kroki. Podkute buty szurały po wydeptanym kamieniu.

Jak może się dowiedzieć, czy do Sampsona w ogóle przysła jakaś poczta? Miał zaledwie parę sekund, nim zza drzew przy drodze wyłoni się listonosz. Wyraźnie słyszał skrzypienie butów na stopniach, listonosz schodził pogwizdując.

Pliki listów bez wątpienia były ułożone w jakimś porządku. Wyciągnął dwa na chybił trafił, lecz ten, na którym mu zależało, z pewnością będzie następny w kolejności. Sięgnął po pakiet z samego wierzchu.

Był najcieńszy, na kopertach odcisnęła się taśma. Rozłożył listy w wachlarz i usiłował odczytać nazwiska odbiorców.

Wyciągnął pojedynczą, białą kopertę, zaadresowaną do Sampsona i wcisnął pakiet z powrotem do torby, zamykając ją i nieporadnie przeciągając paski przez klamry. Nie pamiętał, czy były ciasno zapięte. Podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć siwego, chudego mężczyznę, wpatrującego się weń z wysokości schodów. Nikogo nie zobaczył, lecz listonosz mógł być oddalony najwyżej o parę jardów, a palce odmówiły Foresterowi posłuszeństwa i nie mógł porządnie zapiąć klamer.

Wsunął torbę do studzienki odpływowej i postawił rower na swoim miejscu. Wskakując na murek pośliznął się, mocno uderzył w łydkę i wpadł głową w krzaki po drugiej stronie.

Wylądował miękko w gęstych zaroślach. Wstrzymał oddech i nie poruszał się, bo kroki nagle umilkły. Rower cofnął się i ze zgrzytem otarł o murek, po czym rozległo się miękkie szuranie brezentu o kamień. Zapadła długa cisza. Forester oczyma duszy widział, jak listonosz, zmarszczywszy brwi, zastanawia się, kto ruszał jego torbę i gniewnie spogląda wokół. Bał się, czy nie zdradzą go połamane gałązki i wyraźnie odcisnięte ślady na mchu porastającym murek.

Znów rozległo się pogwizdywanie, gdzieś niżej.

Listonosz ruszył w drogę.

Forester cicho jęknął z ulgą. Wstał z ziemi, wyprostował się i otrząpął z liści. Podniósł list do Sampsona i wyglądził go dłonią. Stempel pocztowy zabrudził się błotem. Przesyłka ofrankowana była maszynowo i nie miała znaczka. Otworzył kopertę.



Było to jego zezwolenie, przypieczętowane i całkowicie legalne. Nie musi już pokładać wszystkich nadziei w przypadkowych włamaniach, których dokonywał przez pierwsze dni; nie znalazł wówczas niczego prócz strzelby oraz broni małego kalibru, które nie nadawały się do jego celu, toteż zastawiał je na miejscu.

Miał teraz kilka spraw do załatwienia. Nadeszła pora, by zrobić poważne zakupy.

**18.** David Reynolds umówił się z Diane Rohmer w gmachu uczelni. Budynek zaprojektowany był wyraźnie w stylu lat siedemdziesiątych. Główny korytarz był bardzo długi, przestronny, drzwi pokryte ozdobnym fornirem prowadziły do pomieszczeń biurowych, aż do sufitu wyłożonych boazerią. Poniżej znajdowały się sale wykładowe, powyżej — cztery identyczne korytarze oraz kilkaset laboratoriów i gabinetów, którym nieco osobistych akcentów dodawały książki i plakaty na ścianach.

Wzmógłony ruch w budynku świadczył, że zajęcia dobiegły końca. Reynolds wycofał się do wnęki, zaprojektowanej bez żadnego konkretnego przeznaczenia. Stał tu niski stoliczek oraz kilka wyściełanych, plastikowych krzeseł, zniszczonych i popękanych. Spod tapicerki wystawały strzępy żółtej gąbki. Na ścianach wisiały dwie litografie rodem z uczelni artystycznej, ich wartość nastrojała widza optymistycznie. Jakaś ubrana w wełniane płaszcz i džinsy dziewczyna jadła właśnie lunch.

Reynolds patrzył przez okno na miasteczko uniwersyteckie. Nie chciał oglądać parady studentów — był, w porównaniu z nimi, tak cholernie stary. Gdyby nie oni, czułby się tu jak u siebie w domu.

Zastanawiał się, ilu spośród otaczających go młodych ludzi znalazło się tu z prawdziwej potrzeby poznania, z niekłamanego zachwytu nad odkryciem, że wiedza stanowi klucz do labiryntu zrozumienia. Prawdopodobnie około dziesięciu procent, jeśli dobrze pamięta z dawnych lat, a może i mniej, zważywszy na nastawienie rządu, który uważa, że uniwersytety mogą uzasadnić swoje istnienie jedynie przygotowując wysoko wyspecjalizowane roboty do pracy w przemyśle.

Diane Rohmer nie była wybijającą się studentką, przebrnęła przez kolejne semestry bez specjalnych sukcesów i, jak się można było tego spodziewać, zajęła się pracą badawczą. Sprawowała teraz funkcję zastępczyni przełożonej. Udało mu się złapać ją w piątkowy wieczór, musiał tylko poczekać parę minut, nim przywołano ją do telefonu. Była zdumiona i trochę wyrażona z równowagi, gdy usłyszała jego głos, lecz z dobrze udanym entuzjazmem zadeklarowała chęć pomocy. Doskonale pamiętał miejsce,

w którym teraz pracowała. Był to stary dom, stojący na własnej, porządnej parceli, podłogi miał pokryte parkietem, a na ścianach wisiały tablice ogłoszeń; trzy piętra cichych celek zamieszkiwały nieatrakcyjne dziewczyny, które nosiły długie spódnice i skromnie podwijaly nogi pod siebie, gdy siadały na podłodze. Prawda, było też parę oszalamiających ciż, lecz one zawsze rezygnowały po pierwszym roku, brzydule zaś zakotwiczyły się tu na stałe. Diane nie była rewelacyjna, lecz miała miłą buzię i ciało więcej niż znośne. Czy postępował uczciwie, usiłując teraz rozdmuchać iskrę dawnych uczuć, by osiągnąć własne cele? Nic z tych rzeczy, powiedział sobie stanowczo, jesteś zawodowcem wykonującym powierzone ci zlecenie. I pamiętaj, w końcu to ona cię rzuciła. Nie musiała mu pomagać, a jednak zgodziła się zebrać tyle informacji na temat kliniki Jennera, ile uda jej się zdobyć w czasie weekendu.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała, a on, zaskoczony, gwałtownie odwrócił się od okna, pamiętając jednak, by się uśmiechnąć.

— Sam dopiero przyszedłem — skłamał. — Miło cię znowu widzieć. Co u ciebie?

— Wszystko w porządku. A tobie jak leci?

— Przecież wiesz. Dobrze. — Chciał się jej dyskretnie przyjrzeć, tak by nie odniosła wrażenia, że nachalnie się na nią gapi. Tych parę lat wpłynęło korzystnie na jej wygląd, miękkie, dość nieokreślone dziewczęce rysy nabrały wyrazu i, ogólnie biorąc, wyglądała atrakcyjniej niż kiedyś. Włosy miała takie, jakie zapamiętał: długie, kasztanowe.

— Udało mi się zebrać trochę informacji, o które prosiłeś.

Reynolds zerknął na teczkę, którą przyciskała pod pachą do białego, sztywno wykrochmalonego laboratoryjnego fartucha i miękkiej krągłości pod nim. — Miałaś jakieś kłopoty?

— W zasadzie nie. Doktor Jenner kiedyś tu pracował. Pamiętam, że parę razy się z nim zetknęłam.

— Musiałaś wydać jakieś pieniądze?

— Małe sumy.

— Mówiłem ci, chowaj kwity. Zapłacę wszystko, co jestem winien, a agencja mi zwróci.

Wzruszyła ramionami. — To zupełny drobiazg. Trzy czy cztery artykuły, z których zrobiłam ksero w bibliotece.

— Koszty nie grają roli. Przede wszystkim jestem ci wdzięczny, że mi pomogłaś.

— Nawet nie zostawiłam kwitów. Naprawdę, nie zwracajmy sobie

tym głowy. Zrobiłam też parę notatek. — Wyjęła akta i podała mu je. — Dany, nazwiska ludzi, z którymi pracował, ot, takie rzeczy.

Wziął teczkę. — Zadałaś sobie wiele trudu — powiedział otwierając ją.

— Zajęło mi to zaledwie pół godziny. Mnie to się też przydało.

Reynolds zerknął na pierwszą stronę notatek. Były napisane na starej, przenośnej maszynie. Źle założona taśma była prawie pozbawiona tuszu, więc na pierwszy rzut oka można było poznać, że Diane nie jest żadną maszynistką. Musiała poświęcić temu prawie całą wieczór.

— Chciałbyś, żebyśmy to razem przejrzeeli? — zapytała pośpiesznie.

Reynolds uśmiechnął się i zamknął teczkę. — Chodźmy do refektarza, tam rzucimy na nie okiem. O tej porze chyba podają poranną kawę.

Rozpoczęła się teraz następna seria wykładów, ostatnia przed lunchem, i w miasteczku zapanowała cisza. Gdy szli brukowaną alejką w kierunku głównego budynku, Reynolds zapytał: — A jak się miewa Michael?

Diane chwilę milczała, po czym rzuciła sztucznie wesołym tonem: — Nie widziałam go od lat. Dawno się rozstaliśmy.

Co by oznaczało, pomyślał Reynolds, że porzucił ją wkrótce potem, jak ona rzuciła mnie. Z jakiegoś powodu zmniejszyło to nieco mur obcości między nimi.

Recepcja była pusta, nie musiał więc portierowi podawać swego nazwiska. W refektarzu tworzyła się już kolejka do syczących ekspresów i przezroczyстых lad z przekąskami, posłał więc Diane, by znalazła stolik. Przekonał dziewczynę, że postawienie jej kawy jest minimalną próbą rewanżu za to, co dla niego zrobiła, a zawsze stara się poprzestać na absolutnym minimum. Uśmiechnęła się słysząc ten żart, choć był pewien, że już kiedyś ją nim uraczył. Spójrzmy prawdzie w oczy, wszystkich znajomych już nim uraczył.

Zamówił dla niej kawę, a dla siebie herbatę i zaczął torować sobie drogę między coraz liczniejszymi grupami obsiadającymi małe stoliki, musiał przy tym omijać brezentowe torby, wypchane teczki i chwiejne sterty skoroszytów leżące na podłodze. Diane znalazła stolik w rogu i rozłożyła na nim notatki i artykuły. Przesunęła parę arkuszy, by zrobić miejsce na spodeczki.

— Czy wypada zapytać, po co ci to wszystko? — zagadnęła, gdy przysunął krzesło i usiadł.

— Nie kryje się za tym żadna tajemnica, jeśli to masz na myśli, ale sam dokładnie nie wiem, dokąd w końcu trafią te materiały. Agencja

przyjmuje różne zlecenia — wystarczy nam temat i parę wskazówek klienta, a my dostarczamy mu informacji.

— Czy to dobra posada?

— To nie jest posada w normalnym rozumieniu tego słowa. Prowadzimy agencję na zasadzie spółdzielni pracowniczej i wszyscy mamy udział w zyskach.

— To rodzaj jakiejś komuny?

— Właściwie nie. Jesteśmy zarejestrowaną spółką, jak najbardziej kapitalistyczną.

Diane wskazała na leżące przed nią kartki. — Po prostu byłam zdziwiona, że zajmujesz się takimi naukowymi sprawami. Nie macie specjalistów od poszczególnych dziedzin?

— Jesteśmy małą firmą — przyznał. — I naprawdę opłaca się, żeby laik zbierał materiały, które są później opracowywane. Jest wtedy więcej danych, a mniej hipotez.

Wszystkie stoliki były teraz zajęte, lecz kolejka po kawę nie zmniejszyła się. — Czy chciałbyś potem rozejrzeć się po laboratoriach? — spytała Diane.

— Jeśli uważasz, że to się na coś przyda. Muszę wracać dopiero jutro.

— Zatrzymałeś się gdzieś? — zapytała Diane i Reynolds usłyszał w jej głosie lekki niepokój.

— Znajdę jakiś hotel — zapewnił ją.

— Mógłbyś się przespać u mnie na kanapie, ale z tym będą kłopoty, skoro jestem zastępczynią przełożonej...

— Nie martw się, pamiętam. Parę razy uciekałem późną nocą schodami ewakuacyjnymi.

— Bardzo mi przykro — rzekła uśmiechając się blade.

— Zupełnie niepotrzebnie, klient pokrywa moje wydatki. Już nie muszę sypiać w domu noclegowym.

— Dobrze, że rozumiesz moją sytuację.

Zrozumiał więcej, niż zostało powiedziane, a widząc, że jest zmieszana, zmienił temat. — Może mi powiesz, czego się dowiedziałeś?

— No więc — odparła z ulgą — doktor Jenner opuścił uniwersytet w 1982 roku, akurat wtedy, kiedy zaczęłam studia, więc tak naprawdę nie miałam z nim specjalnego kontaktu. Poza tym właściwie nie wykładał, zajmował się wyłącznie badaniami.

— Jakiego rodzaju?

— Był w zespole profesora Liawskiego. Pracowali nad wyizolowaniem genu wytwarzającego insulinę i wprowadzeniem go do zarodka bakterii, by otrzymać samoodtwarzającą się formę życia, którą następnie

można byłoby wykorzystać w leczeniu cukrzycy, albo która stanowiłaby źródło łatwo przyswajalnej insuliny pochodzenia niezwierzęcego. Czy nie jest to zbyt zawile?

Dosyć, lecz Reynolds uznał, że z grubsza się orientuje. — W porządku — powiedział. — A czy wiesz, jaka była w tym rola Jennera?

— Właściwie nie. Badania prowadzono na zlecenie, chyba jakiegoś zakładu farmaceutycznego, ale nie jestem pewna. W każdym razie oznaczało to, że cała sprawa jest ściśle tajna, gdyż w razie jakichś przecieków ktoś inny mógłby ich ubiec i pierwszy wyskoczyć z patentem.

— A masz jakieś przypuszczenia?

— Chyba miało to coś wspólnego ze zwierzyńcem. Zrobił doktorat eksperymentując na zwierzętach, ale nie został zakwalifikowany do badań nad resyntetyzacyjną techniką DNA. Właściwie był lekarzem — miał drugą pensję z udzielania jakichś konsultacji w klinice. Wiedziałaś o tym?

— Nie miałem pojęcia.

Pogrzebała między papierami i wyciągnęła kilka spiętych klamrą odbitek kserograficznych. Zazgrzytały pod nimi drobinki cukru. — To jest streszczenie jego pracy doktorskiej — może chciałbyś rzucić na nie okiem? Zrobili mi je z mikrofilmu „Biuletynu Psychologii Porównawczej i Fizjologicznej” z 1975 roku. Marne toto z naukowego punktu widzenia.

Reynolds zerknął na tytuł artykułu, lecz niewiele mu on powiedział. — W jakim sensie marne? — zapytał.

— Jenner poszedł po najmniejszej linii oporu. To taki trick, gdy nie potrafi się wymyślić nic oryginalnego — opracowuje się nową procedurę badawczą, by „potwierdzić” już przyjętą teorię. Należy tylko zastosować odpowiednią metodologię prezentacji i sprawa jest załatwiona.

— Nie pochwalasz tego — zauważył Reynolds.

— Bo to nie jest nauka. Nazywają takie szachrajstwa „badaniami podstawowymi”.

— A czym właściwie on się zajmował?

Spojrzała na odbite na ksero arkusze i potrząsnęła głową. — Sam przeczytaj. Nie uwierzysz, jak ci powiem.

— W jaki sposób od tego typu badań przeszedł do programu insulinowego?

— Prawdopodobnie była to sprawa mocodawców. Przedsiębiorstwa farmaceutyczne, jeśli to one zleciły tę pracę, żeby przepchnąć swój produkt, bardzo dużą wagę przywiązują do doświadczeń ze zwierzętami, bo to

robi wrażenie. Ale zeszliliśmy na kwestie handlowe, z nauką ma to niewiele wspólnego.

— Dlaczego?

— Bo wyniki eksperymentów ze zwierzętami rzadko są miarodajne jeśli chodzi o ludzi.

— Więc po co się na nich opierać?

— To tańsze niż doświadczenia na ludziach, ryzyko jest znacznie mniejsze i nie ma aż tylu ograniczeń. A ten przyziemny fakt, że nie jest to właściwy sposób badań, nie liczy się specjalnie w biznesie. Weźmy LD-50 — to test obowiązujący przy ustalaniu stężenia niektórych substancji w produkcie, przy jakim wyginęłaby przynajmniej połowa badanych zwierząt. Jest bezwartościowy. Niczego nie wykazuje, gdyż każdy gatunek reaguje inaczej na daną substancję.

— To strona handlowa. A jak wygląda sprawa z akademickiego punktu widzenia?

— O tym też mówiłam. Gdy szuka się funduszy na sfinansowanie badań przy użyciu zwierząt, trzeba tak zaprezentować program, jakby się chciało sprzedać go na wolnym rynku, bo pomysłów jest wiele, a ilość pieniędzy ograniczona. Istnieje silna konkurencja i trzeba umieć się przebić albo pogodzić z przegraną.

— Ale dlaczego w takim razie ciągle prowadzi się eksperymenty na zwierzętach? Chyba powinno się je wykonywać tylko wtedy, gdy wyniki będą miały zastosowanie w przypadku ludzi.

Westchnęła ciężko, jakby nieraz natrafiła na ten betonowy mur niezrozumienia, po czym pochyliła się nieco i wpatrywała intensywnie w mężczyznę. — Thalidomid trzy lata testowano na zwierzętach — powiedziała — a wyniki badań uzyskały potwierdzenie we wszystkich krajach, w których go stosowano, z wyjątkiem Turcji. Nie uznawali eksperymentów na zwierzętach i w zamian przeprowadzili testy laboratoryjne. Wyniki im się nie spodobały, toteż zabronili zażywania thalidomidu. Wszyscy inni oparli się na danych doświadczalnych i potem trzeba było tragedii, by się przekonać, że lek ten przyjmowany w czasie ciąży powoduje uszkodzenie płodu.

— Przepuszczalnie doświadczenia na zwierzętach przestały być po tym wiarygodne? — zaryzykował Reynolds, lecz powinien być roztropniejszy.

— Wręcz przeciwnie. Ten przypadek wykorzystano jako argument za zwiększeniem kosztów na rozwój techniki. Tradycyjnych metod nie zwalczy się za pomocą paru faktów. Przypomnij sobie, jaki sprzeciw wzbudziła koncepcja, że operacje należy przeprowadzać w aseptycznych warunkach. Tu, jak wszędzie, ludzie, którzy zawodowo zajmują się nauką, przeważnie

nie podchodzą do tego emocjonalnie, brakuje im wyobraźni i zaangażowania. Dziewięćdziesiąt procent po prostu ślęczy nad robotą, świata bożego poza nią nie widząc. Intelktualni konformiści posuwają się utartym torem, gdyż w ten sposób najłatwiej im zyskać uznanie otoczenia. Z czego się śmiejesz?

Odbiegli od głównego tematu rozmowy — lecz chciał się jej przyglądać i słuchać, jak mówi. Nie przypominała dziewczyny, czy też kobiety, którą znał przed laty, miała w sobie niespotykaną energię i sprawiało mu przyjemność jej towarzystwo. — Tak błyskawicznie obalasz moje najświętsze przekonania, że aż mi się w głowie kręci.

— Chciałabym, żeby to zawsze tak łatwo szło. Pracuję nad wytworzeniem kultury z tkanek łożyska, która dawałaby dobre wyniki w badaniach toksyczności. Muszę walczyć o każdego pensa, nie mam asystentów ani funduszy z przemysłu i zawsze jestem ostatnia w kolejce po sprzęt i dostęp do komputera.

— Można by przypuszczać, że skoro ma to służyć ludziom, wszyscy będą zabiegać o jak najszybsze ukończenie badań.

— Nic z tych rzeczy. Chyba że masz kogoś dobrze ustawionego w administracji naukowej, kto ma takie układy, że może zwrócić na ciebie uwagę szefów. Rzecz nie w tym, że nie mamy przekonujących dowodów — istnieje nieograniczona lista leków i substancji wykazująca, że nie można wnioskować o ich właściwościach na podstawie doświadczeń z poszczególnymi gatunkami zwierząt. Penicylina zabija świnki morskie, a strychnina nie. Chloroform jest śmiertelny dla psów, a digitalis podnosi im ciśnienie. Akurat odwrotnie niż u ludzi. Wymieniłam tylko dwa gatunki zwierząt doświadczalnych, a przykłady są typowe. Ale tak naprawdę nie powinnam się skarżyć. Uczciwie muszę przyznać, że wyniki moich badań będą miały zastosowanie głównie w przemysłowej produkcji leków. Też staram się płynąć z prądem.

— Jesteś dla siebie niesprawiedliwa — stwierdził Reynolds.

— Wcale nie. W którymś z krajów Trzeciego Świata sporządzono listę leków i medykamentów niezbędnych dla ludzkiego zdrowia. Zawiera zaledwie pięćdziesiąt pozycji.

— Więc dlaczego się tym zajmujesz, skoro tyle w tobie krytyki?

— Chyba dlatego, że jestem słaba — odparła, mierząc go niewidzącym wzrokiem. — Zostałam na uczelni, bo nie miałam po studiach innych propozycji. Zaszłam tak daleko trochę nieświadomie, widziałam tylko następny szczebel, na który muszę się wspiąć, a gdy poczułam, że jestem w ślepej uliczce, było już za późno. Zazdroszczę ci, Davidzie. Naprawdę.

Teraz z kolei on poczuł się zakłopotany. — Mnie? Wedle twoich norm jestem przecież niebieskim ptakiem.

— Może kiedyś tak mi się wydawało. Ale myliłam się.

O rany, Davidzie, trochę to za daleko szzło, chłopie, mogą być kłopoty. Lepiej będzie się stąd ruszyć.

Refektarz prawie opustoszał, zamknięto ladę z przekąskami, przetarto stoły. Diane zaproponowała, by rzucili okiem na laboratoria, w których pracował Jenner, a David chętnie na to przystał, czując niemałą ulgę, że wracają do głównego tematu rozmowy. Był zakłopotany zwierzeniami Diane i musiał zweryfikować swoje pochopne sądy o niej i „typie”, który reprezentuje. Gdy szli brukowaną alejką między głównym budynkiem i gmachem Wydziału Nauk Ścisłych, zapytał: — Jak zakończyły się badania nad insuliną?

— Nic z tego nie wyszło, ktoś ich ubiegł. Ale nie tylko o to chodziło. Zdaje się, że Jenner i profesor Liawski straszliwie się o coś pokłócili.

— O co konkretnie?

— O szczegóły musiałbyś zapytać kogoś, kto z nimi pracował. Ale nie przypominam sobie nikogo z tamtych czasów. Może chodziło o podejście do badań. Ponieważ przygotowywali tajny projekt, nad kilkoma fazami pracowano oddzielnie i być może profesorowi Liawskiemu nie podobały się sposoby eksperymentowania, którymi posługiwał się Jenner. Przede wszystkim nie popierał doświadczeń na zwierzętach i przypuszczam, że to sponsor mu je narzucił.

Odsunęli się na bok, by przepuścić ociemniałego indiańskiego młodzieńca w kurtce z kapturem. Niewidomy maszerował pewnie, wyciągając przed sobą laskę. — Więc powiadasz, że z tych ludzi, którzy przeprowadzali badania z Jennerem, żaden już tu nie pracuje?

— Większość z nich doktor zabrał ze sobą — rzekła Diane, gdy zbliżyli się do drzwi gmachu Nauk Ścisłych. Pojechał gdzieś na północ, by założyć własny ośrodek. Nie wiem, gdzie to jest.

— W Kumbrii — rzucił Reynolds, otwierając szklane wahadłowe drzwi i odsuwając się na bok.

— Co takiego?

— Tam właśnie się przeniósł. Kupił dużą farmę i przerobił ją na prywatne laboratorium, w którym świadczyli wyspecjalizowane usługi lekarskie. Domyślasz się, dlaczego to zrobił?

— To żadna tajemnica. Rząd wykorzystując koniunkturę na leczenie bezpłodności przydzielili mu spore fundusze.

Pasja naukowa stymulowana gotówką, a to ci dopiero! Minęli drzwi prowadzące do sal wykładowych i Reynolds zapytał: — I tak po prostu dali mu te pieniądze?



— Najwyraźniej prace Jennera wzbudziły większe zainteresowanie niż profesora Liawskiego. Tędy, pokażę ci zwierzyniec.

Była to mała piwnica, do której schodziło się po szerokich schodach na końcu klatki schodowej. Ciężkie drzwi wejściowe sprawiały wrażenie hermetycznych, lecz były teraz otwarte.

— Gdy pracował tu Jenner, zawsze je zamykano — odezwała się Diane. — Mogli tu wchodzić tylko jego pracownicy za okazaniem przepustki. Szczury trzymano w innej części budynku.

Znajdowali się w korytarzu, zastawionym z jednej strony klatkami na wysokość sześciu stóp. Każda klatka była wielkości drucianego kosza na biurową pocztę, w rogu stała samoczynna maszynka dozująca żywność i odwrócona butelka z wodą. Przyczepione były do nich kolorowe nalepki z wypisanym numerem eksperymentu i instrukcjami karmienia. W każdej klatce siedział przynajmniej jeden biały szczur.

Wdrapywały się po drutach, setkami oczu wpatrując się w przechodzącego Reynoldsa. Wiele z nich miało na łebkach wygolone kawałki skóry, do których przytwierdzono elektrody, sterczące jak druga para uszu. Znajdowały się tam też szczury ciemnoszare, większe od innych. Były to bezduszne stworzonka, liczne i pospolite, produkt przemysłowy wykonany według normy i Reynolds z lekkim zakłopotaniem stwierdził, że nie wywołują w nim żadnego współczucia.

Diane uśmiechnęła się i zamieniła parę słów z młodym człowiekiem, który wyłonił się z bocznych drzwi, niosąc duży notes i litrową butelkę czystej wody. Reynolds został z tyłu i rozglądał się nieśmiało.

Po chwili młodzieniec ruszył dalej, a Diane wprowadziła Reynoldsa do pomieszczenia, które opuścił laborant. Była to duża, wyłożona glazurą sala, jasno oświetlona i przesycona cierpkim zapachem soczystej zwierzęcej karmy — co uświadomiło Reynoldsowi, że na korytarzu nie wyczuł najmniejszego odoru.

Prócz worków z pokarmem, stołu i wagi, w pomieszczeniu stały jeszcze cztery klatki. Miały mocne pręty i kółka — coś pośredniego między wózkiem na bagaże i wędrownym zoo. — Co to takiego? — zapytał Reynolds.

Diane rzuciła okiem, jakby na moment zapomniawszy, gdzie się znajdują. — To urządzenia dla naczelnych — powiedziała — ale nie są używane. Małpy sporo kosztują, opieka nad nimi obwarowana jest wieloma przepisami i trzeba do nich zatrudnić dwóch dozorców. Większość zespołów badawczych nie ma takiego budżetu — na pewno nie może sobie pozwolić na utrzymanie szympanсів, a to dla nich są te klatki. Rezusy wypadają taniej, ale sprawiają cholernie dużo kłopotu.

Jedna z klatek miała ruchomą wewnętrzną ściankę, którą można było

całą odsuwać. Diane wytłumaczyła, że była to specjalnie umocniona klatka, w której unieruchamia się zwierzę w celu zrobienia mu zastrzyku albo pobrania wycinka do badania. — Przenosi się je ze zwyczajnej klatki i zamyka drzwi. Potem wysuwa się wewnętrzną ścianę i przyciska zwierzę do boku klatki, żeby nie mogło bronić się ani atakować. Wtedy można zrobić z nim co się chce.

Klatki były zakurzone i nieużywane. W żadnej z nich człowiek nie zdołałby się wyprostować, a podłoga z drucianej siatki sprawiała, że stawało się to jeszcze trudniejsze.

Przeszli do sali wypełnionej rzędami krzeseł, w głębi jarzyły się dwa zielone napisy wskazujące wyjście. Diane znalazła wyłącznik światła, przekreśliła go i wążki promienie spłynęły na biały ekran umieszczony na tylnej ścianie. Widniał na nim wykres, a w drewnianym zagłębieniu tablicy leżało parę wyschniętych flamastrów. Przyćmione oświetlenie nie spełniało swej funkcji, raczej stwarzało nastrój grozy, było jak dogasające ognisko w lesie, które tylko zwabia wilki i demony.

Reynolds odwrócił się do Diane. Na tle ekranu widniał czarny zarys jej sylwetki. Obraz ukazywał kości, żyły, ciało pozbawione skóry. A może była to tylko gra jego wyobraźni.

— Pokazy — rzekła Diane.

Nie było pulpitu, tylko duży stół na obrotowym stojaku. Padł na niego cień Diane, a gdy przesunęła się do przodu, Reynolds ujrzał tępy błysk nierdzewnej stali.

— Pokazy czego? — zapytał, niepewny, czy chce usłyszeć odpowiedź.

Z brzegu stołu podniosła opatrzonej klamrą pas. Reynolds nie mógł stwierdzić, czy była to taśma skórzana, czy brezentowa, ale wyglądała na szeroką i mocną. W stalowej powierzchni stołu wyżłobiona była sieć kanałików, prowadząca do otworu odpływowego w rogu. — To zależy — powiedziała. — Widziałeś, co było w pokoju, z którego właśnie wyszliśmy?

Wprawdzie przyglądał się ustawionym na półkach w korytarzu przedmiotom, ale przykryte brezentowymi płachtami kształty nic mu nie mówiły.

Wrócili do przedpokoju. Przechodnie drzwi do sali operacyjnej były otwarte. Gdyby Reynolds obejrzał się, na oświetlonym tle ujrzałby ciemny zarys stołu ze zwisającymi pasami.

Pokój ten był chyba magazynem lub przechowalnią wyposażenia do pokazów w sali operacyjnej. W razie potrzeby wystarczyło tylko sięgnąć ręką po przyrządy. Diane zdjęła pokrowiec z jednego z urządzeń, które wyglądało jak prasa drukarska starego typu.

— Mniejsza wersja prasy Blalocka — wytłumaczyła Diane. — Używana do miażdżenia tkanek bez naruszania kości.

Było tu więcej małych, jak dla lalki, urządzeń do krępowania ruchów straszliwie kaleczonych małp: zestawy elektrod na prąd zmienny z reostatu, uchwyt do unieruchamiania średniej wielkości psa. — W zasadzie to nie są przyrządy do badań — powiedziała Diane, gdy przyglądali się nagromadzonej aparaturze. — Mamy tu zwykle narzędzia pomocnicze do przeprowadzania doświadczeń podczas wykładów, choć rezultaty są z góry znane.

Wszystko było tu zaplanowane i naukowo uzasadnione; najgorszy rodzaj gwałtu — ze stemplem społecznego przyzwolenia. — A organizacje opieki nad zwierzętami? Czy nie mogłyby tego jakoś kontrolować? — spytał Reynolds.

Diane przykryła brezentem uchwyt Pawłowa. — Nie, póki kierują nimi sentymenty i emocje, a tak niestety jest w większości wypadków. Ich argumenty może podważyć każdy, kto posiada elementarną znajomość sztuki dyskusowania. Załóżmy, że wymyślasz miseczkę oraz pręt do ściskania i miażdżenia kociego sutka. Gdy zamęczysz parę tysięcy zwierząt, wieść o tym rozchodzi się, narasta fala protestów, wywierają na ciebie naciski. Tak się zdarzyło w nowojorskim Muzeum Nauk Przyrodniczych w 1976 roku i eksperymenty trzeba było zakończyć, gdyż przestano je finansować. Ale załóżmy, że zamiast kotów bierzesz brązowe szczury z kanałów. Myślisz, że spotkasz się z takim samym oburzeniem? Złego naukowca można powstrzymać tylko w jeden sposób — udowadniając, że to co robi, niczemu nie służy. Naprawdę trudno jest zwrócić uwagę opinii publicznej, gdyż za nic nie chcą uwierzyć, że szarlatan w białym fartuchu w żadnym razie nie obdarzy ich lekarstwem na raka, co obiecuje się od ponad dwustu lat. Ale tu weszliśmy już na terytorium Jennera. — Machnięciem ręki skwitowała półki i ciemną salę operacyjną w głębi. — Czy mówi ci to coś o tym człowieku?

Reynolds zawahał się przez chwilę, po czym odparł: — Nie wiem, co to ma wspólnego z jego praktyką lekarską.

— Obie dziedziny wiele łączy. Nigdy nie widziałeś katalogu kliniki leczącej bezpłodność?

— Nie było mi to specjalnie potrzebne — powiedział, starając się, by nie zabrzmiało to zarozumiale.

Wspomnienie minionych chwil zapaliło w jej oczach isierki tkliwości, które jednak szybko zgasły. — Warto by kilka przejrzeć.

Zanim opuścili budynek, dziewczyna chciała jeszcze sprawdzić coś, co miało związek z jej pracą, weszli więc na trzecie piętro i podążyli

korytarzem, mijając drzwi do pokojów, w których przeprowadzano eksperymenty i badania behawiorystyczne. Reynolds zaczekał w małym biurze, które Diane najwyraźniej dzieliła z czwórką innych osób; po pozbawionej okien, ciemnej piwnicy wydało mu się ono pałacem. Musiał zweryfikować swoje zdanie o dziewczynie. Nie był już tak pewny siebie jak na początku.

Diane wróciła bez laboratoryjnego fartucha. Był bezkształtny i nie dawał jej wdzięku, toteż we własnym ubraniu wyglądała dużo lepiej.

— Na windę będziemy czekać w nieskończoność — powiedziała, zeszli więc schodami ewakuacyjnymi.

Po drodze Reynolds zapytał: — Mam wrażenie, że nie ceniłaś zbyt wiele Jennera?

Diane szła przodem, podniosła więc głos, by Reynolds mógł ją usłyszeć. Jej słowa zadudniły echem na schodach. — Mówiłam ci, że mało go znałam. Ale sposób, w jaki potraktował profesora Liawskiego, nie świadczy o nim najlepiej. Nie ulega wątpliwości, że Jenner wykorzystał program badań nad insuliną do własnej roboty.

— A na czym ona polegała?

— A kto to może wiedzieć? Póki Jenner się nie wyniósł, zwierzyniec był zamknięty na klucz.

Jeszcze jeden podest, na którym przez moment byli blisko siebie, i znowu schody w dół. — Czy profesor Liawski nadal tu pracuje? — spytał Reynolds.

— Zmarł parę lat po zakończeniu badań nad tym projektem.

— A rodzina?

— Nie miał żadnej rodziny. Wszyscy zginęli w obozach koncentracyjnych w czasie wojny. Jemu udało się uciec i przedostać do Anglii. W tym czasie jego bliscy żyli jeszcze, ale nikt nie traktował poważnie relacji profesora, a gdy przekonano się, że to prawda, było już za późno. Nic nie przesadził i nie usiłował robić z esesmanów większych zbrodniarzy niż byli nimi w rzeczywistości, chociaż wszyscy tak uważali.

— Więc osiadł tutaj na stałe?

— Komitet Swobód Akademickich pomógł mu wrócić na studia do Cambridge. W 1946 roku pojechał do Norymbergi, by złożyć zeznania i chyba więcej nie wyjeżdżał z Anglii.

Biblioteka mieściła się w wysokim budynku, przywodzącym na myśl tort weselny. Usytuowana była na krańcu miasteczka uniwersyteckiego i nieoficjalnie trasa do niej wiodła na przełaj przez trawniki. Chłodny, październikowy wiatr hulał na otwartym terenie, szarpał Reynoldsa i Diane za ubrania, popychał w najmniej oczekiwanych momentach, unosił włosy kobiety i ciskał na jej twarz długie pasma.

— Liawski musiał mieć dokumenty, notatki, jakieś papiery dotyczące swoich badań — odezwał się Reynolds. — Co się mogło z nimi stać po jego śmierci?

— Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że notatki poszły do archiwum uniwersyteckiego, a resztę jego rzeczy sprzedano. Chyba dużo tego nie było.

— Wiesz gdzie on mieszkał?

Odgarnęła z czoła zabłąkany kosmyk. — Pamiętasz Zielony Dwór? Był tam przełożonym. Ale administrator załatwiał za niego wszystkie bieżące sprawy i pilnował dyscypliny. Słuchaj, myślałam, że interesuje cię tylko Jenner. Jeśli chcesz, żebym się jeszcze rozpytała o Liawskiego...

— Absolutnie nie śmiałybym cię prosić — zapewnił ją pospiesznie. — I tak już mnóstwo dla mnie zrobiłaś. Aż mi będzie głupio brać za to pieniądze. Chciałbym ci się odwdziżyć.

— To zupełnie niepotrzebne.

— Zapraszam cię dziś wieczorem na kolację. — Gdy tylko wypowiedział te słowa, uderzyło go, jak niezwykle staroświecko zabrzmiały.

— Czyż nie nadwerężymy hojności twego klienta?

— To na mój rachunek, nie klienta.

— Jakkolwiek wielce podziwiam taki niepodporządkowany żadnym rygorom tryb życia, to sądząc po kolanach twoich dżinsów — nie zamieniłabym się z tobą na konta bankowe.

Zerknął w dół. Nie widziała jeszcze łokci jego pulovera. — Skąd wiesz, że nie jestem ekscentrycznym milionerem?

— Wierzę, że jesteś ekscentryczny. Kolacja może być, pod warunkiem, że ja stawiam, jeśli tylko nie będziesz szczególnie wybredny i nie nastawisz się na coś wyjątkowo wykwintnego. Niewiele można zdziałać na tych kuchenkach kempingowych, którymi nas uszczęśliwili.

— Umowa stoi — odparł i poszli do biblioteki.

Przedsięwzięto tu ostrzejsze środki ostrożności niż w budynku administracyjnym; Diane musiała wpisać Reynoldsa jako swego gościa, nim otrzymał przepustkę, którą przedstawił portierowi pilnującemu wejścia, a Diane pokazała legitymację służbową. Gdy już sforsowali te przeszkody, poszli do działu katalogowego. System ten wydawał się dziwaczny i przestarzały, niedorównujący wyposażeniu bibliotek z wyświetlaczami mikrofilmowymi i komputerami, lecz nadal był to najwygodniejszy sposób wyszukiwania informacji, stanowił też użyteczne zaplecze na wypadek awarii prądu. Niegdyś wszystkie karty katalogowe przeniesiono do magazynu, by je później spalić, lecz w wyniku kryzysu energetycznego w połowie dekady biblioteka została pozbawiona jakiegokolwiek indeksu. Karty uratowano

i przywrócono na dawne miejsce, a komputery usunięto.

Znaleźli wykaz większości krajowych klinik leczących bezpłodność, choć żaden z katalogów nie był aktualny. Znajdowały się one w magazynie i trzeba było złożyć zamówienie u bibliotekarza. Diane wypełniła rewers na katalog kliniki Jennera i oddała go do zrealizowania, Reynolds tymczasem czekał z założonymi rękami, oparty o ścianę przy szafkach z kartami bibliotecznymi.

Wróciła Diane. Komputer odnalazł katalog, który powinni otrzymać za parę minut. — Jak Jenner przeskoczył od insuliny do leczenia bezpłodności? — spytał Reynolds.

— Obie dziedziny znajdują się na obrzeżach genetyki. Albo, dokładniej rzecz biorąc, na obrzeżach biologii molekularnej.

— To mnie trochę przerasta.

— DNA, cząsteczka o podwójnej spirali, jest nośnikiem kodu genetycznego, który informuje każdy organizm, według jakiego klucza ma się tworzyć. Zgadza się?

— Zgadza — niepewnie odparł Reynolds.

— Można ją podzielić na zespoły sygnałów, przy czym każdy sygnał będzie spełniał określoną funkcję. Niektóre da się wyizolować.

— Jak sygnał wywołujący produkcję insuliny?

— Widzisz? Wiesz więcej, niż ci się wydaje. Kiedyś leczenie bezpłodności miało charakter typowo mechaniczny, jak rekonstrukcja jajowodów, sztuczne zapłodnienie, koncentracja spermy w przypadku małej liczby plemników, a później odkryto nową metodę — zapłodnienie in vitro.

— Co?

— Dzieci z próbówki. Pobiera się komórki płciowe obojga rodziców wraz z w połowie uzupełnionymi sygnałami DNA w chromosomach, tak by komórki połączyły się, po czym zaczęły dzielić i rosnąć. Cała sztuka polega na tym, by nowo uformowaną zygotę przenieść do organizmu matki, żeby mogła zagnieździć się w łonie macicy i rozwijać normalnie.

Przywieziono parę książek z magazynu, lecz żadna nie była przeznaczona dla nich. — I tym wszystkim zajmuje się biologia molekularna? — spytał Reynolds.

— Obie dziedziny posługują się tą samą techniką. Wielki ich rozwój nastąpił wtedy, gdy program rekombinacji DNA w Stanach nagle się załamał, zanim jeszcze zdążył się rozwinąć. Kennedy ostro podkreślał kwestię publicznej odpowiedzialności uczonych, a Przyjaciele Ziemi domagali się wycofania funduszy rządowych z doświadczeń nad rekombinacją. Każdy, kto planował przeprowadzenie eksperymentu, musiał się liczyć z pozwem do sądu, jeśli nie złożył oświadczenia, że będzie przestrzegał przepisów o

ochronie środowiska, czego wymagała „Ustawa o narodowej polityce ochrony środowiska”. A ponieważ, jak to zwykle bywa w przypadku eksperymentów, wyniku nie dawało się z góry przewidzieć, wielu czołowych naukowców zajęło się dziedzinami, które nie były obwarowane tyłoma przepisami. Spora grupa wylądowała w prywatnych laboratoriach w Szwajcarii. Znacznie mniej przybyło tutaj. Dwie uwagi na temat Anglii w owym czasie: stowarzyszenia naukowe wywierały nacisk na rząd, by strategię rozwoju gospodarczego oparł na przesłankach naukowych, a nie przemysłowych, ponadto służba zdrowia była w opłakanym stanie. W ciągu roku zgromadzono pieniądze na badania naukowe, które, jak manipulacje genetyczne, znajdują zastosowanie medyczne, mające walory handlowe. To błyskawiczne działanie dążące do zdobycia rynku okazało się skuteczne.

Przywieziono nową partię książek. Była wśród nich cienka broszurka, która wyglądała jak katalog. Gdy podeszli bliżej, Reynolds zapytał: — I wtedy właśnie pojawił się Jenner?

— Otóż to. Niemal wszystkie kliniki w kraju leczące bezpłodność otrzymały rządowe fundusze. A większość oferowanych przez nie usług jest niedostępna poza Wielką Brytanią.

Reynoldswi przyszło do głowy, że katalog mógłby zainteresować Carsona, toteż poprosił o zrobienie z niego odbitki. Ponieważ nie był stałym czytelnikiem, wniosek o zrobienie ksero musiała podpisać Diane. Gdy podawała mu formularz, spytała: — Dasz sobie sam radę?

— Chyba tak. Dziękuję, że poświęciłaś mi tyle czasu.

— Ależ proszę. Dziś wieczorem o ósmej?

Skinął głową. — Świetnie. Będę miał czas na dokończenie kilku spraw.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć?

W pytaniu brzmiała rozpaczliwa prośba. — Mniej więcej się orientuję. Nie martw się, dotrę na miejsce — zapewnił ją.

Poszła, by zająć się swoimi bakteriami, a Reynolds wręczył formularz i katalog urzędnikowi obsługującemu kopiankę. Jeszcze jedna zwłoka w robocie, która i tak powoli się posuwa. Ponieważ w maleńkim pokoiku nie było krzeseł dla klientów, poszedł do czytelnicy czasopism. Ustawiono tam niskie, wygodne fotele, dla niektórych nawet zbyt wygodne, gdyż z drugiej strony stoją magazyny handlowe dochodził wyraźny odgłos chrapania, któremu od czasu do czasu towarzyszył szelest rozkładanej i składanej gazety.

Otworzył teczkę i rozłożył papiery na kolanach. Najpierw przejrzał notatki, które Diane wystukała dla niego na maszynie. Znalazł w nich suche fakty dotyczące życia i pracy Jennera — daty, adresy, wszystkie podstawowe

dane, na których Reynolds będzie mógł się oprzeć w dalszej pracy, a do tego dochodziła zdumiewająca ilość uniwersyteckich plotek. Wczesne etapy kariery akademickiej Jennera nie obfitowały w sukcesy, a jego życie prywatne to jedna wielka katastrofa: podczas gdy on pracował do późna w zwierzyńcu albo mozolił się na jakimś wykładzie, dwóch studentów geografii ze starszych lat oraz połowa zespołu szermierczego obrabiała jego żonę.

Ale przecież nie jednocześnie, pomyślał Reynolds i zabrał się do streszczenia pracy doktorskiej Jennera. Obserwacje dotyczące reakcji na systematyczne pobudzanie „caudae” u ssaków. Musiał trochę pogłówkować, nim wpadł na to, że „cauda” znaczy „ogon”, prawie od razu natomiast zorientował się, że Jenner do swych eksperymentów używał kotów. Nie wyjaśniono, skąd je brał.

Obiekt eksperymentu wykazywał niezwykłą nadpobudliwość, a ponieważ kurara nie była dostępna (ponadto jej użycie mogło zakłócić bieg doświadczenia), przyjęto bardziej tradycyjną metodę poskromienia zwierzęcia. Powieszona, ze ściśniętą nerką, nie stawiała już oporu, gdy unieruchamiało się je w uchwycie Pawłowa. Sztywnym, napuszczonym stylem Jenner opisywał następnie, jak obiektowi — pierwszemu z serii — pozwolono dojść do siebie nim założono mu wokół ogona ząbkowane płytki zaciskacza Kochera. Zastosowano miażdżenie w stopniu umiarkowanym i Jenner odnotował reakcje zwierzęcia na sporządzonej według własnego pomysłu skali, wzorowanej na Richtercze: głośny krzyk, spocone łapy, chrapliwy oddech. Idealnie byłoby pozostawić obiekt w uchwycie na noc, lecz ponieważ sprzęt potrzebny był drugiemu eksperymentatorowi, zwierzę usunięto. Następnego ranka nadpobudliwość powróciła i, by w przyszłości łatwiej było zwierzęciem manipulować, postanowiono zastosować rozwieranie pazurów metodą Walthera.

Do napuszonej rozprawy Jennera wkradł się ton pewnego zdumienia. Prawdopodobnie drugiego dnia spodziewał się gwałtowniejszej reakcji niż ta, która nastąpiła. Jenner zastanawiał się, czy nie stało się tak na skutek rozwierania pazurów bez znieczulenia i wysunął teorię, że dodatkowe źródło bólu mogło oderwać uwagę badanego obiektu od efektów miażdżenia ogona przy pobudzaniu caudae. Był pełen nadziei, że otwiera się nowe, obiecujące pole badań.

Skupiał się na tym pomysle przez następnych parę stron, lecz Reynolds wszystkiego już nie czytał. Jego uwagę zwróciły powtarzające się słowa i zwroty: wycięcie, ofiara, lekkie znieczulenie. Pojął ogólny ich sens.

Odbitki były już chyba gotowe, a on miał jeszcze coś do zrobienia.



Zielony Dwór był dużą, wygodną budowlą w stylu rustykalnym, zbyt obszerną i chaotycznie zaprojektowaną jak na dom, lecz za mało bezprezjonalną na rezydencję. Oddalony o dobre pół godziny od miasteczka uniwersyteckiego, stał na własnej parceli, na skraju pasa zieleni. Resztki otaczającego budynek ogrodu zostały przekazane wydziałowi botaniki. Wewnątrz znajdowało się dwanaście pokoi z wygodami oraz oddzielne mieszkanie przełożonej, pomalowane na delikatny kremowy kolor. Na podłodze położono grube słomiane maty, takie same jak we wszystkich pomieszczeniach przeznaczonych dla studentów.

Reynolds zdecydował, że skoroszyt i parę broszurek stanowią wystarczający kamuflaż — był początek semestru i po uczelni kręciło się mnóstwo obcych. O tej popołudniowej godzinie domostwo nie zdradzało oznak życia. Miejsce na parkingu zarezerwowane dla przełożonej było puste, a gdy Reynolds pewnym krokiem podszedł do wejścia, nikt go nie zatrzymał.

Był już kiedyś w tym domu. Pamiętał, że w jednym z pokoi na górze urządzono zabawę. Dawno temu, może nawet wtedy, gdy Liawski był tu przełożonym, lecz tego Reynolds nie mógł wiedzieć. Wszedł tylnym wejściem i znalazł się w wąskim przejściu, z którego prowadziły schody do kuchni.

Jedną z pierwszych czynności w trakcie odwiedzin w domach studenckich było przeprowadzenie w nich rekonesansu w celu znalezienia mrocznych pomieszczeń, w których można by się, w wiadomym celu, schronić — najwyżej cenione były takie, które miały zamek od wewnątrz. Reynolds mglście tylko pamiętał swój zwiad w Zielonym Dworze, lecz był przekonany, że znajdzie to, czego szuka.

Drzwi pod schodami wyglądały tak, jak je zapamiętał: niskie, ze skośną balustradą. Otworzył je, wszedł do środka i zapalił światło. Nieosłonięta żarówka rzucała słaby blask na schodki.

Piwnica składała się z czterech dużych, połączonych ze sobą pomieszczeń z otynkowanej na biało cegły. Do znajdującej się w głębi komórki, w której stał staroświecki bojler, prowadziły dwuskrzydłowe drzwi. Reszta piwnicy była mniej uczęszczana. Przechowywano tu kufry, walizki, duże, powyginane kartonowe pudła i połamane meble. Nagle wysiadły korki. Reynolds znalazł przy bojlerze latarkę elektryczną i ostrymi smugami światła omiół pierwszą z trzech komórek.

Wszystko było zakurzone, oblepione pajęczynami. Usiłował kilka z nich odgarnąć, lecz przywarły mu do palców, a pająk wędrował po kłykciach jego dłoni i zniknął mu w rękawie. Przez ponad minutę energicznie potrząsał ręką, lecz w migotliwym świetle nie mógł dostrzec, czy na pewno pozbył się tego paskudztwa.

W drugim pomieszczeniu, za wilgotnym stosem zapasowych matera-  
ców natrafił na to, co miał nadzieję znaleźć. Był to stary kufer, wzmocnio-  
ny na rogach stalowymi okuciami. Pokrywą miał zupełnie zniszczoną i  
zamki nie zachodziły na siebie, lecz skórzany pas trzymał to wszystko w  
całości. Z boku, ledwo widocznym, wyblakłym atramentem wypisane były  
inicjały H.P.L.

Reynolds odwrócił materace na bok. Nie chciał ich ruszać z miejsca,  
choć dzięki temu miałyby więcej przestrzeni, lecz hałas mógłby zwrócić  
uwagę gospodarza domu. Odpiął pas i uniósł pokrywę.

W kufrze znajdowały się, bezwartościowe dla osoby postronnej, pa-  
miątki rodzinne i osobiste drobiazgi. Były tu fotografie oprawione w rami-  
ki, związane wstążką paczuski z listami, nagrody i dyplomy. Nic, co mog-  
łoby trafić do archiwum albo nadawało się na sprzedaż. Zmagazynowano  
je tu na wypadek, gdyby pojawił się jakiś nieznany krewny i zażądał ich  
zwrotu. Porastając kurzem w piwnicy, z czasem zostały zapomniane.

Odsunął złożone tefilin\*, pod którym leżało pięć starannie związanych  
książek. Gdy podniósł pierwszą i przejrzał pokryte ręcznym pismem stro-  
ny, stwierdził, że trzyma w ręku osobisty pamiętnik Henryka Liawskiego,  
pobieżnie relacjonujący wydarzenia z lat 1952 — 1958. Odłożył go na bok i  
zajrzał do następnego zeszytu. Nie był w stanie zabrać ze sobą ich wszyst-  
kich, lecz dwa tomy obejmowały okres, w którym, wedle relacji Diane,  
pracował nad programem insulinowym. Przeglądając pobieżnie pierwszy z  
nich, dostrzegł nazwisko Jennera. Miał przed sobą to, czego szukał. Trzy  
pozostałe zeszyty schował z powrotem do kufra i położył materace na swo-  
im miejscu. Nie ma powodu, by ktokolwiek zainteresował się pamiętnika-  
mi, a jeśli Carson zechce je zobaczyć, dostanie się do nich bez kłopotu.

\* Tefilin - dwa skórzane pudełeczka zawierające zwitki pergaminowe z czterema cytata-  
mi z Biblii używane przez Żydów w czasie modłów.

Wychodząc z piwnicy nasłuchiwał chwilę, czy nie ma nikogo w pobliżu.  
Brudny i umorusany, niełatwo wytłumaczyłby swoją tu obecność, toteż  
poczuł się spokojniejszy dopiero wtedy, gdy wyszedł na zwirowany podjazd  
i oddalił się od budynku. Wrócił do miasteczka uniwersyteckiego, wziął  
darmowy prysznic w ośrodku dla sportowców i miał jeszcze trochę czasu,  
by przygotować się na spotkanie z Diane. Może uda mu się uszczknąć coś  
dla siebie z pieniędzy Carsona.

Wczesnym wieczorem kierownika hotelu w Langstone wezwał do recepcji dzwitek dzwonka. Czekał tu Forester, zmęczony i brudny. Koło kontuaru stała walizka, torba ze sprzętem rybackim i zielony, brezentowy pokrowiec na wędkę.

Siedem dni. Dobrze obliczył czas rezerwacji. Forester nie obawiał się braku wolnych miejsc, lecz tego, że jeśli Hennessy wyniesie się z doliny, po zakończeniu sezonu hotel w ogóle może zostać zamknięty. W okolicach pojezierza przemysł turystyczny usilnie starał się wykorzystać ostatnią szansę, lecz tu, w owym cichym, mało znanym zakątku, rządziły inne prawa. Do Langstone zima przychodzi wcześniej.

— Sam pan jest? — spytał kierownik, człapiąc wokół kontuaru, by podać Foresterowi klucz.

— Sam, przyjechałem na kilka dni, by przemyśleć parę spraw.

Kierownik skinął głową i wręczył mu klucz. — Da pan sobie radę z bagażem? — spytał. — Mogę zawołać Lesley.

— Niech się pan nie fatyguje — odparł Forester. — Wiem, gdzie mam się udać.

Kierownik patrzył na gościa ciężko wchodzącego po schodach. Cwaniaczek, nieźle to sobie zaplanował, pomyślał. Nie ma dziecka, które mogłoby uratować małżeństwo, więc wymyślił sobie te ryby. Kogo on chce nabrać?

Gdy Forester znalazł się w pokoju z oknem wychodzącym na drogę, zamknął za sobą drzwi, zaciągnął wszystkie zasłony i zajął się wędką, którą położył na łóżku. Upewniwszy się, że nikt go nie podejrzy ani mu nie przeszkodzi, odpiął klapę pokrowca i sięgnął do środka. Powoli i ostrożnie wyciągnął strzelbę steyr-mannlicher 308, którą kupił po południu za pieniądze ze sprzedaży samochodu. Posłużył się zezwoleniem na broń wydanym na nazwisko Iana Sampsona. Strzelba była używana, lecz w dobrym stanie. Z torby na przybory wędkarskie wyjął celownik optyczny i dwa pudełka nabojów, z których jedno było niepełne, gdyż ćwiczył celność w położonej na południe stąd opustoszałej dolinie. Pomalował farbą skałę i sprawdzając rozrzut broni, ustawił celownik, a potem spiłował niewygodny uchwyt mannlichera, zmieniając kształt oprawy na bardziej wojskowy, i okręcił go taśmą.

Naboje miały ołowiane pociski, do czego nie był przyzwyczajony, lecz tylko takich wolno było używać na polowaniu. Nie martwiło go to, gdyż po trafieniu w cel naboje takie rozrywają się w ciele ofiary dokładnie w taki sam sposób jak pocisk twardy, ścięty w niedozwolone dum-dum. Zamocował celownik i naładował broń.

W kącie przy oknie stała wysoka, ciężka szafa, z lustrem i małymi,

rzeźbionymi uchwytami z mosiądzu. Włożył mannlichera do środka, oparł o szafę i przekręcił klucz w drzwiach. Wieszaki uderzyły jeden o drugi i hałasowały jeszcze prawie minutę.

Forester rozglądał się po pokoju — podczas ostatniej, pośpiesznej wizyty nie interesowały go meble i wystrój wnętrza. Stały tu dwa małe krzesła, jedno twarde i jedno wyściełane, oraz komoda z ozdóbkami, które nie harmonizowały z okuciami szafy. Cienki, metalowy kosz na śmieci umieszczono obok nowoczesnego stolika nocnego z laminowanym blatem. Umywalka była kanciasta, staroświecka, emaliowana na biało, nad nią wisiało ruchome lustro. Forester zapalił świetlówkę i usiłował tak ustawić lustro, by mógł się w nim przejrzeć, lecz ciągle się przekrzywiało, póki nie odkrył, jak zacisnąć chromowaną, sześciokątną nakrętkę na zawiasie.

Jego twarz wyglądała jak straszna maska ze święta Halloween. Oczy miał przekrwione, skórę szaro-woskową, w głębokich bruzdach na twarzy sterczały kępki zarostu, gdyż nie zdołał porządnie się ogolić. Wiedział, że choć jedną noc musi się dobrze wyspać, nie marznąc zgięty na tylnym siedzeniu samochodu. Zostawił okno lekko uchylone w nadziei, że obudzi się słysząc najmniejszy hałas.

Uniósł zasłony i spojrział na drogę. Panowała niemal całkowita ciemność. Tylko w budynku szkolnym paliło się światelko.

**19.** W środę, wczesnym popołudniem, zadzwonił telefon. Carson natychmiast go odebrał. Ale znowu nie była to Alison.

— Carson? — zapytał David Reynolds, gdy aparat połknął monetę i głos rozmówcy odezwał się znowu. — Carson, jest pan sam?

Dopiero po chwili Carson rozpoznał głos dokumentalisty — przedtem słyszał go tylko raz i odparł: — Owszem, jestem sam. Dlaczego pan pyta?

— Są kłopoty.

— A o co chodzi?

— Ta pana sprawa jest śmierzcząca. Nie wiem dokładnie o co chodzi, ale jak dziś rano przyszedłem do agencji, była wymieciona do czysta.

Carson zmarszczył brwi. — Nie rozumiem.

— Wywrócona do góry nogami, splądrowana. Poszli na całość, przy drzwiach stała furgonetka, na którą ładowali teczki, umowy, dokumenty, wszystko.

— Policja? — spytał Carson, czując, jak narasta w nim lęk.

— Nie zatrzymywałem się, żeby sprawdzić. Głowę dam, że chodzi o tę historię z Jennerem.

— Chwileczkę. — W ten sposób obaj się będą tylko podniecali, co nie sprzyja logicznemu myśleniu. — Gdzie pan teraz jest?

— W Euston. Chcę wykorzystać swój bilet powrotny, jak tylko się z panem zobaczę.

— Ma pan coś na Jennera?

— Mam, jak najbardziej, i chciałbym się tego jak najszybciej pozbyć. Będzie to pana kosztowało cztery setki.

Carson zawahał się. Nie znał Reynoldsa, a to pachniało szantażem. Kuśiło go, by odłożyć słuchawkę, wykręcić numer agencji i sprawdzić faceta, ale coś go powstrzymywało. W głosie dokumentalisty brzmiała autentyczna, przekonująca panika. — Tyle miała kosztować całość — rzekł ostrożnie Carson.

— To, co tu mam, jest tyle warte. Nawet więcej, ale nie zamierzam tu sterczeć i się targować. Zapłaci pan gotówką.

— Zazwyczaj załatwiam to za pośrednictwem agencji.

— Agencji już nie ma, a ja potrzebuję pieniędzy. Banki zamykają za godzinę.

— Mam przyjechać na stację?

— Broń Boże — powiedział szybko Reynolds. — Wszędzie są kamery. Może gdzieś w pobliżu.

Co było blisko Euston? Nic. Regent's Park?

— Mieliby nas jak na dłoni.

— Na miłość boską...

— Zdaje się, że nie ma pan pojęcia, jaka to wredna sprawa — ostrzegł Reynolds.

— Prosiłem o biografię zmarłego uczonego, nie o spis wyrzutni rakietowych.

— Lepiej niech pan nie żartuje.

— Nie ułatwia mi pan sprawy.

— Nie mam zamiaru rozmawiać o tym przez telefon. W ogóle nie mam zamiaru o tym opowiadać. Dostanę cztery setki i przekazuję to, co znalazłem. Nie obchodzi mnie, co pan z tym później zrobi.

— A jeśli uznam, że informacje nie są warte tej forsy?

— Pozwie mnie pan do sądu.

Nie chodziło tu o pieniądze — bez czterystu dolarów nie zbiednieje — lecz obawiał się, że facet wystrychnie go na dudka i wyjdzie na idiotę. Miał jednak wrażenie, że panika Reynoldsa jest autentyczna, rzekł więc: — W porządku. Jeśli na stacji jest panu za ciasno, a w parku ma pan za dużo przestrzeni, to gdzie się spotkamy?

— Gdzieś, gdzie będę widział, że nie ma pan ogona.

— A może w zoo?

— Nie, tam jest zbyt... — Reynolds zorientował się, że w ten sposób do niczego nie dojdą, powiedział więc: — Dobrze. W porządku. Zna pan pawilony Sobella?

— Nie.

— Znajdzie je pan, kupi pan mapę czy coś w tym rodzaju. Ogród jest w środku. Ujdzie od biedy.

Reynolds odłożył słuchawkę.

Carson przybył do zoo godzinę później i kupił w kiosku plan ogrodu. Dzień był ponury, zwierzęta również; wokół snuła się zaledwie garstka zwiedzających.

Carson przeszedł koło wybiegu dla lwów i skierował się w stronę szerokiej alejki w centrum zoo. Dwa zwinne, bursztynowe rysie nie zwracały uwagi na turystów i wpatrywały się przez siatkę ogrodzenia w spacerujące po przeciwnej stronie pawie jakby kontrolując ich ruchy.

Ogród był nowoczesny, zadbane i starannie zaprojektowany. Carson zwiedzał go już przedtem, lecz nie czuł się dobrze w miejscu, które już w swych założeniach było tak wiktoriańskie. Ta kwintesencja poczucia wyższości, aprobująca teorię Darwina o tyle, o ile da mu się wytknąć błędy, przetasowując królestwo zwierząt na podobieństwo tabeli ligowej, w której człowiek znajduje się wysoko na czele, niemal ocierając się o Boga. Dzieci śmiały się ze zwierząt, kołyszących się autystycznie lub wpadających w gniew; owe stworzenia, przyzwyczajone do przebywania codziennie wielkich przestrzeni, teraz musiały szukać zdobyczy i krążyć w obrębie zaledwie kilku mil.

Był świadom, że dzisiejsze ogrody zoologiczne niewiele mają wspólnego z dziewiętnastowiecznymi ideałami, choć nie dałby głowy za niektórych zwiedzających. Ponad sto lat nieprzerwanej niewoli stworzyło nowy gatunek zwierząt, otępiałych, nieposiadających już instynktów swoich żyjących na swobodzie braci. Doceniał to, że ogród zoologiczny może stanowić ostatnie schronienie i daje szansę na przeżycie zagrożonego gatunku, lecz wiedza ta nie zmieniała jego poglądów; prócz schroniska dla psów, w którym kiedyś kupiono mu chorego szczeniaka, było to jedno z najsmutniejszych znanych mu miejsc. Zaczynał teraz żałować, że właśnie tu umówił się z Reynoldsem. Pawilony Sobella stanowiły szereg ogrodzonych drutem zagród, mających sprawiać wrażenie wolności i przestrzeni. Połączone były ze zbudowanymi z cegły pomieszczeniami o szklanych ścianach, w których mieszkwały małpy. Od biedy ujdzie, skwitował to Carson. Zatrzymał się przed rzędem pustych ławek otoczonych cieplarnianymi roślinami. Był to prawdopodobnie „teren ogrodowy”. Dozorca w luźnym zielonym

mundurze i gumowcach przeszedł obok niego, niosąc olbrzymią szczotkę i kubeł. Nikogo więcej nie było.

Reynolds przybył parę minut później. Przymuszczałnie skądś go obserwował. Wyglądał mizernie i rzucał wokół niespokojne spojrzenia, jakby obawiał się pościgu. Trzymał paczuszkę owiniętą w brązowy papier.

— Ma pan forszę? — zapytał. W przeciwległym końcu pawilonu zakrzeczał pawian.

— Najpierw chciałbym obejrzeć towar — odparł Carson.

Reynolds poczuł się urażony. — Nie zamierzam pana naciągnąć.

— Tego nie powiedziałem.

— Proszę — mówił dalej Reynolds — niech mnie pan już nie wrabia w dalsze historie.

— Nie ma pan pewności, że właśnie z tego powodu zdemolowano agencję. To są tylko pańskie przypuszczenia. A może wywalam forszę na makulaturę.

— Nie — odparł Reynolds obracając paczkę w rękach, jakby parzyła mu palce. Za pozorami pewności siebie czaiła się rozpacz. — Tego właśnie pan szukał, a jeszcze jest coś ekstra.

— O tym ja będę decydował.

— W porządku — wybuchnął Reynolds — możesz pan sobie wsadzić tę cholerną forszę. Ale paczki panu nie oddam!

Carson ze zdumieniem spostrzegł lży bezsilnego gniewu w kącikach jego oczu. Po chwili sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął grubą koperkę. — Cztery stowy — powiedział. — W dziesiątkach.

Reynolds mrugnął i potarł nos wierzchem dłoni. — I jeszcze za bilet.

— Co?

— Za bilet, musiałem tu dojechać.

No cóż, w końcu był to pomysł Carsona. Wyjął portfel, Reynolds zaś dał mu paczkę. Wydawał się zadowolony, że się jej pozbył.

— Powodzenia — powiedział. — Będzie panu potrzebne.

— A co ja kupiłem?

— Dzienniki profesora Liawskiego, od roku 1978 do 1983. A jeśli ktoś kiedyś będzie mnie o to pytał, wiem tylko tyle.

— Kto to jest profesor Liawski?

Reynolds stanowczo pokręcił głową. — Dostał pan to, czego chciał. Proszę za mną nie iść.

Cofał się, uważnie patrząc dokoła. Carson zdążył jeszcze zapytać: — A dokąd pan idzie?

Wzruszył ramionami. — Gdzieś, gdzie jest tanio i bezpiecznie. — Po czym, rzucając ostatnie spojrzenie na boki, odwrócił się i pomaszerował ku głównej bramie.

W metrze Carson odwinął skrawek brązowego papieru. Nadeszła godzina szczytu. Został wciśnięty w róg wagonu przez rodzinę szwedzkich turystów, którzy głośno rozmawiali przedziwnym językiem bez spółgłosek i bezustannie podawali sobie mapy oraz przewodniki, on zaś znajdował się w centrum tej wymiany, nie było więc mowy, by mógł zerknąć do dzienników bądź kilku złożonych arkuszy papieru, które między nie wetknięto. Za Szwedami falowało bezosobowe morze głów, kapeluszy, pism i pięści kurczowo zaciśniętych na uchwytych.

Zwiększono częstotliwość kursowania pociągów, lecz gęstniejący tłum wypełniał tunele i ruchome schody na głównych stacjach. Gdy Carson wynurzył się z metra, zapadał już zmrok. Niektóre światła uliczne rzucały jeszcze czerwony blask, lecz większość lamp promieniała żółtą, sodową poświatą. Szczyt wieczornego ruchu już się przetoczył.

Przyzwyczajenie na moment wzięło górę nad ciekawością, bowiem gdy znalazł się przed domem, sprawdził najpierw, czy nie uszkodzono mu mercedesa. Jak powiedział Alison, opluwanie samochodu i niszczenie lakieru było na porządku dziennym, lecz dochodziło do tego głównie na ulicach. Tutaj, na asfaltowym podjeździe, podobne wybryki zdarzały się dużo rzadziej. Carson przypuszczał, że prócz odstraszającego światła z przedsionka, jakaś niewidoczna linia demarkacyjna zatrzymuje wandalę na chodniku; tam było ich terytorium, tutaj — jego. Może bali się jakiejś przykrew niespodzianki, którą krył dla nich w zanadrzu? Samochód był nietknięty.

Otwarcie drzwi jedną ręką poszło mu dość łatwo, ale zapalenie światła w hallu nie było już takie proste. Nie sięgał łokciem do przełącznika, dał więc sobie z tym spokój. Dość światła będzie dochodzić do środka z ulicy, nim drzwi zamkną się z wolna dzięki działaniu amortyzatora, w każdym razie wystarczająco, by dojść do własnego mieszkania i otworzyć zamek. Nie zdążył nawet wygrzebać klucza z kieszeni zanim drzwi zamknęły się, pogrążając go w ciemności.

Nie było jednak zupełnie ciemno. Spod jego drzwi padała promienna smuga.

Nie przypominał sobie, by zostawił zapalone światło. Gdy po podłodze przesunął się cień, był już pewny, że to nie jego sprawka.

Zaczął się wycofywać, a paczka pieczołliwie przesunęła mu się wzdłuż boku. To przeze mnie — powiedziała. To wszystko przeze mnie.

Ktokolwiek był w mieszkaniu, musiał usłyszeć stłumiony szcęk zamykanych drzwi i poszedł do sypialni, by wyjrzeć przez okno.

Carson dotarł do schodów na końcu hallu i po omacku posuwał się dalej, obcasem starając się trafić na pierwszy stopień i krzywiąc się, gdy



schodek zatrzeszczał pod jego ciężarem. Z małego okienka na półpiętrze padała słaba poświata, niestety zbyt nikła, by rozjaśnić ciemny korytarz; pas światła pod jego drzwiami był wyraźny, jaskrawy, nie pozostawiający wątpliwości.

Czuł, jak niemal parzy mu plecy, gdy odwróciwszy się zaczął ostrożnie schodzić z piętra. Chyba jedyne schody, które nie skrzypią, to te grube na cał stopnie w budynkach użyteczności publicznej. W domach mieszkalnych schody, podobnie jak kanalizacja, czerpały wielką przyjemność z komunikowania całemu światu, co człowiek właśnie robi. Szedł teraz po krawędzi dywanu, toteż hałas stał się prawie niesłyszalny. Oszukujesz — dobiegł go stłumiony wyrzut za drzwiami.

Na następnym podeście usłyszał głos telewizora dochodzący z piętra wyżej. Na samej górze znajdowało się mieszkanie z jedną sypialnią; niegdyś były tam pomieszczenia dla służby, ciasno rozlokowane, gdyż dom zwęzał się w kierunku dachu. Mieszkanko to wykupiła pielęgniarka w średnim wieku, która musiała sprzedać samochód, by wpłacić zadek. Przez pierwszych parę tygodni obywatela się bez dywanów i dopiero po roku zmieniła stare, przykrótkie firanki. Carson lubił ją, gdyż zachowywała się życzliwie, nie będąc jednocześnie wścibska, co jest warunkiem dobrego sąsiedztwa. Przez chwilę kusilo go, by wejść wyżej, zastukać do jej drzwi i zwierzyć się ze swoich problemów, ale co to da? Zyskałby tylko niepotrzebego świadka.

Przystanął przy drzwiach mieszkania znajdującego się tuż nad jego własnym. Nie było wynajęte. Klucz wisiał na framudze, gdzie zostawił go leniwy agent, był jednym z wielu yale przymocowanych do dużego kartonika. Otworzył drzwi, uważając, by klucz nie zgrzytnął zbyt głośno, i wszedł do środka.

Puste, zimne pokoje pachniały kurzem i klejem. Ponieważ firma budowlana przerabiająca mieszkanie zburzyła większość wewnętrznych ścianek, kształt i rozkład pokoi był zupełnie inny niż piętro niżej. Tylko salonik z małym tarasem i widokiem na rzekę również znajdował się w głębi mieszkania. Carson przemykał się pod ścianami i starał się jak najciszej stąpać po gołych deskach podłogi. Klucze do wykuszowych okien tkwiły w zamkach.

Z tarasu zerknął w dół na własne, wyłożone terakotą patio, znajdujące się jakieś dwanaście stóp pod nim. Miał rację mówiąc Alison, że nikt go nie podgląda, gdyż stąd mógł dostrzec jedynie wąski skrawek swojego salonu, lecz gdy stanął na czworakach i wychylił się przez pręty balkonu, kąt widzenia znacznie się zwiększył. Ujrzał niemal połowę pokoju.

Alison siedziała w fotelu, wpatrując się w przestrzeń. Stojący obok niej

mężczyzna w ciemnym płaszczu i rękawiczkach najwyraźniej rozmawiał z kimś, kogo Carson nie mógł dostrzec. Mężczyzna odwrócił się nieznacznie i powiedział coś do dziewczyny, która powoli przecząco pokręciła głową.

Przyjęta, czy zakładniczka? Carson nie mógł się zdecydować. Podniósł się i wrócił do pustego mieszkania.

Chcąc otworzyć drzwi prowadzące na podest rozejrzał się w poszukiwaniu podpórki czy jakiegoś klina i wówczas przypomniał sobie o paczce, którą hołubił od wyjścia z zoo.

Mając obmyśloną trasę odwrotu, Carson ponownie przemknął się na schody i przygotował do drobnej prowokacji. Nie zapalając światła otworzył duże, frontowe drzwi i wychylił się na zewnątrz. Przy drugim dzwonku od góry widniało jego nazwisko. Nacisnął go dwukrotnie, usłyszał brzęczenie w głębi domu, po czym dał nura z powrotem do hallu obok własnych drzwi.

Gdy Carson szedł po schodach, światło w pokoju musiało gwałtownie zgasnąć, kiedy się bowiem odwrócił na półpiętrze i skulił za barierką, jedyna jasna poświata w hallu dochodziła z przedśionka; jej blask gasł stopniowo w miarę jak drzwi powoli zamykał automat.

Głośnik przy liście lokatorów zatrzeszczał, gdy podniesiono słuchawkę domofonu. Po chwili oczekiwania usłyszał dochodzący z daleka głos Alison, zbyt zniekształcony, by zrozumieć co mówi. Głośnik parokrotnie jeszcze zazgrzytał, lecz gdy pół minuty upłynęło bez odpowiedzi, słuchawkę telefonu odłożono.

Następnie z jego mieszkania dobiegł stłumiony brzęk metalu oraz skrzyp drewna — znak, że otwierały się drzwi. W ciemności zamigotała biała plamka, a niżej — laserowy promień małej latarki. Snop światła zatańczył po hallu.

Zewnętrzne drzwi zamknęły się z głuchym hukiem, stawiający dotąd opór zamek wskoczył na miejsce. Ostre światelko zawirowało dookoła, przemierzyło schody i strzeliło prosto w oczy Carsona.

Świat wybuchnął w migocących, błękitnych kregach, gdy tęczówki gwałtownie skurczyły się jak główka szpilki, a źrenicami wstrząsnął szok, jaki przeżywać musi nurek, który wskoczył w wody Morza Karaibskiego i stwierdził, że są lodowate jak śnieżna bryja Arkyty. Carson wstał po omacku. Szli po niego.

Oślepiiony piął się po schodach, jeden stopień, drugi, trzeci. Gdy doszedł do otwartych drzwi, nogą popchnął paczkę do pokoju i obróciwszy się, zamknął je błyskawicznie. Dwaj mężczyźni stali na szczycie schodów, na tyle blisko, że któryś mógł mu przeszkodzić, lecz wówczas drzwi zmiażdżyłyby mu palce. Zatrzasnęły się tak głośno, że huknęło w całym domu.

Carson zasunął rygiel, na wypadek gdyby któremuś przyszło do głowy posłużyć się wytrychem. Drzwi zaskrzypiały głucho, gdy obaj napastnicy oparli się o nie całym ciężarem swych ciał.

Włamać się? Ani im to było w głowie. Po pięciu, sześciu sekundach deski zdrząły pod ciężkimi kopniakami.

Carson przetaił oczy i zamrugał powiekami. Zaczynał już widzieć, ale jakoś wybiórczo, jakby patrzył na świat przez dziurkę od klucza. Obracał głową z boku na bok, usiłując wśród zamazanych kształtów odnaleźć owiniętą brązowym papierem paczkę.

Drzwi są solidne, jakiś czas wytrzymają. Nie miał złudzeń co do zamków i zawiasów. Po sześciu czy siedmiu kopnięciach deski zaczęły się rozłupywać i wyginać do wewnątrz. Mężczyźni po drugiej stronie przeprowadzali swą operację w milczeniu.

Carson miał nadzieję, że nie było ich więcej niż dwóch. Na listwie podłogowej przy przeciwległej ścianie wypatrzył nagle mroczny zarys, kształtem przypominający książkę. Sięgnął po małą, solidnie opakowaną paczuszkę. Jeśli tylko dwóch mężczyzn trzymało Alison w pokoju, musieli zostawić ją bez straży i teraz będzie mogła się wymknąć.

Drzwi znowu wygięły się do środka. Carson wsunął dzienniki pod pachę i przeszedł do pustego saloniku. Jeśli po schodach szło za nim dwóch facetów, a jeden kopniakiem właśnie usiłował dostać się do mieszkania, co robił drugi?

Oszklone okna nadal były uchylone na parę cali. Carson wyszedł na taras i znowu wyjrzał przez barierkę. Przedtem też nie sądził, że ucieczka będzie łatwą sprawą, lecz teraz wydawała mu się niemożliwa. Wyciągnął paczkę i zrzucił na dół, a zawiniątko zdążyło leniwie się obrócić w powietrzu, nim z solidnym plaśnięciem wylądowało na tarasie niżej i potoczyło ku barierce. Ześliznęło się i zatrzymało tuż na krawędzi. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i uderzyły o ścianę.

To chyba był najlepszy sposób, pomyślał, nie ma czasu, by zastanawiać się, panikować i robić w portki ze strachu. Przesadził barierkę.

Złożył sobie życzenia złamania karku i dokonał samobójczego skoku z trzydziestu stóp wysokości. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że tak właśnie będzie, że za mocno się odbił i z impetem spadnie na szkaradne ogrodowe meble w podwórku suterenu.

Dwanaście stóp. Skacząc z wysokości czterech czy pięciu można paskudnie poharatać nogi, a jeśli się źle wyląduje, flaki wywracają się na drugą stronę w natychmiastowym ataku dyzenterii. Przy skoku z sześciu czy siedmiu stóp efekt jest taki sam, a przy odrobinie szczęścia zostaje się z bólem w kroczu i nadwreżonymi stawami. Żałował, że nie zawisł na barierce, zmniejszając w ten sposób odległość do tarasu, lecz zabrałoby to

parę sekund, a tropiący go facet był już w pokoju. Rąbnął o ziemię.

Zupełnie przypadkiem miał ugięte nogi, był to szczęśliwy traf, gdyż zamortyzowały uderzenie, dzięki czemu nie rozwalili tyłka na terakocie. Kręgosłup nie doznał uszczerbku, lecz kolana wbiły mu się w klatkę piersiową, toteż upadł na bok, obcierając sobie łokieć i mocno uderzając się w głowę.

Nadal był w jednym kawałku. Spróbował wstać, ale przewrócił się.

Wszystkie kości były całe, choć nogi wyginały mu się w kostkach — po prostu mięśnie nie chciały napiąć się na tyle, żeby go utrzymać. Uchwycił się ściany, by złapać równowagę, i zakreśliło mu się w głowie.

Jeden z mężczyzn znowu pojawił się w pokoju. Drugi przechodził właśnie przez żelazną barierkę tarasu, na tle nocnego nieba rysował się ciemny, niewyraźny kształt jego sylwetki.

Człowiek w mieszkaniu sięgnął do kieszeni marynarki. Wyciągnął broń.

Carson spróbował jeszcze raz i zdołał wstać przytrzymując się barierki. Nogi pod nim drżały i czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, lecz utrzymywał pionową pozycję. Mężczyzna w oświetlonym pokoju, od którego dzieliły go tylko szklane drzwi tarasu, trzymał w dłoniach błękitnoczarny, olbrzymi pistolet automatyczny. Carson nie był pewien, czy widział już przedtem tego człowieka, rysy jego twarzy bowiem zlewały mu się przed oczami.

Alison nie było w pokoju.

Sprawdził, czy okna od tarasu są zamknięte, i zastanawiał się, gdzie może znajdować się klucz. Zapomniał zamknąć rygiel.

I tak były to rozważania czysto teoretyczne, gdyż mężczyzna chwycił automat i kolbą wybił szybę. Carson odskoczył w momencie, gdy fontanny szkła rozbryzgiwały się tuż koło niego. Przez moment poczuł, że coś miękkiego spadło mu na stopę, potoczyło się na skraj tarasu i zniknęło w ciemności. Były to pamiątki Liawskiego.

Mężczyzna w pokoju cofnął rękę i strzepnął z rękawa odłamki szkła, po czym wymierzył broń, znowu gotową do strzału. Carson nie miał się gdzie ukryć, a widział, że drugi napastnik szykuje się do skoku.

Podjął próbę wydostania się z pułapki. Przesadził barierkę, dziwiąc się, że spada tak długo, a potem przedzierał się przez derenie i kolczaste krzewy, aż potknął się i potoczył pod nogi ogrodowego krzesła, z którego sterczały jakieś ozdóbki.

Dwanaście stóp wyżej rozległo się tępe uderzenie, odgłos poślizgu i skowyt bólu. Spadający mężczyzna nadział się na żelazną barierkę, a szklany pył migotliwą smugą opadł na podwórze.

Carson zaczął rozglądać się w poszukiwaniu paczki. W mieszkaniu w suterenie było ciemno, a z góry padały jedynie blade promienie światła; toteż, szukając po omacku, wpadał na nogi stołu i krzesel, a parę razy uderzył się mocno w głowę. Gdy przewrócił jedno z krzesel, usłyszał szelest ześlizgującego się papieru i wyciągnął w tym kierunku rękę.

Mężczyzna na tarasie jęczał. Był to rozdzierający, nieludzki skowyt. Po ceglanych schodach Carson zbiegł do drewnianych, bocznych drzwi podwórza, otworzył je i wypadł na wąską alejkę z boku domu. Światła i dobiegający z ulicy hałas były dla niego namiastką wolności. Gdy przemykał się koło pojemników na śmieci, grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków do mercedesa.

Na podjeździe otworzył samochód i cisnąwszy dzienniki na boczny fotel, wsunął się za kierownicę. Przy pierwszej próbie zapalenia zbyt mocno nacisnął pedał gazu i o mały włos nie zalał silnika. Ponownie włączając zapłon, zerknął do lusterka. Frontowe drzwi domu otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna z bronią.

Gdy tylko silnik zapalił, Carson natychmiast ruszył. Zobaczył, że mężczyzna przystanął, podniósł broń i rozstawił nogi, żeby zmniejszyć siłę odrzutu. Carson nie tracił czasu na podziwianie jego kunsztu.

Nacisnął pedał gazu tak mocno, że przez jedną straszliwą chwilę koła ślizgały się po asfalcie, a samochód ani drgnął. Potem mercedes ruszył nagle i nieodmknięte drzwi od strony kierowcy otworzyły się, waląc w kamienny słup przy podjeździe. Uderzenie było tak silne, że na słupie zostało nieco lakieru i kawałek listwy drzwiowej, Carson zdołał jednak wyjechać tyłem na drogę. Za nim na jezdnię wybiegł mężczyzna, lecz był już zbyt daleko, by strzelanie miało jakiś sens. Carson widział, jak zwalnia i przystaje, z bronią zwisającą u boku — ciemna sylwetka z białą, pozbawioną rysów płamą w miejsce twarzy. Carson włączył światła.

Żółte, metalowe pudełko, zamocowane przy drzwiach sklepu warzywnego skojarzyło się Lee Sorvino z jego synkiem. Było małe, robiło mnóstwo hałasu i nie bardzo wiedział, jak je uciszyć.

Sorvino ponownie szarpnął za składaną barierkę blokującą wejście, lecz nie ustępowała. Alarm przeciwwłamaniowy ryczał jak pijak w parku w niedzielne popołudnie. Gdy mężczyzna spojrział na skrzynekę, z której dochodziły wibrujące dźwięki, odczuł chętkę, by wyłączyć ją za pomocą kawałka cegły, lecz nie było to zgodne z regulaminem, który nakazywał, by policjant nie naruszał własności prywatnej, jeśli ma pewność, że w jej obrębie nie znajduje się przestępca ani nie dokonano włamania. Będą próbowali

odnaleźć właściciela, powiadomią go o sprawie i na tym się skończy. Póki się nie zjawi, mieszkający w pobliżu nieszczęśnicy muszą zatkać uszy palcami.

Zza rogu wyłonił się Lenny Campion. W jednej dłoni trzymał latarkę, drugą otrząpywał z kurzu przód munduru.

— Nikogo tam nie ma — oznajmił. — Pewnie się włącza, gdy kot szczą na ziemniaki.

Od głośnego dzwonięcia Sorvino zaczynała już boleć głowa. Odeszli od sklepu i ruszyli szerokim, pochyłym chodnikiem w stronę migającego światłami samochodu patrolowego, zaparkowanego dwoma kołami na jezdni. Lenny Campion wsiadł, a Sorvino obszedł dużego, służbowego forda. Wozy zdążające na południe zwalniały i niewiele brakowało, a doszłoby do kraksy, gdyż kierowcy gapili się w nadziei ujrzenia jakiejś efektownej rzezi, po czym odjeżdżali rozczarowani.

W samochodzie było znacznie ciszej. Sorvino rozmasowywał napięty mięsień na skroni, który czasami nabrzmiwał i pulsował krwią, jakby lada chwila miał pęknąć. To pewnie z powodu zimna i jaskrawych światel w ciemności. O tej porze roku najgorsze były nocne zmiany. Może powinien posłuchać rady Lenny'ego Campiona i zbadać wzrok.

Campion zdjął mikrofon z wielokanałowego radia pod tablicą rozdzielczą, lecz się nie odezwał, pierwszeństwo miało wezwanie z bazy, toteż zastrygł z mikrofonem na kolanach i spiralnie zwiniętym, luźno zwisającym przewodem. Sorvino po raz ostatni mocno zacisnęła powieki i słuchał komunikatu.

Dotyczył on srebrzystoszarego mercedesa z uszkodzonymi bocznymi drzwiami. Przynajmniej coś, co łatwo da się wypatrzyć. Monotonny, znużony głos z centrali informował: Ostatni raz widziano go, jak o godzinie dziewiętnastej dwadzieścia przejeżdżał przez Kew Bridge Road w kierunku północnym. Należy zatrzymać i aresztować kierowcę, który chyba nie jest uzbrojony, ale może stawiać opór.

— To niedaleko stąd — odezwał się Sorvino.

— Mercedes z rozwalonymi drzwiami. Chyba dużo ich się tu nie kręci.

Sorvino nie mógłby wymyślić lepszego pretekstu, by uciec od wibrującego mu w mózgu dzwonka alarmu. — Nie mamy co tu sterczeć. Pokręmy się po okolicy, to może go przyskrzynimy — powiedział.

Campion milczał przez chwilę. Sorvino zerknął na swego partnera i zobaczył, że ten, obrócony na siedzeniu, wpatruje się w tylną szybę. — Jezu, Lenny — odezwał się w końcu — popatrz no tylko!

Sorvino gwałtownie podskoczył na fotelu i spojrział w tę samą stronę.

Uchwycił sylwetkę szarego mercedesa, znikającego po przeciwnej stronie jezdni. Samochód poruszał się wolno. Drzwi od strony kierowcy były nieomknięte, a w poprzek nich biegła głęboka rysa.

Będzie duży ubaw, ze światłami i syreną — migrena Sorvino zniknęła bez śladu. Ruszyli jak burza i samochody z tyłu musiały przysiąść na ruchach wydechowych, by zrobić miejsce dla dużego forda, który z piskiem opon gnał ku następnemu skrzyżowaniu, przewracając środkową barierkę na jezdni.

Jadące w pobliżu pojazdy przepuściły Sorvino na pas szybkiego ruchu. Lenny Campion podniósł mikrofon do ust, by złożyć raport.

— Lemur Sierra November do bazy — powiedział — jedziemy za zgłoszonym mercedesem na północ wzdłuż Hanger Lane.

— Przyjęto, Lemur Sierra November, macie potwierdzenie numeru rejestracyjnego?

— Kolor i uszkodzenia zgadzają się. Nie widzieliśmy tablicy.

Znajdowali się niecałe sto jardów przed skrzyżowaniem. Paliło się czerwone światło i wszystkie trzy pasy były zablokowane. Strumień samochodów zatrzymał się na dźwięk policyjnej syreny i teraz kierowcy, pasażerowie oraz niewielka garstka pieszych rozglądali się niepewnie na boki. Sorvino włączył wszystkie światła ostrzegawcze z wyjątkiem lampy na dachu, a teraz użył i jej, gdyż musiał zwolnić z powodu blokady

Na pasie szybkiego ruchu znajdowały się dwa wozy. Błysnęły do siebie światłami i oba zjechały z drogi. Sorvino wcisnął się w wolną przestrzeń i na czerwonym świetle wykręcił o 180 stopni.

Dokonał tego zbyt szybko i Lenny Campion nerwowo przytrzymał się wyściełanej tablicy rozdzielczej, gdy samochód przechylił się w bok, niemal pękając na pół. Opony zapiszczały, kuczowo przywierając do jezdni i cały samochód wił się przez moment jak piskorz, po czym gwałtownie zawrócił.

Sorvino wyłączył syrenę, lecz zostawił migacz. Wyła jeszcze parę sekund, gdy podjeżdżali do następnych światel, a potem znowu ucichła. Lenny Campion ścisnął bakelitowy mikrofon tak mocno, że zabolęła go ręka.

Przejechali jeszcze spory kawałek pustą szosą, nim mercedes pojawił się znowu. Kosztowna, szykowna zabawka. Musi być z niego niezły drań, pomyślał Campion.

Samochód nie wyrwał nagle do przodu, nie rzucił się do ucieczki. Zrównali się z nim i młody kierowca znalazł się niemal na wyciągnięcie ręki Lenny'ego. Właściciel mercedesa spojrzął w ich stronę, sprawiając wrażenie zaledwie lekko zdumionego. Campion dwukrotnie dźgnął palcem

powietrze, raz w kierunku Carsona, a następnie pobocza, po czym Sorvino ustawił forda w poprzek jezdni, tuż przed maską mercedesa, i zmusił go do zjechania na bok.

Spoglądając to na kierowcę, to na szykowną limuzynę, Campion nie miał wątpliwości, że chodzi tu albo o narkotyki, albo o pornografię, może gdzieś zrobiono obławę i jedna rybka wymknęła się z sieci.

Obaj policjanci wysiedli z samochodu. Szosa była pusta. Na środku i po obu jej stronach stały odrapane, szare barierki. Mercedes, znajdujący się jakieś pięćdziesiąt jardów za nimi, już prawie hamował. Zaczęli się cofać, idąc poboczem, zadowoleni z siebie, lecz nadal czujni.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Campion. Koła wozu ciągle się obracały, ale kierowcy w nim nie było.

Lenny Campion podbiegł do mercedesa, a Sorvino został z tyłu, gotów rzucić się na maskę samochodu, by utrudnić ewentualną ucieczkę. Campion podszedł do wozu i zajrzał do środka. Był pusty, a automatyczna skrzynia biegów nastawiona na jazdę, dzięki czemu samochód wolno toczył się do przodu. Uszkodzone drzwi były uchylone na parę cali. Policjant popatrzył na drogę, ale nikogo nie dostrzegł, nie wiadomo, w którym miejscu podejrzany przeskoczył barierkę.

Zerknął za siebie, by porozumieć się wzrokiem z Sorvino, który nadal czekał w niepewności.

— Zmył się — stwierdził Campion z niedowierzaniem.

Większość żarówek w podziemnym przejściu była potłuczona, a skrawki białych i zielonych kafelków pokrywały liczne napisy wymalowane sprayem: „Hendrix” albo „Czy bojówki pedałów są zniewieściałe?” Carson przebrnął przez stosy gazet walających się po chodniku, ominął zatkaną studzienkę odpływową i po betonowych schodkach wyszedł w noc.

W oddali na jezdni ujrzał jakąś dramatyczną scenę z udziałem dwóch jasno oświetlonych samochodów, lecz nie przystanął, by się temu przyrzec. Nadal trzymając mocno zniszczoną paczuszkę pod pachą, zaczął się cofać w kierunku centrum.

Gdy doszedł do stacji metra, kupił bilet, nie zastanawiając się nawet, dokąd chce pojechać. W pociągu przynajmniej czuł się bezpieczny. Kusila go myśl, by spędzić tu resztę życia, od czasu do czasu tylko ujawniając się, by dać nura w puste, ciche ulice i wypatrywać uzbrojonych patroli mężczyzn w czerni. Mieli Alison i nie mógł liczyć na nawiązanie z nią kontaktu.

Znalazł miejsce w rogu pustego wagonu. Drzwi westchnęły i zamknęły się z lekkim żalem, a cały pociąg jęknął i otrząsnął się jak pies wychodzący



z wody. Rzeczywistość zaczęła się oddalać, wokół niego gęstniała ciemność.

Carson zaczął otwierać paczkę. Była to w istocie duża, brązowa papierowa torba, oblepiona teraz trawą i liśćmi.

Zeszyty dobrze zniosły poniewierkę, choć okładka jednego zagięła się i nieco pogniotła. Przejrzał odbitki wciśnięte między kartki\* lecz nie było w nich niczego szczególnego, jedynie katalog kliniki Jennera, cennik, parę dat i nieistotnych informacji. Otworzył pierwszy z dzienników. Pisany był ręcznie, na cienko poliniowanym papierze, każdy rozdział opatrzone był datą, a ktoś — przypuszczalnie Reynolds — zaznaczył kilka notatek zwitkami papieru. Drugi zeszyt był taki sam. Carson spojrzął na najwcześniejszą datę i zaczął czytać.

*7 listopada*

**20.** Muszę napisać nieco o ogólnym charakterze badań. Zaczyna mnie to niepokoić. Dawno już wyszliśmy poza te pełne emocji, wczesne fazy sprawdzania wykonalności eksperymentu i wstępnego planowania programu, kiedy to wszystko wydaje się możliwe, a odkrycie jest tylko o krok. Teraz każdy wydział i każdy indywidualny badacz musi się podporządkować decyzjom i procedurom, które sam ustanowił. Jedni są bardziej zadowoleni, inni mniej, nikt nie czuje się specjalnie wniebowzięty — lecz tego należało się spodziewać. Nie jesteśmy pierwszym zespołem zmagającym się z tym problemem.

Niepokoi mnie widoczny rozpad grup badawczych. Niewiele osób przychodzi na cotygodniowe zebrania zespołu i rzadko kiedy trwają one pełną godzinę. Doktor Jenner nie pojawił się jeszcze ani razu. Sądzę, że powinienem wezwać go do siebie w tej sprawie, lecz w zasadzie nie ma pilnej potrzeby, gdyż u zwierząt doświadczalnych łatwo wywołać cukrzycę wirusową, a żaden z innych badaczy nie doszedł jeszcze do stadium, w którym warunki zlecenia wymagają doświadczeń na zwierzętach. Tym bardziej więc mnie dziwi, że tyle czasu spędza w zwierzyńcu, a zamiast stawiać się osobiście na cotygodniowe zebrania, przysyła sprawozdania, z których wynika, że opracowuje nowe metody, mające być pomocne w realizacji programu. Skąd wie, jakie są wymagania, skoro nie przychodzi na zebrania? Zupełnie tego nie pojmuję.

Dziś rano udałem się do mojego gabinetu w bloku naukowym. Wziąłem swoje klucze do bocznego wejścia, gdyż budynek na niedzielę zawsze jest zamykany, lecz gdy tam poszedłem, drzwi były otwarte.

Kiedy mijalem jedno z laboratoriów, natknalem się na Boba White'a. Jest to szczupły, niefrasobliwy młodzieniec, którego jakoś nie mogę polubić. Gdy zapytałem go, co tu robi — zupełnie otwarcie, bez żadnych oskarżeń czy cienia podejrzliwości — najpierw wydawał się zaskoczony, a potem zmieszany. Podczas naszej rozmowy z laboratorium wyszedł jakiś nieznamy.

Zorientowali się chyba, że byłem zaniepokojony — zleceniodawcy żądali, by program był całkowicie utajniony. White pośpiesznie przedstawił swego przyjaciela — natychmiast zapomniałem jego nazwisko — tłumacząc, że przyjechał z jednego z Północnych Instytutów Nauki i Techniki, by po koleżeńsku wymienić doświadczenia. Widząc moje zainteresowanie, powiedział, że to robota dla Jennera, chodzi o metody przeprowadzania testów jeszcze niewystarczająco zbadane, by warte były opisu, obiecano mi jednak, że jeśli coś z tego wyjdzie, przedstawi rezultaty na jednym z cotygodniowych zebrań.

Chciałem go przycisnąć i powiedzieć, że jako szefa badań interesuje mnie każdy, nawet znajdujący się w załączku aspekt pracy, lecz odwiodło mnie od tego coś w postawie White'a, jakiś fałsz i jakby poczucie winy, a ponieważ nie lubię wywierać na ludziach presji, dałem sobie spokój.

*18 listopada*

W tym tygodniu znowu zabrnąłem w ślepą uliczkę, kilka miesięcy badań zespołu planującego zakończyło się fiaskiem. Praca wre tylko w zespole Jennera i wcale go nie zniechęca to, że w obecnym stadium eksperymentów ich badania są mało przydatne. Wczoraj otrzymałem od niego podanie z prośbą o wyrażenie zgody na zakup sporej liczby małych reżusów i skorzystałem ze sposobności, by się z nim skontaktować. Zaprosił mnie do swego laboratorium, bym się rozejrzył. Naturalnie mogłem to zrobić w każdej chwili, lecz muszę pamiętać, że nie jestem zwykłym pracownikiem naukowym i moja wizyta może zaważyć na układach w naszym małym państewku.

Teraz wiem, dlaczego do Jennera płynię stały strumień gotówki z funduszu przeznaczanego na całość badań — prócz rutynowych eksperymentów, pracuje także nad wywołaniem cukrzycy poprzez chemiczne zniszczenie dużych części trzustki u obiektów doświadczalnych. Jenner twierdzi, że daje to rezultaty bardziej wiarygodne i układające się w logiczniejszy ciąg niż metody wirusowe, które zostały zaczerpnięte z obserwacji klinicznych i nie są dostatecznie sprawdzone na zwierzętach.

W każdej chwili mogę dowieść wyższej efektywności metod klinicznych nad wszystkimi tymi zabiegami, które nadal skłonny jestem nazywać wiwisekcją, lecz Jenner ma świetne rekomendacje i muszę przyznać, że to one przede wszystkim przyczyniły się do realizacji naszego programu. Ma zamiar zwrócić się do dziekana z prośbą o przyznanie mu pomieszczeń w zamkniętym obiekcie, spytałem więc, czy chce, bym ja szepnął dziekanowi słówko na ten temat, lecz odmówił, mówiąc że wie, jaki jestem zajęty i sam to załatwi.

Przeprosiłem go, że nie poświęcam tyle czasu, ile powinienem na kontakty z szefami innych wydziałów pracujących nad naszym programem. Choć w prowadzonych badaniach mam dobrą orientację ogólną, przyznam, że zwierzyniec jest dla mnie jednym z najmniej pociągających miejsc na uczelni i nie mam wrażenia, że coś straciłem, jeśli któregoś dnia nie rozmawiałem z Jennerem. Jego pewność siebie przypomina rosnące zadufanie Boba White'a, oparte na przekonaniu, że świat jest mechanizmem, który można poprawiać w nieskończoność, on zaś ma pełne kwalifikacje, by go udoskonalać wedle własnego mniemania. Przyszło mi to do głowy, gdy szedłem za nim wzdłuż rzędów klatek, koło gryzoni, kotów i czterech psów, które dostał z miejscowego schroniska. Na jego widok kręciły się dookoła i unosiły ku niemu wzrok, pomyślałem wtedy: ten człowiek chce, by uważano go za Boga.

Nie mam złudzeń, że Jenner w najmniejszym chociaż stopniu przyczyni się do powodzenia tego programu, lecz jego osoba ma decydujące znaczenie dla jego realizacji. To, co dostarczymy mu w końcu do przetestowania — jeśli w ogóle cokolwiek mu damy — nie stwarza żadnego ryzyka, gdyż będzie to precyzyjnie wydzielony produkt uzyskany z tkanki ludzkiej. Poda to zwierzętom chorym na cukrzycę, po czym okaże się, że preparat jest systematycznie odrzucany, tkanka zwierzęca nie przyjmie insuliny wyprodukowanej przez człowieka, podobnie jak tkanka ludzka może odrzucić insulinę pochodzenia zwierzęcego, której teraz używamy — to jest jeden z głównych powodów naszych badań, prócz chęci uwolnienia cukrzyków od igły.

A ponadto — zwierzyniec budzi we mnie odrazę. Wiem, że jako uczonemu powinno mi to być obojętne, lecz tak nie jest.

*12 grudnia*

Gdy po powrocie z sympozjum w Edynburgu wszedłem do mojego gabinetu, wśród papierów na biurku znalazłem lakoniczną notatkę od dziekana, informującą mnie, że pomieszczenia na dole zostają przekształcone

w zamknięte laboratorium, przeznaczone na eksperymenty Jennera, których przebieg i wyniki są objęte ścisłą tajemnicą, natomiast zwierzęta, z którymi pracują studenci, będą przeniesione na pierwsze piętro. Bez wątpienia napłyną skargi, lecz Jenner najwyraźniej ma bardzo mocną pozycję.

Ostatnie zebranie naukowe — wedle relacji mojej sekretarki — trwało prawie trzy godziny, w tym czasie wypito trzy termosy kawy, zjedzono dwa talerze kanapek i miskę orzeszków. Największe wrażenie zrobiły na niej właśnie kanapki i orzeszki. Ponieważ salę konferencyjną zarezerwowano na określony czas, a dyskusja przeciągnęła się, toteż wszyscy przenieśli się gdzieś na dół, nie wiadomo dokąd. Bob White zaproponował sekretarce, że sporządzi za nią protokół, lecz patrząc na pozostawione dla mnie kopie zorientowałem się, że niespecjalnie się do tego przyłożył. Gdybym miał czas, przejrzałbym je dokładniej, lecz jutro wyjeżdżam do Londynu; nie skończył się jeszcze pierwszy semestr roku akademickiego, a ja już muszę bawić się w komiwojażera, by zdobyć fundusze na następny. Z protokołu Boba White'a wynika jasno tylko tyle, że postanowiono zwrócić się o znaczne zwiększenie liczby asystentów, nie wskazano natomiast, skąd wzdąć na to pieniądze, skoro budżet jest już napięty do granic możliwości.

Wiem jednak, dokąd zebranie mogło się przenieść po upływie pierwszej godziny. Jenner był na nim obecny.

*2 lutego*

Spotkałem się dziś z dziekanem. Powiedział, że za mało udzielam się towarzysko w miasteczku uniwersyteckim, co zmniejsza prestiż mojego wydziału. Kusilo mnie, by odpowiedzieć, że nigdy nie cenilem sobie takiego prestiżu, ale machnąłem ręką i wymówiłem się nawalem pracy.

Udawałem beztroskę, pokazując mu protokół z zebrania i zamówienia Jennera, choć muszę przyznać, że poczułem się poważnie zaniepokojony. Spojrzał na papiery i powiedział, że owszem, wyraził ńa to zgodę w moim imieniu, gdyż wyjechałem do Londynu i byłem nieosiągalny. Pewnie jakiś administracyjny szkopał sprawił, że informacja do mnie nie dotarła, już miałem się odezwać, kiedy popatrzyłem na jego głowę, lekko przechyloną na bok. Światło, odbijające się w szklach okularów, skrywało jego oczy przed moim wzrokiem. Niemal ujrzałem siebie takim, jakim on widział mnie: straszny odludek, myślał pewnie, wieczny nieudacznik chowający się w swojej skorupie, zaczyna uważać, że jego wydział knuje przeciw niemu spisek.

O ile się mogłem zorientować, mój wydział pracuje doskonale, lecz prócz nieodzownych usług w zakresie zdobywania funduszy, świetnie dają

sobie radę beze mnie. Odebrałem kwity za zamieszczenie reklam, a także kopię tekstu, w którym oferuje się pewne sumy dla asystentów pracujących nad programem badawczym, po czym wycofałem się, usiłując zachować możliwie spokojny i pogodny wyraz twarzy. Wątpię, czy mi się to udało.

*25 lutego*

Słusznie czy nie, dość szybko zgodziłem się, by Jenner mógł kupować zwierzęta nie prosząc mnie przedtem o pozwolenie. W zeszłym miesiącu znacznie powiększył swe stado psów — najwyraźniej o tej porze roku zawsze jest ich spora nadwyżka, a otrzymane na Boże Narodzenie kundelki tracą już swój urok, lecz zamówienia, które znalazły się na moim biurku, poważnie mnie zaalarmowały. Zażądał mianowicie aż pięciu dużych naczelnych, nie rezusów, które z jego polecenia dotarły przed dwoma miesiącami, lecz szympansów. Zajęto się już realizacją zamówień i nie wymagało to podjęcia przeze mnie żadnych kroków, były uprawomocnione podpisem dziekana. Gdyby nie zaplątały się tu wraz z podaniami asystentów, nigdy bym ich nie ujrzał na oczy.

Złamałem jedną ze swych zasad i bez zaproszenia udałem się do zwierzyńca. Reguła ta i tak nie miała praktycznego zastosowania, gdyż od jakiegoś czasu nie zapraszano mnie już, bym obserwował postępy prac, a mój własny wkład do programu, prócz wczesnego stadium, kiedy ustalaliśmy procedury badawcze, był zupełnie nieistotny. W drzwiach prowadzących do pomieszczeń zajmowanych przez Jennera stał strażnik, na którym moje nazwisko nie zdołało zrobić wrażenia. Musiałem czekać, aż Jenner osobiście mnie wpuści.

Wnętrze pracowni nie uległo zmianie, choć z głównego korytarza usunięto klatki ze szczurami i królikami, nie było też przejścia do sali wykładowej. Jenner zdołał do tej pory zgromadzić czterdzieści psów i ich charakterystyczny, ostry zapach unosił się w powietrzu. Podczas mojej krótkiej wizyty nie usłyszałem ani jednego szczeknięcia.

Klatki dla naczelnych zostały już ustawione w osobnym pomieszczeniu. Minęliśmy je w drodze do gabinetu Jennera. Skorzystałem z okazji, by pokazać zamówienia i zapytać, co to ma znaczyć.

Oświadczył mi, że za wiedzą dziekana zwrócił się z tym bezpośrednio do zleceniodawcy. Zapewnił, że uzgodniłby to ze mną, lecz byłem nieobecny — sympozjum w Edynburgu posłużyło za dogodną wymówkę, a ze złożeniem zamówienia na szympansy nie można było zwlekać.

Małpy, po trzy tysiące funtów za sztukę, były w różnym wieku i miały zagwarantowany stan zdrowia. Jak na ironię, niezwykle troskliwie zajmowano się kondycją zwierząt, które później miały być trwale okaleczone. Jenner z góry uprzedził mój argument, że absurdem jest wydawanie ogromnych sum na badania o tak ograniczonej użyteczności, twierdząc, że właśnie z powodu różnic między metabolizmem psów, reżusów i ludzi potrzebne mu były małpy. Do czego więc, zapytałem, wykorzystuje pan czterdzieści psów i dwa tuziny reżusów? Uśmiechnął się i oświadczył, że musi być pewien wyniku eksperymentu, nim narazi na ryzyko którąś z drogich małp. Pod koniec rozmowy niemal przekonał mnie, że próbuję mieszać się do metod badawczych, co może przynieść szkodę całemu programowi.

Nie mogłem z nim walczyć na jego własnym gruncie i bez poparcia szefa wydziału. Gdy siedziałem w gabinecie Jennera, czując się zupełnie zagubiony, podsunął mi podanie. Powiedział, że potrzebuje opiekunki do małp, a ponieważ sądzi, że jedna z kandydatek na asystentkę dobrze by się do tego nadawała, chciałby ją zatrudnić. Wręczył mi kwestionariusz, taki sam, jaki zostawiłem na swoim biurku. Nie pytałem nawet, skąd go wziął, najwyraźniej sekretariatowi uniwersytetu polecono przekazywać podania od kandydatów najpierw do Jennera. Dziewczyna miała na imię Catherine, a sądząc z dołączonej do podania fotografii, była bardzo ładna. Niewątpliwie wpłynęło to na decyzję Jennera, choć referencje miała dobre. Nie mogłem się sprzeciwić.

Wychodząc spotkałem Horsleya i Collisona. Odsunęli się na bok, by mnie przepuścić, i skinęli przyjaźnie głowami. Wygląda na to, że nie potrzebują osobistego zezwolenia Jennera, by mieć wstęp do zwierzyńca.

*3 kwietnia*

Sny nawiedzają mnie nadal. Czas nie zatuszował ani nie złagodził ich ostrości.

*3 czerwca*

Zadzwoiła do mnie dzisiaj Catherine, nowa asystentka Jennera. Uniwersytet obiecał jej bezprocentową pożyczkę na zasiedlenie i potrzebny jej był podpis szefa wydziału. Jenner był na konsultacjach, toteż zapytała, czy nie mógłbym jej tego załatwić. Powiedziałem, by przyniosła mi papiery do gabinetu.

Gdy na nią czekałem, przyszło mi do głowy, że być może, korzystając z

okazji, dowiem się czegoś o programie badawczym, który firmuję swoim nazwiskiem. Nie byłem potrzebny nawet do podpisywania czeków, Jenner sam się tym zajął, pozostając w bezpośrednim kontakcie ze zleceniodawcami. Sprawozdania przysyłano mi sporadycznie i były tak lakoniczne, że niewiele mogłem się z nich dowiedzieć. Z cotygodniowych zebrań zrezygnowano zupełnie.

Wyizolowanie genu wytwarzającego insulinę i przyłączenie go do plazmidu wydaje się odleglejsze niż kiedykolwiek. Teoretycznie wokół programu nic się nie działo, lecz w praktyce moi pracownicy korzystali z coraz większych funduszy i ich działania absorbowwały cały wydział. Związki Boba White'a z północnymi instytutami badawczymi stały się oficjalne i od czasu do czasu proszono mnie, bym podpisywał ogromne rachunki po kolejnych jego wizytach. Nigdy nie byłem informowany o żadnych szczegółach — teraz już nawet nie chciało im się mnie okłamywać.

Gdy przyszła Catherine, przede wszystkim podpisałem jej podanie o pożyczkę. Nie chciałem, by nabrała podejrzeń, że posługuję się swoją parafką jako nieszlachetnym środkiem nacisku.

Ponieważ dopiero co zaczęła pracować w zespole, którego szefem byłem nadal, przynajmniej teoretycznie, uznałem to za wystarczający pretekst, by porozmawiać z nią w moim gabinecie. Sprawiałoby to wrażenie normalnych zawodowych pogawędek, a przy okazji chciałem się dowiedzieć, co wie o badaniach Jennera — później przekonałem się, że bardzo niewiele. Złożyła podanie o zatrudnienie w laboratorium — wcześniej zajmowała się już manipulacją DNA, pracując w kilku specjalistycznych placówkach — lecz podjęła się opieki nad zwierzętami, gdyż w środku roku akademickiego miała niewielkie szanse na znalezienie jakiegoś zajęcia, a konkurencja była ostra.

Zorientowałem się, że nie bardzo jej odpowiada charakter nowej pracy, aż się zachnęła, gdy użyłem określenia „wiwisekcja” i niezwłocznie przeprosiłem za moje staroświeckie poglądy. Następnie o wszystkim jej opowiedziałem.

Nie domagałem się niczego i o nic nie prosiłem. Prawdopodobnie sama skontaktuje się ze mną, gdy prędzej czy później przekona się, że miałem rację.

*5 sierpnia*

Minęły ponad dwa miesiące, a Catherine ani razu się nie pojawiła. Dziś po południu widziałem ją w miasteczku uniwersyteckim. Byłem ciekaw, czy skinie mi na powitanie albo zamieni parę słów, lecz nim zdążyłem do

niej podejść, zniknęła w tłumie i zobaczyłem ją parę sekund później, jak z opuszczoną głową pędziła trawnikiem w kierunku laboratorium.

Właściwie nie mam już po co przychodzić na uniwersytet. Całymi dniami siedzę w pustym gabinecie, nie mając nic do roboty, a moja sekretarka odciąża w pracy koleżanki z innych wydziałów. Pracowałem nad kilkoma artykułami, ale to stare pomysły, stare materiały. Żadnego nie dokończyłem.

*30 września*

Wczoraj późnym wieczorem rozległo się pukanie do moich drzwi. Na górze głośno grała muzyka, więc mogłem go nie usłyszeć. Może powinienem tam pójść i poprosić o zachowanie ciszy, jako przełożony miałem prawo nawet tego zażądać — lecz głośne dźwięki nie irytowały mnie, wręcz przeciwnie, nawet działały kojąco, a niektóre utwory nie były wcale takie złe. Niech więc rozbrzmiewa muzyka i wypełnia pustkę. Lepsze to niż cokolwiek innego.

Gdy otworzyłem drzwi, stała w nich Catherine. Była zmoknięta, trzęsła się z zimna i najwyraźniej przysłała tu pieszo z uniwersytetu. Miała na sobie kompletnie przemoczony, lekki płaszcz przeciwdeszczowy, dałem jej więc ręcznik, by wytarła włosy, i rozłożyłem na kaloryferze prochowiec, który niebawem zaczął lekko parować.

Przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem. Gdy odszedłem od kaloryfera i spojrzałem na nią, stała z ręcznikiem w dłoniach. Mocno zacisnęła powieki, lecz z kącików oczu kapąły łzy, spływając zimnym deszczem po jej policzkach. Podprowadziłem ją do kanapy, na którą ciężko opadła, zatapiając twarz w ręczniku.

Usiadłem na krześle naprzeciwko. Jeśli czegoś się w życiu nauczyłem, to cierpliwości. Przebrzmiała niemal cała pierwsza strona płyty, nim dziewczyna zaczęła mówić.

Powiedziała, że nareszcie wie, czego dotyczy program. Nie przysłała do mnie wcześniej, gdyż nie zauważyła niczego nadzwyczajnego, niczego, co dowodziłoby, że założenia programu insulinowego zostały zmienione; jej zadanie polegało po prostu na opiece nad obiektami eksperymentu i przygotowywaniu ich do doświadczeń. Czasami pomagała Jennerowi pobierać wycinki lub robiła dla niego próbki, gdy był zbyt zajęty, by sam to wykonać, lecz czuła się zniechęcona, gdyż studiowała laboratoryjne techniki badawcze, a pracowała jako niepełnoetatowa dozorczyńca w zoo.

Odkryłem, dlaczego mnie unikała. Jenner powiedział jej, że przestaje



panować nad sytuacją, że już nie jestem w stanie podolać swoim zadaniom i tylko lojalność pracowników, którzy podzielili między siebie moje obowiązki, ratuje mnie przed żalosnym odprawieniem do jakiegoś sanatorium. Wyjaśnił jej, że uważam się za prześladowanego i dostrzegam spisek w najbardziej niewinnych posunięciach, toteż udało mu się skutecznie ją odstraszyć.

W tym momencie omal się gorzko nie zaśmiałem, lecz powstrzymały mnie udręka i niepokój w spojrzeniu Catherine. Zamilkła, niepewna, czy ma mówić dalej. Próbowałem ją nakłonić, by mi opowiedziała, na czym naprawdę polega praca w tym programie, lecz oznajmiła, że trzeba to zobaczyć na własne oczy.

Miała swój klucz do drzwi zwierzyńca. Nocą pomieszczenie nie było strzeżone. Musieliśmy przejść pieszo — nie mam samochodu — a jej płaszcz był mokry, pożyczyłem więc Catherine jeden z moich. Nie dodawał jej uroku, miał za długie rękawy, ale lepsze to niż nic. Przeciągnęła pasek przez pętelki i zawiązała go wokół talii.

Długą, prostą drogą, prowadzącą na tyły miasteczka uniwersyteckiego, szedłem za lekko pochyloną w obronie przed wiatrem Catherine. W ośrodku sportowym paliły się światła, lecz na bieżni wokół boiska panowała ciemność. Minęliśmy rząd samochodów zaparkowanych za budynkiem administracyjnym, w którym mimo zimna wszystkie okna były otwarte i dochodziły z nich rozmaite hałasy, potem przeszliśmy na ukos pod zadaszonym przejściem i znaleźliśmy się koło laboratorium.

Posłużyłem się moim kluczem i bocznymi drzwiami weszliśmy do środka. Zapasowym przejściem dostaliśmy się do piwnicy. Napisy sygnalizacyjne rzucały słaby, zielonkawy blask, a z zewnątrz dochodziło dość światła, odbijającego się w woskowanej podłodze, by widzieć, dokąd zdążamy.

Weszliśmy prosto do pomieszczenia dla naczelnych i po raz pierwszy mogłem rzucić okiem na ukryte w cieniu, czarne jak smoła, ociężałe i masywne szympansy. Małpy obudziły się. Gdy Catherine zapaliła światło, wszystkie zaczęły pochrząkiwać i przewracać się zakrywając oczy. Wszystkie z wyjątkiem jednego.

— Po to był ten program — odezwała się dziewczyna.

Malec niepewnie wyszedł naprzód i usiłował uchwycić się prętów. Był kościsty, niemal pozbawiony sierści — pomarszczony mały gnom o błyszczących czarnych oczach i bardzo zniekształconych rękach oraz stopach. Wykrzywione plecy przywodziły na myśl starczy artretyzm lub paraliż.

Skulone palce oplótł wokół prętów i podciągnął się do pozycji stojącej,

wpatrując się we mnie i przeraźliwie szczerząc zęby. Duża szympansica tuż za nim zaczęła kołysać się miarowo, wydając ostrzegawcze okrzyki, lecz Catherine zdołała ją uspokoić. Nazywała małą Lucy.

— To dziecko nie urodziło się w normalny sposób. Jenner je wyprodukował — powiedziała dziewczyna.

Nowego podopiecznego powierzono jej dzisiejszego popołudnia. Nazywał się Chad. Stanowił chimeryczną hybrydę człowieka i szympansicy. Byłem zarazem przerażony oraz zafascynowany, zdawałem sobie sprawę, ile nieprawdopodobnych trudności trzeba było pokonać, by doprowadzić do narodzin tego stworzenia, trudności, które nie do końca zostały przezwyciężone. Deformacja członków prawdopodobnie dotyczy także narządów wewnętrznych i gruczołów, a jak funkcjonuje u hybrydy hemoglobina i enzymy? Wydaje się, że stworzenie to oscyluje tuż na granicy zdolności do życia.

Nogi pod małą ugięły się gwałtownie. Na jej szyi widniała biaława blizna, przypuszczalnie Jenner przeciął szympansowi struny głosowe, postępując tak samo, jak to robił z psami. Chad wysunął rękę przez pręty, ale Lucy odciągnęła go w głąb klatki. Była najstarszą z szympansic i chyba szybko zaadaptowała tę brzydką sierotę.

Catherine chciała już wyjść. Zgodziłem się mając mieszane uczucia niechęci i ulgi.

Wracaliśmy do Zielonego Dworu, tym razem nieco wolniej, gdyż zacząłem odczuwać znużenie. W czasie letnich miesięcy często przemierzałem tę odległość po dwa razy dziennie, lecz wówczas nie musiałem zmagać się z deszczem i tym ostrym, zapierającym dech w piersi wiatrem. Nie rozmawialiśmy ze sobą.

Catherine przenocowała w pokoju gościnnym. Pani Donoghue z pewnością będzie wstrząśnięta, nie pomogą moje zapewnienia — jej kryteria moralne elastycznością dorównują kamiennej statui — lecz Catherine była zbyt wyczerpana i roztrzęsiona, by wracać do siebie. Ja nie kładłem się jeszcze przez kilka godzin, wziąłem z półki plik tekstów i siedziałem, nawet na nie nie patrząc.

Naturalne hybrydy występują rzadko i dotyczą tylko jednego gatunku. Muły to jedyne krzyżówki, które można nazwać pospolitymi. Mieszaniec jaka i bawołu stanowi udaną hybrydyzację najbardziej odległych od siebie okazów, jaką dotychczas udało się stworzyć. Przy czymś bardziej skomplikowanym trzeba by odejść od koncepcji „naturalnego” zapłodnienia — włączając w to sztuczną inseminację — i korzystać z technik laboratoryjnych.

Fuzja komórek to nic nowego, podobnie jak tworzenie sztucznych chimer.

Ale są to tylko kultury, małe kolonie rozwijające się w szczególnie sprzyjającym otoczeniu i wraz z odrzuceniem jednego zestawu chromosomów nieodmiennie skazane na zagładę. Trzeba by usunąć albo osłabić działanie co najmniej czterdziestu genów, nim przezwycięży się ową niemożność połączenia, a i wówczas nie powstanie normalnie funkcjonująca istota, lecz jedynie jej namiastka.

Już samo to byłoby niemałym osiągnięciem. Liczba chromosomów u ludzi i u naczelnych różni się zdecydowanie: czterdzieści sześć u człowieka, czterdzieści osiem u szympansa, orangutana i goryla. Nie może nastąpić hybrydyzacja w stosunku jeden do jednego, przypuszczam, że Jenner musiał się zadowolić wprowadzeniem małej porcji materiału genetycznego jednego gatunku do układu genetycznego drugiego gatunku. Usunięcie jądra płodnej komórki płciowej i zastąpienie go nowym materiałem zwiększyłoby zdolność hybrydy do przeżycia, wówczas potrzebny byłby jakiś żywiciel, w którym mogłaby rozwinąć się do fazy embrionalnej.

Pełen podziwu dla finezji naukowej strony tego przedsięwzięcia, byłem jednak wstrząśnięty jego zuchwałością. We wczesnym okresie życia, jako wrażliwy młodzieniec, znalazłem się wśród osobników, którzy arogancko uznali swoich bliźnich za podludzi, i czułem, że Jenner zdołał im dorównać. Stworzył kogoś takiego.

Powód istnienia Chada jest dla mnie jasny. Jenner przyznał już, że brak znormalizowanych reakcji między gatunkami unieważniał rezultaty doświadczeń na zwierzętach, co nie odwiodło go od dalszych badań. Przypuszczalnie oczekiwał, że jego wyniki będą bardziej wiarygodne, gdy sprawdzi je na modelu mającym więcej ludzkich cech. Argumentacja ta zdołała zrobić wrażenie na zleceniodawcy i innych naukowcach. Wiedział, że nigdy nie przekonałby mnie — w każdym razie nie w taki sposób, w jaki by sobie tego życzył — a więc trzymał niewygodną osobę z daleka — jak figuranta, któremu w charakterze zasłony dymnej podsuwa się opowiastkę o insulinie, by uniknąć zbędnej ingerencji i niewygodnych pytań.

Obudziłem się na krześle. Świtało, a Catherine już nie było.

*3 grudnia*

Catherine nadal chce, by nadać sprawie rozgłos publiczny, a ja wciąż uważam, że byłoby to nierozsądne. Nie mamy innych dowodów, natomiast nasze oświadczenia niezwykle łatwo byłoby zdyskredytować.

Catherine odwiedza mnie od czasu do czasu, bywa, że tylko raz w miesiącu, zawsze w Zielonym Dworze. Jenner uważa, że jest pełna oddania i entuzjazmu, on nie ma pojęcia, że jego pracownica przekazuje mi informacje na temat hominida. Z początku nie mogła się przełamać— przebywanie

w jednym pomieszczeniu ze zwierzęciem denerwowało ją i przerażało, a ukrycie tych uczuć przychodziło jej niełatwo — teraz jednak jest znacznie spokojniejsza i mówi, że dotknięcie Chada nie budzi już w niej odrazy, a jego krystalizująca się osobowość zaczyna być ciekawa. Jenner, prowadzący teraz poważnie zaawansowane prace nad drugą fazą programu, nie wykazuje absolutnie żadnego zainteresowania zwierzęciem.

Miałem rację przypuszczając, że jego zespół podjął się wytworzenia międzygatunkowej hybrydy przy współpracy z Północnym Instytutem Nauki i Techniki. Jedna z szympansie nosiła embriona we wczesnych fazach rozwoju, lecz później przeniesiono go do ludzkiego łona. Catherine powiada, że wszczepiono go kobiecie, którą Jenner leczył w ramach prywatnej praktyki. Kobieta była przekonana, że jest płodna w wyniku jego kuracji, lecz w ostatniej fazie ciąży płód przeniesiono do inkubatora, a matce powiedziano, że poroniła.

Jenner zajmuje się teraz wynalezieniem takiej metody, dzięki której jego wytwór mógłby być powielany dowolną liczbę razy. Przełom, jakiego dokonał, nie miałby znaczenia, gdyby hominida nie można było produkować w ilościach przemysłowych, lecz Chad jest bezpłodny, a szanse na dokładne powtórzenie jego hybrydyzacji są nikłe, toteż idealnym rozwiązaniem byłoby stworzenie klonicznej grupy zwierząt, identycznych pod względem rozmiarów, wagi i metabolizmu. Jak na razie, oczekiwania Jennera nie sprawdziły się — spodziewał się, że najtrudniejszą częścią całej operacji będzie wyprodukowanie chimery, klonowanie zaś zajdzie całkiem naturalnie jako kontynuacja tej techniki. Chyba był zdumiony tak szybkim uzyskaniem zdolnej do życia hybrydy, nie stworzył jednak jeszcze ani jednego udanego klonu. Catherine powiada, że jego bezsilna złość wychodzi na jaw podczas rzadkich kontaktów z Chadem — nie używa żadnego środka znieczulającego, gdy pobiera próbki tkanki do badań, nawet jeśli wycina je z wątroby czy jelit. W trakcie takich zabiegów Catherine musi przytrzymać Chada w specjalnej klatce, w której jest unieruchomiony, lecz powiada, że zwierzę nie miota się zbyt gwałtownie i oczywiście nie może krzyknąć, choć często usiłuje.

Chad dojrzewa szybko, dużo szybciej niż ludzkie dzieci. Jednym z zadań Catherine jest sporządzanie wykresu rozwoju jego organizmu i umiejętności; ocenia ona, że zwierzę będzie gotowe do dorosłego życia mając mniej więcej dziesięć lat. Chad opanował już parę znaków języka migowego, które inne szympansy pamiętają z poprzedniego eksperymentu. Catherine chętnie je wykorzystuje, gdyż w ten sposób może wydawać im proste polecenia, ułatwiając sobie pracę.

13 lipca

Wizyta Catherine po długiej nieobecności. Dziewczyna przyszła późno i nie została długo.

Ostatnio opowiadała mi, że zaobserwowała u Chada oznaki cofania się w rozwoju i zamykania w sobie. Zmartwiła ją ta zmiana w jego zachowaniu, jakby był ludzkim dzieckiem. Przypuszczalnie jedną z przyczyn tego stanu rzeczy była konieczność ubrania go, gdyż prawie nie ma futra. Jest zbyt delikatny na igraszki z innymi małpami na ograniczonej przestrzeni klatki i zaczął chować się w kącie, skulony w kłębek. Odmawia też porozumiewania się językiem migowym. Czasami wyrzuca z siebie stek przekleństw, które sam wymyśla.

Stosunek Catherine do Chada wyraźnie się zmienił. Usiłowała traktować go jak dziecko, a on reagował jak szympan. Gdy wkładała rękę do klatki i starała się nawiązać z nim kontakt, wpadał w gniew, manifestacyjnie rzucając się na pręty i gryząc jej dłoń. Sądzi teraz, że popełniła błąd, uważając go za zniekształconą ludzką istotę i skwapliwie przyznałam jej rację, starając się przekonać dziewczynę, że zło nie tkwi w fakcie istnienia Chada ani w dającym się biologicznie ustalić stopniu jego człowieczeństwa, lecz w przerażającej arogancji Jennera, który uznał, że ma prawo stworzyć Chada.

Chyba się ze mną nie zgadza. Większość swej energii i oburzenia czerpie ze współczucia dla Chada, a to współczucie znacznie się zmniejszyło. Gdy hominid był tylko godzien litości, uważała Jennera za wcielenie zła, teraz, gdy małpa zaczyna przejawiać agresję, jej stosunek do doktora zaczął się zmieniać, tracić podłoże emocjonalne.

Nie udało mi się znaleźć kobiety, która nieświadomie nosiła w swym łonie Chada. Uważam, że ze wszystkich postępów Jennera ten jest najgorszy, stanowiłby najpotężniejszy argument przy publicznym potępieniu jego uczynków. Ale jeśli ją odnajdę, czy zdobyłbym się na powiedzenie jej prawdy? Nie wyobrażam sobie głębi odrazy, którą musiałaby wywołać taka wiadomość.

4 sierpnia

Liścik od Catherine. Zdecydowała, że nie może już dłużej być w opozycji wobec pracy Jennera i że nie będzie przekazywać mi więcej informacji. Uważa, że jej poprzednie reakcje były niedojrzałe, nie profesjonalne i nie

chce ponosić odpowiedzialności za nieuzasadnione publiczne polemiki. Przyznam, że oczekiwałem czegoś takiego.

Nie mogę jej winić. W istocie nie dokonała świadomego wyboru, lecz tak niewielu z nas to czyni, wszyscy podlegamy przemożnym wpływom otoczenia. Bez pomocy Catherine nie zyskam więcej informacji nad to minimum, którym dysponuję, postanowiłem więc udać się do dziekana.

Nie miałem złudzeń co do jego bezstronności, zwłaszcza że wiedziałem, iż odegrał główną rolę w odebraniu mi faktycznego kierownictwa nad programem insulinowym. Przedtem niezwykle gorąco mnie popierał, najwyraźniej podzielił zdanie Jennera i zleceniodawców, że należy skierować badania w inną stronę. Gdy wszedłem do jego gabinetu, zastałem tam Catherine.

Słuchał cierpliwie, gdy mu powiedziałem, że domagam się dobrowolnego moratorium na dalsze prace w obrębie programu oraz dokonania oceny dotychczasowych działań. Musiałby to zrobić zespół, złożony w równej liczbie z naukowców i niezależnych uczestników. Jeśli dziekan nie zdecyduje się na podjęcie takich kroków, posiadane przeze mnie informacje przekażę opinii publicznej. Zdawałem sobie sprawę, że moje argumenty były nieprzekonujące; bez pomocy Catherine łatwo można byłoby mnie zdyskredytować jako niezrównoważonego paranoika. Fakt ten potwierdzałoby moje wycofanie się z uniwersyteckiego życia towarzyskiego i nie wątpię, że krążyło na ten temat sporo odpowiednich plotek. Poza tym nie dysponuję żadnymi dowodami, nie mam nawet fotografii Chada, a ostatni raz widziałem go owej nocy, kiedy przez pręty klatki wyciągnął do mnie skurczoną rękę.

Dziekan uprzejmie wyjaśnił mi, że nie może wystąpić o moratorium, gdyż żaden program już nie istnieje. Za zgodą zleceniodawców zakończono go przed paroma tygodniami. Jenner udał się do Kumbrii, by otworzyć tam prywatną klinikę. Gdy nie chciałem dać temu wiary, dziekan zaproponował, bym odwiedził zwierzyniec i przekonał się na własne oczy.

Poszedłem za nim jak odrętwiąły. Idąca parę kroków z tyłu Catherine nie odzywała się ani nie patrzyła mi w oczy. Drzwi do zwierzynca stały otworem, dochodził zza nich odór krwi, środka dezynfekującego i spalonej sierści. Ciała martwych psów leżały w spalarni na końcu korytarza, natomiast zwierzęta nadające się jeszcze do dalszych doświadczeń oddano innym pracownikom.

Klatki naczelnych były puste. Fizyczne istnienie Chada stanowiło jedyny argument na poparcie moich żądań, a teraz nie miałem już żadnego dowodu.

To wszystko mnie przerasta. Znowu mój protest do nikogo nie dociera. Jenner ma za sobą rządowe pieniądze, a ja nie mogę zrobić nic, czego z góry by nie uprzedzono albo nie zlekceważono. Panuje powszechna opinia, że moja sprawność intelektualna znacznie się obniżyła, co — przynajmniej w opinii ogółu — stało się powodem fiaska programu. Jenner będzie kontynuował swe prace — większość jego personelu jedzie z nim do Kumbrii. Catherine obejmuje kierownictwo nad doświadczeniami na zwierzętach.

Teraz wiem, że sprawiedliwość nie nastanie, póki tacy ludzie jak Jenner będą organizować i kształtować świat, mając na względzie własne korzyści. Mogę tylko mieć nadzieję na karę, zesłaną przez wyższe siły, i modłę się o nią.

Część czwarta

KUMBRIA

22 października 1987 r.



**21.** Wstawał właśnie świt, gdy pociąg pocztowy do Carlisle przystanął na krótko w Penrith. Temperatura powietrza była o parę stopni niższa niż w Londynie, a w światłach peronu iskrzył się drobny, proszący nieprzerwanie, śnieżek.

Nie był to zgodny z rozkładem jazdy postój na stacji, ale po prostu krótka przerwa, potrzebna na przerzucenie brezentowych toreb z powrotem do środka pociągu. Gdy sznur wagonów na gumowych kołach potoczył się za platformą pocztową, Peter Carson zsunął się po przeciwnej stronie torów i po kilku sekundach stał już ukryty za żeliwnym słupem, podtrzymującym szklane, wiktoriańskie markizy peronu.

Pierwszy śnieg w tym roku. Ziemia nie była jeszcze zmarznięta, toteż płatki traciły swe kształty i topniały, gdy tylko się z nią zetknęły. Carson zastanawiał się, czy czekają już na niego. Drzwi wagonu trzasnęły głośno w nieruchomym powietrzu poranka i pociąg zaczął toczyć się dalej.

Mężczyzna chował się za słupami, zmierzając do końca peronu, aż wreszcie wyszedł spod markizy. Otwarta przestrzeń była ogrodzona niskim drewnianym płotem, za którym rozciągała się ciemna plama starego dworcowego dziedzińca. Nikt nie obserwował przybysza. Carson podciągnął się na rękach i przesadził ogrodzenie.

Rozmazany, pastelowy zarys pociągu zanikał na torach, a stukot kół zamierał w oddali, gdy mężczyzna zbliżył się do budki kontrolera peronówek i wyjrzał na podjazd przed dworcem. Stał tam wojskowy land rover, pomalowany na smętne kolory maskujące. Niewiele brakowało, by zatarasował wejście na peron. Pracujący silnik miał nieco ogrzać samochód, lecz i tak trochę białego, puszystego śniegu osiadło na brezencie z tyłu. Wszystkie okna były zupełnie zaparowane, a w szybach nie przetarto małych kółeczek, przez które można by zerknąć, co się dzieje na zewnątrz. Carson ostrożnie otworzył bramę.

Trawa i kamienie w ruinach zamku pokryte były szronem, iskrzących się jak morze migocących gwiazd. Carson minął ruiny, zdążając do

Castlegate i centrum miasta. Gdy spojrzął za siebie, land rover właśnie ruszał.

Przez chwilę myślał, że go zauważono, lecz niebawem rover zakręcił i zatrzymał się pod dworcową markizą parę jardów dalej. Jeden z kolejowych tragarzy w uniformie i niekształtnej czapce z daszkiem wracał do budynku — pewnie poprosił wojskowych, by się przesunęli i zrobili miejsce dla furgonetki pocztowej. Carson odwrócił się i pomaszerował dalej.

Spacerował mniej więcej przez godzinę, póki miasto się nie ocknęło ze snu. Budziło się powoli, lecz wcześniej, co ucieszyło Carsona, zaczynał się już bowiem nudzić. Gdy w pierwszym kiosku z gazetami zapalono światła i otworzyły się drzwi po poranną dostawę, wszedł i kupił blok do notowania oraz koperty na pocztę lotniczą. Potem ruszył do przyczepy gastronomicznej na głównej ulicy, tuż za centrum handlowym, i usadowił się przy rozklekotanym stoliku w rogu, zamówił śniadanie. Jedząc naszkicował list do swego amerykańskiego agenta, po czym odsunął na bok pusty talerz i poprosił o następną herbatę (zostawił ją nietkniętą), by mógł zajmować stolik tak długo, aż nie przepiszze listu na czysto, tym razem bez tłustych plam.

W przyczepie było już sporo klientów, a na ulicy zdążył ustawić się sznur furgonetek i ciężarówek. Carson spojrzął na zegarek i poszedł poszukać poczty.

Musiał czekać dziesięć minut przed drzwiami, nim dostał znaczek lotniczy i mógł wrzucić list do skrzynki. Potem z budki przed urzędem pocztowym zadzwonił do Londynu i dopiero wtedy nieco się uspokoił.

Poczucie ulgi było względne. Nadal go poszukiwano i nie wiedział, jak długo będzie mógł swobodnie się poruszać; nie wątpił, że zablokują jego rachunek bankowy, a bez niego dysponował tylko gotówką, którą wyciągnął z bankomatów w pobliżu Soho. Nawet Hennessy nie będzie jednak mógł szybko zastrzec jego konta. Miał przed sobą pół dnia, najdalej dzień, nim jego czeki zaczną wracać, a wszyscy okoliczni kupcy zostaną przed nim ostrzeżeni, krótko mówiąc, nie może uciec, a Hennessy dopadnie go natychmiast, gdziekolwiek się pojawi.

Cóż, święty Jerzy, przycisnęli cię do muru, jak sobie teraz poradzisz ze złamanym mieczem? Może pobiegnę do smoka i naszczam mu w gardło? Pierwszy krok, by to zrealizować, to dostać się bez przeszkód do Langstone.

Autobus pocztowy nie najlepiej się do tego nadawał. Carson patrzył, jak czerwona furgonetka, mogąca pomieścić około dziesięciu osób, wyrusza pusta w swój pierwszy kurs tego dnia. Była jaskrawa, zgrabna i rzucała się

w oczy jak cholera, choć miała tylko jechać do kotliny, by zabrać i dostarczyć przesyłki. Pomyśli o czymś lepszym.

Wrócił na pocztę, wziął książkę telefoniczną z wykazem zakładów usługowych i rozmienił pieniądze. Z torbą drobnych poszedł do budki telefonicznej i zaczął obdzwaniać warsztaty samochodowe. Za którymś tam razem powiedziano mu wreszcie, że owszem, samochód panny Wells jest zreperowany i można go odebrać; były pewne kłopoty z zapasowym błotnikiem, lecz lakiernik wczoraj skończył robotę. — Świetnie — powiedział Carson — panna Welles wróciła do Londynu, lecz poprosiła mnie, bym odebrał samochód i zapłacił za nią rachunek. Właściciel warsztatu z dużą rezerwą odniósł się do pomysłu oddania wozu, ze znacznie mniejszą — do propozycji uregulowania należności. Carson oznajmił, że będzie za godziwą.

Następnie poszedł do sklepu sportowego, wypchanego po brzegi długimi butami, świecami, sznurowadłami i wyrobami z jaskrawego nylonu. Nadal miał na sobie londyńskie ubranie, lecz teraz kupił grubą wełnianą koszulę o wzorze przywodzącym na myśl obraz kontrolny w telewizji, grubo tkany pulower, ze skórzanymi łatami na łokciach i ramionach, sportowe spodnie, ciepłe skarpety oraz nieprzemakalną kurtkę z kapturem. Na drucianych stelażach było wyłożonych kilka par używanego obuwia, między innymi specjalnie wzmocnione buty na górskie wspinaczki, takie, że można w nich stąpnąć w górską szczelinę bez ryzyka skręcenia nogi, lecz Carson znalazł też parę lżejszych włoskich butów w swoim rozmiarze. Cena nie grała tu roli, ale kupując używane miał nadzieję, że łatwiej je będzie rozchodzić. Nie może sobie pozwolić na luksus spacerowania po dwie godziny dziennie, nim skóra butów zmięknie i przestanie ocierać.

Wrzucił też do koszyka kilka rzeczy mających mu zapewnić podstawowe bezpieczeństwo: mapę, kompas, szwajcarski scyzoryk oficerski i gwizdek. Wziął jeszcze zmianę bielizny i wszystko to zaniósł do składziku za sklepem, gdzie uprzejma ekspedientka pozwoliła mu się przebrać. Gdy się wyłonił, sprawdzała właśnie jego czek — poczuł wyrzuty sumienia, lecz nie miał przecież złych intencji, a odeśłą go wyłącznie w wyniku matactw Hennessy'ego. Dziewczyna dała mu też torbę na stare ubranie.

Gdy znowu znalazł się na ulicy, był jak przeobrażony. Uwolnił się od dusznej atmosfery miasta, wyziewów samochodów i zatłoczonych ulic, a uczucie to prawdopodobnie potrwa do chwili, gdy nie nawykły do górskiej wspinaczki organizm nie zacznie się skarżyć i buntować. Na razie, o matko, było fantastycznie.

Gdy Carson zjawił się po błękitną hondę Alison, samochód stał zaparkowany przed pompami za garażem. Wszedł przez otwarte podwójne drzwi do warsztatu, przeskakując martwe, czarne węże przewodów, by dostać się do biura. Wewnątrz, stojąc przy kontuarze, udawał, że pilnie wczytuje się w poszczególne pozycje rachunku, jak powinien to zrobić troskliwy przyjaciel, po czym, by nie przeciągać sprawy, powiedział, że obejrzał już samochód i chyba wszystko jest w porządku. Zapłacił dwoma czekami, wystawionymi na różne daty, tak by nie przekraczać dziennego limitu wypłaty, i wziął kluczyki.

Czarne obicia z skóry pokrywała warstewka białego kurzu, a na cięgnię ssania, na wyścielanej tablicy rozdzielczej widniał szary odcisk kciuka. Carson cisnął torbę na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą.

Spróbował zapalić, lecz silnik był za zimny. Ponad pół zbiornika paliwa, zauważył, gdy drgnęła strzałka wskaźnika. Włączył ssanie i spróbował jeszcze raz. Silnik zaskoczył natychmiast.

Używanie pedałów i zmiana biegów sprawiały mu pewną trudność — od paru lat robił to za niego automat — a grube podeszwy turystycznych butów jeszcze to utrudniały, lecz gdy dojechał do wiaduktu nad autostradą, zdążył się już w tym wszystkim połapać. Szosa była dobra, lepsza niż zniszczone londyńskie drogi. Po przejechaniu kilku mil teren po obu stronach zaczął się wznosić i falować, tworząc typowy kumbryjski krajobraz.

Przedtem jechał tym szlakiem tylko raz, toteż z trudem rozpoznawał trasę. Nie przyszło mu do głowy, by wcześniej przejrzeć nową mapę samochodową, a teraz nie miał gdzie się zatrzymać i wolał nie zerkać na nią w czasie jazdy. Jednak nie było to konieczne — drogi rozdzielały się i drogowskaz do Ravens' Bridge widoczny był jak na dłoni. Carson skierował się na lewo wzdłuż brzegów jeziora. Teraz już wiedział, dokąd ma się udać: w stronę kaplicy, do niegdyś zagrodzonej blokadą policyjną drogi, wznoszących się zboczy oraz kępy drzew, których korzenie przebijały się przez powierzchnię szosy. Dalej do jeziora i zamkniętej na łańcuch bramy wiejskiego hotelu, zwężającej się alei, ogrodzonej kamiennym murem i drutem, od czasu do czasu przeciętej bramą chłopskiego obejścia. Nie napotkał innych samochodów, żaden też nie usiłował go wyprzedzić.

Dwie mile przed Langstone przednia szyba znowu poszła w drobny mak.

Nadal miała w rogu żółtą karteczkę z numerem warsztatowej naprawy. Krótkie plaśnięcie i cały przód zmienił się w opalizującą pajęczynę, ocalał jedynie mały kawałek na środku. Carson miał dość rozsądku, by nie wyprawiać szaleństw w rodzaju prób wypchnięcia szyby — palce czasami

mogą się przydać, a on pragnął zachować swoje w całości — toteż prawie przylgnął nosem do środkowego kawałka, by mieć możliwie najlepszy widok na szosę.

Udało mu się zahamować o nic nie uderzając, a gdy wyłączył silnik i z ulgą opadł na fotel, strzaskana szyba zaczęła się powoli wyginać, trzeszcząc i pobrzękując. Ostrożnie otworzył drzwi — nie chciał, by rozprysnęła się do środka obsypując go deszczem odłamków — i wysiadł z samochodu.

Zatrzymał się dziesięć jardów za otwartą bramą. Kamienny murek z jednej strony wejścia osunął się na pole, a samą bramę umocniono, by zakryć wyrwę, i przewiązano pomarańczowym sznurkiem.

Carson pomaszerował z powrotem. Za samochodem widniały świeże pasma hamujących kół, lecz pod nimi na asfalcie rysowały się też starsze ślady, wijące się po szosie, a potem skręcające ku trawiastemu podłożu koło muru i ciągnące się dalej. Opony zostawiły w ziemi czarne wgłębienia, które urywały się nagle przy zwalonym kamieniu, skrupulatnie odtwarzając minione wypadki. Jakby potrzebne mu było jeszcze jakieś potwierdzenie, Carson podszedł do krawędzi murku i przyjrząwszy mu się dostrzegł, że wystające ostre kamienie nosiły ślady błękitnego lakieru hondy.

Z tyłu na drodze usłyszał jakiś szelest, a ponieważ obrócił się tak szybko, że noga obsunęła mu się na mokrej trawie, na pół upadł, na pół ześliznął się na szosę. Zauważył tylko jakiś ruch za samochodem, a gdy odzyskał równowagę, nie dostrzegł już niczego.

Ostrożnie obszedł hondę. Drzwi od strony kierowcy nadal były otwarte i kilka płatków śniegu, które tańczyły w powietrzu, zabłąkało się do środka. Carson zamknął drzwi samochodu.

Powoli szedł dalej. Nasłuchiwał, lecz nie dobiegł do niego żaden dźwięk, tylko wiatr usiłował strząsnąć z drzew ostatnie suche liście, a zimne jezioro falowało za krzakami. Może tylko wydawało mu się, że coś zobaczył; im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większą miał pewność, że musiało to być tylko chwilowe zawirowanie śniegu albo owca, która przeszła przez wyłom w murze i nie mogła trafić z powrotem, a później uciekła, wystraszona jego obecnością. Wyjdiesz na idiotę, tropiąc na szosie jakieś majaki, powiedział sobie, skradając się do bramy. Serce waliło mu jak młotem, a wszystkie zmysły miał wyostrzone do ostatnich granic. Zawahał się, po czym zrobił ostatni krok, wychodząc na otwartą przestrzeń za drogą. Spojrzał w dół, spodziewając się ujrzeć głupiutkie, smutne owcze oczy i stwierdził, że ma przed sobą lufę karabinu.

— Ręce do góry — rzucił spiesźnie żołnierz, prostując się i celując w

niego ciężką broń. Był w mundurze polowym, a mała krótkofalówka zwisała mu z boku u paska.

Carson usłyszał za sobą szumy i trzaski, a gdy się odwrócił, spostrzegł, że jeszcze dwóch uzbrojonych ludzi przedziera się przez krzaki. Jeden z nich zaczął nadawać coś przez radio, drugi wysoko podniósł broń i przeszedł przez drucziane ogrodzenie.

— Głuchy jesteś? — zapytał pierwszy mężczyzna, a Carson pośpiesznie położył ręce na głowie. Wszystkie karabiny wymierzone były teraz w niego. Nie miał co tłumaczyć tym ludziom, że gdyby spróbował ucieczki, a oni zaczęliby strzelać, najpewniej pozabijaliby się nawzajem, ale też nie było sensu wypróbować tego w praktyce.

— Rover jedzie — odezwał się jeden z mężczyzn i w tym momencie pojawił się wojskowy samochód.

Carsona wepchnięto na tył, pod brezentową plandekę; wszystkie trzy karabiny miał wycelowane w kark. Samochód podskakiwał na wybojach. Nikt się nie odzywał. Nie widział, dokąd jadą, lecz ostry zakręt oznaczał chyba, że minęli Langstone i wjechali na drogę do kliniki Jennera, co potwierdzałoby nagle wzniesienie terenu.

— Chyba panowie trochę przesadzili — odezwał się Carson z nadzieją w głosie. — Stłukła mi się przednia szyba, więc się zatrzymałem i tyle.

Trzech mężczyzn z kamiennym wyrazem twarzy przypatrywało mu się w milczeniu.

Windeler wyszedł z obozu założonego na terenie kliniki, by przekonać się, co namierzyły jego lasery. Nie był zbyt podekscytowany, gdyż w ciągu tego tygodnia przywykł do fałszywych alarmów; miał całkowitą pewność, że wszystkie wzgórza są pod ścisłą obserwacją, lecz w dolinie teren jest zbyt nierówny, by można go było dokładnie sprawdzić. Szczyty i drogi mógł kontrolować jedynie wrywkowo, a wówczas wystarczało, żeby owca lub inne zwierzę weszło w strefę promienia, a patrol musiał niepotrzebnie się trudzić. Tym razem to co innego, gdyż przynajmniej przyskrzynili człowieka — lecz przecież nie na człowieka polują.

Wyszedł też Hennessy i stanął za Windelerem, tymczasem land rover zdążył głośno zahamować i Carsona wycpano z samochodu. Otaczało go trzech żołnierzy z karabinami opuszczonymi, lecz nadal gotowymi do strzału. Nie musieli już próbować go zastraszyć. To robota oficera.

— Kto to jest, do diabła? — spytał Windeler.

— To Peter Carson — odpowiedział mu Hennessy, trzymający się za Windelerem, gdyż w ten sposób czuł się bezpieczniej. Wydawał się niepokojąco zadowolony.

— Że też pan mnie pamięta — powiedział Carson.

— Spodziewaliśmy się pana — Hennessy skinął na stojącego obok dowódcę patrolu. — Wprowadźcie go do środka — polecił.

Wojskowy ani drgnął, wydawało się, że w ogóle nie dostrzegła obecności Hennessy'ego. — Mówi, że coś go zatrzymało na drodze — oświadczył Windelerowi z niedowierzaniem w głosie.

Carson chciał zaprotestować, że nic takiego nie mówił, lecz Windeler odezwał się pierwszy: — Kontrola wyłapałaby wszystko, co się na tym obszarze porusza.

— To dobre na płaskim terenie — zauważył Carson. — A drzewa?

Zapadła cisza, słychać było tylko lekkie uderzenia o brezent płatków śniegu, który przestał już topnieć i zaczął się nawarstwiać. Niebawem Windeler będzie miał zdradziecką pułapkę, na którą czekał. — Ile on wie? — spytał cicho Hennessy'ego.

— Zdaje się, że wystarczająco dużo.

Windeler odwrócił się i poprowadził ich przez podwórze do połowego centrum dowodzenia mieszczącego się w dawnej świetlicy. Tym razem poszli za nim wszyscy z wyjątkiem dwóch szeregowców, którzy wsiedli do land rovera i pojechali na posterunek, by oczekiwać następnego alarmu. Z pomieszczeń, w których niegdyś znajdowało się prywatne mieszkanie Jennera, dochodziły smakowite zapachy. Wojsko najwyraźniej już się zadowoliło.

Windeler wskazał Carsonowi krzesło i kazał mu usiąść. Dowódca patrolu zajął stanowisko przed drzwiami na wypadek jakichś kłopotów. Usunięto wszystko, co mogłoby nadać pomieszczeniu nieco przytulności. Carson siadł za szerokim stołem, mając Windelera i Hennessy'ego naprzeciwko. Nie świecono mu lampą w oczy, nikt obok niego nie uderzał od niechcienia gumową pałką po rękę, po prostu Hennessy i Windeler zajęli swoje miejsca, jakby mieli przeprowadzić trudną rozmowę wstępną w sprawie przyjęcia do pracy, a on nie sprawdzał się jako kandydat.

— Wiemy, że wszedł pan w posiadanie pamiętników Liawskiego — odezwał się Hennessy. — Teraz mamy również dowody, że pan je przeczytał. — Przy tych słowach zerknął na rozłożony przed sobą arkusz papieru, jakby musiał podeprzeć się raportem albo sprawozdaniem.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Wczoraj wieczorem złapaliśmy Davida Reynoldsa, mniej więcej w tym samym czasie, gdy tak sprytnie zniknął pan na North Circular Road. Poszedł prosto do swojej dziewczyny, a tam już ktoś na niego czekał.

Windeler odchylił się na fotelu, pozwalając Hennessy'emu prowadzić przesłuchanie, gotów jednak przerwać mu w każdej chwili, gdyby rozmowa zaczęła dotyczyć najbardziej interesującego tematu — chimery. — Dlaczego pan tu wrócił, Carson? Chce pan sam pomścić Tracy Pickford, bo pańskim zdaniem jest pan od nas lepszy?

— Pomścić Tracy? — spytał Carson zdumiony. — Uważacie, że o to mi chodzi?

Hennessy był zadowolony. Przesłuchanie toczyło się gładko i logicznie, jak tylko urzędnik może sobie wymarzyć. — No dobrze — powiedział. — Więc co chce pan zdziałać?

Carson zastanawiał się przez chwilę. — No cóż — odparł — nie byłoby źle, gdybym udowodnił, jak głupio pan postępuje. I żeby wszyscy się o tym dowiedzieli, a pan na własnej skórze przekonał się, jak to smakuje.

— Nie ma pan prawa mówić mi o uczuciach. Pańska dziewczyna została zamordowana, a pan się tym przejął tak samo jak wynikami wyścigów konnych.

— Panu się wydaje, że wie, co ja myślę? — zapytał Carson.

Hennessy postukał palcem wskazującym w leżący przed nim na biurku papier. — Znamy pana lepiej, niż pan może przypuszczać — powiedział.

— Wątpię. Możecie mieć moją teczkę, grubą na parę cali, ale niech się wam ani przez chwilę nie zdaje, że mnie znacie.

— Mamy coś więcej — naciskał Hennessy.

— Nie — dobiegł Carsona głos z tyłu. Nie odwrócił się. — To wszystko co mamy.

Alison zamknęła drzwi i wzięła jedno ze stojących obok lekkich, twardej krzesel.

— Pożyczyłem twój samochód — powiedział Carson, gdy przeniosła zydelek przez pokój i postawiła tuż przy biurku. Zepsuło to porządek przesłuchania, lecz nikt słowem się nie odezwał. — Zapłaciłem rachunek, ale musisz wstawić nową szybę.

— Nie zdziwiłeś się na mój widok? — Wyglądała na zmęczoną, a ruchy miała powolne. Gdy usiadła, zaczęła pocierać skronie, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Nie — odparł. — Szybko się zorientowałem, że to ty sprzedawaś Liawskiego. — Rzeczywiście tak było, gdyż przypomniał sobie karteczkę przyczepioną do worka ze szczątkami Tracy Pickford, tymczasowo zidentyfikowanej jako Wells CA., K. (?) Catherine Alison.

— Gdzie jest dziennik, Carson? — dopytywał się Hennessy.

— Nie dostaniecie go.



— Dostaniemy, gdziekolwiek by był.

Carson potrząsnął głową. — Jeśli dostaniecie dziennik, możecie mnie pochować razem z ciałami, które wyciągnęliście z tej kliniki.

Hennessy był niemal wstrząśnięty. — Za kogo nas pan uważa?

— Dobrze wiem, kim jesteście.

— Peter, proszę — odezwała się Alison, po raz pierwszy patrząc mu w oczy. — Nawet nie wiesz, jakie to ważne.

— Co z tym dziennikiem? — dopytywał się Windeler.

Alison zerknęła na Hennessy'ego. — Aż do zeszłego wieczoru nie miałam pojęcia, że w ogóle coś takiego istnieje.

— Owszem, jest coś takiego — zapewnił ją Hennessy. — Po rozmowie z Reynoldsem znaleźliśmy kufer Liawskiego i mamy kolejne zeszyty.

— Panie Carson — odezwał się Windeler z lekkim, lecz niebudzącym wątpliwości ostrzeżeniem w głosie — proponuję, żeby nam pan powiedział, gdzie jest pamiętnik.

— To żadna tajemnica. Nadałem go na pocztę.

— Możemy go wyciągnąć? — spytała Alison, a Hennessy powoli skinął głową.

— To się da zrobić. Powiemy, że podłożono bombę, i wyłuskamy go z sortowni.

Carson z ulgą stwierdził, że prawidłowo ocenił poziom przebiegłości Hennessy'ego. — W Nowym Jorku? — zapytał.

— O, cholera — zaklął tamten lodowato.

Windeler pochylił się nieco. — Jeszcze mamy szansę. Jeśli został nadany dziś rano, będzie na lotnisku.

Carson sprawił mu zawód. — Został nadany wczoraj wieczorem specjalną pocztą i zapłaciłem straszne pieniądze, żeby poleciał concordem. Jeśli nie było opóźnienia — a dziś rano telefonowałem i sprawdziłem, że wszystko odbyło się zgodnie z planem — paczka znajduje się w drodze z Waszyngtonu do Nowego Jorku.

Teraz Hennessy zaczął się pocić jak w saunie. — Dlaczego do Nowego Jorku?

— Ma tam swojego agenta — poinformowała go Alison.

— Musimy go dopaść — rzucił natychmiast Windeler.

— W jaki sposób? — zapytał Hennessy. — Nie możemy prosić o współpracę przy odzyskaniu dokumentu szczegółowo opisującego, jak złamaliśmy zasady Konwencji Waszyngtońskiej.

— Czy nie mamy ludzi w Nowym Jorku? — spytała Alison.

Hennessy ze zniechęceniem przecząco pokręcił głową. — Nie takich, o jakich ci chodzi. Wszystko się wyda. — Spojrzał oskarżycielsko na Carsona. — Urządzą nam polowanie na czarownice.

— Może być gorzej — ostrzegł Carson.  
— Chyba ma trochę racji — odezwał się Windeler.  
— Ależ oczywiście — rzekł Hennessy z nieukrywanym sarkazmem.  
— Posłużyliśmy się bardzo specjalistycznymi technikami, by wyprodukować podludzi na skalę przemysłową. Naszym jedynym osiągnięciem jest zbiegły morderca, a wiadomość o tym rozniesie się po całym świecie. To, co mogłoby być największym wynalazkiem dwudziestego pierwszego wieku, stanie się zaledwie skandalem, rozdmuchanym we wszystkich środkach masowego przekazu. Ale owszem, ma pan rację. Chyba może być gorzej. — Popatrzył na Carsona. — Wyobrażam sobie, jaki musi pan być z siebie dumny.

— Powiniennem pana określić jednym słowem — rzekł Carson — ale jestem zbyt dobrze wychowany, by go użyć. Oficjalnie jest pan urzędnikiem w służbie publicznej. Kiedy zrobi się szum, może zacznie pan zwracać uwagę na tych, którzy są pańskimi prawdziwymi pracodawcami. — Zerknęła na Alison, która unikała jego wzroku i najwyraźniej była zakłopotana. — Po kimś takim wszystkiego bym się spodziewał — rzekł. — Ale nigdy bym nie uwierzył, że ty też jesteś taka sama.

— Zaangażowałam się w ten program — powiedziała. — Gdy za bardzo zacząłeś interesować się szczegółami, musiałam o tym komuś powiedzieć. Nie myśl, że nie miałam oporów.

— Wszystko jedno. Jednak to zrobiłaś.

— Sądziłyśmy, że Tracy Pickford chciała nadać publiczny rozgłos temu, co się dzieje w klinice. Uważaliśmy, że dlatego szukała z tobą kontaktu.

— Chyba macie rację. Powiniennem był już się przyzwyczaić, że każdy próbuje mnie wykorzystać.

Hennessy odsunął krzesło. ~— Muszę zawiadomić komisarza — powiedział. — Pewnie obedrze mnie żywcem ze skóry.

Carson śledził wzrokiem urzędnika, spieszenie okrążającego biurko. — Jenner prawdopodobnie zrobiłby to sprawniej — powiedział.

— Uważaj pan na niego, Windeler — rzucił Hennessy od drzwi. — Jeśli się będzie stawiał, niech go pan lekko postrzeli, ale tak żeby zabolą.

Windeler spojrzął za zegarek, lecz nie palił się do prowadzenia przesłuchania na własną rękę — Carson nie mógł mu wiele powiedzieć na temat, który go rzeczywiście interesował. Prawdziwym problemem było przyjęcie odpowiedniej taktyki i uniknięcie politycznych komplikacji. Windelerowi znany był niezaprzeczalny urok korupcji.

Alison mechanicznie gładziła brzeg biurka, lekko przebierając palcami

po zniszczonym przez lata użytkowania blacie. — A co z Chadem? Co go do tego skłoniło? — spytał Carson.

Przez chwilę wydawała się przestraszona słysząc to imię w ustach człowieka spoza kliniki, lecz niebawem doszła do siebie. — Rósł coraz bardziej, ale czasami paskudnie się zachowywał. Dlatego Jenner przeniósł się tutaj, gdzie ewentualne awantury Chada nie zwróciłyby takiej uwagi. Z początku pozwalaliśmy mu swobodnie się poruszać, ale parę razy próbował ucieczki. Zawsze wracał, lecz nie mogliśmy ryzykować, że ktoś go zobaczy. Kiedyś wymknął się na całą noc i wtedy naprawdę wpadliśmy w panikę.

— Buntował się?

— Właściwie nie, po prostu był nieznośny. Nie wiedział, czy jest szympansem, czy człowiekiem i trudno było przewidzieć jego reakcje. Przeważnie zachowywał się potulnie, nawet gdy doktor Jenner sprawiał mu ból. Ale i tak po pewnym czasie musieliśmy ciągle zamykać go w zwierzyńcu. Nie był z tego zadowolony.

— Jak na to wpadłaś?

Teraz spojrziała na niego gniewnie. — Przestań traktować mnie jak śmiecia, Peter. Fakt, że zachowałam się wobec ciebie paskudnie i bardzo cię za to przepraszam, ale uważam, że to, co robię, ma sens.

— Zachowałaś się paskudnie wobec mnie? Udało mi się wywinąć z pułapki bez najmniejszych kłopotów.

— Chad był zwierzęciem, Peter, jest zwierzęciem. Gdybyś go zobaczył, wiedziałbyś, co mam na myśli. Wszystkie jego ludzkie cechy są powierzchowne.

Pragnął ją zranić, ale nie chciał, by cierpiała. Odkąd ją widział po raz ostatni, postarzała się o trzy czy cztery lata, lecz nadal emanowała z niej wrażliwość tej dziewczyny, która w saloniku Liawskiego płakała w ręcznik nad zniekształconym małym dzieckiem.

— Liawski wspominał, że szympanasy mogą posługiwać się jakimś językiem. Uczylaś go czegoś?

— Porozumiewania się na migi? Nie.

— Czy kiedyś próbował?

— Pochwycił parę znaków.

— Liawski pisał, że dzięki znakom łatwiej ci było porozumieć się z szympancami. Dlaczego nie nauczyłaś go języka migowego?

— Nie wiem.

— Bo już był w tym za dobry, jak na twoje wymagania? O to chodzi?

— Nie — przekonywała. — Umiał naśladować gesty, jak wszystkie szympansy. Przestań traktować je jak ludzi.

— Nie robię tego. Ale zaczynam się orientować, jak to jest, gdy ocenia się kogoś według kryteriów przydatności. Słyszałaś Hennessy'ego. Dla niego jestem małym ogniwem pasującym do reszty łańcucha.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwał się Windeler. — Niezupełnie, panie Carson. Chyba mu pan w ogóle nie pasuje.

Carson niemal się uśmiechnął. — Już nie — powiedział. — Niezmiernie mi przykro.

— Próbował pisać — zaczęła Alison. Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. — Tego popołudnia, gdy miałam jechać do Londynu, wziął mój notatnik i usiłował napisać kilka słów — ciągnęła. — Nie wiedział jak, bo nigdy mu tego nie pokazywałam — nie było po co, gdyż miał tak niezkształcone ręce, że nie mógłby utrzymać pióra. Ale wziął mój notatnik, długopis i próbował narysować parę liter.

— I co zrobiłaś? — spytał Carson.

— Zabrałam mu wszystko i wepchnęłam z powrotem do klatki. Usiłował przeproszać mnie na migi, ale nie zwracałam na to uwagi. Gdy go zamknęłam, zaczął zachowywać się jak szympan: skakał, wrzeszczał i walił pięściami w pręty. Przestraszyłam się. Nie jego agresji — znam Chada od małego i bez kłopotów mogę nad nim zapanować — ale bardziej tego, co zrobię, jeśli uda mu się napisać kilka słów.

— A co byś zrobiła?

— Pewnie nic. Dlatego to takie przerażające. Wmówiłam sobie, że Chad to tylko biologiczna chimera, tak jak nas uczył doktor Jenner. Stwierdziłam, że moje pierwsze reakcje były dziecinne i zbyt emocjonalne. Teraz wątpliwości zaczęły powracać, akurat gdy stanęliśmy na progu wielkiego przełomu w programie klonowania. Lucy — szympansica, która niedawno zdechła — nosiła w sobie embriona. Mieli go wszczepić pacjentce Marie Forester tego samego dnia, gdy się to wszystko stało. Później doktor Jenner opowiedziałby jej tę samą historyjkę, którą wykorzystał już wcześniej.

— Poronienie? — zapytał Carson, a Alison potakująco skinęła głową.

— Dlaczego dopiero teraz nam pani o tym mówi? — spytał Windeler.

— Staralam się zapomnieć. — Popatrzyła na Carsona. — Już prawie mi się udało.

Wrócił Hennessy, czerwony na twarzy i zlany potem. Zamykając za sobą drzwi, odezwał się do Windelera: — Komisarz jest wściekły. Zaczął czyścić akta.

— Nie ma co liczyć na to, że Carson będzie skłonny do współpracy. Skoro pozbył się pamiętnika, nie dysponuje żadnym atutem.

— Więc co robimy?

— Komisarz nie dał panu żadnych instrukcji?

— Powiedział, żebyśmy się pomodlili o cud. Sami musimy sobie radzić.

— Więc lepiej upierzmy nasze brudy zanim będzie za późno. Sprowadzimy helikoptery i skontrolujemy każdy skrawek doliny. Potem zastanowimy się, jak to oficjalnie wyjaśnić. Po pierwsze musimy znaleźć to zwierzę i zmieść najmniejsze ślady po nim z powierzchni ziemi.

Alison była zaskoczona zmianą postępowania — najpierw mieli tylko schwytać Chada, teraz chcą go zabić. — Chyba nie ma potrzeby posuwać się tak daleko.

— Już jest. — Windeler odwrócił się do Hennessy'ego, wskazując Carsona. — Co pan chce z nim zrobić? — Jego ton sugerował, że gdyby w grę wchodziły względy natury czysto wojskowej, szybki strzał położyłby kres wszystkim kłopotom.

— Niech go pan zamknie w jakimś bezpiecznym miejscu — Hennessy rzucił Carsonowi jadowite spojrzenie. — Bardzo bezpiecznym.

— Może w zwierzyńcu? — zaproponowała pośpiesznie Alison, a Carson pomyślał: świetnie, dziecino, dochodzimy do siebie, co?

— Dobry pomysł — powiedział Hennessy, którego w tej propozycji bardziej zainteresowało oczywiście poniżenie Carsona niż względy bezpieczeństwa. — Załatwi to pan, Windeler?

Wojskowy wezwał dowódcę patrolu i Carsona odeskortowano przez podwórze do zwierzyńca, który w czasie pożaru nie doznał uszczerbku. Alison szła parę kroków za nimi, nie mogła bowiem zostać w punkcie dowodzenia, gdyż Windeler szkicował plan szczegółowego przeczesania doliny Langstone. Dziewczyna stanęła z tyłu, przyglądając się, jak pakują Carsona do ogrodzonego wybiegu dla szympanсів, o drzwiach szczelnie zamkniętych na ciężką kłódkę, zabezpieczoną przed manipulacją przez osoby niepowołane. Mężczyznę umieszczono w jednej z ostatnich klatek, a Bobo i Fifi znajdowały się tuż obok. Były podenerwowane tymi dziwnymi wypadkami, rozdrażnione kręciły się w kółko, sapiąc głośno. Alison podeszła i uspokoiła je paroma gestami.

Wojskowy zawahał się w połowie drogi do drzwi. Nie chciał zostawiać tu Alison, dziewczyna odwróciła się więc do Carsona i spytała: — Myślisz, że mam inne wyjście?

Już miał uchwycić się prętów, lecz uświadomił sobie, że wyglądałoby to żałośnie. Włożył więc ręce do kieszeni i odparł: — Nie decydujesz o tym sama. Ale masz niemiły zwyczaj wydawania znajomych ich przeciwnikom.

Przytaknęła — nie mogła nie przyznać mu racji — i dała się wyprowadzić. Dowódca patrolu zamknął drzwi zwierzyńca, po czym Carson usłyszał szcęk przekręcanego od zewnątrz klucza.

W klatce miał akurat tyle miejsca, by móc się wyprostować. Właściwie nie była to nawet klatka, a raczej metalowa zagroda. Jej podłogę pokrywały nieheblowane deski, a tylną ścianę zbudowano z pobielonego kamienia, w którym na wysokości podłogi znajdowały się kwadratowe otwory, zablokowane ciężkimi stalowymi płytami bez zawiasów.

Był to kawał solidnej kowalskiej roboty. Nie przewidziano żadnych uchwytów, które można by obluźować, rygli, które dałoby się odciągnąć, a przednie pręty — najważniejsze w tej konstrukcji — zatopione były w betonie. Bobo i Fifi, uspokożone przez opiekunkę, obserwowały go z zainteresowaniem. Niejako odwrócenie ról.

Po chwili Bobo wstała i na czworakach przeszła w głąb klatki. Uchwyciła się prętów, naprężyła mięśnie, parę razy potrząsnęła głową i zaczęła za nie szarpać. Żelastwo zaskowyczało, po czym rozległ się zgrzyt i wysunęły się metalowe wypusty, które przytwierdzały pręty do tylnej ściany. Gdy bolce puściły, szpara szerokości dziewięciu cali między końcami prętów rozszerzyła się na stopę. Drobną Fifi bez większego trudu przecisnęła się przez otwór.

Carson gwałtownie rzucił się do tyłu, gdy mały szympans wskoczył na pręty klatki i wspinał się pod sufit, trzęsąc żelastwem całą siłą swych krzepkich mięśni. Bobo puściła pręty i przyglądała się uważnie. Fifi wyciągnęła długą rękę na zewnątrz klatki i po chwili stalowa zatyczka wypadła i zadyndała na krótkim łańcuszku.

Fifi zeskoczyła z ogrodzenia. Przegroda odsunęła się o parę cali. Carson wyciągnął rękę, by sprawdzić na ile. Bobo znowu rozsunęła pręty, a Fifi wślizgnęła się przez otwór.

Carson siedział w specjalnie umocnionej klatce, w której unieruchamiano zwierzęta. Teraz, gdy szympansica wyjęła zatyczkę, płyta przegradzająca łatwo przesuwiała się w przód i w tył.

Bobo i Fifi wróciły na miejsca. Nie było śladu majsterkowania przy klatce, żadnych oznak, że Fifi w ogóle wychodziła. Bez względu na to, co poleciała im Alison, komendę taką mogły zrozumieć tylko szympansy. Przyglądały się teraz Carsonowi uważnie.

Ta obserwacja działała mu na nerwy, które i tak były napięte do ostatnich granic — przez całą dobę trzymały go na nogach wściekłość i strach.

Pokerowa zagrywka z pamiętnikami Liawskiego zakończyła się jedynie połowicznym sukcesem, wybuchnie skandal na skalę międzynarodową, lecz pokrecony hominid, stworzony przez Jennera, nic na tym nie zyska, jeśli Windeler w końcu go wytropi. Praktycznie rzecz biorąc, same dzienniki nie wystarczą, jeśli nie będą mieli dowodu w postaci żywego okazu.

Bez specjalnego hałasu odsunął ruchomą przegrodę i podszedł do otworu w kamiennej ścianie. Ukląkł przed nim i zaczął szukać jakiejś szczeliny w stalowej płycie. Najwyraźniej opadała ona jak gilotyna, a choć nie była tak ostra — sądząc po krawędzi, którą zbadał, gdy usiłował wcisnąć pod nią palce — będzie potrzebował lewarka.

Poszperał po kieszeniach. Obmacali go w poszukiwaniu broni, lecz scyzoryk był zbyt płaski, by zwrócili na niego uwagę. Wyjął najmocniejsze ostrze — krótki, gruby śrubokręt, który podłożył pod krawędź płyty i spróbował ją unieść. A choć nic z tego nie wyszło, stwierdził, że gdy obraca ostrzem, płyta unosi się na pół cala, co wystarczyło, by wcisnąć tam zwinętą kurtkę.

Powiększywszy otwór, zdołał wsunąć pod niego rękę i spróbował unieść płytę. Prąd zimnego powietrza dmuchnął do środka, owionął mu kolana, a potem, gdy podjeżdżająca do góry ciężka płyta zazgrzytała i zachrobotowała, poraził go blask dziennego światła.

Carson wyczołgał się na mały ogrodzony dziedziniec, który z trudem spełniał rolę wybiegu dla szympansov, a mimo otwartej przestrzeni nad głową, na szczycie zewnętrznego muru zamocowano trzy warstwy srebrzystego drutu, biegnącego do znajdującej się w rogu skrzynki łączeniowej. To, pomyślał, prostując się i otrzepując z kurzu, musi być przytwierdzone do zewnętrznej ściany, okalającej wszystkie zabudowania, choć jest niewidoczne z drogi do Langstone. Odwrócił się i zasunął metalową płytę. Nie chciał okazywać swej niewdzięczności Fifi i Bobo narażając je na zapalenie płuc.

W rogu wybiegu leżały, zwalone na kupę, cztery łyse opony i resztki zgniłych przemarzniętych owoców. Bruk dziedzińca prześwitywał jedynie miejscami. Carson usiłował otworzyć drewnianą bramę, lecz była zamknięta na klucz, więc stanął na palcach i ostrożnie dotknął najniższego drutu, a gdy nie poczuł wstrząsu, zaczął działać już pewniej.

Przerzucił kurtkę, by porządnie się zaplątała na przewodach, po czym użył jej jako liny, po której wspiał się na górę. Tam rozwinął materiał i zrzucił go na pole po drugiej stronie muru, a potem zeskoczył.

Tak jak się spodziewał, wylądował w pobliżu budynków gospodarczych, z dala od drogi dojazdowej. Wyboista, kamienna ścieżka wiodła do bramy

dziedzińca wokół zewnętrznego muru, a dalej był już tylko gąszcz paproci, zasypywanych coraz grubszą, biało-szarą warstwą śniegu. Gdy Carson wciągał kurtkę przez głowę, przez małe pęknięcia i dziurki widział światło dzienne, gdyż materiał porozdzierał się na drutach, lecz i tak trochę chronił przed zimnem. Lepsze to niż nic. Mocno owinął się kurtką i ostrożnie ruszył przed siebie.

Większość ludzi Windelera rozproszyła się po terenie doliny. Biwakujące patrole czekały na sygnał radiowy i namiary na mapie, które mieli otrzymać z centrum dowodzenia, toteż choć klinika miała być ciągle strzeżona, podwórze było puste. Carson przez minutę obserwował teren, nim zaryzykował wyjście na otwartą przestrzeń, a chociaż z budynków dochodziły słabe odgłosy życia, nikogo nie zauważył.

Dziesięć sekund później był na drodze i zmierzał ku wzniesieniu, za którym nie będzie już go widać od strony kliniki. Nikt nie krzyczał ani nie strzelał, a strach, który powodował, że żołądek podchodził mu do gardła, gdzieś się ulotnił. Nieprędko zorientują się, że uciekł, bo nikomu chyba nie przyjdzie do głowy zaglądać do klatki, gdy wszystkie zamki na zewnątrz są nienaruszone. Teraz przede wszystkim musi uważać, by znowu nie dać się złapać w działającą wybiórczo i mocno niedoskonałą laserową siatkę Windelera.

Promień na pewno skierowany był na drogę — bez wątpienia Windeler chciał wiedzieć, czy ktoś się zbliża bądź oddala. Carson usiłował zmobilizować całą swą wiedzę na temat laserów, lecz zdołał sobie tylko przypomnieć, że ich promienie padają idealnie prosto i odznaczają się stałą koncentracją, co znaczy, że nie mogą biec po krzywiźnie i nie słabną przy dużych odległościach. Pierwsza z owych właściwości ogranicza obszar funkcjonowania urządzenia — lasera i połączonego z nim odbiornika czy też reflektora, a druga zmniejsza jego dokładność. Windeler może się zorientować, że promień natrafił na przeszkodę, ale nie będzie w stanie ustalić, jak daleko się ona znajduje. W celu wykrycia intruza laserowa wiązka prawdopodobnie będzie krótka i ustawiona nisko, trzy, najwyżej cztery stopy nad ziemią. Mając to wszystko w pamięci Carson dochodząc do Langstone obserwował stojący przed nim mur. Sto jardów przed skrzyżowaniem z główną drogą do doliny ujrzał schowaną między kamieniami tarczę z obiektywem.

Gdy przyjrzał się uważnie, zdołał nawet dostrzec sam promień, zielonkawą smuzkę światła, wyglądającą jak zatrzymany na soczewce obraz. Nietrudno było zanurkować pod nią i maszerować dalej.

Gdy znalazł się w wiosce, naciągnął na głowę kaptur, by możliwie najbardziej zasłonić twarz — ot, jeszcze jeden spacerowicz spieszący się do



domu z powodu złej pogody. Minąwszy hotel i szkołę znowu zdjął kaptur; bardziej niż na dodatkowej ochronie przed zimnem zależało mu na tym, by usłyszeć każdy pojazd nadjeżdżający z tyłu. Szosa jednak była pusta, toteż szedł samotnie po mokrej drodze zasłanej zwiędłymi liśćmi i słuchał niemrawych ptasich treli.

Przed nim stała honda Alison. Mleczna przednia szyba nadal tkwiła na swoim miejscu, na wycieraczkach i wokół bocznych listew zaczął się zbierać śnieg. Carson zatrzymał się parę jardów przed samochodem i rozejrzał w poszukiwaniu promienia laserowego, który go wytropił. Prószyący śnieg ułatwiał widoczność, na jego tle ujrzął wiązkę światła, która przecinała pole i padała cał niżej od górnej krawędzi kamiennego murku.

Dwa identyczne wypadki, oba bez wyraźnej przyczyny, oba na otwartej przestrzeni w odległości kilku jardów od siebie. Nie może to być zbieg okoliczności. Chad wymordował i zakłuł nożem cały personel z jednym szczęśliwym wyjątkiem, lecz zdołał rozpoznać charakterystyczny samochód Alison i nie chciał, by mu się wymknęła. Dwukrotnie zatrzymał hondę i za każdym razem spotkało go niepowodzenie.

Może Windeler jeszcze sobie tego nie skojarzył albo nie dostrzega związku. Hominid musi być w takim miejscu, z którego mógłby obserwować drogę do doliny, siedzi pewnie w jakimś opuszczonym domku czy stodole i jest na tyle blisko, by móc dojrzeć samochód, o który mu chodzi, i zdążyć go zatrzymać.

W okolicy znajdowały się tylko jedne zabudowania, wysoko na wzgórzu okalającym dolinę. Były idealnie usytuowane, gdyż rozciągał się z nich widok na brzeg jeziora i drogę, a położone były w takiej odległości od szosy, że hominid mógł wygramolić się na dół, gdy nadjeżdżał oczekiwany pojazd. Carson zaczął iść w kierunku farmy Ravens' Crag.

Hennessy położył rękę na drążku zmiany biegów i usiłował wcisnąć sprzęgło, lecz udało mu się tylko sprowokować silnik do potwornego hałasu wywołanego tarcieniem metalu o metal.

Podniósł głos, by usłyszała go Alison. — Prowadziła pani kiedyś to draństwo?

Skinęła głową i zajęła jego miejsce, on zaś wysiadł i obszedł samochód dookoła. Windeler chciał, by oboje się stąd wynieśli, Hennessy zaproponował więc, by pojechali do hotelu Langstone. Wojskowy, zatopiony w mapach, na których szpileczkami zaznaczał kluczowe punkty, ostro odmówił, gdy urzędnik poprosił go o szofera, lecz kiedy zaproponował, by zeszli pieszo, a Hennessy udał, że w ogóle nie rozumie, o czym Windeler

mówi, dowódca poszedł na kompromis i przydzielił im samochód.

Alison wrzuciła bieg i zwolniła ręczny hamulec, po czym zakręciła i wyjechała z dziedzińca. Zerknęła w boczne lustro, które było źle ustawione, a gdy je poprawiała, zobaczyła w nim odbicie zwierzyńca. Czy Carson jest w środku? Nie mogła się o tym przekonać bez wzbudzania podejrzeń, nie była też w stanie sprawdzić, czy Bobo i Fifi zrozumiały jej polecenie i powtórzyły sztuczkę, którą znały prawie na pamięć.

W ciągu godziny jednostki Windelera zaczęły przeczesać całą dolinę. Być może wesprą je helikoptery, które już wystartowały z baz i gdziekolwiek Chad się ukrywa, znajdą go i zabiją, zostanie spalony na miejscu w wyniku zmasowanego ataku miotaczy płomieni. Gdy Windeler oświadczył, że zmiecie najmniejszy ślad Chada z powierzchni ziemi, mówił poważnie. Od tej pory prawda wejdzie z historią w nowe układy, Liawski na zawsze zostanie zapamiętany jako niespełna rozumu, żaloszny starzec, Jenner — jako śmiały naukowiec i humanitarny lekarz, natomiast zabójstwa w klinice będą oficjalnie uznane za nieszczęśliwy wypadek. Alison do końca życia będzie gardzić sobą, że dała się Jennerowi omotać. Mogła mieć nadzieję na uwolnienie się od wyrzutów sumienia jedynie wówczas, gdyby Carson zdążył znaleźć Chada, nim wytropi go Windeler.

Jeśli Carsonowi udało się uciec.

Brama farmy stała otworem, a dziedziniec był pusty. Carson spodziewał się, że rozlegnie się szczekanie psów, jazgotliwie zaskrzeczy drób, na sznurze będzie wisieć pranie, a z komina wzbije się ku niebu dym. Na podwórzu panowała jednak cisza.

Carson minął bramę i ruszył w kierunku domu. Buty skrzypiały na śniegu, a ich ślady były jedynymi ciemnymi plamami na pokrywanej dziedziniec białej powłoce.

Większość zasłon była niedbale zaciągnięta, przez szpary wpadało do środka trochę światła. Carson dostrzegł ciemne kształty starych mebli i nic poza tym. Wszystkie drzwi w domu były pootwierane. Jedynie w kuchni można było dostrzec cokolwiek, a ta wyglądała na zapuszczoną i zaniedbaną. Wokół zlewu stały stosy talerzy i niedbale otwarte puszki o postrzępionych brzegach, na stole leżała przewrócona torba na zakupy, a z jej wnętrza wyzierały dwa poczerńiały banany.

Carson odwrócił się od okna i rozejrzał dookoła, w zimnym powietrzu zawisła para jego oddechu. Nie miał żadnego powodu, by czuć się nieswojo — jedynie jego ślady na nieskazitelnej bieli świadczyły o czyjejs tu obecności; z rozczarowaniem, lecz i odrobiną ulgi stwierdził, że dom najwyraźniej

jest opustoszały — jednak między drewnianymi przybudówkami zbyt wiele było zakamarków i wnęk, by miał poczucie bezpieczeństwa.

Wypaczone drzwi stodoły były uchylone na parę cali. Carson podszedł i zajrzał do środka. Ze stryszku sączyły się promienie światła, słomkowe i przesycone drobkami kurzu, a dolna krawędź drzwi ocierała się o ziemię i skrzypiała, gdy otworzył je na tyle, by móc wejść.

Przed nim stał przykryty brezentem traktor, który zajmował niemal całą stodołę. W powietrzu unosił się zapach mokrego siana, myszy i jeszcze czegoś nieokreślonego, co go zaniepokoiło.

Pokrowiec dziwacznie marszczył się na maszynie. Carson uniósł róg, by odsłonić na pół rozebrany silnik, a wtedy białe ramię, bezwładnie opadając, uderzyło go w pierś.

Zatoczył się do tyłu, a brezentowa płachta zaczęła się ześlizgiwać i wysunęło się spod niej ciało kobiety, głową naprzód, z twarzą zwróconą ku górze. Przesunęło się parę stóp nim utkwilo w trybach maszyny i zawisło do góry nogami. Usta miała otwarte, oczy suche, a ramię wyciągnięte jak w prośbie o jałmużnę. Kuchenny fartuch zbryzgany był krwią, która teraz wyschła i szerniała, a gdy Carson przyglądał się temu z przerażeniem, ujrzał coś białego między fałdami pokrowca.

Zaczął się cofać ku drzwiom. Spod płachty wynurzyła się blada twarz mężczyzny. Usta miał rozchylone, a zęby czarne i zlepione krwią. Brezent zaczął się i zawisł nieruchomo.

Zimne powietrze pomogło mu powstrzymać mdłości, musiał jednak wyjść ze stodoły. Coś twardego z głuchym plaśnięciem walnęło go między łopatki, aż się okręcił wokół własnej osi, po czym cofnął się ku drewnianym drzwiom, otworzył je kopnięciem i wypadł na podwórze.

Hominid czekał na niego.

Był nieco tylko wyższy od dziewczynki, którą przytrzymał. Z trudem otaczał ramieniem jej szyję, a drugą ręką ścisnął rękojeść zardzewiałego kuchennego noża, którego ostry koniec przyłożył do gardła małej. Dziewczynka nerwowo przełykała ślinę, a wówczas ostrze podskakiwało w górę i w dół.

Hominid wpatrywał się w Carsona, z żółtawej twarzy wзираły czarne jak guziczki, pozbawione wyrazu oczy. Tkwił zupełnie nieruchomo, tylko lekko drgały mu nozdrza; usta miał wąskie, pozbawione wyrazu i mocno zaciśnięte.

Parę kroków z tyłu stał chłopiec w ciepłym palcie i za dużych gumowcach. Włosy miał potargane, a pod siedmioletnimi oczyma widniały ciemne kręgi.

Nikt się nie poruszył. Rzuciwszy spojrzenie chłopcu, Carson wbił wzrok w zgarbione zwierzę trzymające Sarah Gaskell. Stwór ubrany był w stare lachy, skrojone tak, by pasowały na jego dziwną sylwetkę, a stopy miał okręcone brudnymi szmatami. Ze szczytu okrągłej czaszki zwisało mu kilka pasm długich włosów, a gdy na chwilę odwrócił głowę i szybkim kiwnięciem nakazał Peterowi Gaskellowi podejść bliżej, Carson ujrzał biegnącą wzdłuż jego szyi poszarpaną na brzegach bliznę. Sarah gwałtownie wypuściła powietrze, gdy czubek noża mocniej wbił się w jej skórę, zeszywniała ze strachu, a na brudnym policzku ła zaczęła żłobić czystą brudę.

Chłopiec zbliżył się do chimery. Cały drżał. Gumowce spadały mu z nóg, gdy człapał nimi po śniegu. — Proszę — powiedział. — Proszę. Niech pan zrobi, co panu każe. Wysłał daleko mamę i tatę i jeśli pan go nie posłucha, już nigdy nie pozwoli im wrócić.

Hominid patrzył nieruchomym wzrokiem, czekając na jego reakcję. Chłopiec, nadal człapiąc butami, podszedł do Carsona stojącego w otwartych drzwiach stodoły. — Obiecał, że nic nam nie zrobi, jeśli pomożemy mu się schować.

Chłopiec miał jeszcze coś powiedzieć, lecz zająknął się. Carson zrozumiał przyczynę i chciał się przesunąć, by zasłonić mu widok matki, lecz było już za późno. Peter Gaskell z jękiem rzucił się naprzód, minął Carsona i wbiegł do stajni.

Carson próbował schwycić kaptur jego palta, nie dał jednak rady go utrzymać, drzwi od stodoły otworzyły się na oścież, a Sarah zapomniała o nożu i zaczęła krzyczeć.

Peter Gaskell ciągnął zimną rękę matki, głośno płacząc i błagając o jakiś znak, że go poznaje, wysilając każdy mięsień swego drobnego ciała, by nią potrząsnąć i wzbudzić jakąś reakcję. Nagle płachta zsunęła się na ziemię z drugiej strony traktora, odsłaniając zwłoki ojca. Poczerniały od własnej krwi, Desmond Gaskell uśmiechał się do syna bez miłości.

Carson powstrzymywał się, by nie zareagować zbyt gwałtownie i nie pobiec do dziecka. Wyjrzał na dziedziniec. Hominid nadal trzymał dziewczynkę, lecz rozpaczliwie rozglądał się dookoła. Gdy pobladła głowa kiwała się z boku na bok, Carson rzucił się na niego, by odebrać stworowi nóż.

Posłiznął się na śniegu i cała trójka upadła. Zaciśnął ręce na ostrzu, starając się przytrzymać płaszczyznę metalu, hominid natomiast za wszelką cenę chciał wyrwać nóż. Stał była zardzewiała, korozja zżarła już ostrze, lecz mężczyzna poczuł, że wrzyna mu się ono w delikatną skórę dłoni i prześlizguje na cal czy może nawet więcej. Przeszył go ból, gdy zwierzę

usiłowało zagłębić mu zęby w kłykciach. Carson walnął pięścią raz i drugi, czując twarde uderzenie kości o kość, a hominid zatoczył się i chwiejnie stanął na nogach, przyciskając obie ręce do nosa i dalej dzierżąc nóż.

Potknął się, idąc przez podwórko do ogrodzenia, a stamtąd ku otwartej górskiej przestrzeni. Carson usiłował podnieść Sarah na nogi, lecz opadła bezwładnie. Zwierzę przeskoczyło przez murek. Carson nie mógł pójść za nim, zostawiając dwoje roztrzęsionych dzieci na mrozie, wziął więc dziewczynkę na ręce i zajrzał do stodoły w poszukiwaniu chłopca, lecz już go tam nie było. Głębokie ślady gumowców wiodły ze stajni, wokół oczyszczonej ze śniegu ścieżki, na której doszło do walki, przez podwórze za bramę.

Kuchenne drzwi były zamknięte, lecz otworzyły się po paru kopnięciach, nie musiał nawet stawiać dziecka na ziemi. Posadził dziewczynkę na wytartej kanapie w saloniku i poszedł szukać telefonu, lecz gdy go znalazł, okazało się, że jest głuchy. Parokrotnie trąciwszy widełki pomyślał, że jeśli nawet nie dodzwoni się do wioski, Windeler wkrótce wpadnie na to, że coś dzieje się w Ravens' Crag, gdyż chłopiec, biegnąc w dół, na pewno przetnie promień jakiegoś lasera.

Carsona najprawdopodobniej odprowadzono by z powrotem do zwierzyńca, a patrol poszedłby po wyraźnych śladach Chada. Współczucie dla hominida nie przychodziło Peterowi już tak łatwo, gdyż przekonał się, jak bezlitosne i sprytnie potrafi być to zwierzę, nawet morderstwa w klinice nie wzbudziły w Carsonie takiej grozy, bo kiedy przybył, krew już zmyto, a starannie zapakowane zwłoki czekały na przewiezienie. Pomyślał, że łatwo jest patrzeć na sprawy krytycznie i ostro, gdy jest się od nich z dala.

W zasadzie niczego nowego się nie dowiedział. Zdawał sobie sprawę, że Chad jest pozbawionym skrupułów furiatem, który ucieka w popłochu. Wiedział też, że to sztuczny twór. Jenner pragnął stworzyć poręczny kawał ożywionej materii, która mogłaby odwzorowywać biologiczne reakcje ludzkiego organizmu na tyle dokładnie, by miały wartość handlową; nie zastanawiał się natomiast nad tym, że aby to uzyskać, musi stworzyć żywą istotę ze wszystkimi jej przywarami. Przykryte brezentem ciała w stodole to dzieło ręki Jennera, powstałe w wyniku samowolnej ignorancji.

Za kuchennymi drzwiami Carson znalazł palto, które wziął, by okryć dziewczynkę. Nie chciał zostawiać jej samej, ale musiał uciekać przed ludźmi Windelera, którzy niebawem się tu pojawią. Oddartym kawałkiem kuchennej ścierki owinął płytkie skaleczenie na rękę i wyszedł na podwórze.

Ślady stóp hominida były nadal widoczne, lecz pędzony wiatrem śnieg wypełniał je i zasypywał. Rzuciwszy spojrzenie w dół, na drogę i jezioro, Carson przekonał się, że na razie panuje tam spokój, po czym przesadził okalający podwórze mur i ruszył tropem Chada.

Peter Gaskell nie wpadł w pułapkę laserowych promieni. Bezwiednie ruszył najlepiej znanym sobie szlakiem, zrytym koleinami traktem w dół, a potem w połowie drogi skręcił na pełną ścieżkę, którą na skróty chodzili do szkoły. Ścieżka objęta była laserową kontrolą, lecz z powodu nierówności terenu promień padał dopiero na wysokości czterech i pół stopy nad ziemią. Peter Gaskell przeszedł dokładnie pod nim.

Przemarznąty i przemoczony, bez tchu, zanosząc się płaczem, wpadł do wioski i pobiegł prosto do jedyne go budynku, który znał naprawdę dobrze. Mike Schaffer usłyszał jego walenie do drzwi i wyjrzał za zewnątrz.

Chłopiec stał z wytrzeszczonymi oczyma i otwartą buzią — bez namysłu pobiegł do najważniejszych dorosłych jakich znał, prócz swoich rodziców, lecz oto stał przed nim jakiś obcy mężczyzna, a nie dyrektor szkoły. Przez moment usiłował znaleźć inne wyjście, ale cała jego gorączkowa energia nagle gdzieś się ulotniła.

Schaffer przykucnął i objął chłopca. Peter Gaskell trząsł się, płakał, coś bełkotał i żadne słowa Schaffera nie mogły go uspokoić z tego prostego powodu, że mały nie słuchał. Na filmach w razie ataku hysterii po prostu bije się po twarzy, lecz Schaffer nigdy tego nie próbował, nie wierzył w skuteczność takiej metody, a poza tym dziecko wydawało się niezwykle małe i wątłe. Zrozumiał tylko pojedyncze słowa, coś o matce, która zdaje się była ranna, oraz parokrotnie powtórzony wyraz „nóż”.

To mu wystarczyło. Wziął chłopca na ręce i zaniósł do hotelu.

W saloniku było pusto, w barze było pusto, w jadalni też było pusto. Schaffer nie tracił czasu na poszukiwania, po prostu stanął w hallu i krzyknął. Po paru sekundach z części kuchennej wyłonił się kierownik, już otwierający usta, by wyrazić swoją dezaprobatę.

Schaffer nie dał mu dojść do głosu. — Kim jest ten chłopiec? — zapytał obracając się lekko, by mężczyzna mógł spojrzeć na przerażoną, przyciśniętą do jego ramienia twarzyczkę. Kierownik zawahał się, zmarszczył brwi i zdawał się głęboko namyślać, tymczasem w drzwiach do saloniku pojawili się Hennessy i Alison.

— To chyba Peter Gaskell — doszedł głos z góry, z załomu schodów. Lesley, młoda Australijka, zeszła, by przyjrzeć mu się z bliska. — Tak,

to on. Mieszka na farmie Ravens' Crag. Pani Hamilton niedawno mi o nim opowiadała.

— Jego matce coś się stało — powiedział Schaffer. — Muszę tam zajrzeć i zobaczyć, o co chodzi. Możesz go ode mnie wziąć?

Lesley skinęła głową i wyciągnęła rękę, a Schaffer podał jej Petera. Kobieta była dla niego równie nieznamiona jak Schaffer, lecz w jej ramionach poczuł się pewniej. Policjant zwrócił się do Hennessy'ego.

— To może być to — rzekł. — Chłopiec mówił o nożu. Niech pan pójdzie do Windelera i powie mu, żeby jak najszybciej przyjechał na farmę do Ravens' Crag.

— Może lepiej będzie, jak Windeler sam się tym zajmie — zaczął Hennessy, lecz Schaffera już nie było.

Wpadł do swego pokoju po mapę i kurtkę, a gdy wyszedł przed szkołę, czekał już na niego wojskowy land rover. Przyjrzał się pojazdowi podejrzliwie — czyżby Hennessy próbował jakiejś sztuczki, by się go pozbyć? Lecz Alison wychyliła się z wozu i skinęła na niego, więc Schaffer zszedł i otworzył drzwi.

— Nie wie pan nawet, gdzie to jest — powiedziała, a on po chwili przytaknął i wszedł do samochodu. Wyjechali z wioski.

Peter Carson szedł wzdłuż muru. Wiatr zasypał śniegiem stare, twarde koleiny, które wyłobił traktor, toteż kierunek wędrówki wyznaczała tylko linia kamiennego muru i niewyraźne, co krok urywające się ślady hominida. Wcześniej musiały przechodzić tędy owce, bo ich odchody widniały jeszcze na bieli śniegu jak garść oliwek.

Wzniesienie było łagodne, lecz ciągnęło się bez końca. Mniej więcej milę dalej zbocze podniosło się stromo ku wysokim turniom i tam wspinaczka nie była już tak łatwa. Jeszcze sto jardów w górę, po czym mur zakręcał i urywał się. Ruiny chatki wyglądały na ostatnią oznakę cywilizacji. Ślady Chada wiodły przez niski nasyp z ostrych łupków i potężnych kamieni węgielnych, widniały przy ciemnej rysie strumienia i prowadziły dalej, ku otwartej przestrzeni doliny.

Strumień wił się po pofałdowanym terenie, otaczając lodowatym wirem nogi Carsona. Gdy go przekraczał, przenikliwie zimno w lewej stopie dało mu znać, że woda dostała się do buta. Spoglądając z brzegu na dachy Ravens' Crag, przywodzące na myśl siedziby skrzatów, ujrzał, jak wojskowy land rover na czele małego konwoju wjeżdża przez otwartą bramę ogrodzenia; patrząc przed siebie zaś widział figurkę hominida, skurczoną i niewyraźną z tej odległości. Chad wytrwale wspinał się po górach, wędrując brzegiem jakiejś innej strugi, pewnie zbyt szerokiej, by mocją przeskoczyć,

jak ten strumień, a przebycie jej wpływ równałoby się odmrożeniu okręconych szmatami nóg.

Carson ruszył dalej. Od początku starał się oszczędzać siły i zmusić organizm do forsownego wysiłku, nie było to teraz takie trudne, gdyż jego mięśnie zaczynały rytmicznie się napinać, lecz pierwsze pół mili było istną mordęgą. Taka właśnie dzieliła go teraz odległość od Chada, lecz hominid wkrótce zwolni, gdyż wyżyny zaczęły się wznosić bardziej stromo. Nadal trzymał się blisko strumienia, przerywając swój nierówny marsz, by zerknąć do tyłu, wkrótce na swym tropie prócz Carsona ujrzy kogoś jeszcze.

Mężczyzna obejrzał się. Zobaczył sylwetki ludzi po drugiej stronie muru, koło podwórka na farmie. Było ich najwyżej sześć. Ruszył dalej.

Teraz widział, dokąd zmierza Chad. Dwa czy trzy strumienie łączyły się w jednym punkcie, u kresu wąskiego żlebu na górskim zboczu. Była to zaledwie wąska szczelina o wyszczerbionych brzegach, niemal niewidoczna nawet z bliska. Uciekającemu zwierzęciu mogła się wydawać schronieniem, szansą na ratunek. Mogła też być ślepą uliczką, niedającą innego wyboru prócz ruszenia do ataku. Chad przystanął u stóp wąwozu, po czym wgramolił się na niego i zniknął z pola widzenia.

Wąwóz wyglądał jak otwarte drzwi do nieoświetlonego domu, był ciemny i odpychający w porównaniu ze splukaną deszczem białą szczytów. Zbocza porośnięte były krzewami, których gałęzie wyginały się do środka, oraz wątłymi drzewkami, czepiającymi się każdej szczeliny czy występu, by zapuścić w nich korzenie. W górze Carson zobaczył wodospad — kaskadę spienionej wody, która spływała do zbiornika zasilającego wijący się niżej burzliwy potok. Strumień w dole był szeroki, przejrzysty i wydawał się zwodniczo powolny; skały pod lustrem wody przywodziły na myśl długie pióra białego bażanta. Przez mgiełkę kropelek Carson ujrzał Chada, znajdującego się już w połowie drogi do drugiego wodospadu, lecz hominid zaraz obszedł pochyloną skałę i zniknął mu z oczu.

Jesienne deszcze i topniejące resztki pierwszych śniegów sprawiły, że wody przybrały. Trawy na skraju strumienia unosiły się na wodzie, przypłaszczone i pozlepiane jak włosy martwej kobiety. Wchodząc w rozpadlinę Carson musiał uważać, by się nie pośliznąć. Ciemność zamknęła się wokół niego, jakby ktoś nagle zgasił światło.

Z początku nie miał trudności i nie dziwił się, że hominid posuwa się tak szybko. Prąd strumienia, od miliona lat płynącego między skałami, łamał je i kruszył, toteż Carson mógł iść wzdłuż jego biegu, tak jakby wspinał się po nieregularnie rozmieszczonych schodach. Wodospad grzmiał



zaledwie parę stóp obok, lecz Carson nie czuł żadnego zagrożenia, przeciwnie, jego siła dodawała mu energii. Wspinaczka przestała być amatorskim wyczynem i zaczęła stanowić wyzwanie. Nadal jednak było czego się uchwycić, na czym postawić nogę. Przed sobą miał szczeliny wypełnione trawą i porośnięte mchem załomy, zawzięte siedliska życia na jałowej glebie.

Nie miał wyboru drogi, co było sprzyjającą okolicznością, gdyż nie istniał żaden inny szlak, którym mógł uciec hominid. Krawędzie skał były oblodzone, a z gałęzi w górze od czasu do czasu spadał srebrzysty pył, lecz na cienkiej warstwie śniegu nie odbijały się wyraźne ślady. Było to jednak i tak bez znaczenia — Chad mógł jedynie pisać się stromym wąwozem.

Carson przystanął, by złapać oddech. Nie było po co oglądać się za siebie, gdyż stąd widział tylko skrawek doliny w obramowaniu nagich skał wąwozu, a i tak widok przesłaniały wysokie drzewa. Nie miał pojęcia, kiedy ludzie Windelera zdołają go dogonić, przypuszczalnie byli w lepszej formie, lecz z kolei Carson nie musiał dźwigać broni ani sprzętu. Otarł z twarzy kropelki wody, przeszedł przez porośnięty mchem kamienny występ i znalazł się na skraju wyżłobionego w skale zbiornika u stóp drugiego wodospadu.

Był większy i głośniejszy. Woda pieniała się biało, a z miejsca, gdzie spadała, przeświecała oszroniona zieleń. Fale rozbryzgiwały się i wylewały z kamiennego basenu, poruszając gęsty szlam, który nagromadził się po bokach. Carson chciał przejść dookoła, lecz skalne ściany nachylały się nieco do środka i gdyby przestał się chwytac wszystkiego co możliwe, mógłby wpaść prosto do lodowatej wody.

Zbiornik był głęboki, o wąskiej krawędzi, na której dałoby się ustać w półprzysiadzie, opierając się na trzech, czterech calach podeszwy. Carson chwycił garść mocno wyrośniętych wrzosów i przytrzymując się ich przesunął do najbliższego miejsca, na którym można było postawić stopę. Posuwając się tak cal po calu zdołał przejść na płaską, niemal wyszlifowaną przez wodę skałkę, po czym wrócił na szlak prowadzący po naturalnych stopniach, teraz już bardziej stromych, mokrych i śliskich.

Podrapany, brudny, z trudem łapiąc oddech znalazł się już w pobliżu następnego wodospadu, gdy wąwóz wypełnił się warkotem i takim hukiem, że zagłuszył nawet hałas spadającej wody. Carson uniósł wzrok ku masywnemu kominowi skalnemu i ujrzał sunący po niebie helikopter. Po paru sekundach samolot zniknął, lecz przytłumiony szum jego śmigła dochodził jeszcze z oddali. Być może opuszczenie człowieka do wąwozu byłoby niebezpieczne, a może zauważyli gdzieś blisko ludzi Windelera i nie

chcieli podejmować takiego ryzyka. Jeszcze kilka stóp i Carson znowu znalazł się na skalnej półce wodospadu.

Tym razem nie miał przed sobą wyraźnie wytyczonej drogi. Gdyby został po tej stronie wąwozu, w ogóle nie mógłby się wspinać. Powierzchnia skały była naga, lita, ociekająca spływającymi z góry strużkami wody. Po drugiej stronie kamiennego basenu teren wyglądał bardziej obiecująco, niestety tylko trochę: stromy piarg, z którego sypał się grad drobnych kamyków. Tylko tędy mógł pójść hominid.

Carsonowi nie będzie chyba tak trudno przedostać się na drugą stronę — w końcu Chadowi się to udało. Tuż przy krawędzi wodospadu wystawało z wody mnóstwo dużych skał, a choć nie znajdowały się na tyle blisko ani nie były dość płaskie, by można po nich przejść, chyba uda mu się przeskoczyć z jednej na drugą. Carson wdrapał się na pierwszą skałę, przykucnął i odwrócił w kierunku następnej.

Wszystko szło dobrze do połowy drogi — unikał niebezpiecznego wychylania się w stronę kamieni i zabronił sobie myśleć o wysokim wodospadzie, oddalonym zaledwie na wyciągnięcie ręki. Gdy jednak spróbował skoczyć na mały, niewinnie wyglądający kamienny wzgórek, wciśnięty między dwa inne, uwięzła mu noga.

Nadepnął na zdechłą owcę, we wnętrznościach której wił się kłab robaków. Choć cofnął się i chwiejnie próbował odzyskać równowagę, oblepiły mu nogi ruchliwą chmarą, a on stracił oparcie i wpadł prosto w spiętrzoną wodę.

Carson grzązł i potykał się, zdołał jednak utrzymać pozycję pionową, rozpryskując wokół wodę opierał się natrętnemu parciu prądu, który spychał go w sam środek spadającej wody. Pod stopami miał chybotliwe, gładkie i oślizłe kamienie. Postukiwały o siebie wzajemnie, grożąc, że, targane silnym prądem, podetną mu nogi. Stał jednak chwiejnie, rozpaczliwie bijąc wokół pianę, a potem rzucił się na kamienny piarg.

Przeturlał się, z niepokojem wypatrując robaków, lecz splukała je woda. Padłe zwierzę musiało tkwić tu od tygodni, a nawet miesięcy, pewnie potknęło się i ugrzęzło w szczelinie. Wodospad obmywał je, aż skóra stała się gładka, szara i tak naciągnięta, że przypominała pobliskie kamienie. Obejrząwszy się za siebie zobaczył kilka pasm wełny, które zdradzały, że coś się tu zdarzyło. Wyczesane pasma powiewały wokół przyległej skały, obok zwiślał łeb z pustymi oczodołami, nogi lekko podrygiwały poruszane prądem rwącego pod nimi strumienia. Kształt zwierzęcia dawało się jeszcze

rozpoznać, lecz kadłub był wypatroszony i zgniły.

Ubranie miał zimne, przemoczone. Carson aż się skrzywił, gdy wstał i materiał oblepił mu skórę, powiększając jeszcze dolegliwości wędrownki.

Gdy uniósł wzrok, hominid obserwował go.

Chad nadal miał swój zardzewiały nóż, a z powodu zniekształcenia dłoni musiał trzymać go pod dziwnym kątem, więc wyglądało to tak, jakby tulił ostrze, swego jedyne go, prawdziwego przyjaciela. Znajdował się najwyżej dziesięć jardów od Carsona. Wpatrywał się w niego, a wokół oczu pojawiła się przerażająca biała obwódka. Dygotał w źle dopasowanym ubraniu, a gałgany, którymi miał okręcone nogi, podarły się prawie na strzępy.

Hominid czekał. Carson wziął głęboki oddech i postąpił krok naprzód. Chad odwrócił się i usiłował biec.

Z początku pośliznął się i osunął na gładkiej skale, lecz później zdołał się czegoś uchwycić i zaczął wspinać. Carson próbował iść za nim i natrafił na tę samą trudność, lecz Chadowi szło teraz lepiej. Chociaż raz pochyłona sylwetka była mu pomocna, gdy na czworakach dreptał po ścieżce. Nóż i kłykcie stukotały po kamieniach, a gdy po chwili zatrzymał się i obejrzał, Carson nadal tam był, wciąż szedł za nim.

Pięćdziesiąt metrów dalej ścieżka zniknęła. Wodospad i skały zwarły się, tak że nie było już miejsca na wspinaczkę. Carson ujrzał właściwie nie tyle wodospad, ile progi wodne, lecz i tak nie dawało się przez nie przejść, a nawet gdyby spróbował, po drugiej stronie nie było brzegu. Chad spojrział najpierw na Carsona, następnie na urywającą się ścieżkę przed sobą, na zagradzający mu drogę strumień, a potem skoczył.

Krótkie, potężne nogi pozwoliły mu na porządne wybiecie, tak silne, że nie od razu było wiadomo, gdzie chce wylądować; nóż zawirował w powietrzu, po czym upadł i popłynął zmieciony prądem, a Chad uchwycił zwisającą gałąź i zakołysał się nad wodą. Niebawem odzyskał równowagę i rozpoczął wspinaczkę po osuwającym się śniegu, a Carson żadną miarą nie zdołałby pójść jego śladem.

Gałąź zaczęła się obniżyć. Całe strzeliste drzewo poczęło chylić się w przepaść, gdy korzenie zostały wyrwane ze skrywanej je szczeliny.

Chad odrzucił głowę do tyłu i usiłował wrzasnąć, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Krzyknął ponownie i na białych wargach pojawiła się krwawa ślina.

— Wspinaj się dalej! — zawołał Carson, lecz jego słowa zniknęły we

wszechogarniającym szumie. Chad miotał się i kopał, usiłując mocniej się czegoś uchwycić, ale przeszkadzała mu w tym zdeformowana ręka. Ze skały nad głową Carsona posypała się lawina ziemi i mchu, gdy korzenie wy dostały się spod kamieni, a Chad spadł i zniknął w pianie.

Carson odwrócił się i zaczął biec w dół zbocza. Widział, jak woda unosi złamaną gałąź. Prąd obracał ją i okręcał wokół skał. W jednym miejscu utknęła na parę sekund, lecz siła wiru była zbyt potężna, by pozostała tam dłużej, woda uniosła najpierw jeden jej koniec, potem drugi, a następnie zanurzyła i cisnęła w dół. Chad już się jej nie trzymał.

Carson dotarł na miejsce akurat wtedy, gdy hominid przekoziółkował kilka stóp i zwałił się do falującego kamiennego basenu. Chad zniknął pod wodą na parę sekund, a potem wyłonił się twarzą w dół i ruszył prosto do brzegu.

Carson nie zdążył się zbliżyć, lecz wszedł do wody i ponowił próbę. Wir odepchnął Chada na chwilę, po czym rzucił go na padła owcę.

Ścierwo rozleciało się na kawałki, które wessał prąd, Chad wpadł w szczelinę i tam już utkwiał, wynurzając głowę nad wodę.

Słabo machał rękami, walcząc z silnym prądem, gdy Carson dotarł do niego i uchwycił za kołnierz zbyt dużej koszuli. Szarpnął z całej siły. Chad wynurzył się z wody, charcząc i wymiotując. Carson usiłował opasać go mocno ramieniem wokół klatki piersiowej, co pozwoliłoby mu stawić czoło bezlitosnej sile prądu i bezpiecznie dobrać do brzegu. Pociągnął Chada i powoli przeszedł kilka kroków, a hominid obracał głową z boku na bok, najwyraźniej usiłując sprawdzić, gdzie się znajduje. Wił się jak piskorz, próbując wbić zęby w dłoń Carsona.

Carson pośliznął się i zdumiony opadł na kolana, lecz puścił stwora, który znowu zanurkował pod wodę i zaczął młócić rękoma. Carson stanął na nogi i pociągnął Chada na brzeg, a hominid jeszcze raz obnażył zęby i usiłował go ugryźć.

To koniec — nie może już być mowy o żadnym współczuciu. Chad jest zabójcą, w jakimś stopniu porywaczem, Carson zaś ryzykował dla niego swe życie i wolność. Rozważając na chłodno wszelkie racje moralne, mógłby wyjaśnić motywy swego postępowania, lecz w tej chwili warunki nie były po temu idealne, a on nie miał zamiaru sterczeć tu we wzburzonej wodzie, roztrząsając wszystkie za i przeciw, podczas gdy hominid próbował zagryźć go na śmierć. Nie miał wolnej ręki, więc unióśł Chada tak wysoko na ile się tylko dało i z całej siły ugryzł go w ucho.

Chad mocno zacisnął powieki i zakrył głowę rękami, dzięki czemu ła-twiej go było nieść. Carson cisnął go na łupkowaną skałę, a sam opadł parę

stóp dalej. Niech hominid robi, co mu się żywnie podoba, Carson miał dosyć.

Chad ostrożnie rozplótł ramiona i usiadł prosto. Był oszołomiony i wyczerpany, lecz chyba nie pokaleczył się spadając w dół strumienia. Zagwizdał i kaszlnął kilka razy, po czym spojrział wyczekująco na Carsona.

Przynajmniej nie uciekał. Carson podniósł się i ruszył ku niemu, a Chad nerwowo wyszczerzył zęby; wyglądał teraz jak maska ducha, którą nakładają dzieci, by w Zaduszki straszyć dorosłych. Nie cofnął się.

— Carson, odsuń się pan — zawołał Windeler z drugiego brzegu.

Był w mundurze polowym, zdjął z głowy kaptur, a z rękawów zwisały mu rękawiczki. Gołymi dłońmi trzymał płaski automat, wymierzony prosto w Carsona.

Carson zrozumiał, że zasłania Windelerowi hominida. — Nic z tego — krzyknął, kręcąc głową.

Na skałę wspiął się jeszcze jeden wojskowy, a gdy tylko odzyskał swobodę ruchów, wyciągnął broń. — Zabiję pana, jeśli będę musiał — ostrzegł Windeler.

— Akurat — dobiegł z tyłu jakiś głos i na skałę wdrapał się Mike Schaffer. — Co pan sobie wyobraża?

Chad usiłował zobaczyć co się dzieje, toteż Carson musiał się poruszyć, by go zasłonić. Spostrzegł, że Mike Schaffer, widzący hominida pierwszy raz w życiu, wbił w niego wzrok i nerwowo przełykał ślinę, lecz najwyraźniej cała historia była mu już częściowo znana.

— Nie pójdzie tak gładko, co, kapitanie? Jednak nie załatwimy tego po cichu — powiedział Carson.

Po drugiej stronie zbiornika pojawiło się jeszcze dwóch żołnierzy, stali już wzdłuż całego brzegu. Ostatni miał krótkofalówkę, którą podniósł do ust.

— Mam nadzwyczajne pełnomocnictwa — oznajmił Windeler, podnosząc głos, gdyż akurat przelatywał nad nimi helikopter. — Skorzystam z nich.

Szeroka kłapa z boku helikoptera była otwarta i ktoś się z niej wychylał. Wojskowy z miotaczem płomieni na Chada? — Pożaluje pan — odezwał się Carson do Windelera.

— Wolnego, Carson. Wypadł pan z gry, gdy pozbył się pan pamiętników Liawskiego. Jeśli chce pan popełnić samobójstwo, to proszę bardzo.

— Niech pan nie marnuje jedynej szansy — Carson wskazał na ludzi z karabinami. — Niech ich pan odprawi i odłoży broń.

— A to dlaczego?

— Bo nie powiedziałem panu całej prawdy, dlatego.

Windeler zawahał się. — Nie odesłał pan dziennika? — zapytał z nutką nadziei w głosie.

— Owszem, ale pod inny adres. Do mojej agentki wysłałem pocztą list z informacją, skąd ma odebrać pamiętnik. To daje panu jeden dzień zwłoki, a może nawet więcej. Zależy, jak pan to rozegra.

— A jakie są pańskie warunki?

Za plecami Carsona rozległo się kichnięcie. — Bezpieczeństwo dla chimery — odparł. — Stałe i z gwarancjami.

— To wszystko?

— Opinię publiczną może pan poinformować w dowolnym czasie.

Ustępstwa tego rodzaju nie wywołały entuzjazmu Windelera. — Nie mam uprawnień do takich negocjacji. Ale przekażę pańskie propozycje.

— A „nadzwyczajne pełnomocnictwa”?

— Taką decyzję musi podjąć komisarz.

— Komisarz siedzi teraz przy kominku, robiąc pochodnie ze wszystkiego, na czym wypisane jest jego nazwisko. Nie oczekiwałbym od niego racjonalnych decyzji.

Windeler nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Miał władzę wykonawczą, na którą uwikłania polityczne wywierały jedynie pośredni wpływ. — Powiedzmy, że zawrzemy umowę. Skąd będzie pan miał pewność, że jej nie złamię?

— Mamy policjanta za świadka.

— I uważa pan, że to coś załatwia?

— Komisarz nie ma żadnej bezpośredniej władzy nad miejscową policją i nie ma prawa ingerować w jej robotę — dlatego trzeba się było ich pozbyć. Zgadza się, Schaffer?

Schaffer zdołał oderwać przerażony wzrok od postaci hominida skrytego za Carsonem. — Tak to wygląda. Ja pana poprę i z całą pewnością Stoneley poprze mnie.

Carson znowu spojrzął na Windelera, który dalej ścisnął automat, lecz z mniejszą pewnością siebie. — No i co pan na to? — spytał Carson. — Niech pana nie zniechęca to, że moja propozycja jest uczciwa i przyzwoita. Wiem, że nie jest pan do tego przyzwyczajony.

Przez chwilę słychać było tylko grzmot wodospadu i huk helikoptera, po czym Windeler opuścił broń. — Jeśli przerwie pan tę gadkę — rzekł ze znużeniem — umowa stoi.

— A pan załatwi sprawę z Hennessym?

Windeler skinął na swoich ludzi, a oni schowali karabiny. — Hennessy

chwyci się każdej możliwości zachowania twarzy, ale trzeba go będzie pilnować. Całą karierę zbudował na złamanych obietnicach.

Carson uśmiechnął się. — A więc niech żyje kochany stary szantaż. — Odwrócił się do Chada, który drżąc kulił się przed zimnem. — Opiekuję się tobą — powiedział. — Rozumiesz?

Chad skinął głową.

Helikopter zawrócił i skierował się ku dolinie, niebawem w ślad za nim poleciał następny, po czym wojskowy z radiem schował swój sprzęt i przeszedł przez skałę, by pomóc nieś hominida. Chad był tak wyczerpany, że słał się na nogach, toteż owinęli go płachtą z lekkiej folii i z czterech karabinów sporządzili prowizoryczne nosze. Carsonowi również zaproponowano koc, lecz stwierdził, że owinięty nim nie będzie w stanie iść. Miał na sobie wełnianą odzież, która nawet mokra powinna trzymać ciepło, wziął więc od żołnierzy nieprzemakalne spodnie i naciągnął je na swoje — w połączeniu z kurtką ochroni go to od wiatru. Jakoś dobrnie na dół.

— Nie mógłby pan wezwać dla nas helikoptera? — zapytał Windelera, z trudem naciągając na siebie lekki nylon, lecz wojskowy pokręcił głową.

— To inne służby. Im mniej wiedzą na tym etapie, tym lepiej.

Gdy wjechali na podwórko Ravens' Crag, Alison już tam czekała, z roverem zaparkowanym obok innych pojazdów wojskowych. Zabrała Sarah do hotelu Langstone, gdzie zostawiła ją wraz z bratem pod opieką młodej Australijki i miejscowego lekarza, po czym poszła do szkoły, by wziąć lornetkę Schaffera i wróciła na farmę, skąd z niepokojem obserwowała szczyty gór. Przyglądała się nieruchomemu tobołkowi wciśniętemu między strzelby, z nadzieją, że jednak się poruszy, lecz nie dowierzała własnej wyobraźni, podpowiadającej jej, że to właśnie to, co pragnie ujrzeć. Musiała zaczekać, aż kolumna zmęczonych ludzi wejdzie na podwórze i zobaczy uspokajający uśmiech Carsona. Teraz знаła rezultaty pościgu.

— Chce pan wracać do obozu? — zapytał Windeler.

— Nie — odparł Carson. — Pomyśli, że zabieramy go z powrotem do zwierzyńca.

Schaffer wskazał na rovera Alison. Najwyraźniej tymczasowo uznał go za własność policji. — Zabierzcie to stworzenie do szkoły — powiedział.

— Do szkoły? — powtórzył zdumiony Windeler, a dwaj mężczyźni niosący Chada spojrzeli na dowódcę, chcąc usłyszeć rozkaz od niego.

— Czymkolwiek ono jest, odpowiada za śmierć dwanaściorga ludzi.

— A umowa?

— Przypilnuję, żeby była przestrzegana, ale nie kosztem prawa. Windeler odwrócił się do Carsona. — Nie może pan mieć o to do mnie pretensji, mówiło jego spojrzenie. — Słyszał pan? — powiedział. — Jednak powinien zdechnąć.

— Zdychają tylko zwierzęta — odparł Carson. — Chad jest istotą z pogranicza, trzeba by pewnej finezji prawnej, by go jakoś zaszeregować. Można by to przeprowadzić w trakcie publicznego procesu, bez wątpienia bolesnego, lecz przynajmniej Chad nie będzie wówczas uzależniony wyłącznie od jakiegoś szefa laboratorium.

Hominida zmęczyla pozycja leżąca i próbował wydobyć się spod cieniowego foliowego okrycia. Pozwolili mu wgramolić się za Carsonem na zasłonięty tył rovera; Alison usiadła za kierownicą, Schaffer obok niej. Gdy konwój zaczął się toczyć w kierunku wioski, policjant odwrócił się do Carsona. — Może pan go czymś okryje — powiedział.

Carson ściągnął przez głowę swą zniszczoną kurtkę i zarzucił ją Chadowi na ramiona. Hominid wydał się nieco zdumiony tym posunięciem, lecz zaakceptował je. Podskakiwali i podrygiwali zjeżdżając ze wzgórza, aż wreszcie skręcili na dobrą drogę, co oznaczało, że do wioski już niedaleko. Carson przekonał Chada, by naciągnął kurtkę na głowę i przytrzymał ją, jak to czynią podejrzani pod eskortą skrywający się przed wzrokiem gapiów. Nie zapobiegnie to plotkom, lecz przynajmniej odwlecze moment ujawnienia najgorszej prawdy.

Pierwszy przybył Windeler. Gdy Alison zahamowała przed drzwiami szkoły, wraz z dwoma ludźmi właśnie wychodził ze swego pojazdu. Drugi samochód zatrzymał się, gdy Carson zdążył już wysiąść, a potem odwrócił się, by pomóc wygramolić się Chadowi, który z kurtką na głowie niewiele widział. Alison przysłała im pomoc.

Zachwiała się podchodząc do tylnych drzwi, a Carson wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Rozległ się wystrzał i jednocześnie mężczyzna ujrzał, że na jego ręce rozbryzguje się krew, a zaraz potem Alison zakręciła się w miejscu, ramieniem uderzając Carsona w pierś. Wszyscy troje padli na ziemię.

Wojsko odpowiedziało ogniem. Ludzie Windelera zdążyli już ukryć się za murem i wyciągnęli broń. We wnęce na pierwszym piętrze hotelu Langstone Roger Forester załadował mannlicera, po czym uniósł lunetkę do oka, by oddać drugi strzał. Gdy siatka nitek krążyła obłędnie po powiększonej dachówce w poszukiwaniu celu, trzy kule przebiły mu pierś i cisnęły w uchylone skrzydło okna. Głowa uderzyła o drewnianą krawędź i wybiła szybę, a gdy szkło posypało się dokoła, Forester przechylił się i wypadł na



jezdnię. Nie żył już, kiedy rąbnął o beton.

Carson usiłował odwrócić Alison na wznak. Na rękawie jej kurtki zakwitła czerwieniejąca jak kwiat plama, na którą spoglądała ze zdumieniem. Windeler podbiegł do nich i odtrącił rękę Carsona, nim ten, w dobrej wierze, zdążył wyrządzić dziewczynie krzywdę. Zawołał, by przyniesiono mu apteczkę, następnie obejrzał ranę.

— Dużo krwi, ale wszystko w porządku — rzekł po chwili. — Kula ledwo musnęła kość i elegancko wyszła.

— O Boże — powiedziała głucho Alison, ciągle wpatrując się w poszarpany materiał wokół otworu, po czym zemdląła.

Dwaj mężczyźni podeszli do ciała Foreстера, jeden podejrzliwie je poszturchiwał, drugi wyciągnął spod niego mannlichera.

Elegancko wyszła?

Chad stał parę stóp dalej, koło ogrodzenia. W okrywającej go kurtce była dziura. Wyciekała z niej czerwona ciecz, rozpryskując się na bieli śniegu; płynęła wolno, gęstą strugą, jakby chciała wytrysnąć, lecz zabrakło jej energii czy siły.

Carson chwycił za róg materiału, by go ściągnąć, lecz Windeler powstrzymał go. To nie miało znaczenia, zobaczył już, co trzeba. Nie ramię Alison zatrzymało tępe uderzenie metalu, lecz dokonało tego ciało Chada. Stawiło mu taki opór, że pocisk rozprysnął się w grad odłamków, które pozostały w środku.

Windeler skierował wzrok w stronę Foreстера. Dwaj żołnierze odłożyli karabiny i teraz jeden z nich odwracał ciało. Gdy pojawił się wojskowy sanitariusz z apteczką, by opatrzyć ramię Alison, Windeler odezwał się do Carsona: — Mam nadzieję, że pan będzie pamiętał. Zawarliśmy umowę.

Carson spojrział na niego zimno. — Niech się panu nie wydaje, że coś się zmieniło — powiedział. — Nic się nie zmieniło. Nic, do cholery.